

KATARZYNA  
BERENIKA  
MISZCZUK

# Gniewa

M

KATARZYNA  
BERENIKA  
MISZCZUK

# Gniewa





Copyright © Katarzyna Berenika Miszczuk, 2022  
Wydanie I  
Warszawa MMXXII

Redakcja: Małgorzata Starosta  
Korekta: Agnieszka Piotrowicz, Katarzyna Skarda  
Projekt okładki: Agnieszka Zawadka  
Zdjęcie autorki: Wojtek Biały  
Zdjęcie wykorzystane na I stronie okładki:  
© Hrecheniuk Oleksii/Shutterstock

Skład i łamanie: Dariusz Ziach  
Konwersja do EPUB/MOBI: InkPad.pl

Wydawnictwo Mięta Sp. z o.o.  
03-707 Warszawa, ul. Floriańska 14 m. 3  
biuro@wydawnictwomieta.pl  
www.wydawnictwomieta.pl

ISBN 978-83-67341-01-1

# Spis treści

Strona tytułowa  
Karta redakcyjna

## PROLOG

### CZĘŚĆ 1

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.
- 6.
- 7.
- 8.
- 9.
- 10.
- 11.
- 12.
- 13.
- 14.
- 15.
- 16.
- 17.
- 18.
- 19.
- 20.
- 21.
- 22.
- 23.
- 24.
- 25.
- 26.
- 27.
- 28.

### CZĘŚĆ 2

- 29.
- 30.
- 31.
- 32.
- 33.

34.

35.

36.

37.

EPILOG

PODZIĘKOWANIA

## PROLOG



Baba Jaga okryła kolana kocem i wygodniej usadowiła się na starym fotelu. Stopy oparła na podnóżku, by płonący w kominku ogień ogrzał bolące stawy. Kot usadowił się na jej podolku, a następnie pougniał koc pazurami i w końcu rozłożył się wygodnie. Niemalże od razu zasnął, a jego łapki zaczęły delikatnie drzeć, gdy przez sen gonił mysz.

Jaga odetchnęła głęboko i uśmiechnęła się pod nosem. Coraz częściej lubiła tak spokojnie spędzać wieczory. Niestety albo i stety, czasy, gdy nocą wymykała się do lasu, by naginać zasady wątlęgo porozumienia pomiędzy bogami a ludźmi, dawno minęły. Wiedziała, że to pora, by ustąpić miejsca młodszym i bardziej szalonym. A tych ostatnio obok niej nie brakowało.

Sięgnęła po kubek z herbatą, który zawczasu postawiła obok na stoliku. Z błogością zamoczyła usta w gorącym naparze. Niewiele dzieliło ją od drzemki w starym fotelu. Było tylko zdążyć odstawić kubek, zanim zawładnie nią sen.

Delikatnie, by nie obudzić kota, poprawiła się na wysłużonym siedzisku, bo w krzyżu zaczęło ją łupać. Niespodziewanie jakaś krzywa sprężyna przesunęła się pod poduchą i wbiła jej się w pośladek.

– O, do wszystkich bogów! – syknęła Jaga i poderwała się, rozlewając herbatę.

Przestraszony i zniechęcony jej zachowaniem kocur czym prędzej czmychnął na regał, skąd posłał jej pełne potępienia spojrzenie. Wyglądał, jakby właśnie stracił jedno ze swoich dziewięciu żyć.

– Coś cię boli? – zapytała zaniepokojona Gosia, która akurat w tym momencie weszła do pokoju.

Jaga zmeła w ustach przekleństwo. Oczywiście, że jej była uczennica, a aktualnie pełnoprawna następczyni, musiała wejść do środka akurat w chwili jej słabości. Cechowało ją to irytujące wyczucie czasu, nieważne, czy dotyczyło wpadania w kłopoty, czy denerwowania swoim zachowaniem innych.

– To, że jestem na emeryturze, nie oznacza, że zamieniłam się w niedołączną staruszkę – wycedziła Jaga.

– A czemu masujesz pośladek? – Gosia nie dawała za wygraną. Na jej twarzy malowała się prawdziwa troska. – Czy to twoja rwa kulszowa? A może biodro? Mówiłam ci, że to biodro jest w coraz gorszym stanie. Tak się robi z wiekiem. Zużywa się, jak auto. Przecież nie będzie lepiej.

– Jak mnie jeszcze raz porównasz do samochodu, który wymaga okresowego przeglądu u mechanika, to cię wydziedziczę, a na odchodne rzucę kłutwę – wycedziła staruszka.

– Jago, przecież ja się o ciebie martwię. Naprawdę gorąco zachęcam cię do konsultacji z ortopedą. Może faktycznie tamto porównanie do samochodu było odrobinę niefortunne. Niemniej jednak endoproteza cię nie ominie. Widziałas przecież swój rentgen!

Jarogniewa sapnęła oburzona.

– Jakby mnie koń w młodości nie kopnął w tyłek, to nie miałabym na starość problemów z biodrem. A masuję się teraz, bo mi się sprężyna wbiła w pośladek. Ten fotel nadaje się tylko i wyłącznie na śmietnik – zagderała.

– Jedno twoje słowo, a Mieszko z radością porąbie go nową siekierą, którą dostał na urodziny.

Stara szeptucha zerknęła na wiekowy mebel, z którym bądź co bądź wiązało się kilka miłych wspomnień. Dobrze pamiętała dzień, kiedy Mszczuj przytасzczyl do domu dwa bliźniaczo paskudne fotele w kolorze brudnej musztardy i poinformował ją, że wspólnie się w nich zestarzeją, a wnuki będą im tylko donosić herbatę i ciasteczka. Jemu nie było dane nigdy w nich zasiąść, gdy wiek zgiął mu już plecy i przyprószył siwizną wąs. Głównie z winy Jarogniewy.

Poczuła wyrzuty sumienia. Od śmierci bielińskiego kapłana nie mogła się ich pozbyć. Co zakrawało na ironię. Odkąd przeniósł się do Wyraju, znacznie łatwiej było jej się z nim dogadać, gdy podczas Święta Zmarłych wpadał w odwiedziny na ploteczki, niż gdy jeszcze żył i wiecznie pijany gadał do siebie, patrząc w rytualny ogień.

Poklepała fotel po wytartym oparciu. Chyba jednak nie chciała, żeby przyszywany wnuczek zięć zniszczył kawałek jej przeszłości.

Postanowiła zmienić temat.

– Przyniosłaś nalewki?

Gosia ani myślała odpuścić tematu zdrowia staruszki. Zawiesiła na niej czujne spojrzenie, gotowa od razu rozpoznać kolejny objaw chorobowy. Traktowała Jagę jak własną babcie i chciała dla niej jak najlepiej. Przerazało ją, że szeptuchy mogłoby kiedyś zabraknąć.

– Przyniosłam. A jesteś pewna, że możesz je pić? W twoim wieku...

– No chyba sobie ze mnie żartujesz! – zachnęła się Jaga. – Nie mam stu lat! A nawet jak będę miała, to i tak będę w lepszym stanie fizycznym od ciebie. Co to ci ostatnio dolegało, bo żeś się za długo w telefon komórkowy gapila? No? Przypomnij mi łaskawie.

– Kręcz szyi... – mruknęła niechętnie Gosia.

– Ano, kręcz szyi! A można by pomyśleć, że jako młoda matka powinnaś być wysportowana od biegania za dzieckiem – dogryzła jej.

– Dajemy Gardowi dużą swobodę w bieganiu. Mieszko zrobił wysoki płot, a ja usunęłam z ogródka wszystkie potencjalnie niebezpieczne i łatwo palne przedmioty. Wcale nie muszę za nim biegać. – Wzruszyła ramionami. – Zresztą chyba bogowie mają go w swojej opiece. Dotąd nawet kolana sobie nie obił.

Jaga wskazała dłonią drugi fotel.

– Już nie bądź taka ponura! To dobrze, że bogowie się nim opiekują i go pilnują. Inaczej wszyscy mielibyśmy duże kłopoty. A teraz nalej nam likieru z porzeczek i siadaj.

Gosia podała jej wypełniony po brzegi kieliszek. Jaga położyła poduszkę na siedzisku swojego fotela i dopiero wtedy zajęła miejsce. Ukontentowana, że tym razem nic jej nie dźgnęło w tyłek, pociągnęła łyk wysokoprocentowego alkoholu. Na jej twarzy pojawił się błogi uśmiech, gdy poczuła pieczenie w przełyku.

Zerknęła na wychowankę, która ciągle była zmartwiona.

– Kochana, ja jeszcze się nie wybieram na tamten świat. Zapewniam, że wcześniej cię ostrzeżę, jeśli tylko poczyję zew Welesa. Wciąż zostało mi wiele rzeczy do załatwienia, poza tym czuję w kościach, że mam jeszcze ze dwadzieścia lat – powiedziała.

– Mam nadzieję, że nawet więcej. – Gosia uśmiechnęła się lekko.

– Gardem też się nie przejmuj. – Staruszka jednym haustem opróżniła kieliszek i podesunęła go szeptusze do ponownego napełnienia. – Żyje w nim ogień. Tak miało być.

– Ten ogień mnie martwi.

– To dziecko twoje i Mieszka. Od ciebie zależy, kim będzie, gdy dorośnie, i jak ten ogień spożytkuje. A ja wierzę, że świetnie sobie poradzicie z wychowaniem go. W końcu jesteście dobrymi ludźmi.

– Oby, oby. To co mi dzisiaj opowiesz? – zapytała Gosława.



Baba Jaga zachichotała.

– Jeszcze ci mało opowieści?

– Jago, nie daj się prosić! Powiedz mi jeszcze o młodości swojej i Mszczuja. Miałaś życie pełne przygód. I większość z tego, co ci się przydarzyło, niesie ze sobą bardzo dużo ważnych informacji o bogach. To przecież może kiedyś mi się przydać.

– I na pewno nie chodzi ci o pikantne szczególiki z mojej młodości?

– Ależ skąd! Chociaż oczywiście się nie obrażę, jeśli opowiesz coś takiego.

– Ech, Gosiu, Gosiu. Zupełnie jakby przygód ci w życiu brakowało.

– Co poradzę? – zaśmiała się.

– Mówisz, że chcesz posłuchać o młodości mojej i Mszczuja? No, niech ci będzie... Chociaż nie. Mam lepszy pomysł. Opowiem ci o czymś, co miało początek w jeden z gorszych dni mojego życia.

Gosia zaciekawiona nadstawiła ucha.

– A co się stało tego dnia?

– Popełniłam bardzo duży błąd. Śmiało mogę powiedzieć, że była to jedna z moich największych życiowych pomyłek.

– Czyli? – Zniecierpliwiona szeptucha nie mogła już wytrzymać.

– Tego dnia... – Jaga zawiesiła głos – zrobiłam po raz pierwszy i ostatni w swoim życiu... trwałą ondulację.

# CZĘŚĆ 1

## 1.



– Nasięźrzale, nasięźrzale, rwę cię śmiało! Pięć palcy, szóstą, dłonią! Niech się chłopcy za mną gonią! – zawołałam, nie wiem już po raz który.

Uniosłam głowę i przez ciasno położone obok siebie korony drzew spróbowałam dostrzec chociaż skrawek nieba. Miałam nadzieję, że nie jest jeszcze zbyt późno.

Dzisiaj Noc Kupalna, czyli najkrótsza noc w roku, gdy wszyscy celebrytują miłość i płodność.

Nie wybierałam się na święto organizowane w Bielinach. Nawet nie zająrzałam na festyn, by popatrzeć na rytualne krzesanie ognia. Nie chciało mi się tańczyć ani oblać z kimś przy ognisku.

Swojego stoiska także nie rozstawiałam. Nie miałam czego sprzedawać podczas festynu. Mimo że mieszkałam tutaj już od trzech lat, to zawartość babcinego, a teraz już mojego, kredensu wciąż była irytująco uboga. Zapasy pożyczone od Mirki szybko się wyczerpały. Nalewki, które nastawiałam, sprzedawałam na bieżąco. Z kolei do przygotowania większości specyfików służących do rozbudzania miłości u płci przeciwnej nie miałam aktualnie potrzebnych składników, bo te kwitły latem, a ja wyprzedawałam już wszystko, co zebrałam w poprzednim roku.

Popełniłam kilka błędów podczas planowania swojego biznesu. Przez to, że nie miałam prawdziwego stażu, ponieważ moja babcia zmarła, zanim skończyłam studia, to wielu praktycznych umiejętności (chociażby planowania zbiorów i robienia zapasów) musiałam się nauczyć na błędach.

Oczywiście mogłam rozstawić kram i zająć się wróżeniem za pieniądze. A w Kupalnockę można było wróżyć niemalże ze wszystkiego: z kwiatów polnych, z wody, nawet ze szczypioru. Szczerze jednak tego nie lubiłam, więc nie chciałam się bawić w udawanie. Prawdziwe wróżby wychodziły rzadko. Tylko wtedy, gdy bogowie łaskawie zerkali szeptusze przez ramię. W pozostałych dziewięćdziesięciu procentach trzeba było po prostu zdać się na swoją intuicję, znajomość osoby, której się wróżyło, i najzwyczajniej w świecie zmyślać.

A do tego nie miałam obecnie cierpliwości.

Z corocznego spotkania na Łysej Górze też się wykręciłam. Nie wiem, dlaczego nie miałam nastroju. Ostatnio święto miłości coraz mniej mnie bawiło.

– Nasięźrzale, nasięźrzale, rwę cię śmiało! Pięć palcy, szóstą, dłonią! Niech się chłopcy za mną gonią! – krzyknęłam jeszcze raz, a z okolicznych drzew zerwały się przestraszone ptaki, wybudzone przeze mnie ze snu.

Nie miałam pewności, czy wykrzykiwanie zaklęcia było skuteczniejsze od jego recytowania, ale znajdowałam się w tak wielkiej potrzebie, że nie zamierzałam się hamować. Leśna zwierzyzna musiała mi to wybaczyć.

Nagle usłyszałam za sobą szelest. Coś przedzierało się niezdarnie przez krzaki.

– Cholera – mruknęłam bardziej zirytowana niż zaniepokojona.

Nie podejrzewałam, że zwierzęta aż tak szybko postanowią wziąć odwet za zakłócanie nocnej ciszy. Szkoda, że nie zabrałam żadnej broni. Miałam tylko mały srebrny sierp, który służył mi do ścinania ziół. Szczerze jednak wątpiłam w to, czy poradziłby sobie z wściekłym przeciwnikiem.

Walka z niedźwiedziami i rysiami jednak mi nie groziła. Za moimi plecami pojawiło się światło.

– Ojej! – usłyszałam.

Człowiek. W razie czego zamierzałam zaatakować go sierpem oraz wiklinowym koszykiem, który ściscałam w rękę. Miałam w nim ostatnią butelkę nalewki z czarnego bzu, zachowaną na własny użytek. Żal byłoby ją rozbić przed wypiciem zawartości, ale jak mus, to mus.

Odwrociłam się szybko do tajemniczego ktosia, który stał za mną. Oczywiście przez światło jego lampy niczego nie zobaczyłam. Była przygaszona, ale i tak dawała zbyt wiele blasku.

Mój błąd. Jakby mi się świeczka tak szybko nie wypaliła, to nie przyzwyczaiałabym wzroku do ciemności. Przez to nie widziałam obecnie zupełnie niczego. Byłam natomiast boleśnie świadoma tego, co zobaczył ten ktoś.

– Jagusia?!

Jęknęłam w duchu, bo od razu poznałam głos. Bogowie musieli świetnie bawić się dzisiaj moim kosztem. Puszczą była przecież bardzo duża. Miała około osiemdziesięciu tysięcy hektarów. Nie szłam żadnym szlakiem, nie byłam w pobliżu dróg, kompleksu na Łysej Górze czy nawet niedaleko łąki koło mojej chaty. Byłam dokładnie pośrodku niczego.

A mimo to musiałam spotkać Mszczuja.

Szanse na to, bez boskiej interwencji, oscyływały raczej koło zera. Przeklęty Swarożyc, to pewnie on bawił się moim kosztem. Albo Mokosz. To nawet ją powinnam bardziej podejrzewać. W końcu w Noc Kupały uwielbiała delikatnie popychać młodych ludzi w swoją stronę.

Nadal nic nie widziałam, ale nie miałam wątpliwości, że to Mszczuj. Tylko on nazywał mnie Jagusią, co niezmiernie mnie irytowało. Poza tym ten wznoszący się i lekko łamiący z podenerwowania na końcu głos był bardzo charakterystyczny.

– Co ty tu robisz? – zapytaliśmy w tym samym momencie.

Mogłam już dostrzec niewyraźny męski kształt, bez żadnych szczegółów. Byłam jednak przekonana, że gapił się na mój biust.

– Ja... ja... ja... – zaczął się jąkać.

Jak to jest, że ten mężczyzna zawsze zapomina języka w gębie, kiedy widzi gołą babę? Taka wstydlivość nie powinna minąć mu z wiekiem? Przecież był już chyba koło trzydziestki, a nawet już po. Czas najwyższy odrobinę dorosnąć.

– Czemu jesteś naga? – wykrzyknął nagle.

Aż się zdziwiłam. Całe zdanie, i to bez jednego jęknienia.

– Szukam nasięźrzału – odparłam spokojnie.

– Czego?

– Takiej byliny.

– Czego?

Westchnęłam. Wzrok powoli i boleśnie przyzwyczajał się do światła jego lampy. Nadal nie byłam stuprocentowo pewna, gdzie Mszczuj patrzy, ale sądząc po kącie pochylenia jego głowy, tym razem chyba ogniskował spojrzenie na moim wzgórkę łonowym. W sumie to mu się nie dziwię. Nie co dzień można spotkać zupełnie nagą kobietę idącą tyłem przez las i recytującą zaklęcia. Ale co ja mogę zrobić? Rytuał tego wymaga. Wolę nie ryzykować, że

znalezione przeze mnie liście nie będą miały mocy tylko dlatego, że z powodu wstydu włożyłam majtki.

Na całe szczęście w ogóle nie jestem wstydliva.

– Mszczuju, jeśli nie możesz się skupić, to po prostu popatrz w inną stronę – zaproponowałam przesadnie miłym tonem.

Przelknął głośno ślinę i szybko przekręcił głowę w bok, o mało sobie przy tym nie skręcając karku. Zdusiłam chichot. Nie powinnam się z niego naśmiewać. To trochę jak kopanie leżącego.

– To właściwie czego szukasz, Jagusiu? – zapytał nienaturalnie wysokim głosem.

– Szukam nasięźrzału. To taka nieduża roślina składająca się z jednego listka i zielonego kłosa. Rośnie na kłączach. Widziałeś może?

– Eee...

– Potrzebny mi w dużej ilości do specyfików miłosnych.

– Taaaak?

– No przecież nie dla mnie te specyfiki! – oburzyłam się.

– Całe szczęście... to znaczy...

Westchnęłam. Nie miałam do niego siły. Jasno sobie powiedzieliśmy zeszłego lata i jeszcze poprzedniego, a nawet jeszcze poprzedniego, że nie zostaniemy parą. A ten jakby się uwziął. Cały czas miał nadzieję. A mogłoby się wydawać, że na kapłanów idą inteligentni, czytani mężczyźni, którzy rozumieją, co się do nich mówi.

Jak widać, nic bardziej mylnego.

– Żeby znaleźć nasięźrzała, który rozbudzi namiętność u mężczyzny, należy iść nago przez las w Noc Kupały. Na dodatek trzeba iść tyłem i cały czas recytować zaklęcie – tłumaczyłam cierpliwie jak dziecku. – Następnie należy natrzeć swoje ciało znalezionym listkiem i można zacząć się już opędzać od adoratorów.

– Będziesz się nacierała...?

– No przecież mówię, że to nie dla mnie! Mam klientkę, która szuka sposobu na pewnego mężczyznę. Niestety żaden ze specyfików i rytuałów, które do tej pory jej zaproponowałam, nie zadziałał. Jakiś strasznie oporny ten jej obiekt westchnień.

Nie byłam pewna, czy moje wysiłki i tak nie pójdą na marne. Klientka powinna sama wykonać cały rytuał. Ona jednak kategorycznie stwierdziła, że tego nie robi, bo się wstydzi, bo się boi ciemnego lasu, bo nie wypada i tak dalej, i tak dalej. Wygodnickim wymówkom nie było końca. Niby tak jej zależało na tej miłości, ale odrobina poświęcenia i tyłek pogryziony przez komary to już za dużo. Ludzie robili się zdecydowanie zbyt leniwi.

W ramach eksperymentu postanowiłam wykonać pierwszą część rytuału za nią. Zobaczmy. A może i tak zadziała i będę mogła włączyć do mojego zestawu specyfików miłosnych jakieś mazidła z nasięźrzałem?

Poza tym próbowałam stworzyć autorski przepis kremów do ciała dla kobiet bawiących się na wieczorach panieńskich. Mirka podzieliła się ze mną swoimi recepturami, miałam kilka przepisów mojej babci Radomiły, ale chciałam stworzyć coś własnego. Unikatowego. I – przede wszystkim – mocniejszego. Znacznie mocniejszego. A co się panny będą hamować! Wieczór panieński to noc, podczas której to mężczyźni powinni bać się chętnych kobiet.

Ruszyłam powoli ścieżką. Tyłem – ma się rozumieć. Zarumieniony Mszczuj czym prędzej podążył moim śladem. Głupio mu było wciąż na mnie zerkać, więc starał się iść obok.

– I tak na golasa chodzisz? – zapytał.

– Ano tak.

– A ludzie... dziwnie na ciebie nie patrzyli?

– Nikogo poza tobą do tej pory nie spotkałam.

– A gdzie masz ubrania?

– Zostałam w domu.

– I wyszłaś z domu na golasa? – Jego głos znowu wzniósł się o kilka oktaf.

– Mieszkam pod lasem. Nikt mnie nie widział. Daj se siana – burknęłam, bo już mnie zaczął porządnie irytować. – A tak właściwie, to co ty robisz w lesie?

Samotne podróże nocą po puszczy zdecydowanie nie pasowały do lekko tchórzliwego wróża. Spotkanie z rusałkami, które niebawem szybko i skutecznie pozbawiły go spodni, a także walka z biesem dość mocno odbiły się na jego psychice.

I odwadze.

– Zbieram śmieci. – Uniósł do góry płócienną torbę, w której zagrzecotały butelki. – Dzisiaj Noc Kupały. Wszyscy szukają kwiatu paproci, a przy okazji rozrzucają butelki i papierki. To karygodne. Idzie lato. Od kawałka szkła rzuconego na ściółkę może dojść do tragedii. Pożary lasów bardzo często się zdarzają.

No proszę. Tego się po nim nie spodziewałam.

– A nie bałeś się, że jakieś rusałki będą próbowały cię rozbierać? – zakpiłam.

– Nie! – Machnął ręką, jakby to była jakaś błahostka. Po chwili jednak na jego czole pojawiła się zmarszczka. – A jakieś rusałki znowu przyjechały? Myślałem, że już żadnych nie ma.

– Ja tam o żadnych nie wiem, ale to stara puszcza. Może jakieś mieszkają tu na stałe.

Jeszcze trochę złośliwości i bogowie po śmierci nie wpuszczą mnie do Wyraju. Ale nie mogłam się powstrzymać. Tak łatwo było go przestraszyć.

– Hmm... – zafrapował się.

Zrobiło mi się głupio. Chyba trochę przesadziłam. Ten biedak ze strachu gotów już nigdy nie wejść do lasu.

– Spokojnie, Mszczuju. Wątpię, żeby drugi raz miały cię zaatakować rusałki. Myślę, że w świecie nadprzyrodzonym poniosła się już fama, że Bieliny są pod opieką pięknej i błyskotliwej szeptuchy oraz... pewnego wróża.

– Mam nadzieję. – Zdawał się w ogóle nie wyczuwać w moim głosie ironii. Beznadziejny przypadek.

– O! Nasięźrzał!

Ukucnęłam przy roślince, której o mało nie zdeptałam. Postawiłam wiklinowy kosz na ziemi i wyciągnęłam z niego linijkę. Wróż przyglądał mi się zafascynowany, gdy mierzyłam listek.

– Czemu to robisz? – zapytał.

– Biorę tylko takie dziesięciocentymetrowe. Może dzięki temu będą lepiej działać. Poza tym nie chcę niszczyć niedorostków.

– To rozmiar ma znaczenie? – zdziwił się.

– Oczywiście, że ma znaczenie! – odparłam, zanim zdałam sobie sprawę, że wpędzą mnie w pułapkę.

– Och, to chyba dla mnie dobrze, co? – Na jego twarzy, pod równo przyciętym wąsikiem o lekko podkręconych do góry końcówkach, zagościł uśmiech od ucha do ucha.

– Oj, Mszczuju... – westchnęłam tylko.

Miał rację. Dobrze pamiętałam, że miał się czym pochwalić. Szkoda tylko, że poza mną nikomu się tym nie pochwalił. To znaczy widziały go też rusałki, ale szczerze wątpię, żeby któraś chciała się z nim związać na stałe.

Jakkolwiek by na to patrzeć, rusałki były martwe. To chyba dyskwalifikuje je w kwestii swaiby. Byłam przekonana, że na dokumentach przedstawianych potem w urzędzie wpisuje się numer dowodu osobistego, a dowody mają tylko żywi.

Wrzuciłam nasięźrzał do koszyka. Leżało w nim już kilkanaście roślin. Doszłam do wniosku, że powinno mi to wystarczyć. Nie miałam ochoty spacerować dłużej z kapłanem,

a byłam pewna, że nie zdołam się go pozbyć. Byłam też już zmęczona, chętnie napiłabym się wreszcie nalewki i położyła w łóżku.

– Wracam do domu – oświadczyłam.

– Odprowadzę cię! – zaoferował bez wahania.

– Nie trzeba.

– Przecież to nie takiego! – Przez nerwowy chichot jego niefrasobliwa odpowiedź w ogóle nie zabrzmiała prawdziwie.

– Boisz się rusałek? – zapytałam.

– Nie.

– Szczerze?

– No, to trochę.

Westchnęłam.

– I ty chciałeś sam śmieci po nocy zbierać w puszczy? – jęknęłam.

– Wszystko było świetnie, dopóki cię nie spotkałem! – obruszył się.

Obśmiałam go i ruszyłam w stronę chaty. Jak znam Mszczuja, pewnie i tak się zgubił.

W ten sposób przynajmniej dojdzie drogą do swojego domu.

– Jago, może włożysz moją koszulę? – zaproponował.

– Obejdzie się.

– Ale tak nie wypada...

– Oj, już przestań. Mnie naprawdę nie przeszkadza, że jestem naga.

– Mnie przeszkadza – odpowiedział cichutko.

Na wszystkich bogów i upiry tego świata! Miałam za miękkie serce do tego nieporadnego mężczyzny. Chociaż gdybym mu uległa, to przynajmniej przestałby truć mi tyłek.

– Dawaj tę koszulę – zażądałam.

Niemalże rzucił lampę na ziemię i zaczął zdzierać z siebie ubranie. Posłusznie włożyłam koszulę obszytą krajką. Byłam sporo niższa od Mszczuja, a koszula była na tyle długa, że spokojnie sięgnęła mi do połowy uda.

Doprawdy zabawna była teraz z nas para. Ja w samej koszuli, a on jedynie w spodniach. Dobrze, że całe Bieliny były dzisiaj zajęte świętowaniem, bo inaczej na pewno czyjeś czujne oczy już by nas zobaczyły. I nie minęłaby godzina, a wszyscy zaczęliby nas podejrzewać o romans.

Niby Noc Kupały to taka cudowna noc, podczas której nie ma zasad i że tak powiem, każdy może z każdym bez późniejszych konsekwencji. Nie wydaje mi się jednak, aby ta reguła obowiązywała lokalną szeptuchę i kapłana. Jakkolwiek na to patrzeć, byliśmy filarem lokalnej społeczności.

W każdym razie zawsze sobie to powtarzałam, zanim zamierzałam zrobić coś głupiego.

Na przykład tylko dzięki temu jednemu zdaniu powstrzymałam się przed rzuceniem naprawdę paskudnego uroku na moich sąsiadów. A dokładniej mówiąc, na czterech braci, którzy doprowadzali mnie do szewskiej pasji. Nie mogli przeżyć, że niemalże od razu po sprowadzeniu się do Bielin kupiłam okazjnie działkę obok ich sadu. Tak naprawdę jeszcze jej nie spłaciłam, ale niewiele mi brakowało.

Bracia byli dobrze znani w okolicy. Dużo zarabiali na sezonowych owocach, systematycznie skupowali pola od sąsiadów. Kto nie chciał sprzedać po dobroci, był najzwyczajniej w świecie zastraszany. Zamierzałam w końcu się nimi zająć. Nie tak prowadzi się biznes. A z całą pewnością ja nie zamierzałam tolerować takiego zachowania w mojej wsi.

Resztę drogi do chaty pokonaliśmy z Mszczujem w milczeniu. Nie przeszkadzało mi to. Tak naprawdę bardzo lubiłam kapłana właśnie za to, że mogliśmy spędzać wspólnie czas

w ciszy i nie było to w ogóle niezręczne. Wyprowadziłam go na łąkę ciągnącą się aż do mojej chaty.

Nagle zachwiałam się lekko. Przez zamknięte okiennice domu przesączało się światło. Migotało delikatnie, wręcz ledwo dostrzegalnie. To musiała być zapalona świeca.

Tylko że ja zgasiałam wszystko przed wyjściem. Zostawianie ognia poza piecem, w chacie, która ma dach w dużej mierze ze słomy, nie byłoby rozsądne.

Dyskretnie sprawdziłam, czy aby nie zgubiłam małego srebrnego sierpa, który zabrałam ze sobą do zbierania ziół. Nie wiem, kto odważył się wejść bez zaproszenia do mojego domu, ale jeśli okaże się kłopotliwy, to sierp będzie mi musiał wystarczyć do ewentualnego ataku.

– Będzie gorąco – powiedział Mszczuj.

– Oby nie – mruknęłam.

– Przecież lubisz upały – zdziwił się.

– Och, ty mówisz o pogodzie! – Zaśmiałam się nerwowo.

Jeszcze tylko tego brakowało, żebym się jakoś zdradziła. Wróż nie należał do najodważniejszych, ale na pewno rzuciłby się na pomoc i uparł, że pierwszy wejdzie do chaty. Był niepozorny, ale gdzieś w środku tliła się w nim iskra wojownika.

Niestety tylko iskra.

– A myślałaś, że o czym?

– Nieważne, nie rozumiałam.

– Pewnie będziesz miała teraz dużo roboty – kontynuował niezrażony. – Szykują się cztery swańcy, co najmniej. Panny młode prosiły cię już o pomoc w wieczorach panieńskich?

– Tak, tak – odparłam roztargniona. Nie mogłam się na niczym skupić, dopóki nie rozwikłałam zagadki światła.

– Cieszę się, będzie potem okazja potańczyć razem na weseliskach. Mam nadzieję, że zarezerwujesz dla mnie kilka tańców.

– Oczywiście.

– Cieszę się – powtórzył i zerknął na mnie. – Wiesz, bo ja będę miał do ciebie jeszcze jedną prośbę... W lipcu przyjeżdżają do mnie w odwiedziny rodzice. Pamiętasz mojego tatę? Poznaliście się. Teraz przyjedzie razem z mamą. Niestety. Tak, no więc przyjadą i jak by to ująć... hm... powiedziałem im, że mam narzeczoną. Chcieli mnie wyswatać z córką koleżanki mojej mamy. Nic nie mam osobiście do dziewczyny, całkiem niebrzydka i sympatyczna, ale jak by to ująć... no, wolałbym nie. Czy istniałaby szansa, że będziesz przez jakiś tydzień udawać moją narzeczoną?

Chata była już blisko, paplanie Mszczuja leciało gdzieś koło mojego ucha. Żałowałam z całego serca, że zamknęłam przed wyjściem okiennice. Niby było to bezpieczne rozwiązanie, bo nikt w ten sposób nie wiedział, że mnie nie ma. A jednak ktoś odważył się to sprawdzić.

Zatłukę dziada, który się odważył wejść nieproszony do mojego domu.

– Jago? – ponaglił mnie Mszczuj.

– Hę?

– No... zgodzisz się?

– Oczywiście, oczywiście – odpowiedziałam nieuważnie, nie spuszczać wzroku ze światła.

– Bardzo się cieszę! – Odetchnął z ulgą. – Ja wiem, że to duża prośba. Ale sama rozumiesz, w końcu też uciekłaś przed niechcianą swańcą.

Tknięta bardzo złym przeczuciem, odwróciłam się gwałtownie do kapłana. Zaraz, coś mnie chyba ominęło. Na co ja się właśnie zgodziłam?!

– Czekał, czyli co ja w sumie mam zrobić? – zapytałam.

– Myślę, że najlepiej będzie, jeśli na czas przyjazdu moich rodziców zamieszkamy razem. Wiesz: wspólne kolacje, śniadania, obiady. Musimy zadbać o to, żeby moi rodzice wyjechali stąd bez żadnych wątpliwości, że jesteśmy sobie przyrzeczeni – zastrzegł. – I żeby powiedzieli Ściborze, że ja nie jestem zainteresowany.

– Och, mam udawać twoją dziewczynę – dotarło do mnie.

– Jago, przecież właśnie to mówię. Źle się czujesz? To przez to chodzenie na golasa. Przewiało cię pewnie. Musisz się wygrzać. A wracając do tematu... – paplał radośnie dalej. – Masz udawać nie moją dziewczynę, tylko narzeczoną. Chcę, żeby przekazali Ściborze, że ja naprawdę jestem zajęty. Wiesz, nasze rodziny, czyli moja i rodzina Ścibory, znają się od dawna. Nasi rodzice są dobrymi przyjaciółmi. Zaaranżowali to małżeństwo, kiedy jeszcze chodziliśmy do przedszkola. Ale wiesz... zawsze myślałem, że to tylko takie gadanie. A tu teraz przysłali telegram, że ustalili już termin ślubu w chramie i że mam przestać zachowywać się jak niepoważny tchórz. Przecież ja nie jestem niepoważnym tchórzem. Ja po prostu nie chcę się żenić. To znaczy: nie chcę się żenić ze Ściborą, bo ogólnie to ja bardzo bym się chciał ożenić.

Jak zwykle, kiedy był zdenerwowany, Mszczuj plótł trzy po trzy.

– A mówiłeś im, że nie chcesz tej swańcy? – zapytałam.

Trochę byłam zdumiona, że się z nimi nie dogadał i że ciągle mieli nadzieję na ten aranżowany ślub. Z drugiej jednak strony świetnie pamiętałam, że trzy lata temu mój ojciec przyjął oświadczyzny Bratomila i nikt mnie nawet nie zapytał o zdanie.

– Tak! – zawołał. – Średnio raz na miesiąc mamy rozmowę telefoniczną na ten temat.

Jedyny telefon na monety był na poczcie. Wyobraziłam sobie, jak co miesiąc Mszczuj staje pod czujnym wzrokiem i nasłuchem pani pracującej w okienku i przekonuje rodziców, że nie wraca do Gdańska i nie bierze swańcy. Być może to dlatego kółko gospodyń wiejskich cały czas tak usilnie stara się go wyswatać. Pewnie chcą mu w ten sposób pomóc i przywiązać go do Bielin.

– A nie prościej, żebyś sam powiedział o tym tej Ściborze? Przecież nie będzie chciała brać swańcy z niechętnym sobie mężczyzną. Na bogów, nie żyjemy w średniowieczu! To dwudziesty wiek! Lata osiemdziesiąte!

– Ścibora jest specyficzną osobą – powiedział cicho. – Ona nie przyjmuje łatwo odmowy. Szczerze mówiąc, to ja się jej trochę boję.

Wyobraziłam sobie wielką babę, która postanawia poślubić wysokiego, ale chudego jak szczapa Mszczuja i łapie go w swoje ogromne niczym talerze łapska. Parsknęłam śmiechem. Pewnie jest zupełnie odwrotnie. Mszczuja łatwo zastraszyć. Ta biedna dziewczyna najprawdopodobniej była moich rozmiarów, tylko w przeciwieństwie do kapłana miała kłótlivy charakter.

– Nie znasz Ścibory – obraził się. – To wcale nie jest śmieszne.

– No, trochę jest. Ile ty masz lat? Ze trzydzieści przecież. I baby się boisz...

– Trzydzieści trzy – przyznał z największą godnością, na jaką było go stać. – Ale Ścibora... Ścibora to jest specyficzna osoba. Wierz mi.

– Dobra, jak tam chcesz. Mogę udawać twoją narzeczoną, ale mieszkać z tobą nie będę. Powiesz najwyżej rodzicom, że jestem cnotliwa przed swańcą. Poza tym, na litość, w twojej chacie jest tylko klepisko. Może i nie jestem księżniczką, ale jakieś standardy trzeba mieć. Ogarnąłbyś swój dom.

– Przecież wiesz, że chata nie należy do mnie, tylko do gminy – burknął. – Mam niską pensję. Wszystkie oszczędności poszły na naprawę dachu.

– A to gmina nie powinna tego naprawić? – zdziwiłam się.

– Wiesz, uszkodzenie powstało jakby z mojej winy. Zapaliłem rytualny ogień i całkiem o nim zapomniałem.

Cały Mszczuj. Cud, że żyje.



– Ale jesteś pewien, że chcesz, żebym to ja udawała twoją narzeczoną?  
– Tak, dlaczego miałbym nie chcieć? – zdziwił się.  
– Gdy kilka lat temu spotkałam twojego ojca, to chyba mnie nie polubił.  
– On nikogo nie lubi – poinformował mnie. – Poza tym uważam, że to nawet lepiej, że za tobą nie przepada.

Staliśmy już obok mojej chaty. W środku panowała cisza. Pewnie logiczne byłoby wejście do środka z Mszczujem, ale dobrze wiedziałam, że w razie jakiegoś starcia kapłan bardziej by przeszkadzał, niż pomagał. Poza tym nie chciałam go narażać.

– Dobrze, to ja się zbieram – oświadczyłam. – Daj mi wcześniej znać, kiedy twoi rodzice przyjadą.

Zanim zdążył odpowiedzieć, postawiłam koszyk na ziemi i zdjęłam koszulę. Podałam mu ją.

Z wysiłkiem oderwał wzrok od moich piersi. Uśmiechnęłam się drwiąco.

– Zrobiłaś to specjalnie? – zapytał.

– Oczywiście. A teraz cię żegnam. Muszę jeszcze coś załatwić.

– Jago, a zanim pójdę, mogę zadać ci pytanie?

– Tak.

– Nurtuje mnie to, odkąd się spotkaliśmy... – urwał.

– No? Co chcesz wiedzieć? – zirytowałam się, że przedłuża to pożegnanie.

– Co ty masz na głowie? A raczej: co ci strzeliło do głowy? – zaczął rechotać.

Poczułam, jak cała krew odpływa mi z twarzy. W jednej chwili pożałowałam, że nie porzuciłam go w lesie na pastwę rozochoconych rusalek.

– Ciebie zaraz strzelę po pysku, jak sobie nie pójdiesz – warknęłam, a on na swoje szczęście posłuchał grzecznie i uciekł w mrok.

Dowcipniś się znalazł, od siedmiu boleści.



Poczekalam, az Mszczuj oddali sie od mojego domu i zniknie w mroku. Dla pewnosci policzylam jeszcze do dziesieciu. Wolalam, zeby niczego nie uslyszal i nie zawrocił, tknięty złym przeczuciem.

Koszyk postawilam na ziemi, by w dloni zostawic sobie tylko maly sierp do ataku i ewentualnej obrony. Byl bardzo ostry. Jesli dobrze trafie, to powale przeciwnika jednym ciosem. Ewentualnie oslabie go na tyle, zeby potem dokończyc, dajmy na to, patelnią.

Oczywiście, o ile byl to czlowiek. Jesli upir, to szanse rozkladaly sie odrobinę inaczej. Sierp byl ze srebra, a niestety wrażliwe na ten kruszec byly tylko niektóre potwory. Zdecydowana większość bała sie najzwyczajszego zelaza, którego jak na złość nie miałam ze sobą.

Zanim otworzylam drzwi, ukucnelam przy progu. Linia usypana z soli, którą raz na tydzien oraz po kazdym deszczu poprawiałam, wydawala sie nienaruszona. Demon by jej nie pokonal. Tak samo zabezpieczone miałam okna. Jedynie komin prowadzący do pieca kaflowego byl słabym punktem.

Szkoda, ze nie miałam domowika. Byl to domowy demon powstaly z duszy zmarłego członka rodziny, który postanowil nie wędrować po śmierci do zaświatów. Zostawal, zeby chronic dom najblizszych, często przybierając postać malego, zgarbionego i zasuszonego dziadka z dlugą brodą. Naprawdę przydalby mi sie taki, zwłaszcza biorąc pod uwage to, ze domowiki mieszkaly za piecem. Mialby wtedy oko na komin.

Ubozeta, które u mnie bytowaly, pilnowaly domowego ognia, przeganialy pajaki czy myszy. Jak widać, nie bardzo radzily sobie w kwestiach zapewniania bezpieczenstwa albo w ogóle nie zawracaly sobie tym glowy. A szkoda. Nie byly tanie w utrzymaniu. Musialam co wieczór zostawiac im na spodeczku odrobinę mleka, a obok kłasc pajde chleba. Jak byl czerstwy, to gady nie chialy go jeść, a ja następnego dnia musialam wynosic na dwór zblakaneho pajaka.

Trzeba sie porzadnie zastanowic, czy na pewno warto ich dogladac. Na razie bilans zysków i strat jakoś mi sie w ogóle nie kalkulowal. Poza tym moge sie zalozyć, ze wszystko podsluchivaly, a potem donosily swojemu stwórcy, Swarozycowi.

Unioslam sierp i zamaszycie otworzylam drzwi.

– A pódziesz ty! – ryknelam.

A w środku...

...nie bylo nikogo.

Przez chwile stalam w pozycji bojowej, trzymając nad sobą sierp, i dyszalam ciężko. Coś mi tu bardzo nie pasowalo.

W końcu doszlam do wniosku, ze nikt ani nic najwyraźniej nie ma zamiaru wyskakiwac na mnie z ciemnego kąta. Podeszlam więc do stołu, przy którym przyjmowalam klientów. Na spodeczku stala dopalająca sie juz aromatyczna świeczka. Nie dość, ze jej nie zapalalam, to nawet nie zostawilam jej na stole. Ktoś pięknie sie obsluzyl. Wlamala sie i na dodatek grzebal w moim kredensie, gdzie oprócz medykamentów trzymalam na przyklad świece z wosku pszczelego.

Zawrzałam z gniewu. Na pewno przy okazji też coś ukradł, a świeczkę zostawił albo z głupoty, albo celowo, żeby mnie wyprowadzić z równowagi swoją bezczelnością.

Nagle płomień świecy wystrzelił do góry i zaczął kopcić na czarno. Zaskakująco duża smuga dymu uniosła się, a następnie opadła na krzesło naprzeciwko mnie. Zakasłałam, kiedy opar zadrapał mnie w gardle.

Po chwili z dymu wyłonił się Swarozyc, bóg ognia, syn Swaroga, boga słońca, czyli ognia niebieskiego. Jego płomiennoruda broda zdawała się delikatnie falować, jakby między włosami przeskakiwały iskry.

Bystre spojrzenie boga przesunęło się po moim nagim, pokrytym gęsią skórką ciele.

– Odprawiałaś jakieś rytuały, moja słodka nosicielko ognia? – zapytał niskim, bardzo zmysłowym głosem.

Napięcie opuściło moje ramiona. Rzuciłam sierp na stół. Brzdęknął głośno o porcelanowy talerzyk. Nie spodziewałam się Swarozycza. Tak naprawdę to nieźle mnie zaskoczył. Ostatni raz ukazał mi się ponad rok temu. Już zdążyłam zapomnieć ten głos, o którym niegdyś fantazjowałam po nocach.

– Można tak powiedzieć. – Wskazałam na świecę. – To ty się obsłużyłeś?

– Ubożęta przyjęły swego pana – powiedział.

Odetchnęłam. Z jednej strony czułam ulgę, bo to nie był demon ani złodziej. Z drugiej – wizyta boga nie mogła wróżyć niczego dobrego. Istoty wyższe nie miały w zwyczaju wpadać na zwykłe pogaduszki.

A mimo to... Życie w Bielinach było ostatnio bardzo, ale to bardzo nudne. Nie pogardziłabym jakąś ekscytującą przygodą.

Zabrałam koszyk spod drzwi i postawiłam na kuchni. Następnie podeszłam do łóżka, na którym zostawiłam sukienkę.

– Nie musisz się dla mnie ubierać – powiedział z rozbawieniem.

– Ubieram się dla siebie – odparłam i narzuciłam obcisłą krwistoczerwoną sukienkę na gołe ciało.

Kiedy poprawił się stan moich finansów, trochę podrasowałam też zawartość szafy. A raczej walizki. Nadal trzymałam wszystkie swoje ubrania w walizce wepchniętej pod łóżko. Szafy, czy chociażby skrzyni na ubrania, ciągle się nie dorobiłam.

Razem z Mirką, szeptuchą z Huty Nowej, wybrałam się kilka razy na zakupy do Kielc. Sprawiałam sobie same modne ciuchy. Moja walizka pełna była legginsów, tunik w kwiaty, a także krótkich obcisłych sukienek. W pogoni za modą postanowiłam zaszaleć i zafundować sobie popularną obecnie trwałą ondulację.

Zawsze miałam długie niemalże do pasa włosy, które wiązałam w prząsny warkocz. Burza loków, która dodatkowo dodałaby mi kilka centymetrów wzrostu, teoretycznie powinna mi pasować. Zawsze byłam rozmiarów kompaktowych. Wysoka fryzura tylko by mnie wysmukliła. Co się mogło nie udać?

Niestety jakimś cudem w mojej wymarzonej burzy loków wyglądałam, jakbym miała na głowie ptasie gniazdo. Okazało się, że właściwa pielęgnacja włosów kręconych to jakiś koszmar. Szampon, wcierki, ugniatanie, lakier do włosów, modelowanie. A potem wystarczy byle wietrzyk (a, nie oszukujmy się, w okolicy Łysej Góry nie ma wietrzyków, tylko raczej notorycznie łeb urywa), żeby wszystko się rozpuszyło i wyglądało, jakby „pieron w mietle strzelił”, jak to mawiała moja babcia.

Nienawidziłam moich loków uczuciem szczerym i głębokim. Niestety nie pozostawało mi nic innego, jak czekać cierpliwie, aż moje proste włosy odrosną.

Naprawdę nie wiem, jak Mszczuj to robił, że wyglądał dobrze w swoich lokach sterczących na wszystkie strony. Ja musiałam moje ciągle wiązać, bo inaczej doprowadzały mnie do szału.

Na dodatek mieszkańcy Bielin zaczęli już plotkować za moimi plecami, że rzekomo mam kołtun. A kołtun, jak wiadomo, to albo objaw ciężkiej choroby (Chwalimira Kielbasa już zapytała mnie ze sztucznym współczuciem, czy jest bardzo źle i czy aby nie trzeba pomóc mi zajmować się obejściem), albo też kołtun ochronny (Bronka ze sklepu powiedziała, że słyszała, iż stoczyłam starcie z jakimś bardzo złym demonem i w tym celu musiałam wyhodować kołtun).

No ręce opadały. Naprawdę nienawidziłam swoich włosów.

Wyjęłam z kredensu nalewkę, mój najnowszy przepis. Kopała aż miło, a na koniec zostawiała pieprzny posmak na języku.

– Chcesz? – zaproponowałam.

Prychnął pod nosem, ale kiwnął głową. No tak, zapomniałam. Przecież ludzki alkohol to dla niego prostackie trunki.

– Dawno cię tu nie było – zagadnęłam i postawiłam przed Swarozycem kieliszek.

– Dawno się do mnie nie modliłaś.

– Ja do nikogo się nie modłę – odparowałam.

– Wiem.

Tym razem się uśmiechnął, jakby bardzo ucieszyło go moje wyznanie. Usiadłam naprzeciwko niego. Chciałam beztrzesko przeczesać dłonią włosy, ale palce utknęły mi w kołtunie. Przez chwilę się z nim szarpałam. Swarozyc ostrożnie skosztował alkoholu, swoim zwyczajem skrzywił się z niesmakiem, a następnie jednym haustem wypił cały kieliszek. Chyba tylko i wyłącznie w wrodzonej uprzejmości udawał, że nie widzi, jak zaplątałam się we własne klaki.

– Przypomnij mi, żebym przyniósł ci miodu, który piją bogowie – stwierdził. – To jest prawdziwy trunek, a nie te słabe popłuczyny.

– Przypomnę z radością. Tak zachwalasz, a jeszcze jakoś nigdy mnie nie poczęstowałaś – zakpiłam.

Płomienie na dnie jego oczu pojaśniały, kiedy uśmiechnął się z rozbawieniem.

– Czemu się pojawiłeś? – zapytałam.

– Jago, czy musiałem mieć powód? Jesteś strażniczką mojego ognia. Chciałem sprawdzić, co u ciebie słychać.

– Gówno prawda – wyrwało mi się.

Zaśmiał się, a ja pod wpływem tego dźwięku poczułam mrowienie na całym ciele. Nigdy nie przyznałabym się do tego głośno, ale uwielbiałam głos Swarozycza. Świetnie zdawałam sobie sprawę z tego, że był nasączony magią. Nie przeszkadzało mi to jednak w odczuwaniu miłych dreszczy, gdy wypowiadał moje imię.

– Prawda – potwierdził.

Jeszcze raz nam polałam. Niecierpliwiłam się. Chciałam już usłyszeć, z czym przyszedł. Wstydło przyznać, ale naprawdę nie mogłam się doczekać rewelacji, które od niego usłyszę.

Życie w Bielinach miało swój określony rytm, który nadawały pory roku oraz główne słowiańskie święta: Jare Gody, Noc Kupały, Święto Plonów, Szczodre Gody oraz obchodzone dwukrotnie Dziady. Problem w tym, że wystarczyły trzy lata, żebym zdążyła trochę się tą monotonią znudzić.

Na początku jeszcze coś się działo. Miałam kłopoty finansowe, musiałam sobie jakoś radzić. Teraz, kiedy wyszłam jako tako na prostą, nuda zaczęła mnie po prostu zabijać. Ciągłe tylko poranne grzebanie w ziemi, klienci, zlecenie, łożenie po lesie, wizyty domowe, wieczorne grzebanie w ziemi. A potem kisenie się w domu i głaskanie kota. Oczywiście tylko wtedy, kiedy nie musiałam akurat dodatkowo siedzieć w ogródku i grzebać w ziemi.

Przeniosłam w swoim życiu już tyle konewek z wodą, że chyba będę mogła niebawem konkurować z Arnoldem Schwarzeneggerem w zawodach kulturystycznych.

– Nic się nie zmieniałaś – stwierdził.

Ślepy chyba, skoro nie zauważył włosów.

– Nadal masz w sobie ogień, który tak mnie pociąga.

Aaa, no tak. Miał na myśli moje wnętrze. Ach, ta Noc Kupały, człowiekowi same kosmate myśli przychodzą do głowy.

– To świetnie, że ciągle ci się podobam. Niemniej jednak wciąż nie usłyszałam, dlaczego pojawiłeś się akurat teraz.

– Mam dla ciebie zadanie.

– Zamieniam się w słuch.

– Nie teraz.

Ledwie powstrzymałam się przed warknięciem. To po jaką cholere truje mi tyłek?

– A kiedy? – zapytałam najbardziej uprzejmym tonem, na jaki było mnie obecnie stać.

– Wtedy, kiedy uznasz za stosowne, Jago.

Jego głos delikatnie stwardniał, ale bóg nadal przyglądał mi się z rozbawieniem.

– Chyba nawet trochę tęskniłem za tą twoją butą – stwierdził.

– Miło mi.

– Za ironią niekoniecznie.

– Mniej mi miło.

Zaśmiał się w głos.

– Oj, Jago, Jago, moja strażniczko. Powiedz, a może dałabyś się skusić na kolejny znak ognia?

Moja dłoń mimowolnie powędrowała do karku, gdzie tuż pod włosami znajdował się jego ostatni znak.

– Nie, dziękuję ci, Swaróżyco. Myślę, że dwa mi wystarczą.

– Jeszcze zmienisz zdanie – zawyrokował.

– Czyli wpadłeś tylko na towarzyską pogawędkę? – upewniłam się, nie reagując na zaczepkę.

– Można tak to ująć.

Dobrze wiedziałam, że cała ta rozmowa, na pozór pozbawiona sensu, to test. Sprawdzał, czy nadal jestem mu wierna.

A czy byłam? Ciężko powiedzieć. Długo go tu nie było. Oczywiście wcześniej go nie okłamałam. Nie modliłam się do żadnego boga o łaskę. Chyba więc można uznać, że byłam wszystkim tak samo niewierna.

– Czuję, że powoli rośniesz w siłę – powiedział. – Korzystałaś z Welesowej księgi?

– Przecież wiesz, że ją ukryłam.

– Wiem też, że wcześniej bardzo dokładnie ją przestudiowałam.

To prawda. Miałam obecnie w zanadrzu kilka ciekawych zaklęć, uroków i rytuałów. Być może kiedyś je wykorzystam. Nie zamierzałam jednak mówić tego głośno.

– Nie zaprzeczę – odparłam.

– Powiedz mi, Jago, umiałabyś przeprowadzić wszystkie obrządki?

Zaskoczył mnie. Nawet się nad tym nie zastanawiałam. Niektóre z przepisów były dziwne, inne bardzo kontrowersyjne, jeszcze inne wzbudzały we mnie obrzydzenie lub moralny wstręt. Nie patrzyłam na nie jednak pod kątem własnych możliwości, tylko raczej ewentualnej potrzeby wykonania.

– Myślę, że bym umiała, ale niekoniecznie bym chciała – odpowiedziałam ostrożnie. –

Poza tym do niektórych potrzeba dziwnych składników. Nie wiem, skąd je wziąć.

– Tak, tak. – Pokiwał głową. – Niektóre rosną tylko na Welesowych Polach.

Uniosłam brwi. Chyba nie wyobrażał sobie, że wleżę do Nawii, żeby zrywać koniczynę rosnącą dookoła tronu boga zaświatów, Welesa. Już widzę minę pana podziemi, jakbym

tam wparowała wesoło z koszyczkiem i srebrnym sierpem. Aż mi dreszcz przebiegł po plecach. Przecież to oczywiste, że Weles w jednej chwili zabiłby mnie za taką bezczelność.

Swarożyc uśmiechał się zachęcająco spod rudej brody. Cholera, chyba naprawdę sobie to wyobrażał.

– Słuchaj, ja myślę, że musimy sobie jasno określić granice naszej współpracy – powiedziałam kategorycznym tonem.

– Twoja dola jest dla mnie niejasna, ale na pewno bardzo interesująca. Nie myśl sobie jednak, że możesz mi dyktować jakiegokolwiek warunki. Poza tym jesteś moją służą. Nosisz dwa moje piętna.

Najpierw się zestresowałam, a potem zirytowałam. Jak mnie namawiał do ognistych pocałunków, to nie używał nazwy „piętno”, tylko znak albo romantyczny „pocałunek”. Pieprzony oszust.

– Czuję, jak narasta w tobie ogień – powiedział.

Bóg czy nie bóg, ale jeszcze chwila i oberwie w ten pusty łeb moją żeliwną patelnią.

– Na razie bywaj, Jago. Odwiedzę cię niedługo.

Jego sylwetka zaczęła się zacierać, aż całe ciało boga rozwiało się niczym dym i zniknęło gdzieś pod powałą.

Zagryzłam zęby. Nie zgodzę się na kolejne jego piętno. Po moim trupie!



Miałam na sobie falbaniastą spódnicę w kwiaty i pomarańczowy top na ramiączkach. Na stopy wsunęłam sandaalki na koturnach. Mój loczkowany kołtun zostawiłam rozpuszczony. I tak nie potrafiła okiełznać go żadna frotka ani wstążka. Wieczorem zamierzałam wybrać się nad moje jezioro i zażyć kąpeli. Może wtedy zdołam trochę rozczesać włosy i nadać im jakikolwiek kształt inny niż kula.

Klientce, która siedziała naprzeciwko mnie przy stole, chyba nie podobał się mój wygląd. Oczywiście wiem, jak powinna wyglądać szeptucha. Powinna mieć na sobie niemodną spódnicę zniekształcającą biodra, obowiązkowo sięgającą do połowy łydki, a także białą bluzkę zapiętą małymi guzikami pod samą szyję i obowiązkowo kolorową chustkę zawiązaną na zgrabnym koczku.

Wiedziałam o tym wszystkim doskonale, ale nic mnie to teraz nie obchodziło.

Ja wiem, że babcia Radomiła, gdyby nie to, że została skremowana, pewnie przewracałaby się właśnie w grobie. Ale, na litość wszystkich bogów, miałam dwadzieścia dziewięć lat i zamierzałam wyglądać dobrze. Jeszcze przyjdzie czas na staroświeckie szeptuchowanie, kiedy sama będę stara.

Poza tym jeśli ludziom nie podobał się mój wygląd, to mogli wybrać się do Baby Mirki, która przyjmuje w Hucie Nowej i Szklanej. Mirosława jeszcze bardziej ode mnie lubiła głębokie dekolty, pomalowane paznokcie i ostry makijaż. Zobaczymy, jak szybko zszokowane babcie wrócą w moje skromne progi.

Bezkompromisowość Mirki bardzo mi imponowała. Ta dziewczyna niczym się nie przejmowała. Po prostu była sobą. Kiedyś mi powiedziała, że stara się żyć tak, żeby niczego nie żałować. Ja tak nie umiałam. Zawsze z tyłu głowy odzywał się oschły głos mojej wiecznie narzekającej matki albo zawiedzione cmokanie babci, którą bardzo ceniłam.

Nie mówię, że nie popełniałam błędów, bo było wręcz przeciwnie. Z tym że w przeciwieństwie do Mirki niemal zawsze było mi potem głupio i miałam wyrzuty sumienia.

Modnych ubrań jednak nie zamierzałam żałować. Tak długo przecież o nich marzyłam. A marzenia trzeba spełniać.

– W czym mogę pomóc? – zapytałam klientki.

Starsza pani, jedna z głównych działaczek okolicznego kółka gospodyń wiejskich, lypnęła na mnie. Była wyraźnie niezadowolona. Miałam ochotę uderzyć się dłonią w czoło. Znowu zapomniałam, że lepiej jest mówić gwarą. Nie przepadałam za tym. Ciągłe myślenie formy gramatyczne, często musiałam zmyślać na bieżąco końcówki. Babcia nawet dla mnie nie zawsze mówiła zrozumiale. Wiem, że autentyczność, że tradycje, no ale strasznie tego nie lubiłam.

Poza tym ktoś może nie zrozumieć moich zaleceń.

– A co to dolega? – zapytałam ponownie, nie korzystając z gwary, ale starając się zabrzmieć bardziej swojsko.

Starsza pani uśmiechnęła się delikatnie, a część jej zmarszczek się wygładziła. Chyba trochę ją ugłaskałam.

– A bo ja tak śmirci się ostatnio boję. Czuję dech na piersi Welesowy – powiedziała kobiecina i pokiwała głową do własnych myśli.

Nie zabrzmiało to zbyt pozytywnie.

– Boli gdzie?

– Nie.

– Niedomaga co?

– Nie.

– Myśli uciekają same?

– Nie.

– To co się dzieje?

– A lękno mi jakoś.

Tym razem ja pokiwałam głową w zamyśleniu. Moja klientka wyglądała, jakby miała już co najmniej osiemdziesiątkę na karku. Chociaż ciężko powiedzieć. Jej twarz była zmęczona pracą na świeżym powietrzu. Równie dobrze kobieta mogła być młodsza.

– Od kiedy ten lęk? – dopytałam.

– Odkąd pochowałam my somsiadkę. Młodsza łode mnie o pięć wiosen, a już spalona.

Jak przez mgłę przypominałam sobie, że faktycznie dwa tygodnie temu był pogrzeb. Ostatnio Mszczuj wołał mnie za każdym razem na cmentarz, żebym wrzuciła jakieś wonne ziło do grobu albo w płonący stos pogrzebowy. Sensu żadnego to nie miało, ale działało na wyobraźnię naszych owieczek.

– No dobrze. – Po raz kolejny pokiwałam ze zrozumieniem głową. Już chyba wiedziałam, o co chodzi. – Zaradzimy.

Kobiecina wreszcie się rozluźniła. Patrzyła, jak szukam w kredensie potrzebnych składników. Wzięłam metalową miarkę, dwie papierowe torby i odsypałam jej ziaren. Na jednej z toreb narysowałam duży X.

– Jest rozwiązanie – powiedziałam, stawiając przed nią torby.

Pochyliła się do przodu i nadstawiła ucha.

– Który człowiek zgryzie dwie ziarnce gorczyce, a dwie ziarnce pieprzu na czczo, tedy onego dnia nie trzeba mu bać się nagłej śmierci – wyrecytowałam urok z zeszytu babci Radomiły. – Gorczyca tu, gdzie krzyżyk, żeby się nie pomyliło.

Klientka najpierw się skrzywiła, ale potem pokiwała głową.

– Baba Radomiła podobnie kiedyś doradziła – wyznała niechętnie.

No proszę, czyli to nie jest nowa przypadłość. Być może pogrzeb koleżanki nasilił lęki, ale na pewno nie pojawiły się nagle. Nie miałam zielonego pojęcia, czy jedzenie gorczycy i pieprzu w czymkolwiek pomoże, ale na pewno jej nie zaszkodzi i co najważniejsze, da jej zajęcie i pewność, że się leczy.

Zadowolona klientka zapłaciła i wyszła, a ja nie zdążyłam nawet się przeciągnąć, bo do mojej chaty wpadła kolejna niewiasta. Cała była zziębnięta i zapocona, jakby większość drogi do mnie pokonała biegiem. Zatrzasnęła drzwi i oparła się o nie ciężko. Minęła chwila, zanim zdołała złapać oddech.

Proszę, proszę. Na dodatek nie była zapisana. To musiało być coś bardzo ważnego! Wyprostowałam się i zrobiłam profesjonalną minę.

– Co się stało? – zapytałam.

– Pomocy, szeptucho kochana! – zaczęła zawodzić. – Niestety! Oj, jakie nieszczęście!

Poczułam ekscytację! Może komu nogę urwało? Albo źmija ugryzła? No krew na pewno się leje. Tak bardzo czekałam na trochę akcji. Pierwsza połowa lipca wynudziła mnie okrutnie.

– Dokąd idziemy?! – wykrzyknęłam, zrywając się na równe nogi. – Co zabrac? Antytoksyny jakies? Bandaże? Opatrunki?!



Wyobraźnia podpowiadała mi kolejne obrazy, każdy bardziej makabryczny od poprzedniego. Nie mogłam przy tym powstrzymać uśmiechu, który pojawił się na moich ustach.

– A może jaki upir z lasu wychynał? – zapytałam, już całkiem nie kryjąc radości.

Kobieta zamrugała zaskoczona.

– Ale nie trza nigdzie iść. Ja przyszłam – odparła.

Mój uśmiech odrobinę się zmniejszył.

– Jaki upir? Jaka antytoksyna? Komuś coś się stało? – złękła się kobieta.

Zlustrowałam ją wzrokiem. Nie niosła w ręku urwanej nogi. Nawet nie utykała. Wyglądała jak okaz zdrowia. Mój dobry humor powoli zaczął się ulatniać. I tyle z ekscytującego dnia.

– Nu coś się stało, bo pani przyszła – burknęłam pod nosem. – To co takiego nagłego się stało?

Nadal wyglądała na lekko zdezorientowaną, ale chyba uznała, że szeptuchy mają różne swoje dziwactwa, bo usiadła naprzeciwko mnie, na krześle dla klientów, założyła nogę na nogę i westchnęła płacziwie.

– Skończyłam ja cykiem karmić mojego małego – oświadczyła takim tonem, jakby miało mi to wszystko wyjaśnić.

Jako że nadal wpatrywałam się w nią nader bezrozumnie, złapała za bluzkę i bezceremonialnie uniosła ją do góry, pokazując piersi, na których nie miała stanika. Lekko zaskoczona zawiesiłam na nich wzrok, a potem uniosłam brwi.

– No i sama szeptucha popatry – rozkazała. – Tragedia.

Pochyliłam się do przodu, żeby dokładniej się przyjrzeć, bo najwyraźniej coś mi umykało. Nie widziałam żadnego zaczerwienienia, wycieku z brodawek, asymetrii. Piersi nie były może jakieś szczególnie piękne, ale ogólnie to cycki jak cycki. Widywało się brzydsze.

– Zastój się zrobił? – zapytałam. – Boli gdzieś?

Podejrzewałam, że to o to chodzi. Czasem jak się przestanie karmić, to mleko nadal jest wytwarzane i ma się problem, kiedy mały ssak już go nie chce.

– Jaki tam zastój, nic już nie leci – zachnęła się.

– Guza pani wyczuła?

Już sięgałam, żeby ją pomacać.

– Jakiego guza?! Inna tragedia. No przecie widać na pierwszy rzut oka.

Ja to chyba ślepa byłam, bo jak bogów kocham, widziałam tylko i wyłącznie cycki. Lekko zwisłe, ale co poradzić. Wiek i macierzyństwo robią swoje.

– No flaki się takie zrobiły, że ja w to lato w kostiumie kąpielowym to będę wyglądać jak krowa – wyjaśniła w końcu, kiedy nie doczekała się z mojej strony zrozumienia. – Poradzi mi co szeptucha.

Lęki o przyszłość, obwisłe cycki – oto moja rzeczywistość. Aż zatęskniłam przez chwilę za Swarozycem i jego intrygami.

– Trzeba będzie ziołami piersi obkładać – powiedziałam z westchnieniem. – Ale to wcale nie wróci piersi sprzed ciąży. One się zmieniają tam w środku, poza tym skóra się rozciąga. Taka już nasza kobieca uroda.

– Gówno, a nie uroda – burknęła. – Chcę moje cycki.

– Można spróbować schudnąć i zacząć ćwiczenia mięśni klatki piersiowej, żeby napiąć...

– Jeszcze czego – przerwała mi.

Na końcu języka miałam, że gdyby chodziła w staniku, to może by tak nie obwisły. Zamknęłam na chwilę oczy i powtórzyłam sobie jak mantrę, że trzeba być miłym dla klientów, bo nie przyjdą drugi raz.

– Zaraz przygotuję odpowiednią mieszankę – powiedziałam zrezygnowana. – Zaznaczam jednak, że na pewno nie wrócą do kształtu sprzed ciąży. Będą wyglądać lepiej, ale

cudotwórczynią ani chirurgiem nie jestem.

– Dobrze, dobrze – zgodziła się ochoczo.

Sięgnęłam do mojego kredensu. Znalazłam szybko susz z odpowiednich ziół: karolka, czyli kminu polnego, do tego dodatek kminu kramnego, czyli kupnego, podróżnik, czyli cykorię, oraz przywrotnik. Zmieszałam je w odpowiednich proporcjach i zmieliłam w dużym kamiennym młynku. Całość przesyłam do papierowej torby.

– Na wieczór codziennie okładać piersi pod stanik. Piersi staną się mocne, krzepkie i skromniejsze – wyrecytowałam na koniec.

– Skromniejsze...?

– No już nie będą zwisać do pępka, a to chyba dobrze?

– A, no dobrze – zgodziła się skwapliwie.

– Tylko pod stanik! – zaznaczyłam. – Od dzisiaj obowiązkowo nakazuję chodzenie w biustonoszu.

– No dobrze, dobrze. To se kupię jakiś – prychnęła i poprawiła tapir na głowie.

Tak, tapir. Tak się skupiłam na biuście, że nie zauważyłam, że jej trwała ondulacja zajmowała nawet więcej przestrzeni od mojej. To już coś. Poczulałam się trochę lepiej.

Nagle drzwi mojej chaty się zatrzęsły, gdy ktoś energicznie w nie zapukał. Dostatek klientów dzisiaj! Ciekawe, co będzie następne. Zwiśla kuśka...?

– Czy można? – usłyszałam zza drzwi tubalny głos.

– Chwileczkę! – odkrzyknęłam.

– To ja zapłacę – powiedziała szybko klientka. – Może to teraz ktoś przyszedł po antytoksynę.

Szczerze w to wątpiłam, ale nie zaprotestowałam. Przynajmniej włożyła z powrotem bluzkę. Zabrała torbę i wyszła, a obok niej przecisnęło się do środka dwóch policjantów oraz Mszczuj. Kapłan był zdenerwowany i podejrzanie bladej. Królewskich funkcjonariuszy prawa kojarzyłam z widzenia. Mieli posterunek między Bielinami a Kakoninem. Kilka razy musiałam z nimi współpracować, zwłaszcza na początku swojej kariery szeptuchy.

Jednak jeszcze nigdy nie przyjechali do mojej chaty. Uśmiechnęłam się. Wreszcie! Wreszcie działo się coś ciekawego!

– Babo Jago, witajcie. Nazywam się Sambor Marchewka, to aspirant Domagaj Kowalewski – odezwał się wyższy i bardziej barczysty policjant. – Musisz pojechać z nami na komendę.

– W czymś trzeba tam pomóc? – zdziwiłam się.

– Musisz pojechać z nami złożyć zeznania.

– Zeznania? – Zmarszczyłam groźnie brwi, bo jakoś nie zachwyciła mnie ta perspektywa. – Jakie zeznania?

Policjant o tubalnym głosie miał niemalże dwa metry wzrostu, a ramiona o wiele grubsze od moich ud. Mimo to cofnął się delikatnie, przez co zdeptał i praktycznie staranował kryjącego się za jego plecami Mszczuja.

– Jestem o coś oskarżona? – zapytałam powoli.

Sambor Marchewka skrzywił się delikatnie.

– Nie – odparł szybko. – Na razie nie.

– Na razie? – wycedziłam.

Wstałam, a on znowu się cofnął. Jeszcze chwila i Mszczuj zostanie zmiażdżony.

– Zostały znalezione zwłoki jednej z twoich pacjentek, pani Ludomiły Gałązki. Istnieje podejrzenie, że ty widziałaś ją żywą jako ostatnia – powiedział drugi z policjantów, znacznie mniejszy. Chociaż może sprawiał takie wrażenie przez kontrast z tym wysokim.

Zachciało mi się ekscytujących przygód... to je mam. Kto by pomyślał, że moje życzenie spełni się tak szybko.

– Musimy też zabezpieczyć jako materiał dowodowy specyfik, który jej ostatnio podałaś.

Aspirant Kowalewski potoczył wzrokiem po wnętrzu mojej chaty. Niespiesznie ruszył w stronę kredensu. Zastąpiłam mu drogę. Nie będzie grzebał w moich rzeczach!

– A nakaz macie? – zapytałam, bo kojarzyłam z filmów w kinie, że chyba coś takiego powinni ze sobą przynieść.

Policjantowi zrzedła mina. Natychmiast się zatrzymał, a zgromiony moim pełnym pogardy spojrzeniem schował się za wyższego kolegę. Odetchnęłam, żeby się uspokoić. Rozumiałam, że wykonują swoją pracę. Pewnie na ich miejscu zachowywałabym się jak podobnie.

Ale jednak nie byłam na ich miejscu, więc mogłam zachowywać się jak pełna podejrzeń, złośliwa szeptucha.

– Liczyliśmy na współpracę z twojej strony – powiedział Sambor Marchewka, który już mniej się mnie bał. – Naprawdę docenimy twoją dobrą wolę.

Przez chwilę się zastanawiałam, czy powinnam współpracować. Nie miałam nic do ukrycia, więc wydało mi się to rozsądne. Im szybciej się upewnią, że nie mam z tym zdarzeniem nic wspólnego, tym szybciej dadzą mi święty spokój.

– Macie szczęście, że mam dobry humor – burknęłam tonem, który sugerował coś zupełnie innego.

Zajrzałam do kredensu. Na dnie wysokiej butelki zostało trochę specyfiku, który przygotowałam Ludomile. Oceniałam go szybko wzrokiem.

Mało. Niedobrze.

Wzięłam pusty flakonik i przeszłam do stołu.

– Muszę sobie trochę odlać – oświadczyłam. – Chciałam sprawdzić, kiedy mikstura zmieni kolor i... – Spojrzałam na nich ostro. – W zasadzie to nie muszę wam się tłumaczyć. Dzięki mojej dobrej woli dam wam próbkę za darmo, żeby pomóc śledztwu. Ale nie zamierzam wam oddać wszystkiego.

Stróże prawa gorliwie pokiwali głowami.

– Dziękujemy, Babo Jago – powiedział odważniejszy. – Naprawdę doceniamy współpracę.

Po chwili podałam mu butelkę. Dla siebie zostawiłam flakonik zatykany korkiem, do którego odlałam centymetr zielonego, intensywnie pachnącego płynu. Aż mnie zakręciło w nosie, kiedy go poczułam.

– Teraz chcielibyśmy, żebyś pojechała z nami.

– A jeśli nie pojedę? – zapytałam.

– To wtedy przyjdziemy z nakazem.

Wyobraziłam sobie, jak wyprowadzają mnie w kajdankach, a cała wieś patrzy. Mało kusząca perspektywa.

– Rozumiem. Jako że mam dzisiaj dobry humor, to z wami pójdę – warknęłam, teraz już wściekła do granic możliwości.



– Nie mogę w to uwierzyć! – krzyknęłam. – Mają czelność podejrzewać, że mogłam mieć jakikolwiek związek z tą śmiercią?! Ja?! JA?!

– Nie wiem, Jagusiu, wydaje mi się, że muszą sprawdzić wszystkie możliwości. Na tym przecież polega ich praca – powiedział dość niepewnym tonem Mszczuj.

Spojrzałam na drzwi komisariatu i splunęłam na ziemię. Nie było to eleganckie, nie było też potrzebne, ale odczułam niemałą satysfakcję, kiedy franka w jednym z okien zafalowała, gdy ktoś schował się przed rzekomym urokiem.

Naprawdę bardzo wytrącili mnie z równowagi. Mszczuj nie został wpuszczony do pokoju przesłuchań. Byłam tam tylko ja i dwóch policjantów. Czułam się podczas tej rozmowy jak najgorsza przestępczyni. Bombardowali mnie pytaniami, często według mnie całkowicie pozbawionymi logiki, a ja w tym zamieszaniu i stresie nie wiedziałam, co mam im odpowiadać.

Nie lubię nie wiedzieć, co mam mówić. Poza tym nie wiem, czy nie strzeliłam jakiejś gafy. Co, jeżeli wydałam im się podejrzana i teraz się ode mnie nie odczepią?

– Badania toksykologiczne – wycedziłam. – Rozumiesz, co to znaczy? Oni myślą, że to ja ją otrulałam. Sądziłam, że chcą tylko wykluczyć ewentualne zatrucie, a z całej rozmowy wynikało, jakby już byli pewni, że to moja wina. Moja wina!

Wykonał niepewny ruch, jakby chciał poklepać mnie po rękę, ale zmienił zamiar. Chyba bał się, całkiem słusznie zresztą, że pod wpływem złości mogłabym mu tę rękę odgryźć.

– No wiesz, wiedzieli, że dałaś jej jeden ze swoich specyfików, którym miała się natrzeć. Poza tym znaleźli przy niej nieoznakowaną buteleczkę z resztką płynu. A większość mieszkających w okolicy osób wie, że swoje specyfiki sprzedajesz właśnie w takich butelkach. Na ciele nie było żadnych wyraźnych obrażeń... – paplał, w swoim mniemaniu uspokajająco.

Zalała mnie kolejna fala wściekłości. Jak on mógł trzymać ich stronę?

– To o niczym nie świadczy! – obruszyłam się.

– Tak jakby może sugerować, ale ja oczywiście nic nie sugeruję. Jestem jak najdalszy od sugerowania czeokolwiek. Jago, przecież dobrze wiesz, że zawsze będę po twojej stronie – wyrzucał z siebie słowa niczym karabin maszynowy. – Poza tym robią jeszcze sekcje. Jestem przekonany, że sekcja zwłok oczyści cię z podejrzeń. Na pewno okaże się, że umarła na zawał albo miała udar, albo... albo... albo... sam nie wiem co, ale na pewno coś miała.

– Ludomiła miała trzydzieści trzy lata – wycedziłam. – W tym wieku raczej nie umiera się na zawał czy udar.

Wyglądał, jakby uszło z niego całe powietrze. Nagle uśmiechnął się szeroko.

– „Raczej”! Użyłaś słowa „raczej”, czyli teoretycznie może się to zdarzyć – zauważył radośnie.

Przewróciłam oczami. Oczywiście, że mogło się to zdarzyć. Ryzyko nie było jednak duże. Znacznie bardziej prawdopodobne było to, że otrulałam Ludomiłę.

– Czemu w zasadzie tu jesteś? – przerwałam mu napastliwym tonem, żeby odegnać od siebie myśli o truciznach. – Po co zabrali cię ze sobą do mojej chaty?

– Miałem pełnić funkcję rozjemcy, gdyby zaszła taka potrzeba – powiedział.

Uniosłam brwi. Z jednej strony byłam zirytowana tą informacją, ale z drugiej – bardzo mi pochlebilo, że bali się mnie na tyle, że postanowili zabrać jakąś obstawę. To znaczyło, że zaczynałam być naprawdę sławna w okolicy. W ten właściwy, przerażający sposób, który cechuje każdą szanującą się szeptuchę.

– I ty niby miałbyś mnie powstrzymać przed czymkolwiek? – wyrwało mi się.

Mszczuj zatchnął się powietrzem.

– Wiem, że uważasz mnie za słabeusza. Może nie mam mięśni jak tamten planetnik, ale na pewno nie jestem głupi – odparł z godnością, aczkolwiek na wspomnienie o planetniku głos lekko mu zadrzżał.

Zdziwiłam się. Myślałam, że nie zorientował się wtedy, że coś mogło mnie łączyć z planetnikiem. Nie sprawiał takiego wrażenia. Kto by pomyślał, że dobroliwy Mszczuj jednak umie kombinować? A może to ja wcale nie kryłam się z tym, że miałam kochankę?

Poza tym minęło już kilka lat, a on wciąż go pamiętał? Bogowie mi świadkami, że jego śmierć mną wstrząsnęła, ale szczerze mówiąc, to nawet już nie pamiętałam, jak miał na imię. Takie niestety jest życie. Ciągłe ktoś umiera. A już zwłaszcza narażone były na to osoby, na które swoją uwagę skierowały bóstwa. Równie dobrze to ja mogłam być następną.

– Mszczuju, to nie o to... – zaczęłam, ale mi przerwał.

– Nieważne, nieważne. Lepiej już pójdę.

Jak powiedział, tak zrobił. Odwrócił się na pięcie, wszedł do swojego auta i mnie zostawił. Tak po prostu.

Brawa dla mnie. Patrzałam zrezygnowana, jak oddała się w tumanie kurzu. Kiedy zniknął mi z oczu, powoli ruszyłam poboczem w stronę Bielin.

Całą drogę roztrząsałam, co się właściwie mogło stać. Policjanci nie chcieli mi wiele powiedzieć, zresztą chyba jeszcze zbyt dużo nie wiedzieli.

Zdołałam z nich wyciągnąć tylko tyle, że pani Ludomiła została znaleziona martwa we własnym domu. Jej matka, zaniepokojona tym, że córka ciągle nie wstaje z łóżka, zajrzała do niej około południa i znalazła ją bez życia w schludnie ułożonej pościeli. Kobieta miała na sobie ubranie oraz buty, w których wyszła wieczorem z domu. Nawet nie przebrała się w piżamę. Po powrocie po prostu padła na łóżko i tak już została.

Kiedy wróciłam do swojej chaty, było już późno. Ja jednak w ogóle nie odczuwałam zmęczenia.

Rzuciłam się w stronę kredensu, żeby przyjrzeć się flakonikowi z ciemnozieloną zawartością. Większość mikstury przyrządzonej między innymi z zebranego nasięźrzału przelałam Ludomile, żeby mogła natrzeć nią całe ciało. Sobie zostawiłam tylko resztkę, żeby wiedzieć, jak z czasem ewoluuje zawiesina. Chciałam sprawdzić, czy się nie przebarwi albo nie zacznie na przykład śmierzdzieć. Wtedy wiedziałabym, czy w przyszłości, trzeba ją przyrządzić inaczej albo po prostu nastawić się na krótki czas przydatności do użycia. Cholera, mogłam nie oddawać policji aż tyle i zostawić sobie większą ilość.

Zdjęłam korek i powąchałam specyfik. Nie wiem, czego się spodziewałam. Kilka dni temu oddałam go klientce. Tak szybko by się nie zepsuł. Pachniał tak, jak zapamiętałam.

Nie mogłam pozbyć się wyrzutów sumienia. A co, jeśli faktycznie ją zabiłam? Nasięźrzał nie jest przecież trujący. Ona miała się nim tylko natrzeć. Dodałam do niego co prawda jeszcze kilka innych ziół, ale żadne z nich nie było trujące. Całość zawieszona była w oleju i miodzie.

Zastygłam. A co, jeśli była uczulona na miód? Poczulałam, że ziemia usuwa mi się spod nóg. Jeśli była uczulona na miód i było to silne uczulenie, to spokojnie mogła umrzeć po natarciu nim całego ciała!

Zabiłam ją. Zabrałam jej życie.

Już nie będę szeptuchą. Zamkną mnie w więzieniu.

Nagle oprzytomniałam. Nie, nie miała uczulenia na miód. Kilka razy podczas różnych wizyt piła u mnie herbatę z miodem! Nie padła wtedy martwa, to i natarcie się miodem nie mogło zrobić jej krzywdy.

Zalała mnie tak wielka fala ulgi, że aż musiałam usiąść. Zakorkowałam buteleczkę i postawiłam ją na stole. Sama opadłam z westchnieniem na krzesło.

No dobrze, to wyeliminowałam uczulenie na miód. Wciąż jednak w moim specyfiku było kilka składników, które teoretycznie mogły spowodować niepożądaną reakcję. W obecnych czasach chyba można było mieć uczulenie na wszystko. Aż strach pomyśleć, co będzie za jakieś czterdzieści lat.

Muszę dowiedzieć się, co się stało.



Policja więcej mnie nie nachodziła, klienci dopisywali, nikt o nic mnie nie oskarżał, Swarżyc nie pokazał się więcej. Wydawało się, że życie wróciło do normy przypominającej sielankę. Ja jednak nie potrafiłam myśleć o niczym innym, tylko o śmierci Ludomiły. Tkwiło to w mojej świadomości jak kolec.

W końcu odważyłam się odwiedzić dom rodzinny byłej klientki. Przygotowałam się mentalnie na atak, wyzwiska i mnóstwo nienawiści. Pukając do drzwi, spięłam się cała w sobie, gotowa nawet na fizyczny atak.

Nic takiego jednak nie miało miejsca. Matka Ludomiły, cała odziana w czerni, przywitała mnie spokojnie. Wydawała się smutna, ale nie zrozpaczona. Zaprosiła mnie do środka i postawiła przede mną filiżankę herbaty.

– Jak się pani czuje? – zapytałam, kiedy usiadła naprzeciwko.

Dla siebie nie przygotowała herbaty, co oczywiście wydało mi się wielce podejrzane. Powąchałam dyskretnie napar, ale nie wyczułam niczego, co mogłoby sugerować, że jej zachowanie to tylko przykrywką, bo tak naprawdę chce mnie w odwecie zabić. Zdawałam sobie sprawę z tego, że przychodzą mi do głowy same paranoiczne myśli, ale nawet nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak czuje się ktoś, kto stracił dziecko. Starłam się więc przygotować na każdą ewentualność.

Nawet na próbę morderstwa osoby teoretycznie podejrzanej, czyli mnie.

– Droga szeptucho, jesteś bardzo miła – powiedziała kobieta.

Jej twarz pobrużdżona była głębokimi zmarszczkami. Białe włosy związała w kok, z którego wypadały jej pojedyncze pasma. Miała zgarbione plecy i utykała podczas poruszania się. Znałam ją. Była u mnie kilka razy po specyfiki na ból biodra. Wydawała mi się zawsze bardzo pogodna. Teraz zniknął jej dobry humor, ale też nie wyglądała na pogrążoną w rozpacz.

Westchnęła ciężko i uśmiechnęła się do mnie nieznacznie. Patrząc w jej oczy, poczułam się nagle bardzo, ale to bardzo młodo.

– Mam czwórkę dzieci – powiedziała kobieta. – Ludzia była moją najmłodszą. Nie planowaliśmy więcej dzieciaków, ja to nawet myślałam, że już nie mogę, a tu pojawiła się Ludzia. Skaranie bogów z nią było. Żadne z moich poprzednich dzieciaków tak się nie zachowywało, albo to i my w tym wieku nie mieliśmy już siły, żeby ją utemperować. Była dorosła, a nadal z nami mieszkała. To jeszcze nie byłoby dla nas żadnym problemem. Tylko że ona do niczego nie dążyła, niczego nie planowała. Żyła z dnia na dzień. Musieliśmyłożyć na jej utrzymanie, bo do pracy się nie garnęła. Nawet w obejściu pomagać za bardzo nie chciała.

Pokiwałam głową, bo chyba takiej reakcji ode mnie w tej chwili oczekiwała.

– A my przecież już dawno na emeryturze, siły nie ma, żeby pracować – kontynuowała. – Skąd na to brać? Na jej ubrania? Jedzenie? Nasze starsze dzieciaki dawno wyjechały na swoje, muszą dbać o rodziny, ciężko pracują, też się im nie przelewa. Wszyscy pracują na roli. Dwóch naszych synów założyło wspólny interes. Mają olbrzymie sady, tu niedaleko.

Soki produkują – pochwaliła się. – A starsza córka z mężem prowadzi farmę kurek. Ta to ma dopiero głowę do interesów.

Poczułam się nieswojo. Moja gospodyni zauważyła, że zachowuje się odrobinę niestosownie. Najpierw zlorzezczy na zmarłą, a potem zachwała pozostałe dzieci. Poza tym trochę się pogubiłam. To im się w końcu nie przelewa czy mają dobrze prosperujące firmy? Staruszka zerknęła na mnie niespokojnie.

– Przepraszam cię, Babo Jago. Wiem, że powinnam rwać włosy z głowy z rozpacz. Chciałam ci po prostu wytłumaczyć. – Znowu westchnęła i posłała mi pełen smutku uśmiech. – Ja po prostu nie mam siły. Kochałam Ludzię, ale nawet swoją śmiercią musiała narobić kłopotów. Ja na to wszystko po prostu już za stara jestem. Na wnukach się powinnam skupić, nie na córce, która nie chciała dorosnąć.

– Każdy inaczej przeżywa żalobę – powiedziała wymijająco.

– Tak, tak – zgodziła się skwapliwie, najwyraźniej szczęśliwa, że sama ją tłumaczy.

– Jeszcze raz chciałabym powiedzieć, że jest mi bardzo przykro. – Odstawiłam filiżankę. Postanowiłam, że na wszelki wypadek nie będę jednak z niej pić.

– Takie życie. Akurat padło na nasz ród.

Lekko mnie zmroziło. Ciekawe, czy moja rodzina też by tak zareagowała, gdybym umarła. Nie darzyliśmy się zbyt ciepłymi uczuciami. Śmiało można powiedzieć, że całkowicie ich zawiodłam, kiedy wyjechałam niemalże bez słowa do Bielin. Byłam czarną owcą, która nie podążyła wcześniej wytyczoną ścieżką i nie posłuchała ojca, głowy rodziny. Czy też tylko pokiwaliby smutno głowami, gdybym umarła, a potem spokojnie wróciliby do swojego życia?

Chyba powinnam ich odwiedzić i spróbować ocieplić nasze stosunki.

– Czy mogłabym zobaczyć jej pokój? – poprosiłam.

Starsza pani lekko się zmieszala, ale chwilę później pokiwiała głową.

– Oczywiście – odparła. – Chociaż nie wiem po co. Policja już w nim była. Zabrali kilka jej rzeczy.

– Może ja zobaczę coś, czego oni nie widzieli – wytłumaczyłam. – Ludomiła była moją pacjentką. Nie wiemy, co jej się stało. Czuję... – ugryzłam się w język. – Chciałabym po prostu kilka rzeczy sprawdzić.

Myślałam, że mnie wyśmieję, ale kiwnęła tylko głową i zgodziła się. Wydawała się zamyślona.

– Masz rację, Babo Jago. Policji należy ufać, ale wierzyć należy bogom i ich wysłannikom – powiedziała. – Ale wątpię, że jakieś nadprzyrodzone moce miały w tym swój udział. Raczej tryb życia naszej Ludzi. Nie szanowała się dziewczyna.

Podniosła się ze stęknieniem i strzelaniem starych kości. Była tak zgarbiona, że mimo lichego wzrostu przewyższałam ją o kilka centymetrów.

– Znalazłam ją w łóżku. Leżała na brzuchu. Twarz miała schowaną w poduszce. Kiedy ją odwróciłam, to lekko się uśmiechała. Umarła szczęśliwa – poinformowała mnie.

Przelknęłam ślinę. Odrobinę przerażające. Staruszka jednak wydawała się w ogóle tym nie przejmować.

– Nie chcę źle mówić o zmarłej, na dodatek mojej córce. Musisz jednak wiedzieć, szeptucho, że ona naprawdę prowadziła rozrywkowy tryb życia. Razem z mężem podejrzewamy, że może wzięła za dużo jakichś tabletek czy proszków. Wiesz, tych złych rzeczy, co to teraz na potańcówkach młodzi kupują.

To w takim razie toksykologdy w zakładzie medycyny sądowej będą mieli czego szukać. Znowu się zmartwiłam. Być może jakiś narkotyk wszedł w reakcję z moimi ziołowymi mieszkankami. A przecież ją ostrzegałam, że jak przyjmuje moje lekarstwa, to żadnych innych ma nie brać. Zezłościłam się.



Gospodyni powolutku, podpierając się laską, ruszyła korytarzem. Pamiętając, że mam zachowywać się jak rasowy detektyw, po raz ostatni zlustrowałam wzrokiem kuchnię. Była pięknie urządzona. Rustykalne elementy, takie jak ciężki drewniany stół i szafki kuchenne, uzupełniono o błyszczący piekarnik i skrzącą się na srebrno lodówkę. Nie było tu pieca kaflowego w przeciwieństwie do większości wiejskich domów.

Miałam nadzieję, że też kiedyś będę mieć taką kuchnię. Taką nowoczesną.

– Idziesz, droga szeptucho? – zawołała do mnie starszuszka, zdając sobie sprawę z tego, że nie ruszyłam jej śladem.

– Idę, idę, zamysliłam się nad kolejami losu – skłamałam.

– No tak, no tak – potwierdziła.

– Wspomniała pani o mężu... – zagaiłam.

– Śpi – odparła szybko. – Wybacz, ale przeżył tę stratę bardziej ode mnie. Nie będzie z tobą rozmawiać.

– No tak, rozumiem.

Jak przez mgłę przypominałam sobie siwiuteńkiego starszuszka, który przywoził czasem matkę Ludomiły do mnie na wizyty. On sam nigdy mnie nie odwiedził. Był typowym przedstawicielem mężczyzn swojego pokolenia. Uważał, że sam sobie poradzi z każdą chorobą. Co ciekawe, często faktycznie tak było. Mężczyźni dożywający jego wieku byli wręcz nie do zdarcia.

Cały dom rodzinny Ludomiły sprawiał miłe i ciepłe wrażenie. Wszędzie było czysto i schludnie. Widać było, że nawet utrzymując córkę, rodzice nieźle sobie radzili. Musieli chyba być całkiem majętni.

Weszliśmy do małego pokoju. Nic specjalnego nie rzuciło mi się w oczy. Był wysprzątnięty, na jednej ze ścian wisiała fototapeta przedstawiająca las. Nic nie wskazywało na charakter jego mieszkanki. Równie dobrze mógł tu mieszkać każdy. Nie zauważyłam żadnych pamiątek.

– Rozejrzyj się, szeptucho. Ja się położę, żeby rozprostować kości. Kiedy będziesz wychodzić, zamknij za sobą drzwi – powiedziała starszuszka.

Miałam wrażenie, że chce stąd uciec. W sumie wcale jej się nie dziwiłam. Przebywanie w tym pokoju musiało być dla niej trudne.

– Pani Gałązka! – Zatrzymałam ją w drzwiach. – Postaram się dowiedzieć, co się stało z pani córką.

Zaśmiała się ponuro. Nie wiem, która z nas była bardziej zaskoczona tym niespodziewanym chichotem.

– Nie zależy mi na tej wiedzy. Już jest z bogami. Może tam znajdzie szczęście, skoro tutaj nie mogła go dostać – odparła z prostotą.

– A, chwileczkę! – zawróciłam ją po raz kolejny.

– Tak...? – Powołał kończyła jej się cierpliwość.

– Poznała pani mężczyznę, w którym Ludomiła była zakochana? – zapytałam. – Kto to był? Może mi pani podać jego nazwisko? Chciałabym z nim porozmawiać.

Wydawało mi się, że to może być dobry trop. Wspomniałam o tym policji, ale nie wydawali się zainteresowani lub tylko takich udawali. Ja jednak czułam pod skórą, że mężczyzna, którego próbowała w sobie rozkochać, był kluczem do rozwiązania zagadki jej przedwczesnej śmierci.

– Mężczyznę? Ludzia zakochana? – zdziwiła się jej matka.

– Ludomiła od kilku miesięcy przychodziła do mnie po specyfiki miłosne. Usiłowała kogoś w sobie rozkochać.

Jej matka pokręciła głową. Wydawała się bardzo zmieszana.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Ludzia nie była typem dziewczyny, która się zakochuje. Wybacz moje zdziwienie, ale to po prostu wydaje mi się niedorzeczne. Mężczyźni pchali się

do niej drzwiami i oknami. A ona ich wpuszczała... – Głos pani Gałązki zgorzkniał. – To dlatego była dla nas takim utrapieniem. Cała wieś z nas się śmiała.

– Och, nie wiedziałam – wybąkałam.

Staruszka pokręciła głową.

– To chyba tylko ty jedna, szeptucho. Chociaż to dobrze o tobie świadczy, że nie słuchasz plotek. – Znowu westchnęła. – Był czas, gdy wytykali nas palcami. Zwłaszcza gdy Ludzia zabierała się za żonatyh z sąsiednich wsi. Tu, w Bielinach, nie zaczepiała zajętych mężczyzn, ale czasem wyjeżdżała na kilka dni do koleżanek w Kielcach. A jakimś cudem plotki wracały potem razem z nią.

Czułam się coraz bardziej niezręcznie. Dodatkowo nie wiedziałam, jak mam zareagować na tę wiedzę. Zupełnie nie tego się spodziewałam.

– A kim była z zawodu, jeśli można spytać?

– Nikim. Ledwie skończyła podstawówkę. Nauka jej nie interesowała. Zajmowały ją jedynie jej włosy, kosmetyki i ubrania. Poza tym nie miała żadnych zainteresowań – powiedziała gorzko.

– Rozumiem...

– Zapewniam cię, że moja Ludzia nie potrzebowałaby specyfików na miłość. To nie była taka dziewczyna. Ludzia brała to, czego chciała. Już od dawna nie miała swojego wianka. Nie szanowała się. Nie żegnaj już się ze mną, szeptucho. Idę się położyć.

Chciałam jeszcze pociągnąć ją za język, ale musiałam uszanować tę zdecydowaną odprawę.

Kiedy zostałam sama, potoczyłam zaciekawionym spojrzeniem po niewielkim wnętrzu. Myśli wirowały w mojej głowie jak szalone. Miałam zupełnie inny obraz Ludomiły. Zawsze przychodziła do mnie skromnie ubrana, prawie zawstydzona. Nawet nie chciała iść sama do lasu, bo przecież jeszcze ktoś by ją zobaczył bez ubrania, kiedy szukałaby nasięźrzału.

Bardzo dobrze udawała. Tylko po co? Najwyraźniej zorientowała się, że nie znam jej reputacji, i postanowiła utrzymać mnie w niewiedzy, podczas każdej wizyty zachowując się jak rasowa aktorka. Gdybym wiedziała, że łamie męskie serca na prawo i lewo, pewnie nie dawałabym jej moich miłosnych specyfików.

One oczywiście nie miały stuprocentowej skuteczności. Od ich faktycznego działania dużo większe znaczenie miało przełamanie wstydu u osoby, która próbowała walczyć o własne szczęście. To dlatego uwielbiałam wszystkie wywary, które należało dodawać do herbaty osoby, u której próbujemy wzbudzić uczucie. Wymagały spotkania niedoszłych kochanków oraz jakiejś interakcji. Święcie wierzyłam, że to rozmowa podczas herbaty działała zdecydowanie mocniej od chociażby naparu z lipy.

Oczywiście nie mówiłam tego moim klientom. Magia musi otaczać wszystko, co robię. Na tym polega moja praca. Nie przekwalifikuję się przecież na psychologa. Nie te zarobki.

Ciekawe, czy to dlatego mężczyźni tak za nią szaleli. Może nie byłam pierwszą szeptuchą, u której kupowała swoje specyfiki? Była ładna, przy mnie nie zachowywała się kokieteryjnie, ale jeśli faktycznie lubiła bawić się w uwodzenie, to na moje oko żadne magiczne sztuczki nie były jej potrzebne.

Zajrzałam do szafy. W środku znalazłam całkiem niezłą kolekcję kusych spódniczek, wydekoltowanych bluzek i obcisłych legginsów. Wszystko wyglądało na nowe. Niektóre ciuchy wciąż miały metki.

Buty w neonowych kolorach, każdy na wysokiej szpilce, stały w równym rzędzie pod łóżkiem.

Wysunęłam najwyższą szufladę z komody. Znalazłam w niej mnóstwo kosmetyków do makijażu, a także słoiczki, które dostała ode mnie. Odkręciłam kilka nakrętek. Mazidła pobudzające skórę przeciwną były używane. Niektóre już się kończyły.

Oprócz moich produktów nie widziałam żadnych, które mogłyby kupić od innej szeptuchy. Chyba że już je powyrzucała. A jeśli nie, to znaczy, że byłam pierwszą szeptuchą, którą odwiedziła w tym celu.

Kogo ona usiłowała uwieść? To musiał być ktoś, kto okazał się odporny na jej zwykłe sztuczki. Tak oporny, że sięgnęła po miłosną magię.

Poczułam złość. Wykorzystała mnie, żeby kogoś zmusić do uczucia, chociaż tłumaczyłam jej, że to tak nie działa. Moje specyfiki mogły tylko pomóc jej rozdmuchać tłącą się iskrę. Nic więcej.

Muszę odnaleźć mężczyznę, którego chciała uwieść.

W zamyśleniu wyszłam z budynku i ruszyłam poboczem wzdłuż głównej szosy biegnącej przez Bieliny. Kiwałam półprzymkniętą głową staruszkom siedzącym na ławeczkach przed domami. Na mój widok przestawali plotkować, ale wznawiali swoje trajkotanie, gdy tylko odchodziłam wystarczająco daleko.

Matka zmarłej nie miała do mnie żalu. To dobrze, nawet bardzo dobrze. Ciekawe, kiedy mieszkańcy Bielin wyciągną niepokojące wnioski z mojej wizyty. Aż dziwne, że jeszcze nikt nie wywęszył, że byłam na posterunku policji. Interes niezłe się kręcił, mogłam nawet odkładać jakieś oszczędności. Dobrze by było, żeby opinii o mnie nie zaszkodziła wieść, że moja pacjentka umarła.

Jak w transie zmierzałam do swojej chaty. Czekają mnie trochę roboty w polu i w ogrodzie. Poza tym postanowiłam wyjąć spod luźnych desek podłogi w chacie pewien zeszyt. To był zeszyt z przepisami babci Radomiły. Dopisałam do niego kilka bardzo mocnych uroków, które znalazłam w... powiedzmy unieszkodliwionej Welesowej księdze. Wydawało mi się, że przepisałam zaklęcie pomagające lokalizować ludzi.

Nie byłam tylko pewna, czy mogę kogoś zlokalizować, jeśli nie znam jego personaliów.

A może powinnam poszukać znajomych Ludomiły i ich przepytac? Przecież musiały mieć jakieś koleżanki, którym się zwierzała. Na przykład tę dziewczynę z Kielc. Będę musiała jeszcze raz odwiedzić panią Gałązkę i wziąć namiary na tę kobietę.

Chociaż w sumie Ludomiła nie musiała mieć bliskich koleżanek, którym się zwierzała. Ja oprócz Mirki, szeptuchy z Huty Szklanej, z którą ostatnio widywałam się bardzo okazynie, nie miałam żadnych bliskich znajomych. Lubiłam Bronkę ze spożywczaka, ale była moją pacjentką. Nie chciałam zmieniać charakteru naszej relacji.

Tknęło mnie, że tak bardzo poświęcałam się w ostatnich latach pracy, że faktycznie nie miałam żadnych bliskich przyjaciół. Nie miałam dla nikogo czasu, a przez ciągłe zmęczenie nie odczuwałam nawet potrzeby, żeby się z kimś towarzysko spotykać.

Czy to źle o mnie świadczyło? Że nikogo nie lubię?

A może raczej to mnie nikt nie lubił?

W sumie to jedna osoba mnie lubiła. A na pewno lubiła jeszcze do wczoraj...

Ja to naprawdę umiem wszystko popsuć.

– Jaga! – usłyszałam wołanie.

Odwrociłam się do biegnącego w moją stronę Mszczuja. Jego kasztanowe loki zabawnie się mąjały, kiedy na swoich patykowatych nogach przeskakiwał przez dziury w wysłużonym asfalcie.

Poczułam, że moje serce przyspiesza. Zjawił się w idealnym momencie. Zupełnie jakby słyszał moje myśli. Uśmiechnęłam się do niego szeroko. Lekko speszył się na widok mojej radości.

Zatrzymał się obok i zziąjany oparł dłonie na kolanach. Dyszał ciężko.

– Wołam cię od dłuższej chwili – wydusił.

– Nie słyszałam, zamyśliłam się – wymruczałam.

Przyglądałam mu się uważnie. Naprawdę to jest mój jedyny przyjaciel?

– Przyjechali – powiedział.

– Kto?

– No oni!

– Czyli?

– JAGA!

– Och, twoi rodzice? – zrozumiałam wreszcie.

Faktycznie. Od naszej rozmowy upłynął już jakiś czas, a przecież termin ich wizyty zbliżał się nieubłaganie. Ostatnio byłam tak zaafierowana Ludomiłą, że zupełnie o tym zapomniałam.

– Tak! I, Jagusiu, jest coś, o czym musisz wiedzieć... – urwał i zaczerwienił się po cebulki włosów.

Oho, zaczął od „Jagusiowania”. Podejrzewałam, że nie spodoba mi się to, co zaraz usłyszę.

– Słuchaj, czy ty na pewno chcesz, żebyś udawała twoją narzeczoną? – nie dałam mu skończyć. – Zwłaszcza teraz, kiedy moja klientka zginęła?

– Eee, tak – odparł. – A co ma jedno do drugiego?

– A co, jeśli twoi rodzice się jakoś o tym dowiedzą?

– I co z tego? – nadal nie rozumiał. – Przecież nic złego jej nie zrobiłaś. Wiem to. Bywasz szorstka w obyciu, ale nie zrobiłabyś nikomu krzywdy. Znam cię. Poza tym sama powiedziałaś, że ludzie umierają. Po prostu twoja klientka umarła. Życie.

Oj, Mszczuju, Mszczuju, wcale aż tak dobrze mnie nie znasz. Gdybyś mnie znał, to... no cóż, nie chciałbyś mnie znać.

– No dobrze, skoro ci to nie przeszkadza – odpowiedziałam już w lepszym humorze. – A o czym muszę wiedzieć?

Zmarszczył brwi, jakby nie rozumiał, o co mi chodzi.

– Powiedziałeś, że coś muszę wiedzieć. Biegłeś tu z wywieszonym językiem, żeby mi to przekazać.

– Och, no tak! Przepraszam! – Zaśmiał się nerwowo. – Teraz to ja się zamyśliłem.

– No? To o czym chcesz mi powiedzieć?

– Moi rodzice nie przyjechali sami...



– A może jednak powinnam się przebrać? – Próbowałam grać na czas, ale złapał mnie za łokieć i stanowczo prowadził prosto do swojej chaty.

– Spokojnie, wyglądasz jak zwykle pięknie – uspokoił mnie.

– Uczesałam się chociaż – burknęłam.

– Wyglądasz pięknie – zapewnił odrobinę nieszczerze.

Prychnęłam pod nosem z pogardą. Niech mu będzie, skoro sam chce. W końcu jego rodzice nie mają mnie pokochać, mają mnie tylko zaakceptować i wyjechać stąd w cholerę.

Odetchnęłam głęboko. Musiałam się teraz postarać. Nie zamierzałam stracić ostatniego przyjaciela. Już i tak prawie mi się udało, gdy go wyśmiałam.

– Czyli Ścibora, twoja była narzeczona, przyjechała razem z nimi? – upewniłam się. – Tak po prostu? Wsiadła w samochód i przyjechała?

W oddali widziałam już jego chatę. Chciałam wyciągnąć jak najwięcej informacji o nowym wrogu. O rodzicach już mi powiedział, ale jego narzeczoną wcześniej się nie interesowałam. Teraz uległo to gwałtownej zmianie, skoro pojawiła się w Bielinach.

Bardzo mnie ciekawiła. Zachodziłam w głowę, jak musiała wyglądać kobieta, która za wszelką cenę chciała poślubić Mszczuja.

– Tak, tak. Motylek postanowiła przyjechać i porozmawiać ze mną osobiście – powiedział.

– Zaraz, zaraz, M o t y l e k? Że co proszę?

– Och, tak. Przepraszam. Nie powiedziałem ci o tym wcześniej. Ścibora ma na nazwisko Schmetterling. To po niemiecku oznacza motyla. Wszyscy mówili na nią od dziecka Motylek. Mało kto używał imienia Ścibora. Jakoś tak się utarło i zostało.

Moje wyobrażenie na temat narzeczonej Mszczuja uległo zmianie. Myślałam, że musi być brzydka jak noc, skoro tak się uparła na to aranżowane małżeństwo. Teraz zmieniłam zdanie. Pewnie nie była nawet brzydka, tylko mała. Oczami wyobraźni widziałam filigranową osobkę, którą przegonię jednym spojrzeniem spod oka.

Sama wzrostem nie grzeszę, ale jako szeptucha mistrzowsko umiem rzucać wrogie spojrzenia. Wątły motylek nie ma ze mną najmniejszych szans.

– Ona jest Niemką? – zapytałam, kiedy do domu został już tylko kawałek.

– Połowicznie – odpowiedział. – Wiesz, na Pomorzu ludność Królestwa nie jest tak jednorodna. Dużo statków i tak dalej.

– Opowiedz mi jeszcze o niej! Muszę się jakoś przygotować. Wziąłeś mnie z zaskoczenia – sarkalam.

– Nie ma co opowiadać! Kobieta jak kobieta. Dasz sobie radę. Zagadasz ją. Może sam twój widok wystarczy, żeby wyjechała? – powiedział niepewnie.

Chwilę później otworzył drzwi do swojej chaty i wepchnął mnie do środka, zanim zdążyłam coś pomyśleć, a tym bardziej odpowiedzieć.

Przez półmrok panujący w izbie nie od razu dostrzegłam wszystkie szczegóły. Czułam się jak ślepiec, kiedy mój wzrok przyzwyczajał się do zmiany oświetlenia. Mszczuj

delikatnie popychał mnie w stronę położonego na ramie łóżka siennika, na którym siedziały dwie postacie.

Znaliśmy się już z Mszczujem kilka lat, a ja wciąż nie mogłam pojąć, jakim cudem wrózowi może nie przeszkadzać życie w takich spartańskich warunkach. Nie miał podłogi, bo nie miał normalnego dachu. Pośrodku jego strzechy ziała dziura, przez którą ulatywał dym z centralnie położonego paleniska. Oczywiście nie miał prądu, tak jak ja. Jednak zamiast doświetlać się lampami i świecami, on korzystał tylko z tego okropnego otworu w suficie.

Jak można się domyślać, podczas każdej ulewy brodził w błocie po kostki, a zimą można było sobie tu tyłek odmrozić.

Kuchni nie miał. Jadł na zimno, głównie kanapki, przy stole o krzywych nogach, siedząc na chyboliwym taborecie, który zapadał się w klepisko. Cafe szczęście, że mieszkająca najbliżej niego gospodyni litowała się nad nim i pozwalała mu korzystać ze swojego czajnika. Inaczej musiałyby się myć w lodowatej wodzie ze studni.

Zamrugaliśmy i wreszcie zaczęłam widzieć. Miny jego rodziców, których usadził na sienniku, powiedziały mi dokładnie to samo, co ja myślałam o tym miejscu. Syf i malaria z przewagą syfu.

– Mamo, tato, to Jarogniewa, moja narzeczona. Jest szeptuchą w Bielinach. Tato, ty już poznałeś Jagę, kiedy byłeś tu ostatnio. Pamiętasz? – wyrzucił z siebie szybko kapłan.

– Dzień dobry – powiedziałam z entuzjazmem. – Bardzo się cieszę, że państwo przyjechali. Mam nadzieję, że następnym razem spotkamy się w mojej chacie przy herbacie.

Zaśmiałam się pod koniec z rymu, który wyszedł mi niechcący. Oni się nie zaśmiali. Wpatrywali się we mnie zimnym wzrokiem. Matka Mszczuja zmierzyła mnie spojrzeniem od stóp do głów i skrzywiła nieznacznie wąskie wargi. Kręcone, kasztanowe, idealnie zadbane włosy opadały jej miękko na ramiona. Miała na sobie dopasowaną sukienkę i modną marynarkę. Ojciec Mszczuja, gdański kapłan, wyglądał jak typowy kapłan. Koszula do połowy uda z krawką i skórzane spodnie. Nic odkrywczego. A jednak on także sprawiał wrażenie, jakby zupełnie nie pasował do tego wnętrza. Ledwie zaszczyił mnie spojrzeniem. Kiwnął tylko głową i westchnął.

Oj tak. Pamiętał mnie i koszarne wręcz pierwsze wrażenie, które na nim zrobiłam, jako że nie mogłam się powstrzymać przed uszczypliwościami. Cudownie. Zapowiada się, że najbliższy tydzień będzie po prostu wspaniały.

– Dzień dobry – powiedziała ostrym tonem matka Mszczuja, czym mnie zaskoczyła, bo myślałam, że zamierza mnie ignorować.

Nagle zobaczyłam, że jeden z cieni w izbie zaczyna się ruszać. Drgnęłam. Cień zaczął rosnąć. Powoli unosiłam głowę do góry, kiedy zbliżał się do mnie. Coraz wyżej i wyżej, i wyżej...

O bogowie.

– A to jest Motylek... ekhm, to znaczy Ścibora – powiedział Mszczuj, wciąż kryjąc się za moimi plecami. – Ściboro, poznaj moją narzeczoną, Jagę.

Poczułam, że dłonie kapłana zaciskają się na moich ramionach. Chyba, całkiem słusznie, założył, że mogę wziąć nogi za pas.

W końcu dotarłam spojrzeniem do jej oczu. Babsko miało ze dwa metry wzrostu i ramiona zawodowej pływaczki. Cienkie blond warkoczyki zwisły po bokach jej kwadratowej, surowej twarzy. Wąskie usta pomalowała krwistoczerwoną szminką. Miało to pasować do czerwonej sukienki, która opinała jej biodra i pośladki, jednocześnie odsłaniając bardzo umięśnione uda, ale mnie skojarzyło się wyłącznie z krwią. Ścibora wyglądała tak, jakby właśnie przed chwilą odgryzła komuś głowę i nie zdążyła oblizać ze smakiem ust.

Przelknęłam ślinę.

– Witaj, Ściboro. Przykro mi, że poznajemy się w takich okolicznościach – powiedziałam cichutko.

O, bogowie, naprawdę było mi przykro. W moich słowach nie było nawet cienia fałszu. Przeraziła mnie nie na żarty. Jeszcze nigdy nie widziałam tak dużej baby, która patrzyłaby na mnie z tak szczerą nienawiścią. A, umówmy się, ja swoim zachowaniem często irytuję ludzi, więc jestem już prawie uodporniona na ich złość.

Mimo to Ścibora osiągnęła jakiś nowy poziom wzbudzenia we mnie niepokoju i wątpliwości, czy przeżyję następny tydzień. Nawet Swarozyc tak nie umiał.

Kobieta skierowała spojrzenie zimnych błękitnych oczu na Mszczuja.

– To jest twoja narzeczona? Wygląda jak dziecko, które poszło do fryzjera patałacha – warknęła głębokim głosem.

Powinnam się zezłościć, ale w sumie to trafnie mnie opisała. Poza tym nie chciałam jej drażnić. Czubkiem głowy dosięgałam jej ledwie do cyczków. Ona musiała być wyższa nawet od Mszczuja. Zaczynałam rozumieć, czemu tak się uparła na to małżeństwo. Gdzie takie wielkie babsko znajdzie kogoś, kto chociaż dorówna jej wzrostem?

Ścibora podeszła do taboretu, jedyne w pomieszczeniu, i usiadła na nim, zakładając nogę na nogę. Nóżki mebla zapadły się pod jej ciężarem głęboko w klepisko. Zwróciłam uwagę na to, że miała na sobie sandały na płaskiej podeszwie. Gdyby włożyła koturny, chyba wbiłaby się głową w sufit.

Kiedy zajęła miejsce, jej głowa znalazła się wreszcie na wysokości mojej. Matka Mszczuja coś do niej powiedziała, ale nie wiem co, bo mogłam skupić się wyłącznie na jej wzroście, monstrualnym w porównaniu z moim.

– Na wszystkich bogów, czy ona ma na drugie Helga? – mruknęłam pod nosem.

– Tak! Skąd wiedziałaś? – szepnęła Mszczuj, który mnie usłyszał.

Odwrociłam się do niego i spiorunowałam go wzrokiem. Jakoś zupełnie mu się, cholera, nie wymknęło podczas rozmowy, że jego była narzeczona to dwumetrowa Helga.

– A w zawodach pływackich też brała udział?! – syknęłam.

– Nie, nie – zaprzeczył. – Motylek trenuje od dziecka lekkoatletykę. Ma nawet kilka sportych osiągnąć w pchnięciu kulą. Interesuje się też boksem.

Już nawet nie wiedziałam, jak mam to skomentować. Odwróciłam się z powrotem do Ścibory, która już przestała szeptać z matką kapłana i ponownie skupiła na nas wzrok pełen nienawiści.

– Czy masz mi coś do powiedzenia? – zapytała Mszczuja, który jak chciałabym zaznaczyć, cały czas chował się za moimi plecami.

Na wiele taka ochrona by mu się nie zdała, jako że sięgałam mu może do pachy, niemniej jednak chyba nie zamierzał stanąć z przodu.

– Tak, Motylku, to jest moja narzeczona – odparł z godnością Mszczuj.

Całe szczęście, że był odważny za nas oboje, bo ja miałam ochotę uciec gdzie pieprz rośnie.

– To mamy problem – oświadczyła panna Schmetterling. Wstała, założyła ręce na piersi i uniosła brodę, przez co stała się jeszcze większa i jeszcze straszniejsza.

– Problem? Jaki problem? – zapytałam słabo.

– Bo z tego, co wiem, to ja jestem narzeczoną Mszczuja. I nie pamiętam, żebym go komuś oddawała – warknęła.

– Och – westchnęłam.

Zatem faktycznie mamy problem. Już miałam odwrócić się na pięcie i pod byle pretekstem wyjść, kiedy poczułam, że moje znamię na nadgarstku i to na karku zaczynają boleśnie piec. Syknęłam.

– Co tam szepcesz, dzieweczko? – zapytała Ścibora z politowaniem w głosie.

Potałam energicznie nadgarstek. Ból zniknął tak szybko, jak się pojawił. Zerknęłam na palenisko, ale było wygaszone, więc nie mogłam dostrzec w płomieniach twarzy Swarozycza. Mimo to musiał mi się przyglądać.

W duchu zarechotałam. Zalała mnie fala wdzięczności do ognistego boga. Co mi się stało? Jakim cudem przestraszyłam się tego babska? Przecież ja na co dzień pyskuję bogu ognia.

B o g u.

Co mi może zrobić dwumetrowa sportsmenka? Oprócz, oczywiście, pogruchotania wszystkich kości.

To wszystko przez to, że tak mnie zaskoczył jej wygląd. Czas zacząć zachowywać się, jak na szeptuchę przystało. Poza tym nazywam się Jarogniewa, do cholery. A to oznacza gwałtowny, krzepki, zdrowy i przede wszystkim silny gniew. Nie zamierzam potulnie słuchać, jak mnie obrażają.

Ochrząknęłam, zrzuciłam z ramion dłonie Mszczuja i dałam krok do przodu. Jedna z wyskubanych wąsko brwi Ścibory uniosła się do góry w zdziwieniu.

– Drogi Motylku, jest mi niezmiernie przykro, ale Mszczuj już nie jest twoim narzeczonym – oświadczyłam. – Poza tym nie oszukujmy się, wcale nie chciał nim być. Z jakiego innego powodu wyjechałby z Gdańska aż do Bielin?

Poczerwieniała. Jej dotychczas blada twarz całkiem niezłe upodobniła się do koloru sukienki.

Mszczuj tak głośno przełknął ślinę, że chyba wszyscy w chacie to usłyszeli.

– Ja... ja... ja... – zaczął się jękać.

– Tak, tak, kochanie! – Odwróciłam się do niego, wzięłam go pod ramię i szarpnięciem zmusiłam, żeby się pochylił. Następnie cmoknęłam go w lodowaty, zroszony potem policzek. – Wiem, że to nie jedyny powód, dla którego tu przyjechałeś. Jednak nie zaprzeczysz, że wcale nie było ci spieszno stawać na ślubnym kobiercu z kobietą, której przecież nigdy nie kochałeś.

– CO TO ZA BREDNIE?! – wyszczała wściekła Ścibora.

– Ja... jednakowoż... ja... no cóż... – Kapłan pod ostrzałem wściekłych spojrzeń rodziców i byłej narzeczonej zamienił się w słup soli.

Poczułam irytację. Wiem, że Mszczuj nie jest przesadnie odważny. Mógłby jednak wykrzesać z siebie trochę iskier, jak na prawdziwego mężczyznę przystało. Przecież nie zrobię wszystkiego sama. O tym, że jeszcze przed chwilą byłam przerażoną myszką, postanowiłam zapomnieć na zawsze.

– Taka jest prawda, Motylku – odparłam słodkim głosem. – Mszczuj to mój narzeczony. Niebawem czeka nas swaćba. Bardzo mi przykro, że dowiedziałaś się o tym w ten sposób. Szkoda, że taki kawał drogi musiałaś pokonać na próżno.

– Nadałem wcześniej kilka telegramów w tej sprawie – odważył się wreszcie odezwać kapłan. – Nie dostałaś ich?

– Mszczujku, oczywiście, że je dostałam! – Prychnęła jak rozzłoszczona kotka. – Nie uwierzyłam w ani jedno zdanie z tych kłamliwych telegramów. Ta czarownica musiała cię omotać! To niemożliwe, żebyś o mnie zapomniał.

– Jaga nie jest czarownicą. To szeptucha – powiedział kapłan.

Poczułam dumę. No wreszcie!

– Na jedno wychodzi – skwitowała. – Mszczujku, nie wiem, co ona ci zrobiła i jaki urok na ciebie rzuciła, ale ja nie wyjadę stąd sama!

– Och, ależ jestem przekonana, że rodzice Mszczuja chętnie zabiorą cię ze sobą. – Nie mogłam się powstrzymać przed kolejną drobną złośliwością.

Przysięgam, że ta kobieta właśnie zaczęła warczeć. Gdzieś z dna jej grubej szyi dobiegł nas wszystkich wściekły furkot.



Ścibora nie zdążyła się na mnie rzucić z pięściami, bo w miejscu osadził ją ostry głos matki kapłana:

– Motylku! Myślę, że powinniśmy odpocząć po podróży. Jesteśmy zmęczone trudami drogi. Z moim synem i tą dziewczką porozmawiamy jutro. Emocje nigdy nie są dobrym doradcą.

Podniosła się z niskiego łóżka i nawet nie sprawdziwszy, czy ktoś jej posłuchał, wyszła z chaty z wysoko uniesioną brodą. Nie zaszczyciła mnie choćby jednym spojrzeniem. Jej mąż i Ścibora posłusznie ruszyli za nią. Motylek jednak nie byłaby sobą, gdyby na odchodne nie syknęła w moją stronę:

– Suka!

– Nawzajem! – odrzyknęłam radośnie.

Dobrze, czyli przegrupowanie. Zauważyli, że przegrywają, i postanowili zmienić taktykę. Trzeba będzie dobrze się przygotować na kolejne starcie.

Krzywe drzwi zbite z byle jak ułożonych desek trzasnęły za nimi. Mszczuj podszedł do nich szybko i zerknął przez szpary. Wykręcał nerwowo palce, raz po raz strzelając stawami. Przewracało mi się w żołądku za każdym razem, gdy słyszałam ten koszmarny dźwięk. Na bogów! Ma szczęście, że go lubię, bo inaczej sama bym go ukatrupiła.

– Poszli do siebie. Właśnie wchodzą po schodach do mieszkania w domu obok – wyszeptał rozemocjonowany. – Myślę, że jeszcze chwila i możemy uciec.

Rozsiałam się na wolnym sienniku, bo gdy cała adrenalina opadła, to nagle jakos ogarnęło mnie zmęczenie.

– Uciec? A dokąd ty chcesz uciekać? – zadrwiłam. – Za granicę?

Odwrócił się w moją stronę. Na jego strapionej twarzy pojawiła się nadzieja.

– W zasadzie to niezgorszy plan – powiedział. – Może tam za mną nie pojedą.

Ręce mi opadły.

– Mszczuju, ucieczka nie jest dobrym rozwiązaniem. Szanuję, że chciałeś się usamodzielnic i wyrwać spod skrzydeł nadopiekuńczych, niesympatycznych rodziców, ale jednak Ściborze powinienś być powiedzieć wcześniej, że nie zamierzasz jej poślubić.

– Ależ ja jej to mówiłem wielokrotnie! Przysięgam! Tylko że ona nigdy nie słuchała! A potem nasi rodzice się dogadali i sprawa w zasadzie była przypieczętowana. Nikt mnie nie słuchał. Dlatego od razu po skończeniu nauk wyjechałem. Miałem nadzieję, że zrozumieją aluzję.

– Ano, jak widać, są mało domyślni. Chodź no tu do mnie – rozkazałam.

– Co? Ja? – spłoszył się.

– Nie, twój cień – sarknęłam. – Oczywiście, że ty, matole jeden. Chodź tu bliżej. Zmęczyłam się i nie chce mi się wstawać.

Zawstydzony podszedł do siennika i usiadł w bezpiecznej odległości. Naprawdę nie wiem, co on ma we łbie. Jakąś wielką krzywdę mu zrobili niewłaściwym wychowaniem.

– Jagusiu, nie sądzę, że powinniśmy... – zaczął i zerknął niespokojnie na drzwi, jakby w każdej chwili mogła w nich stanąć Ścibora.

Nie pojmuję, jakim cudem mógł w takim momencie dojść do wniosku, że chcę z nim coś zrobić na tym sienniku.

Zamachnęłam się i walnęłam go w pysk dłonią. Głowa Mszczuja odskoczyła. Pisnął i złapał się za piekący policzek.

– Za co to?! – wrzasnęła.

– Za to, że mnie nie uprzedziłeś, że twoja była narzeczona jest wielkości... sama nie wiem... Hulka Hogana? Tak naprawdę należy ci się jeszcze raz, bo to kawał babska, które nie zamierza mi najwyraźniej odpuścić.

– Ale ja nie wiedziałem, że ona chce przyjechać!

– Czyżbyś nie znał swoich rodziców?! Nie domyśliłeś się, że zabiorą ją ze sobą?

– Nie sądziłem, że się do tego posuną.

– No to: niespodzianka! – prychnęłam. – I co teraz?

Przestał trzeć policzek. Pojawił się na nim piękny odcisk mojej drobnej dłoni.

– Nie wiem – odparł. – Miałem nadzieję, że zobaczą cię ze mną i wreszcie uwierzą, że nie kłamałem im w telegramach. Że naprawdę mam narzeczoną.

Westchnęłam.

– Wygląda na to, że będą cię namawiać do zmiany zdania. Czyli co robimy? Jutro zapraszamy ich do mnie na herbatę? Postaram się być miła.

Uniósł z niedowierzaniem brwi.

– Mówię, że się postaram, a jak wyjdzie, to zobaczymy – burknęłam.

– A co z Motylkiem? Pewnie też będzie chciała przyjść – zauważył.

– Osobiście wolałabym, żeby nie wypychała się na herbatkę, podczas której zamierzam oczarować przyszłych teściów... Przestań się uśmiewać głupkowato, bo ci przyłożę w drugi policzek! – warknęłam. – Czego rżysz?

– A tak sobie pomyślałem, że w sumie to ładnie brzmi, gdy mówisz „przyszłych teściów”. Pasuje to do ciebie.

– Aż tak mocno ci przywaliłam, że ci się we łbie pomieszało? – zapytałam, od razu pozbawiając go złudzeń. – Mszczuju, jak ty czasem coś powiesz...

Pokiwał głową w niemej zgodzie.

– To o której do ciebie przyjść na tę herbatę? – zapytał. – Zapakuję ich w mój samochód i przywiozę.

– O ile Motylek ci głową dziury w dachu nie zrobi – skomentowałam złośliwie.

– Co powiedziałaś? – zapytał z roztargnieniem. Najwidoczniej już planował, jakie inne rozrywki zapewni swojej rodzinie.

– Myślę, że szesnasta to dobra godzina – powiedziałam. – Rano mam już zapisanych klientów, nie chce mi się teraz łązić po ich domach i przekładać wizyt. Poza tym będę musiała posprzątać i coś przygotować.

Jutro miała przyjść do mnie Bronka, właścicielka sklepu spożywczego w Bielinach. Znała wszystkie plotki z okolicy. Miałam nadzieję, że opowie mi coś ciekawego o Ludomile.

– Dobrze, dobrze, szesnasta będzie idealna – zgodził się kapłan. – Rano zabiorę ich na spacer na Łysą Górę, zjemy coś w Hucie Szklanej.

– O, może odwiedzić Mirkę? – zasugerowałam.

– Myślę, że jedna szalona szeptucha na razie wystarczy mojej rodzinie.

Zeskoczyłam z siennika i skierowałam się do drzwi.

– Jak tam sobie chcesz. To do jutra! – krzyknęłam przez ramię. – Ja mam dzisiaj jeszcze coś do załatwienia.



Księżyc wisiał wysoko na bezchmurnym niebie. Niestety nie było pełni i jego blask był zbyt słaby. Musiałam zapalić niedużą lampę naftową. Ustawiłam ją na kamieniu, tuż obok wąziutkiej plaży przy jeziorku, które kiedyś pokazał mi bóg ognia.

Nie rozbierałam się, bo nie zamierzałam nikogo uwodzić. Poza tym nie miałam tyle specyfiku, żeby natrzeć całe ciało. Usiadłam na piętach i kolistymi ruchami zaczęłam wmasowywać wodniste mazidło w przedramiona.

– Nasięźrzale, nasięźrzale, rwę cię śmiało – zamruczałam pod nosem. – Niech się chłopcy za mną nie gonią...

Następnie nałożyłam trochę na policzki i dekolt. Strużka zielonkawej cieczy pociekła mi między piersi, pod sukienkę. Na czerwonym materiale od razu pojawiły się tłuste plamy.

Zakląłam szpetnie.

– I cała magia prysła – usłyszałam za sobą znudzony głos.

Zerwałam się na równe nogi, łapiąc za srebrny nożyk do ryb. Wciąż nie dorobiłam się porządnej broni. Miałam tylko ten nożyk, który wchodził w skład kompletu sztucców mojej zmarłej babci Radomiły, oraz piękny, ale maleńki sierp, którym ścinałam zioła. Zawsze zabierałam do lasu jeden z nich. Posiadałam także piękny żelazny nóż, którym spokojnie mogłabym rozplatać komuś brzuch. Niestety był tak duży, że nie mieścił się do żadnej torebki. A na dodatek był ciężki. To już wołałam zabierać srebrne cudeńka. Nawet jeśli miały mniejszą moc.

Znowu zakląłam, kiedy zobaczyłam, kto zaszedł mnie od tyłu.

– Ty chcesz, żebym ja zawału dostała?! – warknęłam.

– Masz inną dolę – odparł zagadkowo Swaróžyc.

Siedział jak gdyby nigdy nic na krzywej ławeczce pod myśliwską chatką, która stała nieopodal. Swoim zwyczajem miał na sobie tylko skórzane portki. Nagie przedramiona opierał na kolanach. Nie wiem, czy chciał mi zaimponować, czy robił to bezwiednie, ale przrzuczał pomiędzy palcami rąk małą kulkę ognia. Płomień malował na jego twarzy ostre cienie.

– A zdradzisz mi, jaką dolę obdarzyli mnie bogowie? – zapytałam.

– Nie.

– Ze złośliwości czy ci nie wolno? – drażyłam.

Nie odpowiedział. Wpatrywał się we mnie tylko tymi swoimi dziwnymi, lekko świecącymi w ciemnościach oczami. Płonął w nich jego ogień. Czasami, gdy Swaróžyc skryty był głęboko w sercu boga, jego tęczęwki stawały się czarne niczym węgle, prawie normalne. Dzisiaj jednak nawet z oddali widziałam, że na dnie jego źrenic migocze blask złotych płomieni. Przybył w takim razie w interesach.

Znudzona jego milczeniem postanowiłam go zignorować. To zawsze sprawiało, że dość szybko przechodził do rzeczy. W swoim boskim zadufaniu nienawidził być ignorowany. Usiadłam znowu na trawie i wróciłam do wmasowywania mojego specyfiku w skórę. Swarny bóg nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Po co to robisz? – zapytał po chwili.

Uśmiechnęłam się pod nosem.

– A co? Moja dola ci nie powiedziała? – Rzuciłam mu zalotne spojrzenie przez ramię.

Po raz ostatni przechyliłam buteleczkę i wydostałam z niej ostatnią kroplę. Roztarłam ją w dłoniach. Teraz pozostawało mi czekać.

Miłosne zioła otoczyły mnie swoim zapachem. Było w nim coś dziwnego, głębokiego, a może raczej pierwotnego. Nigdy wcześniej nie testowałam na sobie swoich miłosnych specyfików. Przez to nie do końca wiedziałam, czego powinnam się spodziewać. Nie wiedziałam też, czy ogarniające mnie ciepło to zasługa mazidla, czy może raczej czujnego spojrzenia boga ognia.

– Twoja dola nie jest osobą, nie może mi nic powiedzieć – odparł powoli.

– Wiem, czym jest dola, swarny bogu. Drwiłam z ciebie.

Przygryzłam wargę. Spopieli mnie czy nie spopieli za tak jawne naśmiewanie się? Woda szemrała cicho w miejscu, w którym strumyk wpadał do leśnego jeziora. Żaby kumkały zachęcająco, gdzieś w głębi lasu odezwał się puszczyk. Nie zamieniłam się w kupkę szarego popiołu, a świat nie stanął w ogniu, więc chyba bóg nie miał zamiaru pozbawiać mnie życia.

Wstałam z klęczek i odwróciłam się do niego. Nadal siedział w tej samej pozycji, ale przestał bawić się płomieniem. Wyraz jego twarzy nie zmienił się w ogóle. Mierzyliśmy się spojrzeniami. Czekałam, ale chyba nie zamierzał niczego powiedzieć.

– Patrzysz teraz na mnie czy na moją dolę? – Nie wytrzymałam.

– Na twą dolę. Jest dzisiaj interesująca – zdradził.

Moje serce zabiło szybciej. Podniosłam nożyk i zaczęłam się rozglądać po otaczającym nas lesie.

– Co robisz? – zapytał.

– Ciii! – syknęłam na niego.

Wydało mi się, że widzę coś w krzakach po drugiej stronie jeziora. Liście lekko zdrząły, jak gdyby ktoś je musnął. Powoli zaczęłam okrążyć wodę. Stawiałam delikatnie bose stopy, a nożyk schowałam za plecami.

– Tam nikogo nie ma – rzucił beznamiętnie Swarożyc.

Nie odrywałam spojrzenia od krzaków, ale stanęłam w miejscu i się wyprostowałam. Rozluźniłam spięte mięśnie barków.

– Jesteś pewien?

Odpowiedziała mi cisza. No tak, nie zniży się do powtarzania drugi raz tego samego. Nie pozostawało mi nic innego, niż mu uwierzyć.

– A ktoś inny się skrada? – zapytałam.

– Oprócz komarów i robactwa zlatującego się do światła dzisiaj nic się tu nie pojawi.

Opuściłam ramiona i westchnęłam z ulgą, ale także z goryczą.

Podeszłam do lampy i złapałam ją za metalową rączkę. Następnie zbliżyłam się do boga ognia i usiadłam obok niego na ławeczce. Nie wiem, kto był bardziej zaskoczony moją poufałością.

– Moja klientka zmarła po tym, jak nasmarowała się tym mazidłem – wyjaśniłam. – Chciałam przetestować na sobie, czy może zaszkodzić lub coś zwabić.

– Zwabić?

– To wywar z nasięźrzału zebranego w Noc Kupały i kilku miłosnych ziół, połączonych między innymi z miodem. Miał przekonać do niej mężczyznę, który się jej podobał. Ale pierwszy raz przyrządzałam napor z nasięźrzału... powiedzmy zaocznie. Nie ona go zebrała, tylko ja. Być może to zmienia w jakiś sposób właściwości mikstury. Istnieje prawdopodobieństwo, że nie przyzywa kochanka, tylko coś innego. Może zbierałam zioło w złej wierze? Za mało się skupiałam. Rozumiesz? – wytłumaczyłam. – Postanowiłam sprawdzić to na sobie. Jeżeli ma złe działanie, to i mnie powinno przydarzyć się coś złego.

– Po co to robisz?

– Bo mi pacjentka umarła.

– Nadal nie widzę związku, szeptucho.

– Wiesz, to niedobrze, jak pacjenci umierają – sapnęłam.

– Nie unikniesz śmierci u nikogo. Nawet bogowie nie umieją jej przechytryć.

Ledwie się powstrzymałam, żeby go nie trzasnąć za mówienie mi takich oczywistości. Na szczęście tego nie zrobiłam. W końcu to bóg. Oni nie pojmują świata w taki sposób, w jaki widzą go śmiertelnicy. Być może faktycznie nie rozumiał, o co mi chodzi.

– Wiem – zgodziłam się. – Chciałabym teraz jedynie się upewnić, że nie przyczyniłam się w żaden sposób do jej śmierci. Zależy mi na mojej pracy. Jeśli po wsi rozejdzie się plotka, że od moich mikstur można zapukać do Welesa, to nie zrobię tutaj kariery.

Uśmiechnął się. Chyba zrozumiał.

– Lubię w tobie tę zapalczliwość – powiedział.

– Cieszę się...

– Twoja mikstura nie zwabi demona, jeżeli tego się spodziewałaś – poinformował mnie.

– Czuję jej działanie.

Nie powiem, ucieszyła mnie ta informacja. Nie miałam szczególnej ochoty na konfrontację z potworem. Co prawda nie przychodził mi do głowy żaden upir, który zabiłby Ludomiłę w jej własnym łóżku po powrocie z randki, ale w końcu świat jest wielki. Gdzieś na pewno są takie demony.

– Chociaż można powiedzieć, że przywołuje nie tylko dobre rzeczy – dodał cicho.

– Tak? A co przywołuje? – zainteresowałam się.

– Mnie na przykład.

Przewróciłam oczami. Jak on czasem coś powie, oczywiście w swoim mniemaniu seksownego...

Położyłam nożyk na ławce i zabrałam się za oglądanie plamy na sukience. Byłam pewna, że cholerstwo się nie spierze. Zielone zacieki roślinne nigdy się nie spierają. Po prostu wspaniale!

– Aha... no to już nie wiem, co ją zabiło – sarknęłam, trąc materiał poślinionym palcem.

– A ty nie mógłbyś przypadkiem podejrzeć jej doli i szepnąć mi coś? Oczywiście w tajemnicy. Nikomu nie powiem, że zerkałeś w dół.

Wyobraziłam sobie spersonifikowaną dolę jako biuściastą dziewczynę, której Swarozyc zagląda w dekolt. Nie mogłam się powstrzymać i parsknęłam.

Uniósł brwi.

– Co cię tak rozbawiło? – zapytał.

– A, nic takiego. Pomyślałam sobie coś śmiesznego.

Nadal wbijał we mnie pytające spojrzenie.

– Naprawdę to nic ważnego – zapewniłam. – To jak? Zerkniesz w dół Ludomiły i szepniesz mi w sekrecie, co się z nią stało?

– Ona nie żyje.

– No wiem – sapnęłam.

– Czyli nie ma doli, do której mógłbym zajrzeć, choć wcale nie mówię teraz, że bym to zrobił, gdybym mógł – wyjaśnił.

Westchnęłam. Swarozyc często był bezużyteczny. Gdy nie miałam żadnego jego znaku, to mamił mnie obietnicami pomocy. A jak przychodziło co do czego, to oczywiście nic nie robił, bo tego nie może, tamtego nie może. Phi.

– Twoja mikstura działa – powiedział za to.

Odwrociłam do niego głowę. Płomienie w jego oczach stały się cieplejsze i znacznie jaśniejsze. Na dnie źrenic szalał pożar. Znamiona, którymi mnie obdarzył, zrobiły się ciepłe. Nie piekły, ale miło grzały. Czulałam, jak i mnie powoli ogarniają płomienie.

– Mam ochotę rzucić cię na trawę i posiąść tu i teraz, służko mojego ognia.

Na policzki wpelzł mi rumieniec. Kto by pomyślał, że naparem miłosnym można skusić nawet boga?

Bardzo... niebezpieczny precedens. I jednocześnie intrygujący. Muszę zapamiętać.

– Całe szczęście, że jesteś bogiem i umiesz nad siebie panować – odpowiedziałam zaczepnie.

Niewiele myśląc, poklepałam go przyjacielsko po kolanie. Niestety odebrał ten gest w zupełnie inny sposób.

Zaraza by to wzięła. Przecież próbowałam go przegonić.

Nie to, żebym nie miała ochoty, bo Swarożyc zawsze pojawiał się jako bardzo atrakcyjny mężczyzna. Musiałabym być chyba ślepa, żeby tego nie zauważyć i żeby to na mnie nie zadziało. Wysoki, barczysty, niezwykle męski, no i, rzecz jasna, zawsze, ale to prawie zawsze niekompletnie ubrany. Był bardzo przystojny, oczywiście o ile za tą swoją gęstą rudą brodą nie skrywał cofniętego podbródka pokrytego czyrakami. Na co, umówmy się, była mała szansa, jako że był bogiem i mógł wyglądać tak, jak tylko chciał.

Daleko mi do zrozumienia bogów i ich motywacji, ale szczerze wątpiłam, że nie byli próżni.

– Jago... – wymruczał.

– Och, jak się późno zrobiło! – wykrzyknęłam i zerwałam się z ławki.

Poprawiłam spadające mi wieczne ramiączka czerwonej sukienki. Wzrok boga ognia od razu skupił się na moim niewielkim biuście. Brodawki bardzo wyraźnie odznaczały się przez cieniutki materiał.

Muszę się zacząć ubierać w jakieś niemodne pantalone, bo to się robi niebezpieczne. A babcia przecież ostrzegła, żeby mu nie włożyć do łóżka, bo to się może źle skończyć.

– Chyba na mnie już czas. Skoro zaglądałeś do mojej doli, to już wiesz, że przyjechali rodzice Mszczuja i jego była narzeczona. Jakoś tak się złożyło, że muszę udawać obecną narzeczoną Mszczuja i sam rozumiesz, muszę się wyspać. I tak dalej, i tak dalej – zaczęłam gadać bez ładu i składu.

Gwałtem śmiech boga ognia potoczył się po polanie. Zanim zdążyłam mrugnąć, zmaterializował się tuż obok mnie. Dookoła nas zawisł dym, jego szare języki unosiły się i drgały, zupełnie jakby były obdarzone własną świadomością.

– Jago, Jago... czasami mnie bawisz.

– Tylko czasami? Jestem zawiedziona.

Położył mi dłonie na ramionach i zmusił, bym zatęnęła w studni jego oczu. Nagle zrobiło się bardzo gorąco. Skórę zrosił mi pot. W moim brzuchu nie szalały delikatne motylki, ale prawdziwa pożoga.

Bóg o nic więcej nie zapytał. Pochylił się i mnie pocałował. Gorący język Swarożycy wdarł się do moich ust. Poczułam smak dymu i ognia. Nawet nie wiedziałam, że płomienie mają jakikolwiek smak.

Odetchnęłam i zakręciło mi się w głowie. Swarożyc przestał mnie całować akurat w momencie, w którym wszystkie moje wątpliwości zniknęły. Gdyby teraz mnie poprosił, to zrzuciłabym kieckę w jednej chwili.

– Twoja mikstura nie zabiła Ludomiły. Tyle wiem i tyle mogę ci powiedzieć. Zawołaj, kiedy będziesz na mnie gotowa.

Poczułam, że jego dłonie znikają z moich ramion. Zamrugałam. Swarnego boga oczywiście już nie było. Z niewielką satysfakcją zauważyłam, że na coś jednak się przydał, bo podrzucił mnie do mojej chaty za pomocą swojego boskiego hokus-pokus.

Rozejrzałam się po podłodze. Ale lampę naftową zostawił koło jeziora... Nie mogło być przecież idealnie.

O, bogowie, ale mi było gorąco! Wiedziałam, że to głupie, ale w tej chwili szczerze żałowałam, że jednak do niczego nie doszło. Wciąż czułam szalejące we mnie płomienie.

Wyciągnęłam z szuflady kredensu kilka woskowych świec. Chociaż blask ognia z pieca, którego doglądały ubożęta, przyjemnie rozświetlał wnętrze, to miałam dzisiaj ochotę na wieczór z pachnącymi miodem świecami. Ustawiłam je na spodeczkach w różnych punktach chaty i usiadłam na łóżku.

Musiałam pomyśleć, a raczej poważnie zastanowić się nad moją relacją z bogiem ognia. Jeśli nie chciałam wchodzić z nim w żadne... bliższe stosunki, to chyba teraz był właściwy moment, żeby wszystko uciąć.

Tylko czy chciałam? Bardzo mi pochlebiało, że się mną zainteresował. Oczywiście nie łudziłam się, że jestem dla niego kimś wyjątkowym. Babcia Radomiła uzmysłowiła mi, że swoimi względami obdarza najwyraźniej większość szeptuch.

Pytanie, czy mi to przeszkadzało. Miałam dość liberalne podejście do seksualności i tego, co należy robić, a czego nie. Byłam młoda, wolna, miałam jeszcze czas na błędy. Wyznawałam zasadę, że żyje się tylko raz, więc trzeba żyć tak, by później nie żałować. Jak na razie niczego nie żałowałam. Ani ucieczki od rodziny i narzeczeństwa z Bratomilem, ani objęcia schedy po babci, ani nawet zabicia wilkołaka czy romansowania z bogiem. Chciałam czerpać garściami z życia i dotąd świetnie mi to wychodziło.

Podeszłam do kredensu i wyciągnęłam butelkę z nalewką z czarnego bzu. Bardzo ją lubiłam. Nalałam odrobinę do kubka, wmawiając sobie, że to przecież tylko dla zdrowotności.

Położyłam się z kubeczkim na wąskim łóżku i zaczęłam myśleć o Swaróżycu. Co ja w sumie o nim wiedziałam? Ano niewiele. Był bogiem ognia domowego i rytualnego, synem Swaroga, boga wiecznego ognia i słońca, a także bratem Dadźboga, opiekuna słońca. Swoją drogą, ładnie się Swaróg wyręczył synkami. Teraz kowal ognia i słońca nie miał właściwie nic do roboty.

Co poza tym? Swaróżyce to uumięśniony przystojniak, który mówi zagadkami. Trudno się dziwić, że wszystkie szeptuchy zdzierały z siebie kiece na jego widok. Sama byłam dzisiaj tego bliska. Być może przez magię nasięźrzału, a być może, co bardziej prawdopodobne, przez własną głupotę.

Ale czy coś złego by się stało, gdybym pozwoliła mu się uwieść? Dotknęłam twarzy, która wciąż pokryta była wonnym mazidłem miłosnym. Chyba jednak powinnam je zmyć, bo nie myślałam jasno.

Miałam już dwa znaki Swaróżyca. Mogłam przywołać go myślami, mogłam prosić go o przysługę, mogłam z nim podróżować za pomocą jego dymu, a także, jak widać, mogłam się z nim całować. Ciekawe, na co pozwalały następne ogniste pocałunki.

Powoli zaczęłam dochodzić do wniosku, że przygoda ze Swaróżycem może i nie jest jedną z najmandrzejszych rzeczy, ale na pewno była przyjemna. Upiłam łyk nalewki i uśmiechnęłam się, czując, jak piecze mnie w gardło i w pusty żołądek.

Poza tym moja babcia miała z nim najwyraźniej romans, a dożyła szczęśliwie prawie osiemdziesiątki, robiąc to, co kochała. Nie najgorszy los – dalej sama siebie przekonywałam.

Nagle z rozmyślań wybił mnie charakterystyczny dźwięk duszącego się gaźnika. Poznałabym go wszędzie. To był Mszczuj. Oprócz mnie nikt nie mieszkał na końcu tej cichej drogi, więc musiał kierować się tutaj. Sapnęłam z irytacją. Akurat na jego wizytę nie miałam ochoty. Dopiliśmy nalewkę jednym haustem.

Przecież dzisiaj się już z nim widziałam. Po kiego grzyba tu przyjechał?!

Auto zatrzymało się na wysokości mojej chaty. Usłyszałam, że trzaskają drzwi. Szybkie kroki po zwirowej ścieżce całkowicie pozbawiły mnie złudzeń spokojnego wieczoru z nalewką.

Myślałam, że swoim zwyczajem zadudni głośno w moje drzwi. Przyznaję, zaskoczył mnie. Najpierw się zatrzymał i chyba całkiem przestał ruszać, bo wszystko podejrzanie przycichło, a następnie cichutko zapukał i zapytał szeptem:

– Jaga, śpisz?

– Tak – odkrzyknęłam, nie mogąc się powstrzymać.

– Ale pali się u ciebie światło. Widziałem przez szpary w okiennicach – powiedział już śmiejąc.

Nie ma człowiek spokoju. Przyplącze się taki i dupę zawraca. Stękając, wstałam z łóżka i ze skwaszoną miną otworzyłam mu drzwi. Wpuszczać go jednak nie zamierzałam. Mogę być jego udawaną narzeczoną, ale bez przesady. Było tuż przed północą, to nie pora na składanie wizyt.

– Czego? – zapytałam nadzwyczaj uprzejmie jak na humor, który właśnie miałam.

Zamiast odpowiedzieć, przyjrzał mi się uważnie. Jedno z ramięczek czerwonej kiecki oczywiście spadło mi z ramienia. Loki na mojej głowie zamieniły się w gniazdo, a czarna kredka, którą rano namalowałam kreski na powiekach, pewnie już się rozmazała.

– Nie wyglądasz, jakbyś właśnie spała – zauważył z pretensją.

Uniosłam do góry jedną brew. Wystarczyło. Nic więcej nie skomentował.

– Czego? – powtórzyłam już mniej miłym tonem.

– Przyjechałem w dobrej wierze – powiedział. – Jakiś mężczyzna wypytuje o ciebie w Bielinach.

– Jaki mężczyzna?

– Nie wiem.

– Czyli nawet go nie widziałeś?

– Widziałem go tylko z daleka. Powiedziała mi o nim pani Bronka. Wracła ze sklepu i zaczepiła mnie na ulicy. Pokazała sylwetkę tego mężczyzny, ale był już daleko. Kierował się tutaj. Podobno był u niej w sklepie i o ciebie pytał. To oczywiste, że od razu wskoczyłem do samochodu i tu przyjechałem – paplał bez przerwy, jak to miał w zwyczaju.

Szkoda, że bogowie poskąpili mi cierpliwości. Jeszcze chwila i walnę go tym kubkiem, który mam w ręku.

– I przyjeżdżasz do mnie w środku nocy, żeby mi o tym powiedzieć? – zapytałam.

– No tak!

– Po co, na litość wszystkich bogów?!

– A bo jak on ma jakieś złe zamiary?! – prawie wykrzyknął.

– Chyba za poważnie traktujesz nasze udawane narzeczeństwo – skwitowałam. – Nie potrzebuję rycerza na białym koniu.

– Wypraszam sobie. Jesteśmy przyjaciółmi. Nie chcę, żeby coś ci się stało. Przecież dopiero co odwoziłem cię na komisariat, bo twoja pacjentka umarła. A co, jeśli to ktoś związany z tą pacjentką? Co, jeśli chce teraz czegoś od ciebie? Co, jeżeli ten ktoś ma złe zamiary? Jaga, czym tak pachniesz? Bardzo intrygujący zapach. Mogę cię powąchać?

Zanim zdążyłam zareagować, pochylił się i po prostu powąchał mój policzek.

– Bardzo intrygujące. To jakieś nowe perfumy?

– Nie, głupku! – Trzasnęłam go ręką w pierś, żeby się ode mnie odsunął. – To mazidło, które zrobiłam dla Ludomiły.

Oczy Mszczuja pociemniały.

– Bardzo ładnie pachnie.

Och, do wszystkich bogów.

– Dobrze, Mszczuju, dziękuję ci za ostrzeżenie. A teraz w tył zwrot i wracaj do siebie. Jutro przyjeżdża do mnie w odwiedziny twoja rodzina. Chciałabym się wyspać, skoro mam udawać zakochaną narzeczoną.

– Naprawdę bardzo ładnie pachnie – powtórzył bełkotliwie.



Cholera jasna. Trzeba było zmyć to gównu. Jak podziałało na boga, to tym bardziej trzepnie kapłana.

– Dobrze, mój drogi. Dziękuję ci za opinię. Zapamiętam i będę wiedzieć, jak mam przygotowywać mazidło następnym razem.

Odstawiłam kubek na parapet, a następnie złapałam Mszczuja za ramiona, obróciłam go i popchnęłam w stronę zwirowej ścieżki. W mojej głowie wykiełkował nowy pomysł. Jeżeli mikstura z nasięźrzału działała aż tak dobrze, to może ktoś zabił Ludomię w afekcie. Istniała spora szansa, że ktoś nie mógł jej się oprzeć, tak jak Mszczuj nie mógł przestać myśleć o zapachu, który rzekomo wydzielalam.

A ja przecież nie posmarowałam się pełną porcją tak jak ona. Poczułam, że żołądek wywraca mi się na drugą stronę. Co ja zrobiłam... Jeśli kilka kropel na twarzy, dekolcie i rękach dawało taki efekt, to co dopiero się działo, kiedy kobieta smarowała się po piersiach i między nogami. Czyli tam, gdzie jej kazałam.

Szlag by to trafił.

Z drugiej strony to miła nowość. Jeszcze mi się nie zdarzyło, żebym przygotowała za dobry specyfik.

– Dobranoc, Mszczuju, zobaczymy się jutro. – Po raz kolejny bezceremonialnie go popchnęłam.

– Ale... ale...

– Dobry wieczór.

Potknęłam się o próg na dźwięk głosu, który przecież tak dobrze znałam. Mszczuj oprzytomniał w jednej chwili.

– To on! – syknął teatralnym szeptem, który obcy oczywiście od razu usłyszał.

– Ja? – Głęboki, śpiewny głos był rozbawiony. – Czyżbyś opowiadała o mnie swoim znajomym?

Spojrzałam w oczy, zielone niczym trawa o zmierzchu, które błyszcząły wesoło spod czekoladowej grzywki.

– Bratomił – wyszeptalam.

## 8.



Bogowie musieli mieć ze mnie niezły ubaw. Ciekawa jestem, który to z nich tak dobrze bawił się moim kosztem i ciągle rzucał mi kłody pod nogi.

Wychyliłam się przez okno i spróbowałam dostrzec coś w oddali pomiędzy drzewami. Jakiś czas temu wysłałam Mszczuja i Bratomiła do lasu, żeby nazbierali jagód do ciasta. Miska z wyrastającym drożdżowym zaczynem już czekała.

Niestety nie byłam zbyt dobrą gospodynią, więc istniała szansa, że nie uda mi się zrobić deseru, który zadowoliliby rodziców kapłana. Nie zamierzałam jednak się tym przejmować. Uważam, że i tak nieźle szło jak na moje umiejętności.

O wiele większy problem miałam z dwoma mężczyznami, którzy mi się przyplątali do chaty w środku nocy i ani myśleli pójść gdzie pieprz rośnie. Cały czas musiałam im wymyślać jakieś zajęcia. Z samego rana wysłałam Mszczuja autem do sklepu Bronki po drożdże, a Bratomiłowi kazałam narąbać drewna za domem. Miałam jeszcze całkiem niezły zapas szczap, ale chciałam, żeby jak najdłużej nie zawracał mi głowy.

Pokręciłam głową z niedowierzaniem. Widok Bratomiła trochę mną wstrząsnął. Nie spodziewałam się, że jeszcze go zobaczę. Odkąd ostatni raz się widzieliśmy, minęły prawie cztery lata. To przecież szmat czasu. Moja matka co prawda regularnie wspominała, że wciąż nie ułożył sobie życia, ale myślałam, że jak zwykle wyolbrzymiała i chciała wpędzić mnie w poczucie winy.

Bratomił był idealnym kandydatem na męża. Najstarszy syn, który odziedziczył gospodarzkę po ojcu. Wyższy ode mnie, barczysty, przystojny, całkiem wygadany, chociaż momentami niezbyt bystry. No i najważniejsze – zakochany we mnie bez pamięci. Oświadczał mi się kilkakrotnie, a ja za każdym razem odmawiałam. W końcu posunął się do tego, że za moimi plecami poprosił mojego ojca o zgodę na swaćbę.

A ten się zgodził... Oczywiście także bez pytania mnie o zdanie.

Problem w tym, że nie miałam ochoty na ślub. W niedługim czasie po tych nieszczęsnych oświadczeniach skończyłam studia w Warszawie, a potem przejechałam schedę po babci Radomile i czym prędzej wyjechałam z naszej rodzinnej wsi. Nawet nie pożegnałam się z Bratomiłem. To moi rodzice powiedzieli mu, że z zaręczyn raczej nic nie będzie, bo narzeczona najzwyczajniej w świecie dała dyla.

Kiedy stanął wczoraj na moim progu, czułam się tak, jakby ktoś wylał mi na głowę kubał zimnej wody. Było mi bardzo głupio. Przyznając, że nie zachowałam się ani miło, ani elegancko. Uciekłam jak tchórz. Niemniej jednak wcześniej mówiłam mu kilka razy, że nie mam ochoty wychodzić za niego za męża. Powinno było do niego dotrzeć. Poza tym znał mnie od dziecka. Dobrze wiedział, że nie można mnie do niczego zmusić, a wszelkie próby wywierania presji kończyły się tym, że stawałam okoniem z jeszcze większą werwą i satysfakcją.

Mszczuj znał moją historię z Bratomiłem. Chyba z tego powodu postanowił strzec mojej czi. Chociaż, umówmy się, nie było czego, bo już od dawna nie miałam wianka. Straciłam go zresztą dzięki Bratomiłowi.

Obaj zostali u mnie na noc. To znaczy na mojej ziemi, bo do chaty nie zamierzałam ich wpuszczać. Zwłaszcza w momencie, gdy byłam wypacykowana miłosnymi mazidłami. Bratomił spał na kocyku pod domem pośród mojego kwietnego bałaganu, a Mszczuj na siedząco w swoim aucie. Nie wiem, któremu było wygodniej, bo jednego oblażył i pogryzł mrówki, a drugiego połamało w krzyżu.

Oczywiście nie współczułam żadnemu. Sami się prosili.

Przez to, że kapłan nie odstępował nas na krok, nie dowiedziałam się, czego po tej wizycie spodziewał się mój były narzeczony. Po cichu liczyłam, że to jednak tylko zły sen i z jagodziska wróci tylko Mszczuj.

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi wejściowych, aż podskoczyłam przestraszona. A kogo teraz niesie? Moją matkę? Ojca? Jeszcze tylko ich tutaj brakuje.

Pełna najgorszych podejrzeń otworzyłam. Po drugiej stronie jednak zobaczyłam tylko Bronkę ze sklepu. Oczywiście jej błyszczały, tak jak zawsze, kiedy miała w zanadrzu jakąś ciekawą plotkę i nie mogła się doczekać, aż ją komuś przekaże.

– Mogę? – zapytała.

Zerknęła ponad moimi ramionami do wnętrza chaty, a na jej twarzy pojawił się chytry uśmiech.

Bardzo ją lubiłam. Była jedną z pierwszych osób w Bielinach, które wyciągnęły do mnie pomocną dłoń. Potem kilka razy ratowała mój biznes, przychodząc pod byle pretekstem. Robiła to wszystko całkowicie bezinteresownie. Sama pamiętała, jak jej było ciężko na początku, gdy otworzyła sklep. Nadal mogłam na nią liczyć, nawet się zaprzyjaźniłyśmy.

– Przypomnij mi, byłaś dzisiaj zapisana? – zapytałam półprzymtomnie. – Bo nawet chciałam z tobą porozmawiać, ale tyle się ostatnio wydarzyło, że już nie wiem, czy się z tobą umówiłam, czy tylko mi się to wydaje.

– Nie byłam zapisana, ale umówiliśmy się, że przyjdę – przypomniała. – Czyżby bezsenna noc...?

Wskoczyła do środka i czujnie rozejrzała się po kątach. Uważnie zlustrowała moje łóżko, ale nie dopatrzyła się niczego podejrzanego w schludnie ułożonej pościeli.

– Szukasz kogoś? – zapytałam.

– Mężczyzny. Nawet dwóch. Mszczuja, który rano przyjechał do mnie po drożdże, żebyś mogła upiec ciasto jego rodzicom, i tego drugiego przystojniaka, który wczoraj o ciebie pytał – odparła z szelmowskim uśmieszkiem.

Bronka rozsiadła się przy stoliku i położyła torebkę na kolanach. Patrzyła na mnie wyczekująco. Sporo jej zawdzięczałam. Niestety za dużo, żeby teraz odprawić ją z kwitkiem i wystawić za drzwi bez słowa wyjaśnienia.

Cholera. Wiedziałam, że nie warto mieć przyjaciół, bo potem trzeba z nimi rozmawiać. Zupełnie nieopłacalne.

– No tak... – westchnęłam i usiadłam naprzeciwko niej. Z czystej złośliwości nie zaproponowałam niczego do picia. Zresztą dobrze wiedziałam, że w razie czego sama się upomni. – Przyjechał do mnie w odwiedziny mój były narzeczony, Bratomił.

– Z tego, co powiedział w sklepie, wynika, że wcale nie jest twoim byłym narzeczonym – wtrąciła szybko i poruszyła zabawnie brwiami.

Zachłysnęłam się.

– Że co proszę?

– A powiedział, żeście nadal sobie obiecani.

– Jak mu przydzwonię w ten pusty łeb...!

Bronka zaśmiała się głośno. Pokiwała głową do własnych myśli, nie mogąc przestać chichotać na mój widok.

– Wyjaśnisz, o co chodzi? – poprosiła.

– O nic. Dawno temu uparł się, że chce mnie poślubić. Mój durny ojciec się zgodził. Zupełnie jakbyśmy nadal żyli w średniowieczu. Obaj tylko zapomnieli, że nie jest mi pisane zarzynieanie się na roli i rodzenie gromadki dzieci, tylko szeptuchowanie. Powiedziałam im o tym, ale jak widać, nie dotarło. Ja przyjechałam tutaj, a Bratomił został w mojej rodzinnej wsi. Nie wiem, po co teraz przyjechał. Nawet nie rozmawialiśmy od tamtej pory. Mogę się natomiast założyć, że mój ojciec maczał w tym paluchy. Matka pewnie też – sarkalam.

Miałam ochotę pobiec czym prędzej na pocztę i nadać do nich obraźliwy telegram.

– I co teraz zrobisz?

– Powiem to wszystko Bratomiłowi jeszcze raz. Niech wraca do domu. Nie widzieliśmy się cztery lata. Nie wiem, co on sobie wyobraża. Że rzucę to wszystko i z nim wyjadę?

Bronka wygładziła barwną, niby-cygańską spódnicę.

– Może nie będziesz musiała mu nic tłumaczyć. Nasz kapłan dzisiaj rano też powiedział mi co nieco.

Poczułam, że robi mi się słabo. Zgodziłam się udawać jego narzeczoną, ale nie pozwalałam mu rozpowiadać na prawo i lewo, że jesteśmy narzeczeństwem. Czyżby...

– Kupując drożdże, powiedział mi, że będziesz piec ciasto dla jego rodziców, bo przyjechali, żeby cię poznać.

– Tak powiedział? – odparłam, czując mdłości. Jeśli Bronka będzie coś wiedzieć, to zaraz całe Bieliny zaczną o tym szeptać.

– Tak. Podobno specjalnie się tu pofatygowali, żeby poznać jego narzeczoną. Jago, jak mogłaś mi nie powiedzieć, że będziecie małżeństwem?! – powiedziała z wyrzutem.

– A bo to jakoś tak... spontanicznie się stało – odparłam słabym głosem, spod którego zaczynała już powoli wyzierać furia. Furia, którą bez namysłu skieruję w stronę Mszczuja, gdy tylko mi się napatoczy.

Bronka zaklaskała radośnie. Oczy jej błyszczały. Wydawała się naprawdę szczęśliwa z powodu takiego obrotu spraw. Aż poczułam się nieswojo.

– To cudowna wiadomość! Kiedy swaćba? Macie już ustalony termin? Kiedy to się w ogóle stało? Bo o tym, że pomiędzy wami iskrzy, to ja już wiedziałam od dawna. Zawsze patrzył na ciebie w taki sposób, jakby chciał cię rozebrać. Ja ci powiem, że trochę nie przystoi, bo nawet na pogrzebach, jak się pochylałaś, żeby wrzucić swoje zioła do grobów, to on ci zawsze na dupę patrzył. Bardzo nas wszystkich, czyli mieszkańców, to zawsze bawiło.

– Och, wspaniale...

Wyobraziłam sobie Mszczuja, który zezuje na moje pośladki. Nie miałam powodów, żeby nie wierzyć Bronce. Zapewne tak było. Kapłan reagował czasem jak nieogarnięty szczeniak. Takie zachowanie idealnie do niego pasowało.

– Już nie udawaj! Przecież dobrze wiem, że go lubisz. Zawsze jesteś dla niego łaskawa. Innych potrafisz obsztorcować z góry na dół, a do niego jakoś zawsze masz więcej cierpliwości i dobrego serca – stwierdziła roześmiana.

Ja i dobre serce... Ledwie się powstrzymałam przed pogardliwym prychnięciem. Chyba jednak nie znamy się z Bronką aż tak dobrze.

– A, powiedz mi, Jago, kim jest taka wysoka kobieta, która przyjechała z rodzicami Mszczuja? Widziałam ją, jak dzisiaj kręciła się koło jego chaty. Czy to jest siostra naszego kochanego kapłana? Bo jakaś taka niepodobna. Chociaż trzeba przyznać, że wysoka jak i on – zaczęła się zastanawiać.

– To jego b y ł a narzeczoną – odparłam.

Bronka o mało nie zachłysnęła się z emocji. Daliśmy jej niezły prezent. Tak soczystych plotek już chyba dawno nie słyszała. Zwykle w naszej sennej wiosce trafiają się pogłoski o jajkach, sianokosach i zbiorach. Od czasu do czasu jakiś kryzys w małżeństwie czy inny

romans na sianie po Nocy Kupały. Dwójka odrzuconych narzeczonych szukających szczęścia to było dla Bronki jak wygrać milion na loterii.

– I co ona tu robi?! – wykrzyknęła.

– Ma nadzieję, że zdoła go odzyskać.

– Nie może być!

– A jednak.

– Czyli i twój narzeczony, i jego narzeczona znaleźli się tutaj w tym samym momencie? To aż podejrzane! Bogowie muszą mieć co do was ciekawe plany!

Pokiwałam głową. Tak, mnie też ten zbieg okoliczności śmierdział na odległość. Muszę się rozmówić ze Swaróżycem. A potem znaleźć winnego i go kopnąć w zadek za takie pomysły.

Drzwi do chaty się otworzyły. Przez próg przeszedł Bratomił, uśmiechnięty od ucha do ucha. Trzymał przed sobą miskę pełną jagód. Zza jego ramienia wychylał się Mszczuj, także z pełną michą. Chyba myśleli, że otwieram piekarnię z ciastem jagodowym, bo przynieśli tego tyle, że się zmarnuje. Dwóch idiotów.

Władowali się do izby bez pytania, czekając na pochwały jak dwa pieski.

– WON! Mam pacjentkę! – ryknęłam.

Pospiesznie wycofali się i cichutko zamknęli za sobą drzwi.

– No, ten Bratomił to przystojny – szepnęła Bronka. – Nawet nie wiem, czy nie lepszy od Mszczuja, chociaż niższy.

– Ale jak wyjdę za Bratomię, to będę musiała wyjechać z Bielin i zająć się rolą.

– Ojej! To nie możesz tego zrobić. Bierz Mszczuja.

Parsknęłam śmiechem. Życie w wyobrażeniach Bronki było bardzo proste.

– Przemyślę sprawę – powiedziałam wymijająco.

– To co? Ja chyba uciekam. Widzę, że ty tu masz pełne ręce roboty – zachichotała.

Bronka wstała i niby przypadkiem podeszła do miski z rosnącym drożdżowym zaczynem. Uniosła ścierkę przykrywającą ciasto. Skrzywiła się.

– I tym chcesz podbić serce przyszłych teściów? – Skrzywiła się. – Kiedy przychodzą? Dzisiaj?

– Na szesnastą.

Westchnęła teatralnie.

– Przywiozę ci ciasto. A to wyrzuc. Zobaczmy się przed czwartą.

– Czeka, czeka! – Zerwałam się z krzesła. – Też chciałam cię o coś zapytać. Za ciasto oczywiście dziękuję, na pewno się przyda, ale jeszcze muszę z tobą porozmawiać.

– Najładniejsze suknie ślubne szyje Władysława z Kielc, zawiozę cię. – Mylnie zrozumiała moje intencje.

– Nie, nie, nie! A dajże ty spokój! – przerwałam jej. – Chciałam cię zapytać o Ludomiłę.

– Och, tak. Biedna. Oby bogowie się nią zajęli... tak jak należy.

W zaden sposób nie potrafiłam się doszukać w jej głosie żalu. Chyba nie przepadała za Ludomiłą.

– Co możesz mi o niej powiedzieć? Z kim się spotykała? – zapytałam.

– A z kim się nie spotykała? – skwitowała złośliwie i ponownie rozsiała się przy stole.

– Kochana! O jej życiu miłosnym to książkę można napisać! Puszczala się na lewo i prawo. Nawet mojego Jarusia usiłowała przekabacić.

Jaruś? Jaruś? A, no tak, jej najnowszy mąż. Bronka, tak jak Ludomiła, nie stroniła od romansów, więc trochę traciłam rachubę w jej kolejnych absztyfikantach. Odkąd się poznałyśmy, miała już chyba kilkunastu facetów, a obecnie była po czwartej bodaj swaćbie. Cały czas uparcie twierdziła, że szuka tego idealnego księcia z bajki. Była przekonana, że on gdzieś istnieje.

Nie mnie oceniać. Może faktycznie go kiedyś znajdzie. Zwłaszcza że mężczyźni lgnęli do wygadanej sklepikarki niczym muchy do miodu.

– Ja to ci powiem, że nie znalazłam Ludomiły. Przychodziła do mnie po specyfiki miłosne. Nie wiedziałam, że używa ich tak... nieroztropnie – wyznałam z rezygnacją. – Myślałam, że pomagam jej znaleźć miłość.

– A to ściera – skwitowała bezwzględnie. – Leciwała na każdego z pieniędzmi. Tyle ci powiem. Nie zwracała uwagi na to, czy facet jest zajęty, czy wolny. Dla niej liczyło się to, czy ma pieniądze i czy te pieniądze da jej w prezencie. Ona, kochana, nie miała pracy i nie chciała jej mieć. Żerowała na swoich biednych rodzicach. Uwierzysz, że cały czas z nimi mieszkała, a wieczorami łąziła po klubach i remizach w całej okolicy?

– Rozumiem. A nie wiesz może, z kim ostatnio się spotykała albo kogo ostatnio próbowała uwieść?

– Boguś z Nowej Słupi – odparła krótko. – Za niecały miesiąc będzie jego swańca. Zagięła na niego parol i nie chciała odpuścić.

Niestety nie znalazłam go. Nie miałam zielonego pojęcia, o kim mówimy. Domyślałam się jednak, że jego narzeczona nie była zadowolona, jeśli Ludomiła kręciła się koło jej wybranka. Może to ona zrobiła jej krzywdę i może wcale nie musiałam się doszukiwać nadprzyrodzonego wytłumaczenia całej tej afery?

– Jak to jest, że ty wszystko wiesz? – zaśmiałam się.

– A co ja mam innego do roboty? – odparła słodko-gorzkim tonem. – Jedź do Bogusia. Jest znany w okolicy.

– Gdzie go znajdzie?

– Ma sklep z akcesoriami dla turystów pod Łysą Górą, w Nowej Słupi.

– Co?

– A sprzedaje takie tam pierdoły, jak magnesy ze zdjęciami i gliniane figurki bogów. Tylko się z niego nie śmieje. On twierdzi, że to poważny biznes. Dobra, Jaga, idę. Mam ciasto do upieczenia.

Bronka podeszła do drzwi.

– Dziękuję ci! – krzyknęłam. – Jak ci się odwzajemnić?

– Zaproś mnie na swoją swańcę i na wieczór paniński. Mogę się założyć, że to będzie impreza, na którą przyjdą nawet bogowie.

Otworzyła drzwi. Po drugiej stronie w milczeniu stali Mszczuj i Bratomił. Patrzyli na siebie wrogo, ale na widok kobiety odrobinę się zmieszali. Bronka bezceremonialnie wyrwała kapłanowi miskę z jagodami, puściła do niego oko i poszła ścieżką w stronę swojego samochodu.

– No, wściekła – rozkazałam.

Mszczuj zerkał niespokojnie na Bratomiła. Ten natomiast skupił się całkowicie tylko na mnie.

– Czy dzisiaj ze mną porozmawiasz? – zapytał bez owijania w bawełnę.

– Mam teraz coś do załatwienia – powiedziałam szybko.

Przez jego twarz przebiegł grymas zawodu. Zaraz jednak na powrót się uśmiechnął. Kiwnął głową.

– Rozumiem. Poczekam. Już i tak długo czekam. Kolejny dzień nie zrobi mi żadnej różnicy. – Wydawał się spokojny, ale w jego głosie było słychać napięcie. – Powiedz mi tylko, czy jest tu gdzieś jakieś miejsce, w którym mógłbym wynająć pokój? Przywykłem do spania na dworze, ale wolałbym porządnie odpocząć przed naszą rozmową.

– W Bieliniach można u niektórych gospodarzy wykupić łóżko – powiedziałam. – Wiele osób się tu zatrzymuje; wiesz, pielgrzymki na Łysą Górę i tak dalej.

– Ja cię mogę zawieźć samochodem – wtrącił Mszczuj. – Pokażę ci, gdzie najlepiej się zatrzymać, żeby z ciebie nie zdarli.

W duchu się uśmiechnęłam. Najwyraźniej chciał się jak najszybciej pozbyć Bratomiła z mojego domu.

– To będzie bardzo miłe z twojej strony – odparł Bratomił.

Mszczuj przez chwilę nie wiedział, jak zareagować. Chyba spodziewał się, że gdzieś w słowach Bratomiła kryje się ironia albo drwina. Ja jednak znałam mojego niedoszłego narzeczonego na tyle dobrze, że wiedziałam, iż mówił teraz szczerze. Bratomił był po prostu miły. Zawsze. Dla każdego. Aż mi się czasami robiło od tego niedobrze. Być może to fakt, że stanowiliśmy swoje całkowite przeciwieństwa, sprawił, że nigdy go nie pokochałam i traktowałam naszą relację wyłącznie jak nic nieznaczący romans.

Przez chwilę poczułam pokusę dokooptowania do auta kapłana. W końcu musiałam jakoś dostać się do Nowej Słupi. Jednak wizja spędzenia z nimi choćby jeszcze chwili skutecznie mnie od tego pomysłu odwiodła.

– To do zobaczenia! – pożegnałam ich z szerokim uśmiechem.

– Porozmawiamy jutro rano – rzucił jeszcze raz Bratomił.

– A my się widzimy o szesnastej! – przypomniał Mszczuj.

– Nie mogę się doczekać! – odpowiedziałam obu, oczywiście całkowicie nieszczerze.



Do Nowej Słupi dotarłam potargana i lekko śmierząca. Całą trasę pokonałam, łapiąc tylko autostop. Dwa razy jechałam furmanką z sianem, a raz samochodem znajomego rolnika, który był także gołębiarzem. Cały tył auta był załadowany klatkami z gołębiami. Smrodek skutecznie przykleił się do mnie i do całego mojego ubrania.

Przyglądziłam włosy na tyle, na ile było to możliwe, otrzepałam sukienkę i weszłam pewnym krokiem do sklepu o nazwie Rozsądny Turysta. Wizja roztoczona mi przez Bronkę sugerowała, że na miejscu znajdę tani kram z pamiątkami. W środku jednak znajdowało się, oczywiście oprócz obowiązkowej tandety sprowadzanej z zagranicy, sporo profesjonalnego wyposażenia. Buty do chodzenia po górach, sprzęt wspinaczkowy, plecaki, lornetki, kaski, rękawice. Czego spragniona przygód dusza turysty tylko zapragnie. Co prawda nie wydaje mi się, żeby w okolicy istniały góry, które wymagałyby takiego sprzętu, ale może się nie znam. W końcu po puszczy łąziłam boso, a nawet nago. Inni widocznie woleli mieć porządne buty.

Podeszłam do kasy, przy której stała kobieta w białej koszulce z logo sklepu. Blond włosy miała postawione nad czołem i mocno natapirowane. Musiała chyba na nie wylać pół butelki lakieru do włosów, żeby osiągnęły tak idealną puszystość. Oczy obwiodła grubą czarną kreską, a na usta nałożyła krwistoczerwoną szminkę. Zawzięcie żuła gumę, raz za razem robiąc różowe balony.

Jak się domyśliłam, była kasjerką. Miała bardzo niezadowoloną minę. Ze złością pilowała długie paznokcie. Sprawiała takie wrażenie, jakby jej życie od tego zależało.

– Dzień dobry. Czy zastałam właściciela? – zapytałam. – O ile się nie mylę, ma na imię Bogusław, tak?

Kobieta w jednej chwili zamieniła się z niezadowolonej we wściekłą. Ścisnęła pilnik w pięści. Wyglądała tak, jakby miała mnie zaraz zaatakować. Żyły na jej szyi nabrzmiały i przypominały grube postronki. Otworzyła usta i wystawiła zęby. Patrzyłam oniemiała. Spokojnie mogłaby udawać żądną krwi demonicę.

– Czego tu szukasz, suko?! – wrzasnęła.

Kilku klientów stojących przy drzwiach i oglądających pocztówki czym prędzej wyszło. Przyszłam, że także poczułam się nieswojo. Zwłaszcza że cała agresja była skierowana w moją stronę.

– Wydaje mi się, że wyraziłam się jasno. Szukam właściciela tego sklepu – powiedziałam spokojnym głosem i uniosłam do góry dłoń, żeby pokazać jej, że nie mam złych zamiarów.

Kobieta wyskoczyła zza lady i wyciągnęła w moją stronę pilnik. Poczułam, że się pocę.

– Znikaj stąd – wycedziła.

Nagle za jej plecami na zapleczu usłyszałam ruch. Czerwona kotara, która zasłaniała wejście, została przez kogoś gwałtownie podrzucona do góry. Zanim zorientowałam się, co się dzieje, poczułam na gardle dotknięcie metalowego pilnika. W tym samym momencie mężczyzna z zaplecza krzyknął:

– Stop! Nie mam z nią nic wspólnego!



– Dzień dobry – powiedziałam spokojnie.

To nie było łatwe, ale nawet się nie skrzywiłam, kiedy ostry pilnik zranił mi skórę. Teoria, że to narzeczona Bogusia zabiła Ludomiłę, nagle nabrała dużego sensu. Chyba powinnam o niej opowiedzieć policji. Może by się ode mnie odczepili.

– Bogusia, zostaw! – rozkazał.

Stojąca obok mnie kobieta nie odpuszczała.

– Co to za suka?! – wrzasnęła. – Kolejna twoja lafirynda?

– Nie znam jej!

– Nie znam go! – powiedzieliśmy jednocześnie.

Bogusia powoli odsunęła rękę z pilnikiem. Nadal patrzyła na mnie nieufnie, ale już schowała zęby. Podeszła bliżej swojego ukochanego i zaparła się pod boki. Wyglądała, jakby nadal w każdym momencie mogła mnie zaatakować.

– Przepraszam – burknęła nieszczerze.

Dotknęłam szyi. Na opuszcze palca zobaczyłam kropelkę krwi. Też chcę taki ostry pilnik! Przydatny gadżet. Niby niewinny, a w razie czego...

– Dzień dobry jeszcze raz. Jestem Jarogniewa, szeptucha z Bielin. Jak już mówiłam, szukam właściciela tego sklepu, pana Bogusława – powiedziałam.

Agresywna kobieta spokorniała jeszcze bardziej.

– Przepraszam – powtórzyła, tym razem już szczerze.

Nie ma to jak przestraszyć kogoś swoją profesją.

– Ja jestem Bogusław, ale proszę mi mówić Boguś – powiedział mężczyzna. – To moja narzeczona, Bogusia.

Uśmiechnęłam się krzywo, nie mogłam się powstrzymać.

– Tak, tak, zbieżność imion jest intrygująca – zgodził się ze śmiechem. – Wszystkich, łącznie z nami, to bawi. W czym mogę pomóc szanownej pani?

– Czy znał pan Ludomiłę z Bielin?

Po tym pytaniu Bogusia znowu zamieniła się w potwora w ludzkiej skórze. Obnażyła zęby, zacisnęła pięści i pochyliła się, jakby szykowała się do walki. Strzelała oczami na prawo i lewo.

– Jest tu gdzieś? – krzyknęła.

– Nie, nie ma jej – powiedziałam szybko. – Już jej pani nie zobaczy, bo Ludomiła nie żyje.

Z kobiety po raz kolejny uszło powietrze. Obserwowałam ją bardzo uważnie, starając się dostrzec chociaż cień fałszu w jej zachowaniu. Jednak i ona, i Bogusław wydawali się szczerze zadziwieni śmiercią mojej klientki.

– Ale jak to? – zareagował w końcu Boguś.

– I bardzo jej tak dobrze – skwitowała Bogusia.

– Jak widzę, świetnie ją znaleźcie – odparłam lekko.

Właściciel zaczerwienił się z zażenowania, a jego narzeczona z wściekłości. Czekałam cierpliwie, aż zaczną mówić. Nie chciałam wyciągać z nich informacji za pomocą pytań, żeby im czegoś nie zasugerować. Nie wiem, czy na pewno tak robi policja, ale postanowiłam zabawić się w detektywa.

– Może zamknę sklep i przejdziemy na zaplecze – zaproponował Boguś. – To będzie dłuższa rozmowa, nie powinniśmy odbywać jej w biegu i... przy ewentualnych świadkach. Bogusiu, może poczęstuj panią ciastem, a ja zaraz wrócę.

Bogusia bez słowa ruszyła na zaplecze.

Poszłam za nią do kanciapy za kotarą, ale za ciasto grzecznie podziękowałam. Niby wyglądało na to, że nie zabili Ludomiłę, ale nie oszukujmy się – detektyw ze mnie jak z koziej dupy trąba. Może tak naprawdę ją zaciukali, a mnie zaraz otrują ciastem. Lepiej

być podejrzliwym a żywym niż ufnym i martwym. Postanowiłam, że to będzie moja nowa dewiza życiowa.

– Tu chyba możemy porozmawiać w spokoju – powiedział Boguś i usiadł naprzeciwko mnie.

Bogusia zajęła miejsce tuż obok niego. Nie przyjęła jednak pozycji słabszej niewiasty, która kryje się w tle ukochanego. Rozstawiła szeroko nogi, podparła się i wysunęła głowę naprzód. Sprawiała wrażenie, jakby zamierzała znokautować każdego, kto tylko dotknie jej ukochanego. Na wszelki wypadek się cofnęłam.

– To zacznijmy. – Kiwnęłam głową.

Lekko się zmieszali. Spojrzeli na siebie, a następnie na mnie. Uniosłam brwi, zachęcając ich do mówienia.

– Popeliłem błąd – powiedział Boguś. – Ludomiła przysłała do sklepu jakieś dwa, trzy miesiące temu. Chciała kupić buty trekkingowe do chodzenia po lesie, sprzęt do wspinaczki, kask z latarką i porządną łopatę. A potem... potem jakoś tak wyszło, że poszliśmy na kawę...

– I dupczyłeś – dokończyła Bogusia. – Przed ślubem. Przed ślubem ze mną.

Rzucił jej spłoszone spojrzenie.

– Przepraszam – pisnął.

– No ja myślę – warknęła. – Masz zakaz patrzenia na kobiety.

Przeglądałam się tej scenie rodzajowej z rosnącą fascynacją. Mimo że Bogusław był wyższy i miał aparycję zawodniaka z remizy, to jakimś cudem w połączeniu z Bogusią kurczył się i kurczył, aż wydawał się całkiem malutki i spłoszony.

– I tak po prostu od kawy do... seksu? – Jakoś określenie użyte przez Bogusią nie potrafiło mi przejść przez gardło.

– Nie wiem, co mnie opętało. W sklepie nic nie wskazywało na to, że tak się to skończy. Naprawdę! Rozmawialiśmy o chodzeniu po szlakach. Ludomiła pytała o mapy i o wskazówki. Nie miałem akurat tego, czego szukała. Nie pasowało jej podejść w godzinach, kiedy czynny był sklep, więc umówiliśmy się wieczorem w kawiarni. I tyle! Ja naprawdę nie wiem, jak to się stało, że następnego dnia obudziłem się razem z nią w łóżku.

Niespodziewanie w oczach Bogusi pokazały się łzy.

– Znarkotyzowała cię jak nic! – powiedziała łamiącym się głosem.

– Na pewno – odparł z mocą i złapał ją za rękę.

No ludzie, kino.

Odchrząknęłam.

– I co dalej? – zapytałam.

– Nic, naprawdę! Przysięgam na dusze przodków – powiedział Bogusław.

– O, to duża przysięga – ostrzegłam. Co jak co, ale dziady potrafią być mściwe. Lepiej na nich nie przysięgać, bo jak opuszcza Welesowe Pola podczas obchodów ich święta, to może być źle.

– Mówię prawdę! Więcej się z nią nie widziałem. Zabrała mapy, które jej przywiozłem, i pojechała.

Cała ta historia nijak mi się nie kleiła. Nie znałam dobrze Ludomiły, ale z tego, czego zdołałam się dowiedzieć, raczej nie była fanką pieszych wycieczek po puszczy. Pamiętam, że nie znalazłam u niej w pokoju butów trekkingowych. Oczywiście mogła je schować gdzie indziej w domu rodziców, ale jej mama wyraźnie twierdziła, że ona nie ma żadnych zainteresowań oprócz wyglądu.

– A kupiła od ciebie sprzęt? Czy tylko mapy?

– No właśnie... – Poczterwieniał jeszcze bardziej.

Bogusia natomiast zacisnęła wargi w wąską kreskę i posłała narzeczonemu pełne wyrzutu spojrzenie.

– Jak była w sklepie, to nie miała pieniędzy. Umówiliśmy się, że zapłaci w kawiarni, a potem jakoś tak znaleźliśmy się u mnie. Ona rano zabrała rzeczy i uciekła, a Bogusia przyszła i...

Odruchowo podrapał się po wnętrzu dłoni. Zauważyłam, że miał tam długą nierówną bliznę sprawiającą takie wrażenie, jakby powstała wskutek obrony. Musiał zasłonić się dłonią, gdy zaatakowano go czymś ostrym, na przykład nożem. Zerknęłam na Bogusię, która nadal bezwiednie bawiła się metalowym pilniczkiem.

Albo niezwykle ostrym pilniczkiem. Naprawdę muszę sobie taki kupić! Ostry, skuteczny i mieści się do torebki.

– Rozumiem. Czyli podstępem pana odurzyła, wykorzystała, a następnie okradła? – upewniłam się.

Wiem, że miałam niczego nie sugerować, ale to aż się prosiło o podsumowanie.

– Tak! – potwierdził z mocą.

– A zgłosił to pan na policję?

– No nie.

– A czemu?

– Wstyd przez babę być wykorzystanym. Ja, taki wielki, silny chłop...

Zerknęliśmy na siebie z Bogusią.

– Ludomiła była moją klientką. – Postanowiłam grać w otwarte karty. – Ukrywała przede mną swoje prawdziwe motywy i wyludzała napoje miłosne. Teoretycznie pasowałyby to do waszej historii.

Bogus znowu gorliwie pokiwał głową. Wyraźnie był rad, że podałam mu na tacy wygodne wytłumaczenie. Podły kłamczuch. Całe szczęście, że trafiła na kobietę, która nie da sobie w kaszę dmuchać.

– Wiedziałem! Wiedziałem! – Aż się zapowietrzył.

Ledwie się powstrzymałam przed przewróceniem oczami.

– A nie macie może przypadkiem podejrzeń, gdzie Ludomiła zamierzała wyruszyć na pieszą wędrówkę? Ten sprzęt był jej przecież do czegoś potrzebny.

Oboje wzruszyli ramionami. Bogus zapatrzył się w dal, jakby grzebał w odmętach swojej pamięci, i po chwili wyprostował się gwałtownie.

– Zaraz! Nie jestem pewien, bo ona na pewno dorzuciła mi czegoś do tej kawy i zupełnie nie myślałem jasno. Wspomnienia mi się zatarły przez to. Tak, tak, ale chyba sobie przypominam.

Bogowie, miejcie mnie w swojej opiece, bo już dłużej tu nie wysiedzę. Niechże on wystęka wreszcie to, co wie.

– Mówiła, że chce szukać źródła Mokosz. A w każdym razie tak mi powiedziała. Możliwe jednak, że kłamała. Kłamała?

Zamarłam. Czas mijał, a ja trwałam w bezruchu. Wbili we mnie wyczekujące spojrzenia.

– Nie, nie mam zielonego pojęcia, o co chodzi – powiedziałam w końcu zgodnie z prawdą. Pierwsze słyszałam o jakimś źródle Mokosz.

Cholera, niezbyt dobrze to o mnie świadczyło. W końcu jestem szeptuchą... Bogus i Bogusia także wyglądali na zawiedzionych.

Doszłam do wniosku, że to chyba dobry moment, żeby się pożegnać.

– W takim razie już pójdę, bardzo dziękuję za wszystkie informacje. Niestety pewnie policja jeszcze się z wami skontaktuje – wyrzuciłam z siebie jednym tchem i w dwóch krokach znalazłam się przy zasłonce prowadzącej do sklepu.

– Szeptucho, zaczekaj! – W miejscu zatrzymał mnie głos Bogusi.

– Tak?

– A może chciałybyś przyjść na naszą swaćbę i wesele? – zaproponowała.

Przyznaję szczerze, że trochę się zdziwiłam. Wiem, że każdy chce mieć na swoich imprezach wśród gości szeptuchę, bo to jakkolwiek by patrzeć, darmowa pomoc medyczna. Niemniej jednak nie byliśmy przyjaciółmi, a dzisiejszy początek naszej znajomości był, że tak powiem, dość burzliwy.

Sięgnęła do leżącej nieopodal na półce torebki i wyciągnęła z niej ozdobne zaproszenie. Uśmiechnęłam się w duchu. Zaproszenie nie było imienne. Na ozdobnej kartce po prostu widniała data i miejsce uroczystej swaćby, a następnie weselicha. Nawet, co całkiem niecodzienne, nie wpisano imion młodych.

Z zadowoleniem zauważyłam, że nie będę miała daleko. Swaćbę organizowali pod świętym dębem w puszczy, a wesele w stodole na samym krańcu Bielin. Spodobała mi się wizja takiego przyjęcia. Zapowiadało się na hipisowską imprezę w belach siana.

– Proszę, dla ciebie i dla jednej osoby towarzyszącej – powiedziała, podając mi je.

– Och, tylko dla jednej? – zaśmiałam się cicho.

Mszczuj będzie musiał pobić się z Bratomilem.

– Słucham? – zdziwiła się.

– Nic, nic. Bardzo dziękuję. Na pewno przyjdę.

I, o dziwo, naprawdę zamierzałam przybyć.



Bronka przyniosła mi ciasto. Po prostu idealne ciasto, by zachwycić przyszłą teściową. Sama nigdy bym takiego nie zrobiła. Leciutki jak chmurka biszkopt przykryty był żelowanymi jagodami, a na tym wznosiła się bielutka beza. Ciężko w zasadzie było nazwać je ciastem. Jak dla mnie to był tort. Nie wiem, gdzie Bronka nauczyła się tak piec, ale zamiast spożywczaka powinna otworzyć cukiernię.

Postawiłam wypiek na stole, obok talerzyki w odpowiedniej liczbie i oczywiście srebrne sztuce po babci. Na piecu grzała się powoli woda, żeby zalać nią mieszankę ziołową mojego autorstwa. Susz już czekał w dzbanuszkach.

Przebrałam się w moją najładniejszą spódnicę, krwistoczerwoną. A do tego włożyłam czarną, modną ostatnio bluzkę w stylu carmen, z odkrytymi ramionami. Na szczęście po powrocie z Nowej Słupi zdążyłam jeszcze szybko wykąpać się w jeziorze. Dzięki temu nie śmierdziałam podróżą, nawet moje włosy postanowiły wyglądać całkiem nieźle.

Usłyszałam duszący się spalinami samochód Mszczuja. Zerkałam zza firanki, jak moi goście wysiadają. Najpierw smukła jak trzcina matka Mszczuja, następnie lekko zgarbiony wiekiem ojciec, a potem... co do cholery?! Ścibora ledwie wycisnęła się z tylnej kanapy. Podwozie uniosło się do góry ze zgrzytem, gdy wreszcie się wydostała. Wstrząśnięta patrzyłam, jak prostuje swoje dwumetrowe ciało składające się praktycznie z samych mięśni. Najwyraźniej podróż ciasnym autem dała jej się we znaki.

– Szlag by to – zakląłam pod nosem.

Moi przyszli „teściowie” nie spieszyli się, żeby wejść do chaty. Matka kapłana ostentacyjnie zaczęła wachlować się dłonią. Komentowała moją chatę i ogród. Nie słysząc jej słów, ale sądząc po pełnej niesmaku minie, raczej nie były to komplementy.

Oburzyłam się. Od frontu już całkiem nieźle wyglądała. Panował lekki bałagan, bo nie było równych kwiatowych grządek, tylko taka jakby półdzika łąka, ale dzięki temu przez niemal całą wiosnę i lato coś kwitło. Udało mi się też pobielić ściany chaty, dzięki czemu wyglądała czysto. Dach wciąż wymagał napraw, ale przecież nie sprawiał wrażeń, jakby miał się zawalić.

– Mogę ich spalić w jednej chwili – odezwał się niski, zmysłowy głos za moimi plecami.

Nie wiem, jakim cudem nie podskoczyłam z dzikim wrzaskiem. Chyba po prostu powoli przyzwyczajałam się do tego jego wiecznego skradania się.

– Swarożycu, co ja ci mówiłam o pukaniu? – zapytałam z przekąsem.

Mszczuj właśnie zaczął klócić się z matką. Chyba próbował mnie bronić. Jego ojciec przyglądał się temu znudzony, a Ścibora sprawiała wrażenie przeszczeniwej. Masowała pięści, zupełnie jakby szykowała się do bitki.

Swarożyc stanął obok mnie i także wyjrzał przez okno. Czym prędzej go odepchnęłam, opierając dłonie na jego nagiej piersi. Jeszcze tego brakowało, żeby zobaczyli, że obściskuję się z gołym chłopem.

Szybko cofnęłam ręce. Skóra boga była rozpalona, jakby trawiła ją wysoka gorączka. Albo jakby krew gotowała mu się pod skórą. W zasadzie obie te możliwości były prawdopodobne. Boska fizjologia to raczej zagadka niż powszechnie znany zestaw faktów.

– Nie żartowałem. Naprawdę mogę ich spalić – powtórzył.  
– Wiem, nawet mam ochotę ci na to pozwolić. Tylko że tak nie działa ludzki świat. Muszę stawić im czoło.

– Po co? Przecież to wszystko kłamstwo – powiedział. – Nie jesteś narzeczoną tego marnego człowieka.

Obruszyłam się. Ja mogę wyzywać Mszczuja, jak mi się podoba, ale nikomu więcej na to nie pozwalałam.

– Nie mów tak o nim!

– A skłamałem?

– Mszczuj jest wspaniałym człowiekiem – oświadczyłam.

– Tylko ma jedną wadę.

A żeby jedną...

– Niby jaką? – prychnęłam.

– Jest człowiekiem. W przeciwieństwie do mnie.

Przyjrzałam mu się uważnie. Chyba wreszcie zbliżyliśmy się do momentu, gdy wykrztusi, czego tak naprawdę ode mnie chce.

– Nie musisz się bawić w te podchody. O co chodzi? – zapytałam.

– Mam dla ciebie zadanie, strażniczo mojego ognia.

– To wiem! Ale jakie? Wyduś to wreszcie. Nie ma czasu. Zaraz przyjdą!

– Musisz pójść do lasu, znaleźć dla mnie pewne miejsce.

– Jakie?

– Pewne bagno. Przyjdź nocą nad jezioro. Powiem ci wtedy więcej.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, drzwi do mojej chaty otworzyły się gwałtownie. Bóg zniknął w jednej chwili, a najbliżsi Mszczuja, nie czekając na zaproszenie, wparowali do środka.

Matka od razu zasiadła przy stole, nawet nie zaszczycając mnie spojrzeniem. Całą swoją uwagę skupiła na wnętrzu. Jej mocno ściągnięte brwi raczej nie pozostawiały złudzeń, co sądzi o jednoizbowym rustykalnym wnętrzu.

Ojciec przywitał się zdawkowo słowami:

– Pokój dla domu.

Więcej nic nie powiedział ani niczym się nie interesował. Usiadł na drugim krześle, obok swojej małżonki. Wbił wzrok w jakiś daleki punkt za oknem i najzwyczajniej w świecie udawał, że wcale go tu nie ma. Nie potrafiłam rozgryźć tego człowieka. Był surowy, bezkompromisowy i trochę okrutny, sądząc z relacji bielińskiego wróża. Przy swojej małżonce natomiast sprawiał wrażenie lekko wycofanego i spokojniejszego. Zupełnie jakby to ona grała pierwsze skrzypce, gdy byli razem. Być może faktycznie była lepsza w narzekaniu i wytykaniu błędów.

Miałam przygotowane jeszcze jedno krzesło, pożyczone od sąsiadów, na którym sama zamierzałam usiąść, oraz zydelek o trzech odrobinę nierównych nogach dla Mszczuja. Z racji niewielkiego metrażu nie miałam zbyt wielu sprzętów. I tak ledwie można było się ruszyć w chacie bez potrącenia jakiegoś mebla. Chata nie była duża, a musiałam tu zmieścić ogromny piec, niedużą szafkę z blatem, na której stała między innymi miednica oraz deska do krojenia, pojedyncze łóżko, okazałych rozmiarów drewniany kredens z większością moich specyfików, balię, której rzadko używałam, bo wołałam kąpać się w jeziorze, oraz wąską szafę, zapakowaną specyfikami mojej produkcji, a nie ubraniami.

Przy samym wejściu do mikroskopijnej sieni znajdowały się niewielki okrągły stół i dwa krzesła. To tutaj przyjmowałam klientów. Pod oknem stała jeszcze ławka, ale była bardzo ciężka i nieporęczna. Przy stole w ogóle by się nie sprawdziła. Dodatkowo zastawiłam ją wiklinowymi koszami, w których trzymałam jajka, owoce i warzywa. Ława pełniła funkcję mojej spiżarni.

Gdybym wiedziała, że Motylek przydzie razem z nimi, to pożyczylabym od sąsiadów dwa krzesła, a nie jedno. Siedzenie przeznaczone dla mnie oczywiście zajęła Ścibora. Drewno jęknęło głucho pod jej grubymi udami. Nie miałam ochoty odkupować sąsiadom tego mebla. Mam nadzieję, że się pod nią nie załamie.

– Dzień dobry, kochanie! – zaszczębiał Mszczuj, który dopiero po chwili wszedł do środka. W rękach dzierzył ogromny bukiet polnych kwiatów. Pomiędzy ostróżkami, maciejkami i rozchodnikiem oraz chyba ukradzionymi komuś z ogrodu aksamitkami dominowały czerwone maki. Niestety, jak to maki, od razu po zerwaniu zaczęły więdnąć.

Kapłan pochylił się, żeby cmoknąć mnie w policzek. Złapałam go za koszulę i zmusiłam, żeby bardziej się pochylił.

– Co ona tu robi? – wyszczałam mu prosto do ucha.

– Nasza kochana Motylek nudziłyby się sama w wynajętym mieszkaniu – odpowiedziała zamiast kapłana jego matka. – Chyba nie masz nic przeciwko temu, że ją zabraliśmy? Jest dla nas jak córka i zawsze naszą córką pozostanie.

– Ależ skąd – zaprzeczyłam nieszczerze. – To bardzo miłe, że państwa przyszywana córka chce poznać narzeczoną swojego prawie brata.

Ścibora się zatchnęła, a matce Mszczuja oczy wyszły z orbit.

– Nie taka córka! – oświadczyła oburzona.

– Och, proszę o wybaczenie, nie zrozumiałam – szybko się pokajałam.

Mszczuj usiadł na chybotliwym zydelku, a ja zostałam bez wolnego miejsca. Na twarzy Ścibory pojawił się uśmiešek pełen satysfakcji. Nie przejełam się tym zbyt. Nie miałam wystarczająco dużego wazonu, więc bukiet umieściłam w czerwonym emaliowanym garnku i zostawiłam na kuchennym blacie.

Zaczęłam kroić ciasto. Nadal uważałam, że wygląda perfekcyjnie. „Teściowa” rzuciła mi pełne powątpiewania spojrzenie.

– Sama upiekłaś? – zapytała. – Tu? W tej... kuchni?

– Ależ oczywiście – zapewniłam ją najszczerzym tonem, na jaki było mnie stać. – Proszę się częstować. Czego się napijecie? Mam pyszną mieszanekę ziołową, którą sama...

– Herbaty – przerwała mi bezceremonialnie matka Mszczuja. – Herbaty. Zwykłej. Tylko w czystej szklance.

– Ależ oczywiście – powtórzyłam niewzruszonym tonem, mimo że w środku cała się gotowałam. – Tato?

Stary kapłan w pierwszej chwili nie załapał, że mówię do niego. W przeciwieństwie do Ścibory, której policzki stopniowo ciemniały.

– Och, ja poproszę... wszystko jedno – odparł zmieszany.

Stół lekko zadrgał, kiedy szacowna małżonka kopnęła go w goleń. Trzeba przyznać, że dzielnie nawet się nie skrzywił.

– Ściboro? – zapytałam.

– Ja niczego od ciebie nie chcę.

– I słusznie, i słusznie. – Pokiwałam głową. – Mszczuju, mój kochany, tobie dam mojego naparu.

Nic nie odpowiedział. Motylek piorunowała go wzrokiem, a on powoli opuszczał głowę coraz to niżej między ramiona. Tchórz przebrzydły.

– Mszczuju, nałóż wszystkim ciasta na talerzyki – rozkazałam, żeby go czymś zająć.

Na szczęście posłuchał, więc miałam czas spokojnie przygotować napoje i przynieść je na stół. Mimo że Ścibora nie chciała niczego pić, to postawiłam jej pusty kubek w koszyczku. Być może jeszcze zmieni zdanie i napije się moich ziółek.

Niewiele myśląc, usiadłam Mszczujowi na kolanach. Nie zamierzałam stać przez całe popołudnie. Zydelek przechylił się niebezpiecznie, ale kapłan zdołał złapać równowagę

i nie wywaliliśmy się na podłogę. Jedną dłoń położył na moim biodrze. O dziwo, nie drżała ani nie była spocona. Ledwie się powstrzymałam, żeby go głośno nie pochwalić.

– Smaczno! – powiedziałam, ignorując kolejne jadowite spojrzenie Ścibory.

Była zazdrosna. Też miała ochotę usiąść kapłanowi na kolanach. Zapominała tylko, że te jego patykowate nogi pękłyby chyba pod jej ciężarem.

Ojciec Mszczuja spróbował ciasta Bronki. Widać było, że mu smakuje, ale ze względu na małżonkę powstrzymał się przed komplementami. Matka nie miała zamiaru nawet tknąć widelca. Uniosła do góry filiżankę z herbatą i skrzywiła się, gdy dotarł do niej aromat. Nie mam pojęcia, o co jej chodziło. Zwykła, najtańsza czarna z wiejskiego sklepu. Wiadomo przecież, że nie hoduję sama liści ani ich nie suszę. Na litość, do szeptuchy przychodzi się przecież po mieszanki ziół, a nie na herbatę zbieraną i suszoną w Indiach.

Mszczujowi nie było wygodnie, ale jako że był łakomy, to trzymając mnie jedną ręką, drugą czym prędzej jadł. Jego widelczyk miarowo uderzał o talerzyk.

– Bardzo dobre ciasto! – pochwalił mnie, a następnie zapytał z niedowierzaniem: – Sama upiekłaś?

Jego matka rzuciła mi pełne triumfu spojrzenie.

– Tak, najukochańszy – potwierdziłam i niby przypadkiem wbiłam mu łokieć w żołądek.

– Nie czujesz? Dodałam jagód, które sam rano zbierałeś, bo tak ci na mnie zależy.

– No tak – sapnął.

– A może macie ochotę napić się jednej z moich nalewek? – zapytałam zebranych. – Na rozluźnienie atmosfery najlepszy będzie likier poziomkowy.

– Myślę, że powinniśmy przejść do rzeczy. – Matka Mszczuja całkowicie zignorowała moją propozycję i odstawiła kubek z trzaskiem. Cud, że nie pękł. – Nie ma czasu na głupoty. Uważam, że już najwyższy czas przerwać tę farsę. Wszyscy dobrze wiemy, w jakim celu tutaj przyjechaliśmy.

– Mamo... – zaczął Mszczuj, ale nie pozwoliła mu dokończyć.

– Mszczuj poślubi Ściborę – powiedziała twardo. – Są sobie obiecani, odkąd byli dziećmi. Taka jest nasza decyzja.

– Ale to nie jest decyzja Mszczuja – odparłam. – A nie zdoła pani powiedzieć za niego „tak” podczas ceremonii.

– Mój syn powinien wreszcie przypomnieć sobie o swoich powinnościach! – wycedziła. – Wychowaliśmy cię, wykształciliśmy. A ty tak nam się odwzięczasz? Uciekasz z domu i łamiesz dane słowo?!

– Mamo, nie jestem już dzieckiem – odparł.

– A zachowujesz się jak rozwydrzony bachor! Nie tak cię z ojcem wychowaliśmy!

– Ja... ja... ja... – jękał się w emocjach.

– Ja nie mam ci za złe, że się pogubiłeś – wtrąciła szybko Ścibora. – To ta czarownica namieszała ci w głowie. Pewnie otruła cię jakimiś ziołami!

Ojciec Mszczuja, pijący mój napar, zmieszał się i czym prędzej odstawił kubek. To wszystko powoli zaczynało zamieniać się w farsę. Najgorsze, że musiałam w tym uczestniczyć, bo dałam słowo Mszczujowi.

Wstałam i ostentacyjnie otrzepałam spódnice. Myślałam, że wtedy zwrócę na siebie ich uwagę, ale najwyraźniej nawet tego nie zauważyli. W sumie nie dziwię się. Kiedy siedziałam kapłanowi na kolanach, moja głowa znajdowała się mniej więcej na tej samej wysokości co wtedy, kiedy stałam.

– Nie pogubiłem się. Wy nic nie rozumiecie! Ja kocham Jagę!!! – wykrzyknął, a następnie rzucił mi spłoszone spojrzenie.

No i masz ci los. Mówił szczerze.

– Kurwa – mruknęłam.

– Nic mnie nie obchodzą twoje uczucia! – wybuchła jego matka.



– Kurwa! – powtórzyłam tym razem z lekkim niedowierzaniem. Co za babsztyl francowaty! Własnemu dziecku tak mówić. Na dodatek takiemu sympatycznemu!

Jako że nikt nie zwracał na mnie uwagi, podeszłam do swojej torebki i zaczęłam w niej grzebać. Gdzieś mi to wypadło, chyba tutaj...

– Jak możesz mówić, że ją kochasz! – przejęła pałeczkę Ścibora. – Przecież my jesteśmy sobie przeznaczeni!

– Wybacz, Motylku, naprawdę nie jest moim zamiarem skrzywdzenie ciebie. Znamy się przecież od dziecka. Bardzo cię lubię i szanuję. Poza tym wiesz, że nie skrzywdziłbym nawet muchy. Chodzi o to, że ja nigdy do końca nie czułem, a w każdym razie jakoś się tak nie zdarzyło, żebym poczuł do ciebie to, co najwyraźniej ty do mnie czujesz. Chociaż nie przeczę, jestem zaszczycony i to bardzo mi pochlebia, że najwyraźniej uważasz mnie za interesującego – zaczynał powoli mieszać się w swoich wyznaniach Mszczuj.

– Chcę cię poślubić – oświadczyła kategorycznym tonem.

– Ja rozumiem, ale...

– Synu, chyba ja teraz powinienem coś wtrącić – odezwał się stary kapłan. – Rozumiem, że chciałeś się wyszaleć, poznać smaki i uroki życia, zacerpnąć wody z kilku studni, że tak powiem... – Zerknął na mnie znacząco. – Uważam jednak, że czas już wrócić do d o m u. Nasz chram na ciebie czeka. Nasi w i e r n i na ciebie czekają. Musisz przejść po mnie opiekę nad społecznością. Takie jest oczekiwanie c a ł e j naszej społeczności. Nie chcesz chyba zawieść naszych wiernych oraz, co nawet ważniejsze, nie chcesz chyba zawieść b o g ó w. A przecież to rozumiałe, że nie weźmiesz ze sobą t e j kobiety. W Gdańsku jest aż nadto dobrych szeptuch. Przybłądy znikąd nie są nikomu potrzebne.

No proszę. Wcześniej aż tak się przy mnie nie rozgadywał, ale najwyraźniej słowotok to cecha dziedziczna, która przeszła na Mszczuja bezpośrednio od jego ojca.

– Ja nie wracam nad morze – oświadczył kategorycznie Mszczuj. – Tu jest moje miejsce. Tu są moi wierni.

– Głupota. Ścibora przecież się tu nie przeprowadzi. To jakaś zabita dechami dziura! – stwierdziła jego matka.

– To mój dom – oświadczył z godnością. – Tu są ludzie, za których jestem odpowiedzialny. Ludzie, którzy mi ufają! Nie zostawię ich. Długo budowałem nasze relacje, nie mogę teraz odejść. – Odwrócił się do ojca. – Ty chyba rozumiesz, co to powinność – wytknęła mu.

– Rozumiem, co to powinność wobec rodziny – odbił piłeczkę stary kapłan.

Namacalam wreszcie w mojej torebce, a dokładniej mówiąc, płóciennym worku ze sznurkiem na jedno ramię, który sama uszyłam i zabierałam wszędzie ze sobą, to, czego tak usilnie szukałam od dłuższej chwili. Odrobinę mi się przybrudziło od dojrzałych śliwek, które kupiłam okazjnie od lokalnego rolnika, a których zapomniałam wypakować. Będzie musiało wystarczyć.

– Ojcze...

– Synu...

– Dość tej farsy! – wykrzyknęła znowu jego matka.

Już żałowałam tego, co zamierałam zaraz zrobić. A co gorsza, nie miałam pojęcia, jak i czy w ogóle zdołam to odkręcić.

Żałowałam tym mocniej, że Mszczuj szczerze wyznał mi właśnie miłość, i jeszcze nie wiedziałam, co to dla mnie znaczy.

Odetchnęłam głęboko i postanowiłam, że raz się żyje. Do dzieła!

– Zgadzam się z panią! – Podeszłam do stołu i rzuciłam na środek zaproszenie na swańbę Bogusi i Bogusia. – Mamo, tato, bardzo się cieszę, że przyjechaliście, bo nie musimy już wysyłać wam zaproszenia pocztą. Droga Ściboro, jak sama rozumiesz, nie jesteś zaproszona. Niepodobne, żeby ktokolwiek zapraszał na własną swańbę swoją byłą

narzeczoną. To mogłoby skończyć się tylko kłopotami, a i tobie chciałabym ułatwić, jak tylko się da, pożegnanie się z Mszczujem. Wobec czego radzę ci z dobroci serca, rzecz jasna, abys jak najszybciej wyjechała z Bielin.

– Co...? – zapytali chórem dosłownie wszyscy poza mną.

Całe szczęście, że zaproszenie narzeczeństwa z Nowej Słupi było kompletnie anonimowe. No z nieba mi spadło. Nie wiem, czy Swarozyc maczał w tym swoje płonące paluchy, czy jakieś inne bóstwo, ale naprawdę dobrze się stało.

– To zaproszenie na naszą swačbę i wesele – wyjaśniłam spokojnie.

Zdruzgotana matka Mszczuja wzięła je w drżące z emocji ręce i dokładnie obejrzała z obu stron. Następnie podała je równie wstrząśniętemu ojcu.

– Ale to za miesiąc! – zawołała.

– Niecały! – dodał ojciec.

– Tak – potwierdziłam.

– Tak? – zgodził się niepewnie Mszczuj.

– A ty, jak rozumiem, znowu zapomniałeś zapowiedzieć we wsi, że wszyscy zaproszeni? – zapytałam go, udając wyrozumiałą. – Oj, mój kochany zapominalski kapłan. Przecież to już niedługo, nasza uroczystość.

Pogłaskałam go czule po kasztanowej czuprynie. Moja dłoń zjechała na jego kark. Lekko zacisnęłam palce na jego kudłach, żeby sobie nie myślał, że to wszystko mi tak lekko przychodzi. Miałam gorącą nadzieję, że teraz rodzice kapłana się na nas obrażą, spakują manatki i wyjadą czym prędzej na Pomorze.

Wtedy nie trzeba będzie dłużej ciągnąć tej farsy.

– Nie może być! Chyba mi słabo! – oświadczyła mdlejącym głosem matka Mszczuja.

– To co? Może jednak naleweczki? – zapytałam słodko i zatrzepotałam rzęsami.

– Ja na pewno poproszę – odezwał się Mszczuj.



Lampa naftowa rzucała ciepłe światło. Było odrobinę rozedrgane i sprawiało wrażenie, jakby zaraz mogło zgasnąć, ale nie robiło mi to żadnej różnicy. Nawet nie próbowałam zachować resztek czujności. Było mi kompletnie wszystko jedno. Jeśli jakiś wilk lub niedźwiedź zamierzał mnie tej nocy zeżreć, to dawałam mu całkowicie wolną rękę czy tam łapę. Demony też mogą szaleć. Mnie już nie zależy.

Rodzice Mszczuja zapowiedzieli, że zostają w Bielinach do naszej swačby. Ścibora także nie zamierzała ruszyć stąd swojego umięsnionego tyłka. Nie miałam zielonego pojęcia, co teraz zrobię. Mogłam przyznać się im, że to blef, który miał na celu ich wykurzyć. Mogłam też dalej iść w zaparte. Tylko że to wymagało ode mnie pojechania do Nowej Słupi i przekonania Bogusi i Bogusia, żeby mi łaskawie odstąpili termin swačby oraz wesela, a także zapowiedzieli swoim gościom, że kto inny tego dnia będzie świętował. Byłam pewna, że się nie zgodzą. Spodziewałam się też, że Bogusia dałaby mi w zęby za samą beczelność zadanego pytania.

Rozłożyłam koc na trawie tuż obok jeziora, za plecami miałam chatkę myśliwską. Przez myśl przemknął mi pomysł, że mogłabym się tu bez słowa przeprowadzić, czyli skorzystać z ucieczki, ulubionej przez Mszczuja formy obrony przed jego rodzicami.

Wyjęłam z torby butelkę zeszlórocznej nalewki jarzębinowej. Miałam też torebkę dojrzałych fioletowych śliwek. Przeprowadzka na razie nie wchodziła w grę, ale mogłam spokojnie przesiedzieć tu do rana, a na pewno do momentu, aż swarny bóg raczy się pojawić na nasze umówione spotkanie.

Pociągnęłam bardzo długi łyk nalewki, czym osuszyłam niemalże jedną trzecią półlitrowej flaszki. Alkohol zapiekł w gardło bardzo mocno. Jarzębina z dodatkiem wędzonej śliwki zostawiła przyjemny posmak na języku.

– Niezłe! – powiedziałam sama do siebie, zachwycona, iż wyszedł mi mój nowy produkt.

Chwila szczęścia trwała jednak krótko, bo zaraz przypomniałam sobie, co dzisiaj zrobiłam.

– Ja piernicę – westchnęłam sama do siebie i położyłam się na kocu.

Wbiłam spojrzenie w rozgwieżdżone niebo. Jasne punkty migwały zachęcająco. Sierp księżycy powoli nabierał kształtów. Bogini Chors niebawem uzyska pełną postać i znowu będzie kusić boga słońca, Dadźboga, swoimi krągłościami. Smutny ten ich związek. Spotykać się mogli tylko podczas zaćmienia ciał niebieskich, którymi byli, ewentualnie podczas tych nielicznych momentów, kiedy jednocześnie widać na niebie księżyc i słońce w ciągu dnia. Przymknęłam powieki, żeby nie patrzeć na Chors. Dość miałam nieszczęśliwych związków.

W tym samym momencie poczułam w głowie wesołe wirowanie, a do moich nozdrzy dotarł dym przywodzący na myśl świąteczne ognisko, do którego złożono już zertwę.

– Jesteś już? – zapytałam, nie otwierając nawet oczu.

– Gdybyś zawołała, to przybyłbym do ciebie wcześniej – oświadczył swarny bóg.

Nawet nie odwróciłam głowy w jego stronę. Poczułam obok ramienia ciepło jego wiecznie rozgorączkowanego ciała, kiedy także położył się na kocu. Patrzył na niebo razem ze mną.

– Zrobiłam dzisiaj coś głupiego – powiedziałam bardziej do siebie niż do niego.  
– Tak – zgodził się skwapliwie. Nie zdziwiło mnie, że mieszkające w moim domu ubożęta od razu mu o wszystkim doniosły. – Jesteś wyjątkowa, Jago. Zbyt wyjątkowa, by spędzić życie z człowiekiem.

Uniosłam się na łokciu i pociągnęłam kolejny łyk jarzębinówki. Och, zdecydowanie była warta dalszej produkcji. Będę musiała w tym roku rozejrzeć się za czerwonymi koralami tego drzewa. Bardzo miło zakręciła mi w głowie.

– Sprawa i tak chyba wydaje się już przesądzona – stwierdziłam i podałam mu nalewkę.  
– I tak ci nie zasmakuje ani na ciebie nie zadziała, ale może masz ochotę...?

Bóg podparł się na łokciu tak jak ja. Sięgnął po butelkę o wąskiej szyjce i pociągnął długi łyk. Oczywiście się skrzywił. Nie skomentował złośliwie jakości trunku, ale było widać po jego perfekcyjnej twarzy, że jakoś specjalnie mu nie zasmakował.

– Jak mniemam, nie masz przy sobie słynnego miodu bogów, o którym zwykle tyle opowiadasz? – zakpiłam. – Bo ja mam tylko jarzębinówkę własnej produkcji.

– Mogłabyś nie przeżyć spróbowania boskiego trunku – skwitowała.

– Kłamczuch. Nie ma wcale żadnego boskiego miodu. Wmawiasz mi to tylko, bo nie smakuje ci to, co sama robię – zaczęłam go podjudzać.

Zaśmiał się. Czarne jak węgle oczy rozbłysły dalekim płomieniem. Języki ognia stawały się coraz wyraźniejsze.

– Jeśli tak się upierasz, by spróbować naparu bogów, to mogę cię nim poczęstować. Wiedz jednak, że robisz to na własną odpowiedzialność.

Szczerze wątpiłam, że pozwoli mi umrzeć. W końcu byłam mu potrzebna. Jak dla mnie całe to jego gadanie to był jeden wielki pic na wodę. Swarózyca przede wszystkim lubił robić wrażenie.

– Nie odmówię i będę pamiętać o konsekwencjach – odparłam.

Bóg usiadł. W jego dłoniach pojawiły się dwa gliniane kubki. Były wypełnione po brzegi. Poczulałam aromat słodkiego miodu.

– Twoje zdrowie.

– A chętnie – zgodziłam się. – Wypijmy zwłaszcza za moje zdrowie psychiczne. Ono mi się chyba przyda najbardziej w najbliższym czasie.

Wzięłam kubek. Raz kozie śmierć!

Upiłam łyk, a mówiąc dokładniej, zamoczyłam tylko język. Wolałam jednak być ostrożna. Cholera wie, czego dodał do środka. Umówmy się, że w ogóle mu nie ufałam.

Doznanie było niesamowite. Na początku niczego nie zauważyłam. Miód jak miód. Dobry trójniak smakuje podobnie. Po chwili jednak poczułam coś dziwnego. Kolory wybuchły przed moimi oczami. Księżyc zaczął się mienić brokatem, gwiazdy tańczyły i zmieniały barwy jak obrazki w kalejdoskopie.

Broda Swarózyca zamieniła się w płomienie, a jego skóra zaczęła lśnić niczym złoto. Miałam wrażenie, że jest posypany cennym kruszcem. Światło lampy jakby zmiękło i zrobiło się ciepłe.

Dziwne postrzeganie barw to nie były jedyne zmiany. Inaczej też słyszałam. Cicha puszcza przestała być cicha. Słyszałam, o czym myśli sowa, rozumiałam, co kumkają żaby. Poczulałam się lekko, miałam ochotę działać, rzucić się w wir przygód.

Wstałam oniemiała. Bóg także się podniósł i wyjął z mojej dłoni kubek. Ledwie to zarejestrowałam. Czułam, jak swędzi mnie skóra pod ubraniem. Zapragnęłam je z siebie zderzyć i tak też zrobiłam. Błade promienie Chors łaskotały moje nagie ciało. Czułam ich dotyk, czułam łaskę bogini. Uniosłam ręce do góry i wyciągnęłam do jej bladego oblicza. Miałam wrażenie, że się do mnie uśmiechnęła.

Nie bacząc na boga ognia, weszłam do stawu i westchnęłam z rozkoszy. Lodowata woda była taka miła. Przywróciła mi choć trochę zdrowych zmysłów.

– Widzę, że podjęte lekkomyślnie decyzje bardzo ci służą – stwierdził z zadowoleniem, przyglądając się teatrykowi, który mu radośnie w swoim upojeniu zapewniłam.

Nabrałam powietrza i zanurzyłam się z głową w zimnym jeziorze. Otworzyłam oczy, ciesząc się feerią barw. Woda zawsze była tu krystalicznie czysta i przejrzysta, ale teraz miałam wrażenie, że widzę pojedyncze jej cząsteczki, każdą zależność i związek. Wszystko błyszczało i migotało. Wrażenie było upajające. Prawie zapomniałam, że nie wolno oddychać pod wodą.

Poczekalam, aż poczerniało mi przed oczami. Wtedy podniosłam się i odetchnęłam głęboko chłodnym nocnym powietrzem.

– Już myślałam, że będę musiał tam wejść i cię wyciągnąć – powiedział.

Próbowałam doszukać się w jego głosie ulgi, ale jej nie znalazłam.

– Spokojnie. Dam sobie radę.

– I jak ci się podoba napój godny bogów?

– Dodajecie do niego grzybów halucynogennych?

– Nie powiem ci przecież, w czym tkwi nasz sekret.

– Zgnije mi od tego wątroba albo będę mieć ubytki neurologiczne? – sprecyzowałam pytanie.

– Nie.

– I to mi wystarczy.

Ociekając wodą, podeszłam do niego. Podał mi kubek, ale tym razem postanowiłam być mądrzejsza. Przyjęłam napitek z uśmiechem, a następnie usiadłam z powrotem na kocu i odstawiłam kubek na trawę. Może wezmę jeszcze łyk, ale dopiero gdy efekty tych kilku kropli odrobinę przygasną.

Bóg także spoczął. Przyglądał mi się z rozbawieniem.

– Nie pijesz? – zapytał i sam pociągnął kolejny łyk.

Zaczęłam wyciskać rękami wodę z włosów. Nic nie robiłam sobie z mojej nagości. On także niespecjalnie zwracał na nią uwagę. Bogowie w przeciwieństwie do ludzi nie odczuwali wstydu, czemu więc ja miałabym czuć się niekomfortowo bez ubrania?

– Jak postrzegasz świat? – zapytałam. – Tak jak ja po wypiciu miodu? Czy może normalnie, a miód sprawa, że wszystko jest... bardziej?

– Miód niewiele zmienia wobec tego, co widzę na co dzień – wyznał.

Zamyśliłam się. Dziwne to ich boskie życie. Nie wiem, czy potrafiłabym się na cokolwiek skupić. Chyba cały czas obserwowałabym świat w zachwycie. Chociaż oni są już tak starzy, że może zdążyli się do tych cudów przyzwyczaić.

– Nie rozprasza cię to?

– Nie wiem, o co pytasz.

– Świat widziany twoimi oczami jest bardziej kolorowy, głośniejszy i żywszy – starałam się wyjaśnić to najlepiej, jak mogłam.

– Nie mam porównania, więc nie może mi to robić różnicy.

– Teraz nie wiem, czy powinnam współczuć sobie, czy tobie, że widzimy inaczej.

– Zdecydowanie sobie – odparł. – Wasze ludzkie zmysły są przytępione. Możecie tylko żałować, że nie jesteście tacy jak my.

– Może tak, może nie.

– Już nie pijesz?

On już dopił kubek miodu do końca. Odstawił puste naczynie na trawę, a ono od razu zniknęło.

– Zanim znowu zanurzę się w tym szaleństwie, chciałabym omówić z tobą zadanie, które rzekomo dla mnie masz – odpowiedziałam.

Uśmiechnął się, a jego oczy błysnęły ogniem.

– Pragmatyczna z ciebie osoba.

– Chcę wiedzieć na trzeźwo, w co się pakuję.

– I tak nie masz wyboru – zauważył.

– Zawsze jest wybór – zaprotestowałam. – Po to daliście nam wolną wolę. Żebyśmy nie musieli was ślepo słuchać.

Skrzywił się nieznacznie.

– Tak... nadal uważam, że to był błąd.

– To które bagno mam odwiedzić? – postanowiłam przerwać dyskusję, która i tak zaprowadzi nas donikąd. Oboje wiedzieliśmy, że i tak pójdę, chociażby z czystej ciekawości.

– To, za którym jest wejście do Wyraju. Jeśli zobaczysz na tym bagnie drzewo kosmiczne, to znaczy, że jesteś wybrana – wyjaśnił lekkim tonem.

Parsknęłam śmiechem. Nie mogłam się powstrzymać. Chyba miał mnie za idiotkę. Nikt przy zdrowych zmysłach nie pchałby się Welesowi prosto pod nos. Dobrze znałam legendy. Wejście do zaświatów znajdowało się tu, na ziemi. A dokładniej jedno z kilku wejść. Drzewo kosmiczne, axis mundi, było rdzeniem naszego świata. Mówiąc prościej – świat wyrósł dookoła niego. Gałęzie i korzenie przebijały rzeczywistość w wielu miejscach na całym globie. A tam, gdzie były blisko naszego świata, znajdowały się bramy do zaświatów, miejsca mocy, w których wyrastały ośrodki kultu, nie tylko słowiańskiego.

Nie zdziwiło mnie, że jedno z przebić drzewa znajduje się w pobliżu. Łysa Góra była miejscem o wyjątkowo silnej mocy. Przewyższała je chyba tylko Ślęza albo wyspa Wolin z kompleksem świątynnym Arkona poświęconym Świętowitzowi.

– Chyba cię po... – odchrząknęłam i zapytałam o dziwo spokojnym głosem: – Co to znaczy: wybrana?

– Krąży wśród bogów legenda o człowieku, który będzie swobodnie podróżować między światami. Być może to ty, być może będzie to twoja córka.

– A może to jakiś mężczyzna? Skąd pewność, że wybrana będzie akurat kobieta?

– Mam przeczucie. Nie widzę dokładnie, ale wszystko, co się wydarzy, będzie miało związek z tobą.

Zdziwiło mnie, że tego nie wie. Najwyraźniej wcale nie mógł prześledzić mojej doli ani doli nikogo innego. Każdy człowiek, być może bóg też, miał swój los zapisany w gwiazdach czy jak kto woli, wyrzeźbiony w nieskończonych gałęziach drzewa kosmicznego. Dola istniała także pod boską postacią. Była smukłą kobietą o oczach pełnych gwiazd. Migoczące światła w jej źrenicach były ziarenkami naszych żyć. Jakim cudem nie była szalona, wiedząc wszystko o wszystkich – nie wiem. To ona zapisywała los na gałęziach. Podobno ona umiała go odczytać.

– Może zapytaj Dolę? – zasugerowałam. – Wiesz, tę mającą ciało.

Próbował zachować kamienną twarz, ale zauważyłam, że lekko zmrugał oczy.

– To niemożliwe – odparł.

– Czemu? Jestem pewna, że przy kubeczku miodu mógłbyś ją przekonać do wyznania kilku sekretów. Przecież potrafisz być bardzo przekonujący. – Niby przypadkiem zaczęłam bawić się włosami. Długi pukiel zahaczał o moje piersi.

Bóg roześmiał się gromko. Zrobiło mi się ciepło na ten dźwięk. Sprawił, że poczułam się bezpiecznie, zupełnie jakbym siedziała w domu, przy piecu. Westchnęłam. Całkiem milutko.

– Działam w ten sposób tylko na ludzkie kobiety – poinformował mnie. – Właśnie dlatego, że jesteście słabe. A Dola... Dola nie jest taka jak ja. Ona... nieważne.

Zaintrygował mnie, ale wiedziałam, że ciągnięcie go za język nic mi nie da. Zadrośnie strzegł boskich sekretów, pilnował się, by mówić tylko rzeczy oczywiste. To bardzo ciekawe, bo sugerowało, że bogowie mieli jakiś kodeks albo jakieś zasady.

– Widzę, że dyskryminujesz mężczyzn – burknęłam niezadowolona, że to on mnie podszedł. Chyba nie było sensu wierzyć, że kiedykolwiek go uwiodę i wykorzystam. Mogło

być tylko odwrotnie.

– Opiekuję się szeptuchami. Kapłani mają swojego patrona.

Pomyślałam o Welesie, opiekunie magii i wróżów. Wedle jednych przedstawień to starzec z rogami, według innych przystojny mężczyzna o sylwetce wojownika, z koroną na głowie. Jego domeną była magia, ale także sztuka czy rzemiosło. No i nie można było zapomnieć o jego najważniejszej funkcji. Weles pilnował zaświatów i opiekował się zmarłymi duszami. Stał na straży bram do Nawii. Całkiem niezły patron. W duchu nawet się zastanawiałam, czy aby nie lepszy od Swaróżyca. W końcu swarny bóg to tylko i aż patron ognia.

Chociaż według tego, co wspominał Mszczuj, pan podziemi raczej im się nie ukazywał. Pod tym względem Swaróżyce wychodził na prowadzenie. Potarłam znamię na nadgarstku, symbol mojego rzekomego oddania. A może jednak lepszy byłby wiecznie nieobecny Weles? W końcu co z oczu, to z serca.

– Nie jestem pewna, czy chcę iść na to bagno – powiedziałam ostrożnie.

– Winnaś mi przysługę – oznajmił.

– Nic nie jestem ci winna. Naznaczyłeś mnie podwójnym piętnem, ale to nie oznacza, że jestem twoją niewolnicą. Za każdy z tych znaków zapłaciłam ci w jakiś sposób.

Ogień w jego oczach przybrał na chwilę białą barwę. Najwyraźniej przeciągnęłam strunę. Szczerze mówiąc, droczyłam się z nim wyłącznie dla sportu. A raczej ze złości na siebie przez to, co dzisiaj zrobiłam. Pewnym rozwiązaniem moich wszystkich problemów byłoby pozwolić Swaróżycowi zrobić ze mnie skwarkę za bezczelność. Przynajmniej nie musiałabym brać swańcy.

– Jago... chcę, byś spróbowała wejść na te bagna. Rosną tam wyjątkowo silne zioła. Wiem, że część z nich przydałaby ci się do mikstur. Na pewno wiele przepisów z księgi Welesa wymaga tak potężnych składników. Sprawdź dla mnie, czy w ogóle potrafisz odnaleźć to bagno. Co znajdziesz, będzie twoje, wykorzystasz to potem tak, jak tego pragniesz – kuśił.

– Jaki jest twój cel?

Koc nie był duży, ale i tak pochyliłam się jeszcze w jego stronę. Mokre włosy opadły sprężynkami najpierw na moje ramię, a potem na jego klatkę piersiową. Krople wody od razu parowały, gdy tylko dotykały jego ciała. Nawet nie drgnął. Być może wcale tego nie czuł.

Byliśmy bardzo blisko siebie. Widziałam każdy rudy wąs w jego brodzie i każdą plamkę piegów na ostrych kościach policzkowych czy rysę kurzych łapek, które pojawiały się w kąciку jego oczu, gdy się uśmiechał. Bóg był niesamowicie przystojny, ale nie był też pozbawiony wad. Było to w pewien sposób pocieszające.

Na szczęście oszołomienie wywołane miodem bogów już mijało. Moje zmysły znowu były przętpione, zwykłe i ludzkie.

– Chcę sprawdzić, czy możesz tam wejść – powiedział.

– A jeśli nie mogę?

– Jeśli nie możesz, to trudno.

– Jeśli nie mogę, to znaczy, że umrę, próbując. Bez obrazy, ale to dość słaby biznes – wytknęłam mu.

– Nie umrzesz. Nie pozwolę ci.

– Wielkie słowa, ale ciężko w nie uwierzyć.

– Nie podawaj w wątpliwość moich słów. – W jego głosie dało się wyczuć groźbę. – Nie rzucam ich na wiatr. Nie dam ci umrzeć.

– Dobrze, czyli nie umrę. A co może mi się stać? Przecież na tych bagnach mogą żyć upiry. Na pewno znajdę tam utopce, może... sama nie wiem. Na pewno coś spotkam.

– Jest na to szansa, ale będę na ciebie czekał.

– Wejdiesz na bagno razem ze mną? – upewniłam się.

– Nie. Będę czekał obok.

Prychnęłam.

– Mało pocieszające.

– Idź tam.

– Jeśli ja tam wejdę, to co ty z tego będziesz miał?

– Satysfakcję.

– Mało satysfakcjonująca odpowiedź – odparowałam.

– Mogę dać ci kolejny znak ognia. Wtedy upiry cię nie osiągną – zaproponował. – Nie tkną człowieka tak naznaczonego łaską.

Miał moją uwagę.

– Trzy znaki ognia dadzą mi immunitet? – upewniłam się.

– Nie na wszystko. Powstrzymają część istot.

– Istoty posłuszne Welesowi będą mnie unikać?

– Chcesz mój znak?

Unikał odpowiedzi. Domyśliłam się, że to pic na wodę, fotomontaż. Swaróżyć umiał świetnie czarować i niestety kłamać. Wciąż nie rozumiałam, dlaczego tak usilnie mnie tam wysyłał. Wiedziałam, że się tego nie dowiem, dopóki sam nie uzna tego za konieczne. Pozostawało mi tylko wyrównać bilans zysków i strat.

– Nie chcę twojego znaku. Dam sobie radę sama – oświadczyłam. – Pójdę na to bagno, ale żądam czegoś w zamian.

Uniósł lekko brwi. Zainteresowałam go swoją bezczelnością.

– Czego pragniesz? – zapytał.

– Śmierć Ludomiły nie daje mi spokoju. Muszę rozwiązać tę zagadkę.

– Nie wiem, kto ją zabił. Nie podejrzuję jej doli, a z... boginią nie porozmawiam – zastrzegł.

Nadstawiłam ucha, ale niczego nie dodał. Ciekawe, o co chodziło z tą Dolą. My, to znaczy ludzie, wierzyliśmy, że ma też spersonifikowaną formę. On jednak wahał się za każdym razem, gdy o niej wspominał.

– Wiem, wiem. Już mi to mówiłeś! – Machnęłam niecierpliwie ręką. – Bawię się w detektywa. Spotykam się z ludźmi, którzy mieli z nią ostatnio kontakt, i tak dalej. Jestem przekonana, że w jej śmierć były zamieszane jakieś nieludzkie siły.

– Demon?

– Może nawet bóg. Podobno szukała źródła Mokosz.

Nie wiem, na co liczyłam. Że się zdziwi? Zezłości? Będzie zaskoczony? On tymczasem trwał nieruchomo. Bardzo, bardzo nieruchomo, co samo w sobie było odrobinę podejrzane. Wiedział coś i bardzo starał się tego po sobie nie pokazać. Albo ponosiła mnie wyobraźnia.

– Pierwsze słyszę, moja droga szeptucho – odpowiedział i dłużej zawiesił wzrok na moich piersiach.

Zalała mnie fala rozczarowania. On natomiast chyba świetnie się bawił, bo w jego dłoni zmaterializował się kolejny kubek z trunkiem bogów.

– Jak to? Nic o tym nie słyszałeś? – Nie mogłam w to uwierzyć.

– Nie. Mokosz jest dziwna. Może i ma jakieś źródła. Nie wiem. Nigdy nie interesowałem się tą wariatką – odparł niefrasobliwym tonem.

Niby niechcący musnął swoją dłonią moje przedramię. Zmieniał temat, próbował mnie rozproszyć.

Rozgoryczona sięgnęłam po kubek z miodem. Zęby Swaróżyca błysnęły w wilczym uśmiechu, ale byłam tak wzburzona swoimi nieudanymi podchodami, że nie zwróciłam na to uwagi.



– Chcę, żebyś mi pomógł rozwiązać zagadkę śmierci mojej pacjentki – powiedziałam, unosząc kubek do ust.

– W zamian pójdziesz na bagno.

– W zamian pójde raz, tylko raz, na to bagno i nabieram sobie ziół na własny użytek. A ty będziesz czekał grzecznie w pobliżu, na wypadek gdyby ktoś miał mnie skrzywdzić albo coś miało by mnie zeżreć – doprecyzowałam.

Stuknął swoim kubkiem o mój. Odrobina jego miodu wylała się na moje przedramię i na koc. Trunek opalizował w świetle księżycy.

– Dobrze – zgodził się.

– Dobrze?

– Tak. Zgadzam się na twoje warunki.

Doszłam do wniosku, że jednak była ze mnie najwyraźniej pierwszej wody frajerka. Za łatwo się zgodził. Musiał być jakiś kruczek.

– I nawet nie zapytasz, jak masz mi pomóc w rozwiązaniu tej zagadki?

– Bawisz mnie, Jago – powiedział. – Twoje ludzkie problemy są interesujące. Czasem przydaje mi się taki odpoczynek.

Chciałam to nawet złośliwie skomentować, ale tak mnie osłabił tym stwierdzeniem, że dałam sobie spokój.

– Rozumiem. W takim razie dowiedz się czegoś o tym źródle Mokosz. To jak na razie mój jedyny trop.

– Spróbuję – przytaknął, nic mi nie obiecując.

Miło, że chociaż udawał, że mi pomoże. Szczere jednak teraz wątpiłam, że przyda mi się na cokolwiek. Na wszelki wypadek zawsze podejrzewałam go o złe motywacje i jak najgorsze chęci. Dzięki temu mogłam się ewentualnie tylko mile zaskoczyć.

Jednym haustem opróżnił pół kubka miodu. Jego oczy rozbłyły. Oczywiście kłamał, że miód nie zmienia jego percepcji. Doskonale widziałam, jak na jego twarzy pojawia się zachwyty, gdy tylko trunek zaczął działać. Nie miał źrenic, które mogłyby się rozszerzyć, ale jego spojrzenie zalały niebieskie płomienie. Zaczął też trochę szybciej oddychać.

– Jak zamierzasz rozwiązać sprawę ze śmiercią? – zapytał.

Zaskoczył mnie. Myślałam, że dopije miód i zniknie. Po cóż miałby tu ze mną siedzieć i gawędzić o głupstwach. Miałam o sobie dość wysokie mniemanie, ale i tak byłam świadoma, że żaden ze mnie kompan dla boga.

– Nie wiem jeszcze – odpowiedziałam gorzko. – Wpadłam jak śliwka w kompot.

Odetchnęłam głęboko dla kurazu i upiłam łyk miodu. Jak szaleć, to szaleć.

Och, zdecydowanie szaleć...

Łyk zadziałał znacznie mocniej niż delikatne muśnięcie językiem powierzchni magicznego płynu. Kąpiel w jeziorze raczej tym razem mnie nie uleczy.

Jęknęłam, kiedy gwiazdy zaczęły wirować na niebie. Swarozyc wyjął kubek z mojej dłoni.

– Chyba tyle ci wystarczy – powiedział łagodnie.

– Mnie chyba tak, ale ty zdecydowanie za mało wypijeś – zaśmiałam się. – Nie poznaję cię, Swarozycu. Nie próbujesz mnie uwieść? Siedzę naga obok ciebie.

Wypił do końca swój miód, a następnie osuszył mój kubek. Jego spojrzenie wędrowało łakomie po moim ciele. Nie byłam specjalnie piękna. Zdawałam sobie sprawę z tego, że mam drobną i zbyt chudą sylwetkę. Piersi miałam małe i sterczące, kibić nie była wyjątkowo smukła, a nogi długie. Dumna byłam chyba jedynie ze swoich pośladków. Wcześniej lubiłam także swoje włosy, ale odkąd je popsułam trwałą ondulacją, nie mogłam na nie patrzeć.

Z boginiami, które spotykał codziennie, w żadnym razie nie mogłam konkurować.

Świat wirował wskutek zamroczenia boskim miodem. Jeszcze nigdy nie byłam tak pijana. Gdy spojrzałam na niebo, wydawało mi się, że widzę, jak gwiazdy wybuchają gdzieś daleko. Prawie to słyszałam.

Swarożyc przyglądał mi się cały czas intensywnie. Swoim zwyczajem był bez koszuli. Jego nagi tors migotał ogniem ukrytym pod skórą. Skórzane spodnie ciasno opinały jego zgrabne biodra.

Położyłam mu dłoń na kolanie. Policzyłam w myślach do trzech, ale jako że nie spopielili mnie za bezczelność, to odważyłam się zapytać:

– Pamiętasz, kiedyś powiedziałeś, że pocałujesz mnie wtedy, kiedy tylko cię o to poproszę?

– Prosisz mnie teraz, strażniczko ognia? – zapytał.

– Możesz to uznać za formę modlitwy do ciebie.

– Ciekawe znasz modlitwy – skwitował.

– A czy może być coś bardziej wymownego od oddania bogu swego ciała? – Mrugnęłam do niego.

Nic już nie powiedział. Popchnął mnie na koc i nakrył sobą. Spowił nas dym. A ja jeszcze kilka razy zobaczyłam tej nocy, jak gwiazdy wybuchają.



Jeśli zwykły kac był nieprzyjemny, to ten po wypiciu miodu bogów mógł zabić. Czułam się okropnie, mimo że nie wypiałam dużo. Nie chcę nawet myśleć, co by się ze mną stało, gdybym zdecydowała się na cały kubek, który hojnie podarował mi swarny bóg. Być może nawet bym umarła.

Jednak najgorsze w tym wszystkim było to, że oprócz kaca czysto fizycznego miałam także kaca moralnego. Wszystkie moje hamulce i postanowienia szlag trafił.

Moja babcia Radomiła, gdyby nie była skremowana, na pewno przewracałaby się teraz w grobie. Coś mi się wydaje, że jeśli postanowi mnie odwiedzić podczas jesiennych Dziadów, to nieźle mi się dostanie po głowie. Miałam przecież nie popełniać jej błędów. Przestrzegала mnie przed Swarożycem. A ja co? A ja oczywiście musiałam przekonać się na własnej skórze, czy Swarożyc tylko się przechwala, czy naprawdę zna się na rzeczy.

No cóż. Znał się. Pewnie mogłam spokojnie żyć bez tej wiedzy, ale w sumie miło wiedzieć, że akurat pod tym względem nie kłamał.

Napiłam się wody z ogórków kiszonych. Będzie mnie po niej suszyć jeszcze bardziej, ale miałam wrażenie, że trochę pomaga mi ogarnąć bałagan w głowie. Całe szczęście, że był sezon wakacyjny i wizyt jak na lekarstwo. O ile nie pojawi się nikt niezapowiedziany, to powinnam mieć spokój, by umierać na kaca w samotności.

Nagle usłyszałam pukanie do drzwi. Jak pragnę bogów, wykrakałam. Bogini Dola musiała naprawdę nieźle się ubawić z Rodzanicami podczas tkania mojego losu.

– Chwileczkę! – zawołałam.

Czym prędzej zerwałam się z łóżka i szybko je pościeliłam. Całość nakryłam wełnianą kapą. Zakląłam, kiedy zdałam sobie sprawę, że przez cały ranek nie doszłam z łóżka do niednicy, więc zapewne wyglądałam jak chodzące nieszczęście.

Pukanie rozległo się ponownie. Jakiś namolny ten mój gość.

– Zara! – ryknęłam już znacznie mniej miłym tonem.

Od razu tego pożałowałam, bo ból głowy zaatakował mnie z podwójną siłą. Dobrze, w takim razie natręć sam tego chciał. Nie zamierzałam bardziej się starać. Po prostu podeszłam do drzwi i je otworzyłam. Już miałam wygarnąć osobie po drugiej stronie, kiedy zdałam sobie sprawę, kto to jest.

– Witaj, Jago – przywitał mnie Bratomił.

Do ciężkiej cholery!

– Hm. Witaj – burknęłam.

Omiótl mnie spojrzeniem tych swoich zielonych oczu, w których tak łatwo było zatonać.

– Ciężka noc? – spytał.

– Poranek raczej.

– Zapomniałaś?

– Zapomniałam... Poczekaj tu, na ławeczce, ja się szybko ogarnę.

Kiwnął głową, a ja przelknęłam gulę wstydu.

Zamknęłam się w chacie i odetchnęłam głęboko. Tak, Dola zdecydowanie miała przewrotne poczucie humoru, a ja jestem pierdołą, która zapomina, co uzgodniła.

Sprawdziłam szybko w lusterku, jak wyglądam. Czarna kredka do oczu odrobinę od wczoraj się rozmazała, ale nie robiło to złego wrażenia. Poplątane włosy wyglądały już nieco gorzej, ale też nie na tyle źle, żeby usiąść i płakać. Jedyne cienie pod oczami i lekko ziemisty odcień cery sugerowały, że nie czuję się dobrze. Podejrzywałam też, że mojemu oddechowi daleko było do aromatu róż.

Zdjęłam przez głowę niemal przezroczystą płócienną koszulinę na cienkich ramiączkach i czym prędzej przebrałam się w normalne ubrania. Mycie nad miednicą sobie darowałam. Wczoraj w nocy wykąpałam się jeszcze w jeziorze, zanim wróciłam do domu po swawolach z bogiem ognia. Uznajmy, że jestem czysta.

Wypiłam kubek zimnej wody i pomasowałam się po żołądku, który gwałtownie zaprotestował na taką brutalność.

W izbie panował zaduch po nocy, więc postanowiłam nie zapraszać do niej Bratomię. Wysłałam na zewnątrz i usiadłam obok niego na ławeczce.

– Cóżes wczoraj zaszalała z tym kapłanem? – W jego głosie usłyszałam lekką urażę.

– Z kapłanem...? – Westchnęłam w duchu, kiedy zrozumiałam. – Ach, tak, mówisz o Mszczuju. Rzeczywiście, wczoraj spotkałam się z nim i jego rodzicami. Ale to nie z nimi piłam. Piłam później.

– Sama?

– Z bogiem – powiedziałam prawdę, bo przecież i tak nie było nawet najmniejszej szansy, że mi uwierzy.

– Ano tak, bo ty wielka pani, szeptucha, teraz jesteś.

– Ano jestem – mruknęłam.

Bratomię odwrócił głowę i spojrzał gdzieś w dal. Marszczył brwi. Zawsze tak robił, kiedy się nad czymś zastanawiał.

– Po co przyjechałeś? – zapytałam.

– Do ciebie.

Tym razem, zamiast westchnąć w duchu, zrobiłam to jawnie.

– Bratomile! – jęknęłam z naganą w głosie. – Po co? Ile to już lat minęło?

– Za dużo – przyznał. – Jago, ja nie zmieniłem zdania. Nadal chcę cię poślubić. Nie spotkałem ani wcześniej, ani później takiej kobiety jak ty.

– Powiedziałam ci, żebyś nie czekał na mnie, bo ja cię nie poślubię. Mówiłam ci to wielokrotnie. Nigdy tego przed tobą nie ukrywałam. Tak jak tego, że zostanę szeptuchą.

– Powiedziałaś, ale ja i tak czekałem.

– Ja nie wrócę – powiedziałam z mocą. – Nie wrócę do domu, bo tu jest teraz mój dom i moja przyszłość.

– Teraz już to wiem.

Odwrócił się i zerknął na moją chatę.

– To scheda po babci? – zapytał.

– Tak. Przejełam po niej praktykę. Jestem tu szeptuchą – powtórzyłam, żeby sobie to zapamiętał.

– Jago, ja wiem, że nie jesteś kobietą, która siedziałaby w izbie i piekła chleb. Już jak pojechałaś do stolicy, to było wiadomo, żeś niezwykła. Której u nas we wsi do głowy by to przyszło? Każda szukała męża i chciała rodzić dzieci czym prędzej.

Dobrze zdawałam sobie z tego sprawę. Dobijałam już trzydziestki. Wedle wszystkich standardów z moich okolic byłam już starą panną, na którą nikt nie powinien patrzeć. No, chyba że ze współczuciem.

– Ja nie jestem taka jak one – zastrzegłam.

– Wiem – zgodził się.

Przyznaję, że zaczynałam czuć się nieswojo podczas tej rozmowy. Myślałam, że Bratomię przyjechał mnie namawiać, nagabywać czy wręcz zmuszać do powrotu do domu. A on

zachowywał się podejrzanie dojrzałe i tolerancyjne.

Ja wiem, że minęło kilka lat, odkąd ostatni raz obracaliśmy się w sianie, w stodole u jego rodziców, ale teraz postępował nieprawdopodobnie roztropnie.

– Skoro wiesz, że nie jestem taka jak one, to co tu robisz? – spytałam.

– Przyjechałem do ciebie.

– Do mnie?

– Ano tak. Ja cię kocham, Jago, i kochać nie przestanę. Nie wyobrażam sobie życia z nikim innym. Chcę ciebie.

– Ale ja nie szukam...

Ugryzłam się w język. Cholera jasna. Nie mogłam powiedzieć, że nie szukam męża, bo właśnie przecież ogłosiłam rodzicom Mszczuja, że pobieramy się za niecały miesiąc. Jak to wypłynie, to wszyscy zaczną o tym mówić. Plotka na pewno dotrze do moich rodziców, a także do Bratomila.

– Czego nie szukasz? – podchwycił, zainteresowany moim wahaniem.

– Nie szukam spokojnego życia – dokończyłam z lekka kulawo. – Nie chcę mieć dzieci. Nie chcę być przykładową panią domu. Chcę pracować jako szeptucha. Nic innego mnie nie interesuje.

– Jak dla mnie nie ma problemu – zapewnił.

– Bratomile, nie wiesz, co mówisz. Jesteś najstarszym synem. Musisz przejąć gospodarstwo. Musisz mieć potomka, który przejmie to później po tobie. Nie pasujemy do siebie. Ja się stąd nie wyprowadzę. Tu jest mój świat i moja przyszłość – zaznaczyłam.

– Mam młodszego brata. Zajmie moje miejsce. Już z nim rozmawiałem.

Widzę, że ma przygotowaną odpowiedź na każdą wątpliwość. W mojej pamięci nie zapisał się jako osoba przesadnie elokwentna. Zaczynałam czuć się coraz bardziej nieswojo.

– Od dawna chciałeś do mnie przyjechać? – zapytałam.

– Odkąd wyprowadziłaś się bez słowa.

Tak jak podejrzewałam, od kilku lat zastanawiał się, co mi powie, kiedy mnie spotka. Nic dziwnego, że zdołał przemyśleć każdą odpowiedź na moje ewentualne pytania.

Co do wyjazdu, musiałam przyznać mu rację. Nie postąpiłam zbyt elegancko. Spakowałam walizkę i wyjechałam bez ostrzeżenia. O moich planach wiedziała tylko matka. Ojciec i bracia dowiedzieli się po fakcie, kiedy już od dawna byłam w Bielinach. Ojciec zresztą obraził się na mnie. Do dzisiaj nie chce ze mną rozmawiać. Jeden z braci przekazał mi jakiś czas temu, że tata ciągle ma do mnie żal i po pijaku powtarza, że dla niego umarłam.

Było to bardzo przykre, ale nie zamierzałam naprawiać naszych relacji. To on pierwszy je popsuł, gdy nie chciał pozwolić mi na wyjazd na studia, a potem bez zapytania mnie o zdanie przyjął oświadczyń Bratomila.

– Przepraszam, że się nie pożegnałam – powiedziałam.

– Dziękuję. Wiem, że nie jestem bez winy. Nie powinienem był iść do twojego ojca.

Zdziwiłam się. Nie sądziłam, że przyzna się do błędu. Zupełnie inaczej go zapamiętałam. Nowy, doroślejszy Bratomil zaskakiwał mnie i sprawiał, że czułam się niepewnie.

– No, nie powinieneś...

– Zawsze byłaś dzika. Tylko cię wystraszyłem.

Jak mnie zaraz porówna do konia, to go trzepnę.

– Miałem kiedyś takiego konia, co to...

Trzasnęłam go w ramię. Skrzywił się i zaczął masować bolące miejsce. Rzucił mi pełne wyrzutu spojrzenie, jakbym co najmniej kopnęła na jego oczach szczeniaczka.

– Bratomile, po co tu przyjechałeś? – zapytałam ponownie.

– Do ciebie.

- Już ci powiedziałam, że z tobą nie wrócę.
- Ale ja nie chcę, żebyś wracała. Zamierzam przeprowadzić się do ciebie.
- Chyba nie wiesz, co mówisz!
- Wiem! Naprawdę to przemyślałem. Chcę z tobą być.

Wstał z ławeczki i uklęknął przede mną. Złapał mnie za ręce. Ledwie się powstrzymałam, żeby mu nie zasadzić kopa między nogi. A warunki do tego miałam aktualnie idealne.

- Jago, zostań moją żoną! – powiedział z żarem.
- Nie.
- Jago, proszę cię. Ja cię naprawdę kocham.
- Nie!
- Jago!

– Puknij się w łeb! – Wyrwałam mu rękę. – Słuchaj, Bratomile, było naprawdę przyjemnie. Wspominam nasz związek bardzo miło, nie psuj mi tego.

- Myślałem, że coś dla ciebie znaczę!

Na jego dość przystojnej twarzy pojawiła się uraza i złość.

– Wtedy być może coś znaczyłeś. – Postanowiłam, że będę brutalnie szczerą, bo nic innego chyba nie mogło zadziałać. – Jednak nasz związek, a raczej ten przygodny seks, nie znaczył dla mnie tyle, żeby wiązać z tobą moją przyszłość.

- Jago!

– Mówię ci prawdę, Bratomile. Nie kocham cię. Nie wezmę z tobą świąb. Poza tym niedługo wychodzę za Mszczuja.

Tak jak wcześniej miałam ochotę palnąć jego, tak teraz powinnam palnąć sama siebie za to bezsensowne mielenie jęzorem. Nie mam pojęcia, po co mu o tym powiedziałam. Przecież to nawet nie jest prawda!

- Za tego chudego kapłana? – Skrzywił się z niesmakiem. – On jest jakiś dziwny!

Wstał i otrzepał zamasyżycie kolana. Wyprostował się i podparł pod boki, prezentując mi całą swoją sylwetkę. Miło było na niego popatrzeć, muszę to przyznać. Na pewno wyglądał znacznie lepiej od Mszczuja, mimo że nie grzeszył przesadnym wzrostem.

Jednak to nie z powodu wyglądu wychodzi się za męża, a w każdym razie nie powinno to być główne kryterium wyboru partnera.

- Mszczuj jest porządnym człowiekiem – odparłam.

- To znaczy, że ja nie jestem porządną?!

– Łapiesz mnie za słówka. Nie o to chodzi. Bratomile, ja cię nie kocham. Poza tym nie dam ci tego, czego pragniesz.

- Wcale nie muszę mieć dzieci! – wszedł mi w słowo.

– Nie dam ci tego, czego ci się wydaje, że nie pragniesz. Mszczuj jest idealnym kandydatem na mojego męża. To kapłan. Nasze profesje są ze sobą powiązane. Świetnie się rozumiemy. Mamy wspólne cele.

- Przekonujesz teraz siebie czy mnie? – rzucił.

- Wróć do domu, Bratomile. Dobrze ci radzę.

- Nie. Jeszcze cię odzyskam, Jago. Nie powiedziałem ostatniego słowa!

Szlag by to trafił. Narzekałam na nudę, to mam za swoje.



Jakąś godzinę później ponownie usłyszałam pukanie. Tym razem byłam już w odrobinę lepszym stanie, choć kac chyba miał mnie trzymać aż do wieczora.

Biorąc pod uwagę, ile ostatnio miałam szczęścia do płci przeciwnej, nie zaskoczyło mnie, iż na moim progu stał Mszczuj. Z bukietem polnych kwiatów. Maki zdążyły już dokonać żywota.

– W sumie to jesteś mi potrzebny – oświadczyłam mu zamiast powitania i wciągnęłam go do chaty.

Zmieszał się. Z lekkim rozbawieniem zauważyłam, że nałożył na włosy brylantynę, a na wąs specjalny wosk. Zwykle stroił się tak tylko na obchody świąt. Dodatkowo miał jakby lekko zamglony wzrok. Zmrużyłam podejrzliwie oczy. Upił się czy co?

– A co żeś się tak wystroił? – zapytałam podejrzliwym tonem.

– Bo przecież będziemy brać swacbę – odparł i podał mi kwiatki.

– Nie puknął cię ktoś ostatnio w łeb? – warknęłam. Wyrwałam mu pracowicie zbierane przez cały ranek polne chwasty. – Przecież to zasłona dymna.

– Tak?

Niech mnie bogowie mają w opiece.

– Piłeś? – Ostentacyjnie go powąchałam, bo zalatywał bimbrem.

– A ty?

– Ja tak – odparłam.

– Ja też – przyznał.

– To żeśmy się wpakowali – skwitowałam i zabrałam torbę. Następnie ponownie wypchnęłam go na dwór i zamknęłam drzwi mojej chaty. Dorobiłam się już zamka w drzwiach, a nawet dwóch, więc sprawnie przekreśliłam dwa żelazne klucze. – Następnym razem ci nie pomogę, bo od tego są same kłopoty! Sam sobie będziesz radził ze swoimi popieprzonymi rodzicami.

– Zastanawiam się nad wyprowadzką – powiedział.

– Chyba nie na Pomorze? – zapytałam i pociągnęłam go za rękę w stronę zaparkowanego na poboczu auta.

– Nie, nie. Pomyślałem, że może pojedę za granicę. Może do Afryki? Afryka jest chyba wystarczająco daleko.

Posłałam mu pełne potępienia spojrzenie.

– Słuchaj no! Nie możesz być tchórzem. Musisz sobie jakoś poradzić ze swoimi rodzicami – powiedziałam. – Wyjazd niczego nie zmieni. Nadal będą cię zmuszać, żebyś robił to, co oni chcą. Wyjechałeś tutaj. A i tak cię znaleźli.

– Trochę się pogubiłem. Bierzemy tę swacbę czy nie?

– A niech nas bogowie bronią! – zaprzeczyłam gwałtownie. – Nie obraż się, ale wydaje mi się, że nie bylibyśmy dobrym małżeństwem. Poza tym ja nie szukam męża.

– Ja szukam żony... – mruknął pod nosem, idąc za mną pokornie w stronę auta.

– Co tam mamrociesz? – zapytałam, udając, że nie dosłyszałam.

– Nic, nic – powiedział szybko.

Szarpnęłam za drzwi jego samochodu i usiadłam na miejscu pasażera. Poczekałam cierpliwie, aż usiądzie obok.

Położył dłonie na kierownicy.

– Zawieź mnie do... – zaczęłam, ale mi przerwał:

– Musimy porozmawiać!

– Przecież rozmawiamy.

– Nie rozmawiamy, tylko mnie krytykujesz. Przywykłem, ale teraz akurat chciałbym normalnie porozmawiać. Możemy?

Zerknęłam na zegarek, który od niedawna nosiłam na przegubie dłoni. Świetnie maskował znamię Swarożycza. Niestety wskazówki mówiły mi, że mamy czas na tę rozmowę. Powoli wypuściłam powietrze między zaciśniętymi zębami. Miałam już dość tego, że wszyscy ciągle chcą ze mną rozmawiać.

– Dobrze, możemy – zgodziłam się niechętnie.

Odetchnął głęboko. Dwa razy. Po chwili dla pewności odetchnął jeszcze raz. Zaczęłam mieć wątpliwości, czy aby na pewno mamy tyle czasu.

– Muszę wiedzieć, czy my się pobieramy – oświadczył.

– Nie.

– Nie? – upewnił się.

– To był mój podstęp. Miałam nadzieję, że jak im pokażę zaproszenie, to się wściekną, trzasną drzwiami i wyjadą. Nie spodziewałam się, że mają tyle wolnego czasu i postanowią tu zostać do rzekomej ceremonii. Ile oni, do cholery ciężkiej, mają urlopu?!

Mszczuj pokiwał głową. Loki ani drgnęły, tyle miał w nie wklepanych kosmetyków. Z trudem powstrzymałam przemożną chęć, by ich dotknąć. Mogłam się założyć, że dłoń przykleiłaby mi się na stałe.

– To jaki mamy plan? – zapytał.

– Nie wiem, Mszczuju. Wierz mi, gryzę się z tym od wczoraj.

– A to jest w ogóle prawdziwe zaproszenie?

– Tak! To jest najgorsze! To prawdziwe zaproszenie, które dostałam od Bogusia i Bogusi z Nowej Słupi. Oni naprawdę biorą swačbę w tym konkretnym miejscu. A ja im to niecznie podebrałam. Oczywiście bez ich wiedzy.

Wreszcie odwrócił się w moją stronę. Miał zmartwioną minę.

– To się porobiło – skwitował.

– Ano – potwierdziłam, bo nic mądrzejszego nie miałam do dodania.

– Moi rodzice zabrali to zaproszenie. Jeśli je komuś pokażą, to wypłynie we wsi, że się pobieramy.

– Wiem.

– Co zrobimy, jak wypłynie? – spytał.

– W najgorszym razie weźmiemy swačbę.

Nabrał szybko powietrza. Wiedziałam, że go uraziłam. Tak samo jak świetnie zdawałam sobie sprawę z tego, że się we mnie podkochał. W końcu nawet powiedział to głośno. Swoich uczuć do kapłana nie zamierzałam precyzować nawet we własnych myślach, bo nie były dla mnie teraz ważne. W każdym razie tak sobie to tłumaczyłam.

Poza tym trochę się bałam, do jakich wniosków bym doszła, gdybym zaczęła myśleć o Mszczuju. To mój przyjaciel. Nie byłam oczywiście znawcą tematu, ale wydawało mi się, że od przyjaźni damsko-męskiej nie było już tak daleko do innych uczuć. A ja nie zamierzałam w nich się grzebać.

Poza tym naprawdę nie miałam ochoty mieć męża! Mąż to nie jest kolor lakieru do paznokci. Nie tak łatwo go zmienić albo się go potem pozbyć. No i trzeba mu gotować. A mnie się nie chce nawet dla samej siebie robić obiadów. Poza tym skarpety. Mogłam się



założyć, że Mszczuj prał je rzadko. Mój ojciec na pewno rąk nie kalał praniem bielizny. Wszystko matka musiała ogarniać.

Nie będę prać niczych skarpetek ani gaci. Po moim trupie!

– Dokąd mam cię zabrać? – zapytał i odpalił silnik.

– Do posterunku policji w Kakoninie.

\*

Przez całą drogę nie zamieniliśmy ani słowa. Każde z nas pogrążone było w swoich niewesołych myślach. Mnie osobiście kac moralny doprowadził do takich zakątków samobiczowania, że zaczęłam się zastanawiać, czy to nie ja powinnam wyprowadzić się za granicę. Wreszcie wszyscy faceci odczepią się ode mnie. Może nawet Swarożyc nie sięga swoimi mackami tam, gdzie w niego nie wierzą.

Afryka faktycznie wcale nie brzmiała tak źle.

O czym myślał Mszczuj, tego nie wiem. Co jakiś czas prychał tylko pod nosem niezadowolony.

Kiedy zatrzymaliśmy się już pod posterunkiem, nie wytrzymałam:

– Mszczuju, to nie tak, jak myślisz!

Co było oczywiście wierutnym kłamstwem, za które być może Weles mnie kiedyś ukarze.

– Nie?

– Jesteś moim najlepszym przyjacielem – powiedziałam, tym razem nie kłamiąc. – Naprawdę chcę ci pomóc uwolnić się od rodziny i od... zobowiązania.

A Motylek była naprawdę nielichem zobowiązaniem!

– Przepraszam, że wyskoczyłam z tą swačbą. Naprawdę nie spodziewałam się, że to się tak źle skończy. Musimy na spokojnie, już bez emocji, przemyśleć nasz kolejny ruch. To jest przecież wojna.

– A co, jak będziemy musieli wziąć tę swačbę? – rzucił.

– Wątpię, że narzeczeni oddadzą nam swój termin oraz lokal. To znaczy, tak jakby lokal – powiedziałam. – A jeśli nawet by nam oddali, to najwyżej za pół roku się rozwiedziemy. A co najlepsze, twoi rodzice wcale nie muszą o tym wiedzieć.

Pokiwał głową, jednak na jego twarzy nadal malowały się wątpliwości.

– A co z naszą społecznością? – zapytał. – Po wzięciu swačby nie powinniśmy się rozwozić. Nie taki przykład powinni dawać kapłan i szeptucha.

– Szeptucha akurat nie musi być wzorem moralności – wtrąciłam. – Nikt raczej tego od nas nie wymaga.

Posłał mi wymowne spojrzenie.

Cholera jasna by to wszystko wzięła. Że też jego rodzice musieli być tacy uparci! Przypomniałam sobie hardy błysk w oku Ścibory. A może to ona nie uwierzyła w mój fortel? Tak, to na pewno jej wina.

– Okej, to spróbujmy jednak nie brać tej swačby – mruknęłam. – Jeszcze na szczęście mamy chwilę na zastanowienie się, co teraz zrobić. Tymczasem idę porozmawiać z policjantami, skoro wreszcie tu dotarliśmy.

– Myślisz, że coś ci powiedzą?

– Och, przekonam ich. Idziesz ze mną?

– Nie, nie. Piłem niedawno.

– No i? Ja też.

– Ale ja prowadzę auto. Posiedzę sobie tutaj i może się zdrzemnę.

Położyłam rękę na klamce i już miałam ją nacisnąć, ale sumienie nie dało mi tak po prostu uciec.

– A piłeś na smutno czy na wesoło? – rzuciłam, nie patrząc mu w oczy.

– W obu tych intencjach – wyznał. – A ty?

– Ja na szalono – odparłam szybko i wyszłam.

Posterunek nie był duży, bo i potrzeb w okolicy wielkich nie było. Jedyne, co się zdarzało w Kakoninie i innych wsiach, to jakieś kłótnie domowe czy drobne kradzieże lub niszczenie mienia nieulubianego sąsiada.

Prostokątny budynek miał co prawda jedno piętro, ale nie porażał metrażem. Miałam wrażenie, że połowa pomieszczeń stoi pusta. Posterunkowy siedzący w dyżurce pokierował mnie do odpowiedniego pokoju. Na szczęście zastałam dwóch policjantów, którzy wtedy mnie przesłuchiwali. Jak można się było spodziewać, wcale nie ucieszyli się na mój widok.

– Dzień dobry! – powitałam ich nieszczerze.

Akurat siedzieli i pili herbatkę. Zażółszony papier śniadaniowy po kanapkach dopiero co musieli wrzucić do kosza, bo w pomieszczeniu wciąż unosił się zapach jajka na twardo i mortadeli.

– Dobry – burknął podejrzliwie ten wyższy, czyli Sambor Marchewka. – W czym możemy szanownej pani pomóc?

– Chciałabym zobaczyć ciało nieboszczki Ludomiły – odpowiedziałam różnym tonem.

Ten niższy, Domagoj Kowalewski, opluł się herbatką. Ciemna ciecz rozlała mu się na przedzie jasnoniebieskiej koszuli. Przyjrzałam się plamie z udawanym zmartwieniem.

– Trzeba zaprać czym prędzej – doradziłam.

– Jak to: zobaczyć ciało?! – zdziwił się Marchewka i wstał zza biurka.

Jeśli myślał, że przestraszy mnie jego wysoka sylwetka, to grubo się mylił. Podeszłam bliżej, zadarłam głowę i rzuciłam mu harde spojrzenie.

– Ano tak. Jestem jej ostatnim lekarzem. Chciałabym zobaczyć ciało. Rodzina mnie o to poprosiła – zełgałam gładko na sam koniec.

– To niemożliwe...

– Ja wiem, że są pewne biurokratyczne karteczki, które trzeba podpisać, ale jestem przekonana, że damy radę jakoś to załatwić – przerwałam mu.

Postawiłam torbę na jednym z biurek i zaczęłam wyciągać z niej nalewki.

– Przywiozłam też panom kilka specyfików. Mam nalewkę z czarnego bzu, likier poziomkowy i pyszną orzechówkę. Ostrzegam, że ona jest wytrawna.

– Co pani szeptucha robi? – wybąkał.

– Nic takiego – odparłam lekko i posłałam mu najbardziej promienny uśmiech, na jaki było mnie w tamtej chwili stać. – Panowie tak ciężko pracują. Uważam, że należy się wam wsparcie od lokalnej społeczności, w tym ode mnie.

– To wygląda jak próba przekupstwa – burknął pod nosem aspirant Kowalewski.

Doskonale zdawałam sobie z tego sprawę, bo w istocie było to bezczelne przekupstwo. Miałam tylko nadzieję, że będą mądrzejsi i nie powiedzą tego głośno.

– Co też pan gada! – obruszyłam się. – Chcę pomóc i zamierzam pomagać tak, jak umiem. Dotarli już panowie, jak rozumiem, do ostatniego kochanka Ludomiły?

Mężczyznom odrobinę zrzedły miny. Ten barczysty, Marchewka, który zdawał się mieć więcej oleju w głowie, sięgnął z westchnieniem po notes i długopis.

– Postanowiłam poprowadzić śledztwo na własną rękę – oświadczyłam i usiadłam na krzesle naprzeciwko niego.

– Nie radzę, takie rzeczy nigdy dobrze się nie kończą – odparł sucho.

– Jestem szeptuchą! – odparłam niefrasobliwie, a następnie podpowiedziałam: – Polecam wam skontaktować się z Bogusławem z Nowej Słupi i z jego narzeczoną Bogusią. Mają tam sklep ze sprzętem dla turystów.

– A jak ich nazwiska?

Zamrugałam. Do głowy mi nie przyszło, żeby zapytać. Żyjemy w niedużych społecznościach. Tu wszyscy się znają. Poza tym na wsiach często korzystamy z przezwisk,

które były nadane nam albo naszym przodkom przez sąsiadów. Na przykład na końcu naszej wsi mieszkali Amerykanie. Nazywano ich tak tylko i wyłącznie dlatego, że najstarszy syn wyjechał do Stanów Zjednoczonych za chlebem. A Amerykanami okrzyknięto z automatu całą rodzinę.

Boguś i Bogusia na pewno mieli jakieś nazwiska. Jednak ich sklep był czymś tak rozpoznawalnym, że nawet się nie zastanowiłam nad resztą ich personaliów. Posiadanie sklepu, na dodatek tak konkretnego, wystarczyło mi do ich identyfikacji.

– Nie wiem, ale łatwo ich znajdziecie. Za miesiąc biorą swaćbę. A Boguś zdradził narzeczoną. Z Ludomiłą...

Byłam świadoma tego, że rzucając tę krwistą ploteczkę policjantom, przekreślałam swoje szanse na wysepienie od narzeczonych terminu zaślubin. Niemniej jednak mogło to skutecznie odsunąć ode mnie podejrzenia, więc nie miałam żadnych wyrzutów sumienia. Poza tym nie oszukujmy się. Ja naprawdę nie miałam ochoty na tę swaćbę.

– Dopiero co ich odwiedziłam, żeby zapytać o związek z denatką – pochwalałam się. – Zamierzam jeszcze popytać innych.

– Nie radzę – burknął znowu Marchewka.

– Bogusia jest bardzo zazdrosną narzeczoną. Gdy chciałam porozmawiać z Bogusiem, ona zaatakowała mnie pilniczkiem do paznokci. Kto tam wie, co młodym przed swaćbą chodzi po głowach. To gdzie te zwłoki, cobym je mogła zobaczyć? – rzuciłam lekkim tonem.

– Pojechały już do zakładu pogrzebowego – powiedział aspirant Kowalewski.

Sambor syknął na niego, przez co młodszy policjant zapłonił się po cebulki włosów.

– Rodzina wie, gdzie jest ciało – powiedział do mnie Marchewka. – Raczej by ci, szeptucho, powiedzieli, gdyby chcieli, abyś je zobaczyła.

Zacisnęłam mocno zęby.

– Och, byłam u matki Ludomiły jakiś czas temu. Najwyraźniej nie zdążyła mnie powiadomić. Wie pan, w mojej części Bielin nie ma jeszcze podciągniętej linii telefonicznej, nie mówiąc o prądzie. To ja już będę uciekać. Proszę mnie informować o postępach w śledztwie!

– Nie mamy takiego zamiaru – skwitował Sambor.

– A, to bardzo nieuprzejme z pana strony. Za tę nieuprzejmość zabieram jedną z nalewek. Do widzenia.

Schwyciłam tę z czarnego bzu, zerwałam się na równe nogi i wybiegłam czym prędzej z komendy.

Licho nie śpi. Lepiej nie przesadzać z długością tych towarzyskich wizyt.

Wskoczyłam do samochodu Mszczuja. Śpiący kapłan zakasłał, dusząc się śliną, gdy go przebudziłam trzaśnięciem drzwi.

– Co się...?! – wydusił.

– Jedziemy dalej – oświadczyłam. – Do zakładu pogrzebowego. Biegusiem, bo jeszcze spała Ludomiłą, zanim do niego dojedziemy!



Dziwnie mi było stać sobie spokojnie pod domem grabarza. Poprzedni właściciel tego biznesu tułał się już dzięki mnie po Welesowych Polach. Nowy nie był w żaden sposób z nim spokrewniony. Czułam się trochę nieswojo. Zupełnie jakbym nie miała prawa tu przychodzić.

– Idziesz ze mną – powiedziałam Mszczujowi.

– Nie ma mowy – zaprotestował.

– Jako mój narzeczony powinieneś być odważniejszy – zagrałam chwytem poniżej pasa. Spiorunował mnie wzrokiem. Nie ugięłam się.

– No dobra, to idę – sarknął.

Stanęliśmy pod drzwiami grabarza. W mojej głowie ożyły wspomnienia. Tajemnicza księga i urok, który prawie całkiem pozbawił mnie sił. A potem myszy. Tyle myszy...

Potrząsnęłam głową, usiłując pozbyć się tego makabrycznego obrazu sprzed oczu. Bardzo długo prześladował mnie w koszmarach. Nie chciałam, żeby wrócił.

Zapukałam energicznie. Nie było przecież czasu do stracenia. Ktoś musiał być w środku, ponieważ wyraźnie było słychać dobiegającą z wnętrza grę na gitarze. Zastukałam jeszcze raz. Chyba mnie nie słyszał.

– Może ja. – Mszczuj wysunął się do przodu.

Myślałam, że cichutkim głosem zawoła: „Czy jest tu kto?”. On tymczasem załomotał pięścią i gwizdnął tak głośno, że wszystkie okoliczne psy dostały palpacji serca. Rzuciłam mu pełne zdziwienia spojrzenie.

– Umiem być odważny. – Wzruszył ramionami.

Ha, no proszę. Wystarczyło szturchnąć w odpowiednie miejsce. Muszę zapamiętać.

Drzwi się otworzyły. Stał w nich wysoki, bardzo żyłasty mężczyzna, mniej więcej w naszym wieku. Z zaskoczeniem odkryliśmy, że otoczone franką długich rzęs oczy ma dodatkowo obwiedzione czarną kredką. Rockowego efektu dodawały długie, kręcone czarne włosy, które opadały mu za ramiona. Ze zdziwieniem wpatrzyliśmy się w jego nagą klatkę piersiową. Mnie, przyznaję, spojrzenie zjechało nawet trochę niżej, na skórzane spodnie, które zsuwały mu się z wąskich bioder. Wyglądał, jakby dopiero wstał z łóżka, zaspany.

– Tak? Słucham? – zapytał niskim głosem.

To był Barnim. Poznaliśmy go już przy pracy. W końcu, odkąd poprzedni grabarz wyzionął ducha, ktoś musiał przejąć jego obowiązki. Praca była niewdzięczna, naznaczona (przynajmniej u nas na wsi) społecznym piętnem, ale za to dobrze płatna. Nieznany nikomu w okolicy Barnim przyjechał do Bielin z Kielc i z zapalem przystąpił do dzieła, zatrudniony przez gminę, która ucieszyła się, że znalazła tak szybko chętnego.

Mszczuj kiedyś zapytał go, dlaczego wybrał ten zawód. Mężczyzna oznajmił prostoproście, że pochodzi z biednego domu. A jedno jest na tym świecie pewne. Praca zawsze będzie czekać na piekarza, lekarza i grabarza.

Żadne z nas jednak nigdy nie widziało go jeszcze „po cywilnemu”. Na cmentarzu zawsze pojawiał się od stóp do głów w nobliwą czernią, a na głowie nosił kapelusz w stylu panamy, pod którym chował włosy. Nigdy też nie pojawiał się publicznie w makijażu.

Barnim mnie zachwyił. Wyglądał jak jeden z zagranicznych gitarzystów, którzy spędzają noc na koncertowaniu w dusznych klubach. Dodatkowo miał w sobie coś mrocznego i szalonego, co od razu mi się spodobało. Miałam wrażenie, że to człowiek, z którym się dogadam. Aż żałowałam, że wcześniej go nie odwiedziłam.

– Dzień dobry! Przyszliśmy zobaczyć zwłoki – oświadczyłam bezceremonialnie.

Mszczuj aż się zatchnął na tę bezczelność. Natomiast na młodym grabarzu moje oświadczenie nie zrobiło najmniejszego wrażenia. Kiwnął głową i wszedł do domu. Po chwili zawołał ze środka:

– Włazicie czy nie?

Miał dziwny, zupełnie pozbawiony emocji głos. Pociągnęłam kapłana za rękę i ruszyliśmy za Barnimem. Milcząc, prowadząc nas do piwnicy, gdzie mieścił się jego zakład pogrzebowy. Tuż przed przekroczeniem progu wsunął na gołe stopy plastikowe klapki. Zerknęliśmy na siebie z kapłanem.

Mszczuj chyba czuł się nieswojo, bo zaczął go zarzucać pytaniami:

– A jak praca? Dobrze idzie?

– Mhm.

– Dużo roboty?

– Mhm.

– A dobrze płacą?

– Mhm.

– Lubisz grać na gitarze, tak? Słyszeliśmy, że grasz, zanim zapukaliśmy. – Pytania robiły się coraz bardziej nerwowe, im niżej schodziliśmy po pogrążonych w ciemnościach schodkach.

Do naszych nosów dotarł ten specyficzny zapach, który wydziela psujące się mięso. Powietrze było nim przesiąknięte. Zdziwiłam się. Piętro wyżej niczego nie było czuć. Ciekawe, jak to zrobił. Musiała być tu naprawdę dobra wentylacja.

Usłyszeliśmy stuk plastikowego przełącznika i zrobiło się jasno. Barnim zapalił wiszące pod sufitem świetlówek. Ich ostre i zimne światło zaatakowało nasze oczy. Zamrugałam kilka razy, by przegnać kolorowe błyski, i przyjrzałam się wnętrzu. Murowana piwnica pod domem naprawdę robiła wrażenie. Poprzedni grabarz, kiedy niecznie zwiększył swoje przychody, pięknie ją wyremontował. Podłogę i ściany pokrywały łatwe do wyczyszczenia kafelki w kolorze seledynowym. Na podłodze co kilka metrów znajdowały się odpływy wody, by można było szlauchem szybko splukać brud, krew i inne wydzieliny. Zakład pogrzebowy w Kakoninie przypominał raczej profesjonalny zakład medycyny sądowej niż domową firmę obsługującą kilka okolicznych wsi i miasteczek.

Zrozumiałam też, dlaczego Barnim nie wszedł tu na bosaka. Lekko obrzydliwa perspektywa.

Jedynie, co nie pasowało do obrazka perfekcyjnego zakładu, to wiszące przy schodach narzędzia. Trzy siekiery, porządna piła, dwa młotki i kilka noży. Wszystko schludnie powieszono na specjalnej tablicy.

– Tak, gram na gitarze w niedużym zespole. Wczoraj w nocy mieliśmy koncert – powiedział Barnim.

Na jego twarzy wreszcie pojawiły się jakieś emocje. Czyli dlatego miał na sobie makijaż! Było w nim coś z Jima Morrisona. Dopiero po latach, gdy zespół Guns N' Roses stał się słynny, dotarło do mnie, że Barnim w młodości wyglądał niemalże jak wierna kopia Slasha.

– Kogo chcecie zobaczyć? – spytał. – Mam dwoje klientów.

Wskazał na dwa stoły, na których pod prześcieradłami leżały zwłoki. Jeden wzgórek był znacznie wyższy, musiał skrywać kogoś o dużym obwodzie brzucha. Zadziwiło mnie, że nie

robił nam żadnych problemów. Chociaż dlaczego miałby robić? Znał nas przecież, wiedział, że nie jesteśmy przypadkowymi przechodniami, tylko szeptuchą i kapłanem.

– Bardzo tu u ciebie nowocześnie! – skomentowałam.

– Tak, mój poprzednik się postarał. Ja to wszystko przejąłem razem z robotą. Dom i zakład należą teraz oficjalnie do gminy, ja tu tylko pracuję. Szkoda tylko, że lodówek nie ma. Na zachodzie je mają. A tak, jak pogrzeb się przeciąga, to zaczyna śmierdzieć.

– Ale i tak panuje tu lekki chłodek – zauważyłam.

– Piwnica. – Wzruszył ramionami.

Zaczęłam się zastanawiać, czy grabarze uczą się fachu w jakichś szkołach, czy są może samoukami. A może ich zawód trochę przypomina mój i potrzebują mentora? Tylko Barnim chyba nikogo nie miał. A na pewno nie w Kakoninie.

– Chcemy zobaczyć Ludomiłę Gałązkę – powiedziałam.

Wskazał na stół, na którym rysował się mniejszy kształt.

– To ona tak śmierdzi – obwieścił bez ogródek. – Już dawno powinien być pogrzeb. O, właśnie!

Odwrócił się do Mszczuja i zaczął go dopytywać o szczegóły ceremonii. W przeciwieństwie do kapłana on już rozmawiał z matką Ludomiły, ale z tego, co usłyszałam jednym uchem, tak naprawdę też nic nie wiedział.

Ja tymczasem podeszłam do stołu i bez zbędnych ceregieli ściągnęłam z niej prześcieradło. Myślałam, że będzie ubrana, ona jednak była kompletnie naga. Nie należą do wrażliwców, ale na widok długiego rozcięcia w kształcie litery Y na jej piersi i brzuchu, zsztygło byle jak na okrętkę czarną dratwą, zrobiło mi się trochę niedobrze. Ciekawe, czy sekcja włók zlecona przez policję coś wykazała. Niestety tego się nie dowiem, bo policja na pewno już nic więcej mi nie powie.

Poza śladami badania przez lekarza medycyny sądowej znaczącymi jej ciało Ludomiła wyglądała całkiem dobrze. Gdyby nie niezdrowa, zielonkawa bledość, którą podbijał dodatkowo kolor otaczających nas kafelków, można by uznać, że śpi.

– Jej matka już przekazała mi ubrania, ale nie chciałem jeszcze ich zakładać. – Barnim zostawił Mszczuja i podszedł do mnie. – Z ciała... wylewają się różne rzeczy. Nie chciałem pobrudzić ubrań, a nie wiedziałem, czy będzie pokazywane włók przed ceremonią. Wiem, że ma być ciałopalenie, i tyle. Rodzice tej kobiety zaznaczyli, że będą mieli specjalne wymagania, ale nic więcej nie powiedzieli.

Pokiwałam głową, wdzięczna za to wyjaśnienie. Tak, pożegnanie ze zmarłym przy otwartej trumnie to był okoliczny zwyczaj, nic specjalnego. Sposób na zamknięcie pewnych spraw i ostatnią rozmowę.

– Czego szukasz, szeptucho? – zapytał grabarz i wbił we mnie intensywne spojrzenie czarnych oczu.

– Mówmy sobie po imieniu – zaproponowałam. – Nie wiem, jak to się stało, że znamy się już kilka lat, a widzieliśmy się tylko na cmentarzu. Jaga jestem.

– Barnim. – Uśmiechnął się.

– A ja Mszczuj – dodał kapłan, wciąż stojąc w bezpiecznej odległości, przy tablicy z siekierami.

Uważnie przyjrzałam się grabarzowi. Po plecach przebiegł mi dreszcz. Było w tym mężczyźnie coś dziwnego i nie do końca ludzkiego. Chociaż może tylko tak mi się wydawało przez to, że bardzo podobne oczy miał Swarozyc.

– Podejrzewam, że śmierć nie była spowodowana naturalnymi przyczynami – powiedziałam. – Zauważyłeś, żeby coś z nią było nie tak?

Wzruszył ramionami i przecesał palcami poskręcane loki. W przeciwieństwie do mnie nie miał kołtuna. Najwyraźniej wszyscy oprócz mnie umieli radzić sobie z kręconymi włosami.

– Nie wstała w nocy – odparł z prostotą.

Mszczuj nie zamierzał nawet do nas podchodzić. Udawał, że bardzo interesują go kafelki. Na te słowa jednak odwrócił się spanikowany.

– Jak to „nie wstała”?! – wykrzyknął.

– No, zdarza się czasem. – Barnim znowu miał beznamiętny głos. – Pracowałem przez chwilę u grabarza w Kielcach. Trochę się widziało.

Zaintrygował mnie.

– A u nas ktoś wstał nocą? – zapytałam.

– Jeszcze nie.

– A jesteś na to przygotowany?

Wskazał głową na wiszące przy schodach narzędzia i powiedział:

– Poza tym pod schodami są zamontowane żelazne sztabki. Tak samo zabezpieczone są okna i wyjazd. Teoretycznie nikt nie powinien stąd wyjść.

Zerknęłam na to, co określił mianem „wyjazdu”. Była to betonowa rampa łącząca piwnicę z garażem. Tędy Barnim na wózku wytaczał trumny na podwórko, żeby zapakować je do karawanu.

– Zabezpiecz jeszcze solą – doradziłam. – Mogę ci przygotować trochę ziołowych mieszanek, żebyś nosił przy sobie w woreczku na szyi.

– Będę wdzięczny.

– Nie boisz się tu spać? – zapytał Mszczuj i dyskretnie podszedł bliżej.

– Nie, poza tym rzadko spędzam tu noce. Często gram w knajpach. Dorabiam tak do pensji. A w dzień to wiecie, raczej nic się nie dzieje w kostnicy.

Teraz już rozumiałam, dlaczego wyglądał na wiecznie niewyspanego. Prawie na każdym pogrzebie ziewał, czym nie zaskarbił sobie sympatii mieszkańców Bielin. Zresztą i tak by go unikali. Grabarz nie był zbyt lubianym zawodem. Ludzie się go bali, ponieważ na co dzień dotykał śmierci. Zupełnie tak jakby śmierć była czymś zakaźnym.

Dotknęłam Ludomiły. Przejechałam palcami po jej policzku, a następnie po ramieniu. Nie wiem, czego się spodziewałam. Jej skóra była chłodna i lekko gumowata. To akurat dobrze. Gdyby była, dajmy na to, ciepła, miałabym dość jednoznaczny dowód na to, że nie jest tak do końca martwa. Demony żywiące się po śmierci krwią po wypiciu jej z ofiary dostawały rumieńców i się rozgrzewały.

– Chcesz zajrzeć do ust? – zapytał Barnim.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, rozchylił jej wargi. Nie stawiały oporu, od śmierci minęło już więcej niż kilka dni, więc stężenie pośmiertne zdążyło zniknąć. Poszarzały język wyglądał dziwnie, jak przerośnięty ślimak. Ucieszyłam się, że nic nie zjadłam, bo chyba musiałabym to właśnie zwrócić.

– Zęby wyglądają normalnie. Trzymają się mocno – zauważył. – Nie widać żadnych zmian na języku.

Zamknął nieboszczce usta i otworzył powieki. Spojrzałam w jej ślepe źrenice, ale niczego mi nie powiedziały. Jednego byłam pewna – nie wyglądała, jakby miała powstać z martwych. Dobre i to.

– Ręce normalne, paznokcie normalne – kontynuował.

Odsunęłam włosy z szyi kobiety i dokładnie obejrzałam skórę. Szukałam ugryzień, siniaków, jakiegokolwiek śladu, że coś mogło na niej żerować przed śmiercią.

– Szukaj ugryzień, to może być coś drobnego, jak ugryzienie komara – poinstruowałam go. – Może jakieś tajemnicze znamię?

Żadne z nas nie znalazło niczego podejrzanego. Ludomiła nie miała nawet pieprzyków czy piegów. Grabarz powiedział, że lekarz, który robił sekcję, nie stwierdził żadnej wyraźnej przyczyny zgonu. Podobno ściągał nawet kolegę z innego województwa, ale

tamten też rozłożył ręce. Ludomiła to teoretycznie zdrowa kobieta, która nagle, nie wiedzieć czemu, umarła.

Jedyne, co podobno ich zainteresowało, to ostatni posiłek kobiety. Miała w żołądku trochę niestrawionych do końca ziół, a dokładniej liści lipy. To jednak w żadnym razie nie mogło spowodować jej śmierci, ponieważ liście nie są trujące.

Ta lipa mnie zaintrygowała, ponieważ jedzenie liści tego drzewa z całą pewnością nie było moim zaleceniem. Owszem, lipa jest drzewem kojarzonym z kobiecością. Picie naparu z kwiatów, wmasowywanie go w skórę i włosy może wzmocnić zainteresowanie płci przeciwnej. Wywarów z niej używano także w leczeniu najróżniejszych schorzeń oraz by chronić się przed demonami. Jak głosiła ludowa mądrość, nie uderzały w lipę pioruny, więc warto było mieć białą panią koło chałupy. Istniał także przesąd mówiący, że gdy przygotowuje się odpowiedni wywar z jej kwiecica i wyleje komuś na próg, to ta osoba zamieni się w wilkołaka. Brednie okrutne, ale co poradzić.

Nie znalazłam jednak żadnego przepisu, który nakazywałby zjedzenie jej liści. Idiotyzm jakiś albo coś nowego i niepokojącego.

Jeżeli wyniki badań toksykologicznych nie obciążą mnie i mojego specyfiku z nasięźrzału, policja będzie musiała rozłożyć ręce, a na końcu ich raportu pojawi się zdanie: „sprawa zamknięta”. Na pewno tak będzie, jeśli nie znajdą przyczyny zgonu. A w każdym razie miałam nadzieję, że tak właśnie się stanie.

W przeciwieństwie do nich nie zamierzałam się jednak poddać. W końcu z jakiegoś powodu Ludomiła szukała tajemniczego źródła Mokosz. To wszystko musiało mieć ze sobą związek. W tym kontekście drzewo symbolizujące kobiecość nabierało dość mrocznego znaczenia.

– Dziękuję ci, że nas wpuściłeś i pokazałeś ciało – powiedziałam do Barnima, gdy już wyprowadził nas na dwór wyjazdem dla trumien.

Rzuciłam okiem na obejście, które było nieco zapuszczone i zabałaganione. Na samym środku stał błyszczący motocykl. Wyglądał na bardzo stary, ale wyjątkowo zadbane.

W odpowiedzi Barnim swoim zwyczajem wrzucił ramionami i posłał mi zdziwione spojrzenie.

– Dlaczego miałbym was nie wpuścić? Jesteś szeptuchą, a on jest kapłanem. Nie przyszlbyście tutaj dla zabawy.

Też prawda.

– Coś grasuje w okolicy? – rzucił, kiedy już mieliśmy odejść.

Na jego twarzy pojawił się delikatny uśmiech, którego nie potrafiłam zidentyfikować. Zupełnie jakby cieszyła go ta perspektywa. Chociaż może nie powinnam się dziwić. W końcu on zarabia na grzebaniu ludzi. Im więcej ich umiera, tym większy jego zysk. Poczułam, że chyba go polubię. Wydawało mi się, że podchodziliśmy do prowadzenia biznesu w dość podobny, bardzo pragmatyczny sposób.

– Nie wiem – odparłam zgodnie z prawdą. – Wiem natomiast, że twoja klientka mogła przed śmiercią kogoś zdenerwować, być może nawet boga lub boginię.

Uniósł do góry czarne jak smoła brwi i zerknął przez ramię na wejście do piwnicy. Nie wydawał się jednak przestraszony, lecz jedynie zaintrygowany.

– To będzie ciekawie – skwitował. – Myślicie, że wstanie?

– Nie, chyba nie – zaprzeczyłam. – Boję się jedynie, że przed śmiercią mogła kogoś rozniewać. Nie wiem tylko kogo.

– A ten ktoś może przyjść do mojego zakładu? – dopytywał.

– Wydaje mi się, że nie. W końcu Ludomiła już nie żyje. Bardziej skrzywdzić jej nie może.

– No i dobrze. A mogą się pojawić kolejne... ofiary?



– Oby nie, oby nie – zaprzeczył szybko Mszczuj. – Miejmy nadzieję, że to pojedynczy przypadek. Jeszcze raz dziękujemy za gościnę. Będziemy się zbierać. Moi rodzice czekają, Jagusiu. Muszę wracać.

Kącik ust Barnima drgnął, gdy usłyszał zdrobnienie. Chociaż może nie była to reakcja na sam pieszczotliwy zwrot, ale na moją wściekłą minę, gdy go usłyszałam. Grabarz kiwnął nam głową na pożegnanie, a my pobiegliśmy do auta.



Dobrze wiedziałam, że Swarożyc nie pomoże mi za darmo. Z tego powodu zaczęłam się szykować do wyprawy na bagno. Z całą pewnością kolejną wskazówkę dotyczącą śmierci Ludomiły otrzymam dopiero wtedy, gdy zrobię to, czego on chce.

Naprawdę nie miałam ochoty tam iść. Zabrałam broń, obwiesiłam się w pasie ziołami, które teoretycznie powinny odstraszyć niektóre potwory, a także okadziłam się specjalną mieszanką. Przez pierś przewiesiłam płócienny worek, do którego zamierzałam wrzucać fanty.

Spódnicę zamieniłam na legginsy, żeby nic nie krępowało moich ruchów, gdybym musiała salwować się ucieczką. Włożyłam też porządne buty na perforowanej podeszwie, które miały mi zapewnić dobrą przyczepność podczas biegu. Bardziej gotowa na tę wyprawę nie mogłam być i zapewne nigdy nie byłam.

Gdy szłam przez łąkę w stronę lasu, zaczęłam szeptać cichą modlitwę do boga ognia. On jednak nie odpowiedział, bo miał mnie w głębokim poważaniu albo po prostu udawał, że nie słyszy.

– Sukinsyn – burknęłam pod nosem i zaczęłam go dziecinnie przedrzeźniać. – Pomogę ci. Będę przy tobie. Nic ci się nie stanie. Zawołasz, a ja przyjdę. Chcesz moje piętno? Cmok, cmok, cmok.

Wybrałam jedną ze ścieżek, którymi poruszały się zwierzęta. Była ledwie widoczna dla niewprawnego oka. Poszycie puszczy przez cały rok przykryte było opadłymi zbrązowiałymi liśćmi. Drzewa były wysokie, u ich podnóża rosły głównie paprocie i mech. Jeśli nie wiedziało się, czego szukać, łatwo było to przegapić.

Miałam bardzo dobrą orientację w terenie. Poza tym zawsze starałam się pamiętać, za którym ramieniem mam brzeg lasu i na wysokości czyjego pola lub łąki powinnam się aktualnie znajdować. Teren był górzysty, jak to w okolicy. Czasem się wspinałam, a czasem zsuwałam ostrożnie w dół jakiegoś jaru. Przeskakiwałam powalone starością drzewa albo obchodziłam je dookoła, gdy były zbyt potężne. Długo kluczyłam, ale nic nie zwróciło mojej uwagi. Nie miałam zielonego pojęcia, gdzie może być to tajemnicze wejście do Wyraju.

A może po prostu nie chciało mi się ukazać?

Powoli zawróciłam, by skierować się w stronę potoku, który płynął przez las. Tak naprawdę było tu kilka strumieni, ale chciałam dotrzeć do tego, który wybijał spod świętego dębu. Jeżeli jakaś woda miała prowadzić na bagno, które wciągało dusze, to ta wydawała się do tego idealna.

Szłam i szłam. Coraz bardziej zmęczona. Ani żywej duszy. Nieżywych dusz zresztą na szczęście też nie spotkałam. Powoli zaczynałam tracić czujność. Raz nawet złapałam się na tym, że pomyliłam kierunek.

W oddali usłyszałam ciche szemranie potoku. Byłam znacznie niżej, czyli stosunkowo dość daleko od jego źródła. Podłoże robiło się coraz bardziej wilgotne. Pomiędzy sosnami pojawiały się już pojedyncze olchy, ale nadal nie widziałam żadnej wierzby. A jak głoszą

legandy, to właśnie wierzby strzegą swoimi w itkami wejścia do zaświatów. Tworzą kurtynę, którą mogą przejść tylko nieliczni.

Napiłam się wody i potarłam zroszone potem czoło. Miałam dość. Postanowiłam, że dojdę do potoku, a potem ruszę wzdłuż niego, w stronę źródła. Na wysokości swojej chaty odbiję w bok. Jak na pierwszy raz i tak zrobiłam zbyt wiele kilometrów. Swaróżycowi chyba powinno to wystarczyć. Udowodniłam, że się staram.

Nagle usłyszałam podejrzane szelesty. Od razu zrozumiałam, że gdzieś w pobliżu jest jakiś człowiek. Środek lata, środek puszczy. Nie był to z pewnością zagubiony grzybiarz. Prędzej natrafiłam właśnie na kłusownika. A oni potrafią być niebezpieczni.

Powinłam być mądrzejsza, odwrócić się na pięcie i zająć własnymi sprawami. Mnie jednak, podobnie jak Mszczuja, bardzo denerwowało, że ludzie nie szanują lasu i tego, co on nam daje. Że biorą z niego wtedy, kiedy nie powinni. Przydałby się porządny leszy, opiekun, który załatwiłby raz na zawsze sprawę kłusownictwa.

Mocniej ścisnęłam rękojeść żelaznego noża i ruszyłam po cichu w stronę dźwięków. Las w tym miejscu nie był zbyt gęsty, więc już z oddali dostrzegłam sylwetkę mężczyzny w kapturze nasuniętym na głowę. Skrupulatnie rozsypywał sól. W okręgu.

Zrobiło się ciekawie.

Był odwrócony do mnie plecami, więc bezczelnie podkradłam się do niego. Kiedy zbliżyłam się na odległość metra, odwrócił się gwałtownie i sypnął mi solą prosto w oczy. Przysnaję, że nie byłam na to przygotowana. Sól dostała mi się do oczu i dziko zapiekła. Bardziej odruchowo niż z faktycznym zamiarem ugodzenia go zamachałam nożem przed sobą w parodii samoobrony.

– Jaga? – dotarł do mnie głos, którego nie poznałam.

– Ktoś ty?! – warknęłam, nadal machając dookoła siebie nożem.

Na wszystkich bogów, jak to bolało!!!

– Barnim.

– Jaki Barnim?! – Nadal nic nie widziałam, a głos niby brzmiał znajomo, ale cholera go wie.

– Grabarz.

– Kiedy u ciebie byłam i po co?

Wyżarło mi oczy, jak wszystkich bogów kocham. Oślepiłam! Będę ślepa!

– Wczoraj, sprawdzić, czy nieboszczka nie ma śladów po ataku demona – odpowiedział szybko.

Przestałam machać bronią. Wychodziło na to, że chyba faktycznie był tym, za kogo się podawał.

– Nic nie widzę – stwierdziłam raczej niepotrzebnie, bo chyba zdawał sobie z tego sprawę.

– Mam wodę. Przemijemy – zaproponował. – Opuść nóż.

Poczułam, jak łapie mnie za ramiona i sadza na ziemi. Posłusznie opadłam na zimne liście. Przechylił mi głowę na bok. Złapałam włosy, a on polał mi twarz wodą. Piekło jak cholera, swędziało i w ogóle było mi okropnie. Podejrzewałam, że razem z solą spłynął także cały mój makijaż.

– Lepiej? – zapytał.

– Teraz już mniej więcej widzę, więc tak.

Nie okłamał mnie. Faktycznie był tym, za kogo się podawał. Dzisiaj także ubrany po cywilnemu, ale kręczone włosy związał w niską kitkę na karku, co odkryłam, gdy zrzucił z głowy kaptur bluzy.

– Co tu robisz? – zapytałam.

Zmieszał się lekko. Zerknął na krąg z soli.

– Takie tam gusa, na wszelki wypadek – odpowiedział wymijająco.

Mnie jednak nie można było spławić byle czym. Zauważyłam, że pośrodku koła z soli znajdował się niewielki kopiec. Musiał coś tam zakopać.

– Bawisz się w magię na moim terenie. Masz mi powiedzieć, co robisz! – rozkazałam.

Krag, który stworzył, był bardzo precyzyjny. Widać, że to nie była dla niego pierwszozna.

– Stary grabarz, u którego kiedyś praktykowałem, mnie tego nauczył. Powiedział, że nie ma pewności, czy to działa, ale warto. Zwłaszcza jak trzeba.

Uniosłam do góry brwi. Nic z tego nie rozumiałam.

– Zakopałem tam serce Ludomiły. – Kiwnął głową do niewielkiego kopczyka.

– Ludomiła ma zostać spalona – zauważyłam. – Nie wiem, czy mądrze jest coś z niej wyjmować i zostawiać. To prośenie się o kłopoty.

– Dostałem dzisiaj rano jej ostatnią wolę – powiedział. – Jej rodzice przynieśli. Ludomiła zażądała, by nie palono jej serca. Napisała tam wyciskające łzy z oczu wyjaśnienie, że zawsze była osobą kochliwą, więc chciałaby, by jej miłość rosła, a nie zamieniła się w popiół. Poprosiła, by w razie śmierci pochować tylko jej serce. To znaczy prochy też, ale serce miało zostać niespopielone.

Poczułam, że po plecach biegną mi dreszcze. To dopiero brzmiało jak bardzo niebezpieczne, domorosłe gusła.

– Kiedy spisała swoją ostatnią wolę? – zapytałam głucho.

– Nie wiem. W tym liście nie było daty. Jej rodzice przyszli dzisiaj rano i mi go dali. A, właśnie. Skoro już cię spotkałem. Ceremonia pogrzebowa ma być za trzy dni na cmentarzu w Bielinach, w południe.

– Nie podoba mi się to.

Spojrzałam z lękiem na krag z soli. Po co Ludomiła chciała oszczędzić swoje serce? Najpierw ta nieszczęsna lipa, a teraz organ, który jest mocno związany z miłością we wszystkich rytuałach. A do tego jeszcze tajemniczy zgon, którego nauka nie potrafi wyjaśnić.

No śmierdzi to na kilometr.

– Wyjaśnij mi, co i dlaczego zrobiłeś – nakazałam.

Barnim wzruszył ramionami. W przeciwieństwie do mnie w ogóle nie był zdenerwowany.

– Mój mentor opowiadał, co może teoretycznie się wydarzyć, jeśli ktoś miał konszachty z bogami lub demonami za życia – mówił powoli, ostrożnie dobierając słowa. – Był stary, swoje już widział, mimo że pracował w Kielcach, gdzie teoretycznie ludzie nie bawią się w dziwne rzeczy.

– Wszędzie się bawią, jeśli mają nadzieję, że przyniesie im to wymierne korzyści – wtrąciłam.

Kiwnął spokojnie głową.

– Też widziałem, jak nocą, podczas naszego czuwania, niektórzy okazują się mniej... martwi, niż początkowo zakładaliśmy.

– Mówiłeś.

– Tak.

Opadł na ziemię obok mnie. Oparł ramię na kolanie i także wbił spojrzenie w niepozorny kopiec pośrodku puszczy. W miejscu, gdzie teoretycznie nikt nie powinien trafić na jego ślad. Wolałam jednak nawet nie myśleć o tym, co by się stało, gdyby kiedyś jakiś grzybiarz tutaj dotarł.

– Czasem ludzie zostawiają swoją wolę. Zadaniem grabarza jest zrobić tak, by byli po śmierci zadowoleni. Mówiąc krótko, musimy uczynić to, o co jesteśmy w woli prośeni – wyjaśnił. – W przeciwnym razie każde obchody Dziadów, a często i nie tylko ich, mogą dla takiego grabarza źle się skończyć.

Zamyśliłam się. Nigdy nie przyszłoby mi to nawet do głowy. Okazywało się, że praca grabarza była wyjątkowo niebezpieczna. Nic dziwnego, że mało kto się do niej garnął i najczęściej była przekazywana z ojca na, często niezbyt chętnego, syna.

– Mentor pokazał mi kilka sztuczek. Jednym z rozwiązań było zakopanie szczątków w innym miejscu, niż życzył sobie za życia zmarły, oczywiście przy odpowiednim ich zabezpieczeniu. Ludomiła chciała, by jej serce zostało pochowane. Reszta szczątków miała zostać spalona. Co prawda zastrzegła, że serce ma zostać zakopane na cmentarzu, w rodzinnym grobie, ale uznałem, że może nic się nie stanie, jeśli nie posłucham jej do końca.

– Czemu akurat tutaj je zakopujesz?

– Miałem nadzieję, że tu nikt go nie znajdzie.

– Zwierzęta rozwleką i zniszczą twój krąg. To w żadnym razie nie jest bezpieczne miejsce.

Zmartwił się. Na jego spokojnej twarzy wreszcie pojawiły się jakieś emocje.

– Robisz to pierwszy raz? – zapytałam.

– Samodzielnie tak. Mój opiekun nie chciał mnie zabierać. Chciał, żeby tylko na jednym z nas skupiały się złe emocje zmarłych.

Odetchnęłam z ulgą. Już się przestraszyłam, że czekają mnie spaceru po puszczy w poszukiwaniu niewłaściwie zabezpieczonych i potencjalnie bardzo niebezpiecznych szczątków.

– Pomyśl miałeś dobry, ale jeżeli Ludomiła planowała coś złego, to twoja metoda na długo by jej nie powstrzymała – powiedziałam. – Wykopiemy serce i pochowamy je na cmentarzu, a ja zabezpieczę odpowiednio grób i pokażę ci, jak ja to robię. Cmentarz mimo wszystko jest najbezpieczniejszym miejscem na takie zabawy.

Dodatkowo, jeżeli zdarzyłoby się, że jakiś zmarły postanowiłby powstać z martwych, to łatwo było znaleźć wtedy jego szczątki, które mogły pomóc w jego unieszkodliwieniu. Znacznie to prostsze niż bieganie po lesie i szukanie miejsca pod „tą krzywą sosną”. Po latach tej sosny przecież już może nie być. Puszcza to bardzo dynamiczne i zmienne środowisko.

– Dziękuję. Chętnie się nauczę. – Uśmiechnął się do mnie z wyraźną ulgą.

Po raz kolejny uderzyło mnie, jak bardzo jest zmęczony. Praca na dwa etaty nieźle go wyczerpywała.

– Nie ma problemu. Gramy przecież w jednej drużynie. Co jak co, ale mnie także nie zależy, żeby ta krętaczka wstała z martwych.

– Przepraszam, że osłepiłem cię solą.

– Na twoim miejscu zrobiłabym to samo.

Barnim wstał i sprawnie odkopał zawiniątko. Serce kobiety obłożył gazetami i schował do jutowego worka. Strasznie śmierdziało. Byłam przekonana, że zwierzęta nie poczekałyby nawet pół nocy, żeby dobrać się do szczątków. A krąg z soli w żadnym razie by ich nie powstrzymał.

– Muszę wybrać się do jej rodziców, żeby dowiedzieć się, kiedy dokładnie spisała swoją wolę – powiedziałam bardziej do siebie niż do niego.

– Podejrzana sprawa – zgodził się skwapliwie i pomógł mi wstać.

Był uderzająco silny mimo swojej chudości. Prawie wyrwał mi rękę z barku, kiedy mnie podniósł.

– Trafisz do domu? – zapytałam.

– Chyba tak. Zaparkowałem motor niedaleko. – Wskazał głową w kierunku, w którym powinna znajdować się droga.

Bezmyślnie ruszyłam razem z nim. Nie mogłam przestać myśleć o sercu Ludomiły i o jej poszukiwaniach źródeł Mokosz. Jakie źródła? Co ma piernik do wiatraka?!

Nagle przypomniałam sobie, że znam kogoś, kto wie prawie wszystko o magii miłości, bo rytuały tego typu były jej specjalnością.

– Hm, a podwieszysz mnie gdzieś? – zapytałam.



Mirosława, szeptucha z sąsiedniej wsi i moja dobra przyjaciółka, była na szczęście w domu. Żegnała się właśnie z ostatnim klientem, kiedy razem z Barnimem podjechaliśmy w chmurze kurzu z polnej drogi. Mirka, choć starsza ode mnie o kilka lat, często zachowywała się mało poważnie. Na widok, nie ukrywajmy, wielce przystojnego Barnima o mało majtki jej z tyłka nie spadły. Otworzyła szeroko oczy i przez dłuższą chwilę nie mogła sobie przypomnieć, do czego służy język.

– Cześć, Mirko – przywitałam ją.

– Dobry wieczór. – Grabarz pomógł mi zejść z motocykla i kiwnął głową drugiej szeptusze.

– Ja, ja, ja...

Nie zachowywała się normalnie. Zaczęłam stroić do niej miny zza Barnima. W końcu zogniskowała wzrok na mnie i zrozumiała, że nie robi w tej chwili zbyt dobrego pierwszego wrażenia. Odchrząknęła, wyprostowała się i szybko zebrała się w sobie. Mirka, którą znałam, wreszcie się pojawiła.

– Dobry wieczór, my jeszcze nie mieliśmy okazji się poznać. Jestem tutejszą szeptuchą. Z kim mam zaszczyt? – zapytała.

Zamrugnęła zalotnie i niby przypadkiem odrzuciła na plecy długi, gruby blond warkocz. Jej bluzka miała tak głęboki dekolt, że koronka stanika wystawała na dobre dwa centymetry powyżej materiału wierzchniego ubrania. Spojrzenie Barnima momentalnie tam powędrowało. Uśmiechnął się pod nosem.

– Nazywam się Barnim. Jestem grabarzem z Kakonina.

– Dlaczego u nas nie ma takiego przystojnego grabarza? – zapytała z pretensją.

– Zabij starego, to zatrudnią młodego – mruknęłam.

W odpowiedzi się zaśmiała, myśląc, że to tylko niewinny żart. Nigdy nie opowiedziałam jej o moich przygodach. Gdyby je znała, pewnie zareagowałyby nieco inaczej.

– Mnie także miło cię poznać – powiedział Barnim i uśmiechnął się ciepło do Mirki.

Zerknęłam na niego podejrzliwie. Do mnie ani do Mszczuja tak się nie uśmiechał. Jeszcze chwila i okaże się, że zabranie go tu było błędem. Jak zaczął gruchać do siebie, to przecież nie da się rozsądnie porozmawiać. Musiałam się go pozbyć.

– Potrzebuję konsultacji i alkoholu. Dużej ilości i jednego, i drugiego – poinformowałam przyjaciółkę.

– A kolega zostaje z nami? – zapytała.

– Nie – burknęłam w tym samym momencie, w którym on odpowiedział twierdząco. Rzuciłam mu wściekle spojrzenie, więc wreszcie spokorniał.

– To... ja będę uciekał. Bardzo mi miło było poznać.

– Wpadnij jutro – zaproponowała niefrasobliwie Mirka. – Jaga dzisiaj w złym humorze, ale ja chętnie jutro napiję się na wesoło. Poza tym powinnam poznać grabarza pracującego w okolicy. Nigdy nie wiadomo, kiedy nasze zawodowe ścieżki się skrzyżują.

– Przyjadę koło dwudziestą – odpowiedział.

Chwilę później już go nie było.

- Jesteś niemożliwa – poinformowałam ją.
- Ja? To ty ukrywasz takie ciacho i nic nie mówisz... – Nagle się zmieszała. – No, chyba że coś jest między tobą a Barnimem, to ja się nie będę wtrącać.
- O nie, mężczyzn ci w moim życiu ostatnio urodzaj – burknęłam. – Nowych w żadnym razie nie potrzebuję.
- W takim razie zaklepuję tego. Dawno takiego przystojniaka tu nie widziałam. Miła odmiana. A co do innych mężczyzn, to wszystko mi zaraz opowiesz!
- Nie ma mowy – zaprotestowałam gwałtownie.

\*

Moje protesty nie trwały długo. Minęły gdzieś przy drugiej butelce nalewki, którą wypiliśmy. Czekaliśmy na zdecydowanie „światłana” przyszłość z marskością wątroby. Coraz częściej zaczynałam się zastanawiać, czy aby nie mam już problemu z alkoholem.

– Faktycznie, cierpisz na nadmiar testosteronu w swoim życiu – skwitowała nieźle już zawiana Mirka, gdy opowiedziałam jej o wszystkim, co ostatnio mi się przydarzyło.

Chata Mirosławy była bardzo podobna do mojej, choć większa. Składała się z dwóch izb i przedsiönka. Pacjentów nie wpuszczała do izby z kuchnią i swoim łóżkiem. Tam była przestrzeń należąca tylko do niej i do gości, których zapraszała, przeważnie na chwilę raczej krótszą niż dłuższą, do swojego życia. Siedziałyśmy obie po turecku na szerokim podwójnym łóżku, na którym normalnie spała.

Miękkie poduszki, które podłożyłam pod plecy, kusily, żeby się do nich przytulić i usnąć. Nie mogłam sobie jednak na to pozwolić, dopóki nie poznam odpowiedzi na kilka pytań. Również odstawiłam kieliszek na parapet i wyprostowałam się.

– Jak myślisz? – Na szczęście jeszcze wciąż trzymałam się konkretów. – Co mogła knuć Ludomiła?

– Źródła Mokosz, a dokładniej źródło, w liczbie pojedynczej, to nie jest fizyczne miejsce. Naprawdę wstyd, że tego nie wiesz – stwierdziła z naganą. – To mówisz, że ten Bratomil dobry w łóżku?

– Ale przecież kupiła sobie buty trekkingowe. Myślałam, że będzie szukać tego źródła po lesie! Po kiego grzyba jej w takim razie buty i łopata? – Westchnęłam zirytowana. – Tak, jest całkiem niezły, ale raczej na sianie niż w łóżku. W łóżku nigdy nie próbowaliśmy.

– Wiesz, kim jest Mokosz? Nie muszę ci chyba tego tłumaczyć, ale jako żeśmy nieźle wcięte, to tak zrobię, a ty polej łaskawie w międzyczasie. Bogini Mokosz jest patronką, rzecz jasna, ciężarnych, matką ziemi wilgotnej, czyli żyznej et cetera, et cetera... – Głos Mirki robił się coraz bardziej bełkotliwy. – Z niej to nieźla agentka była. Romansowała z Białobogiem, Czarnobogiem. Tu w ciąży, tam bez ciąży. Potraciły chłopaki dla niej głowy. – Beknęła. – Ale to on chce z tobą znowu na siano czy coś więcej?

– Okej, to już wiem, że Mokosz była puszczalska. Co z tego? Jaki to ma związek z Ludomiłą? Na dodatek ta historia z sercem! – Podałam Mirce pełen kieliszek. – Właśnie problem w tym, że Bratomil chce mnie mieć za żonę. Jest gotów porzucić ojcowiznę i zostać ze mną w Bielinach.

Moja przyjaciółka już miała się napić, ale po chwili namysłu odstawiła nietknięty kieliszek. Spowaźniała.

– Mokosz jest patronką ciężarnych i miłości. Jednak nie miłości rozumianej jako zakochanie, ale tej dzikiej, cielesnej fascynacji, która spala kochanków żywym ogniem – podjęła temat Mirka. – Ona jest ziemią, którą zapładnia deszcz podczas burzy. Chociaż przedstawiana jest w otoczeniu kwiatów i zwierzątek, to, nie oszukujmy się, jej to nie interesuje. Ona pożąda i chce być pożądana. Źródło Mokosz to ogień, który ją cechuje. Szaleństwo i nienasycenie, pożądanie.



Miałam coraz większy mętlik w głowie. Ludomiła była wyjątkowo kochliwą osobą. Lubiła czarować mężczyzn i korzystać z ich zainteresowania. Po co miałyby szukać tego źródła? Mało jej było?

– Jakos nie trafiłam na to w żadnej książce – skwitowałam. Nie zamierzałam się tłumaczyć, że raczej rzadko zaglądam do opracowań o bogach. Skupiam się głównie na zielnikach i bestiariuszach. Nie oszukujmy się, bogowie są mi w zasadzie obojętni.

– Każde bóstwo ma swoje źródło, czyli cechę, która determinuje jego zachowanie i zdolności – wyjaśniła Mirka. – Babcia ci o tym nie opowiadała?

Babcia babcią, ale dlaczego Swarożyc udawał, jak najlepszy aktor, że nie ma pojęcia, o co go pytam? Skurczybyk. Ciągle zapomniałam, że nie można mu ufać.

– Może nie zdążyła – mruknęłam na odczepnego. – Nadal nie rozumiem, po co jej były te buty i sprzęt. Nie pojmuje, jak chciała zdobyć dostęp do źródła pożądania Mokosz.

– Myślę, że chciała ją sobie podporządkować.

– Że co???

Sięgnęłam po kieliszek i wypiłam jednym haustem zawartość. Elementy układanki wpadły z hukiem na swoje miejsce. To przecież by pasowało. Ludomiła uważała się za *femme fatale* świadomie wykorzystującą mężczyzn. Gdyby namówiła Mokosz, by ta przekazała jej swoje sekrety, wtedy żaden już by jej się nie oparł. A najwyraźniej trafiła na jakiś wyjątkowo głuchy na jej wdzięki egzemplarz, skoro nawet moje specyfiki na niego nie zadziały. Zawiodła się na metodach oferowanych przez szeptuchy, więc postanowiła wydobyć sekret bogini.

Jeśli Mokosz się to nie spodobało, to mogła ją uśmiercić. Czyli sprawa byłaby teoretycznie rozwiązana i zamknięta. Wpasowałyby się to w brak obrażeń na ciele sugerujących, iż jednak osoby trzecie przyczyniły się do śmierci lekkomyślnej bieliniarki. Bogini raczej nie zostawiłaby śladów swojego mordu.

– Myślisz...? – wydusiłam.

– Tak interpretuję fakty, które mi przedstawiłaś. Nie mam oczywiście pewności. – Rozłożyła ręce.

Przypomniałam sobie rytuał, który znalazłam w Welesowej księdze. Zanim się jej pozbyłam, bardzo wnikliwie przestudiowałam każdą stronę. Ten konkretny rytuał mówił o tym, jak spętać boga. Oczywiście nie na zawsze, jak miemam, bo wyjaśnienia nie było. Znajdowała się tam instrukcja, co namalować na ziemi w kręgu, co powiedzieć. Potem trzeba było tylko zwabić bóstwo do środka.

Przepisałam sobie, co zrobić, bardzo skrupulatnie. Miałam nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie, ale wolałam mieć coś w zanadrzu, gdybym musiała bronić się przed Swarożycem.

Być może istniało więcej metod. Ludomiła mogła przecież poznać inny sposób. Taki, który wymagał jej śmierci i ocalenia serca. Tylko: co wtedy? Czy to znaczy, że jednak po ceremonii pogrzebowej powstanie z martwych?

– Niedobrze – skwitowałam.

– Ciekawe, co będzie. – Pokiwała głową.

– Myślisz, że Ludomiła dotknęła źródła Mokosz?

– Nie wiem. Uważam, że to bardzo głupie, ale pomyśl, co by było, gdyby jej się to udało. Wtedy teoretycznie miałyby nad nią władzę. To znaczy tak mi się wydaje. O tym w książkach już raczej nie wspominają.

– Zaczyna mnie to przerastać...

– Eee, ciebie? – zachnęła się. – Jaga, co jak co, ale ty to lubisz takie aferki.

Było w tym trochę racji. Wolałabym jednak, żeby policja dała mi spokój i żebym nie była zaangażowana w oficjalne śledztwo. Równocześnie jednak poczułam trochę podniecenia. Jeżeli takiej Ludomile udałoby się spętać boga, to i ja mogłabym to zrobić. Co prawda nie

wiem po co, bo na razie nie mam żadnych niecnych planów wobec Swaróżyca. Miło było mieć jednak świadomość, że to ja mogłabym mu rozkazywać.

Potańczałam beznamiętnie nadgarstek pod ozdobną bransoletką zegarka. Nadzwyczaj czujne jak na taką ilość alkoholu spojrzenie Mirki natychmiast zawisło na mojej ręce. Zanim zapanowała nad mimiką, uśmiechnęła się lekko pod nosem. Obrzuciłam ją badawczym spojrzeniem. Oba nadgarstki zawsze miała obwieszona plecionymi bransoletkami. Warkocz niezmiennie wiązała tuż nad karkiem.

– Ile masz znaków? – zapytałam.

Lekko drgnęła.

– Znaków? – rzuciła szybko.

– Już nie udawaj, podobno się przyjaźnimy.

– Odpowiem szczerze, jeśli odpłacisz mi się tym samym – odparła.

– Odpłacę się.

– Mam pięć jego znaków.

Oniemiałam. Aż pięć!

– Ja tylko dwa.

Mirka uśmiechnęła się krzywo. Wydawało mi się, że momentalnie wytrzeźwiała. Zsunęła bransoletki i pokazała mi nadgarstki. Oba naznaczone były ognistymi pocałunkami. Trzeci znajdował się pewnie na karku. Podejrzywałam, że pozostałe dwa były gdzieś pod ubraniami.

– Jesteś silniejsza ode mnie. Być może mądrzejsza – powiedziała, patrząc na ślady. – Ja się nie zastanawiałam, kiedy Swaróżyca zapewniał mi o swojej miłości. Byłam i nadal jestem mu całkowicie oddana. Przyjmowałam jego znaki z radością i uniesieniem. Są dla mnie symbolem mojej wiary.

– Wysyłał cię na bagna? – zapytałam.

Zdziwiła się.

– Co? Jakie bagna?

– Nie kazał ci iść do puszczy i szukać magicznego trzęsawiska, wrót do Wyraju?

Wybałuszyła na mnie oczy.

– Nie... nigdy o coś takiego mnie nie poprosił. Szczerze mówiąc, to on niczego ode mnie nie chce. To ja się do niego modłę o łaski, a on mi ich udziela. A czasem... – Na jej policzkach pojawił się delikatny rumieniec. Zachichotała. – A czasem ta moja modlitwa doczeka się... całkiem miłej odpowiedzi.

Zastanowiło mnie, dlaczego inaczej nas traktuje. Obie jesteśmy szeptuchami, strażniczkami jego ognia. A to jednak ode mnie wymaga wypełniania wymyślnych zadań. Mirka jest tylko jego kochanką. Czemu? Czym się różnimy?

– Pyskujesz mu? – rzuciłam.

Po raz kolejny ją zaskoczyłam.

– A ty?! – wykrzyknęła.

– No oczywiście, że tak.

– Na miłość wszystkich bogów. Życie ci niemiłe, droga Jago. Z bogami się nie dyskutuje! Cieszymy się, że darzą nas swoimi łaskami, i tyle! Nie wdajemy się z nimi w dyskusje. Robimy to, co nam każą. – Chyba wreszcie dostrzegła moją pełną sceptycyzmu minę, bo westchnęła ciężko. – Chociaż w sumie to po co ja ci to mówię. Ty i tak zrobisz po swojemu. Wiedz jednak, że moim zdaniem to nie jest mądre. Wpędzisz się przedwcześnie do grobu.

– Prawda – zgodziłam się skwapliwie.

– A poszłaś z nim do łóżka? – zapytała.

– No, raz mi się zdarzyło, ale niepotrzebnie. Myślę, że mogłam go tylko niechętnie zachęcić. Pewnie będzie z tego więcej problemów niż pożytku. A ty?

– Mnie nawet więcej niż raz! – Puściła do mnie oczko. – Takiego to przecież żal wypędzać spod koldry. Nawet bym się nie obraziła, gdyby częściej słuchał moich żarliwych modlitw.

– Niemożliwa jesteś – skwitowałam.

– Ty też.

– Prawda – zgodziłam się z nią po raz kolejny. – Najmądrzejsze to my też nie jesteśmy.

– Może i nie – przyznała. – Ale za to jakie mamy ciekawe życie! A tak bliskie obcowanie z bogiem to... interesująca sprawa.

Pomyślałam, że Swarożyc to się jednak umie ustawić. W ogóle nie bolało mnie, że uwodził w tym samym czasie i mnie, i Mirkę. Żadnej z nas przecież niczego nie obiecał i na wstępie już mówił, że jest opiekunem wszystkich szeptuch. Obie wiedziałyśmy, w co się pakujemy. Trochę bardziej uwierał mnie fakt, że miał też romans z moją babcią. To było jednak lekko niesmaczne.

– A wracając do ciekawego życia, to co zrobisz ze swałą? – zapytała Mirka.

Najeżyłam się. Wolałam już omawiać moje życie seksualne z bogiem ognia niż wracać do tego tematu.

– Nie mam ochoty brać swały z Mszczujem – powiedziałam. – To dobry człowiek i bardzo go lubię, ale...

– ...go nie kochasz – dokończyła poważnie.

Już się chciałam z nią zgodzić, ale coś mnie w ostatniej chwili powstrzymało. Tyczkowaty, wiecznie zaafierowany Mszczuj był zupełnym przeciwieństwem mężczyzny, którzy zwykle potrafili zawrócić mi w głowie. Na pewno w niczym nie przypominał pewnego siebie Swarożycy. A jednak go...

– Nawet jeśli go kocham, to nie na tyle, żeby wiązać się z nim przysięgą – odparłam z namysłem.

Przyjaciółka wpatrywała się we mnie oniemiała. Dłuższą chwilę zastanawiała się, jak zareagować na tę rewelację.

– Nie wierzę! – Rzuciła we mnie poduszką. – Ty naprawdę go lubisz!

– Jest dobrym człowiekiem i byłby dobrym mężem.

To była mantra, którą sobie powtarzałam, odkąd oświadczyłam jego rodzinie, że się pobieramy. W sumie nawet nie musiałam tego powtarzać, bo byłam tego pewna. Tylko czy to wystarczało, żebym była szczęśliwa? A dokładniej, była szczęśliwa z nim?

Nie był brzydki. W pewnych kwestiach na pewno nie był tak doświadczony jak Swarożyc, ale to nie stanowiło problemu. Myślę, że spokojnie byśmy się zgrali. Problemem była moja wolność, którą po swałbie przecież stracę.

No i, na litość wszystkich bogów, ja naprawdę nie chcę zostawać jeszcze matką. O ile kiedykolwiek do tego dojrzeję emocjonalnie. Jeśli on pragnie być ojcem, to swoją decyzją go skrzywdzę. Jeśli zaś ulegnę, to ja będę nieszczęśliwa.

– Ale...? – ciągnęła mnie za język Mirka.

– Ale ja nie szukam męża i w tym problem. To on by na tym związku stracił, a nie ja.

Zamyśliła się nad moimi słowami. Pokiwała głową.

– Rozumiem cię. Ja nigdy nikogo nie poślubię, bo... chcę być wolna. Chcę czerpać ze świata pełnymi garściami, dopóki mam siły. Takie życie sobie wybrałam. A mojej matce i ciotkom nic do tego.

Wolna. No właśnie...



Nie udało mi się porozmawiać przed pogrzebem z rodzicami Ludomiły o moich podejrzeniach. Miałam trochę roboty przy przygotowaniach do dwóch wieczorów panieńskich, które odbywały się tego samego dnia. Było to uzależnione od pełni księżyca. Na szczęście Mirka mi pomagała.

Poza tym chyba zaczęli mnie unikać po tym, jak po wsi rozeszły się plotki o moim życiu prywatnym. W końcu byli rodziną pogrążoną w żałobie. Nie chcieli się mieszać w żadne skandale obyczajowe.

Wszyscy już wiedzieli, że razem z Mszczujem postanowiliśmy się pobrać. Do każdego chętnego ucha dotarła także informacja o moim byłym narzeczonym i byłej narzeczonej Mszczuja, którzy przybyli do Bielin, żeby nam pokrzyżować plany. Bronka z radością donosiła mi, że wszyscy nam kibicują i pomagają pozbyć się konkurencji. Podobno jakieś dzieciaki nawet obrzuciły Ściborę jajkami.

Nie powiem, trochę mi to poprawiło humor. Niestety wrogość mieszkańców wsi nie sprawiła, że Motylek i Bratomil wyjechali.

Na szczęście przynajmniej termin i miejsce uroczystości wciąż były tajemnicą. Dzięki temu Bogusia i Boguś jeszcze nie zapukali do moich drzwi z pretensjami i pilniczkiem do paznokci.

Cmentarz był opustoszały. Na ceremonię przyszli tylko rodzice Ludomiły i piątka jej rodzeństwa z rodzinami. Najstarszy z braci miał już pięćdziesiątkę na karku, a jego własne dzieci były w wieku Ludomiły. Nie widziałam żadnych sąsiadów ani przyjaciół. Zupełnie jakby nikt oprócz ludzi, którzy dzielili z nią krew, nie lubił jej na tyle, żeby wesprzeć ją w ostatniej podróży. Na pewno nie pojawił się tajemniczy mężczyzna, którego usiłowała uwieść, ani też żadne koleżanki z Kielc. Chociaż one może nawet nie wiedziały o ceremonii.

Zgromadzeni wpatrywali się w napięciu w grabarza, który rozkopywał grób. Stanowili przedziwne towarzystwo. Oprócz matki Ludzi nikt nie przywdział żałobnej czerni. Wyglądali, jakby oderwali się na chwilę od swoich codziennych spraw i przyjechali przy okazji na cmentarz.

Prochy kobiety czekały w białej urnie. Barnim włożył serce do czarnej. Stały obok kamiennej płyty z wrytymi personaliami dalszych przodków. Kamieniarz jeszcze nie zdążył uzupełnić tablicy o dane Ludomiły.

Przyznaję, że czułam się odrobinę nieswojo. Dziwna atmosfera oczekiwania i podniecenia, która panowała wśród jej bliskich, udzieliła się i mnie. Mszczuj także wyczuł, że coś chyba jest nie tak.

Nikt nie płakał, nikomu nie było nawet odrobinę przykro. Kapłan raz po raz mylił się podczas modlitwy. Zawieszał głos w odpowiednich momentach, ale oprócz matki zmarłej, która mamrotała pod nosem określone kwestie, reszta milczała i po prostu patrzyła w napięciu na grób.

Barnim skończył kopać i umieścił we wnętrzu dołu dwie urny. Zerknął na zebranych, a potem na mnie. Zobaczyłam w jego oczach odbicie moich obaw. Ta ceremonia nie była

normalna. Jasne, mogli jej nie lubić, mogli nawet jej nie szanować. Ale... mimo wszystko powinni zachowywać się inaczej.

Podeszłam do grobu i wyciągnęłam z torby zioła i ziarna maku. Zanim zdążyłam wrzucić je do ziemi, zatrzymał mnie głos najstarszego brata:

– Co pani robi?

– To element ceremonii – wyjaśniłam spokojnie. – Zabezpieczenie grobu, by zmarła mogła spoczywać w nim w spokoju.

– Proszę tego nie robić – oświadczył.

Zbił mnie z pantafelki. Zerknęłam na rodziców zmarłej. Matka unikała mojego spojrzenia. Uparcie wbijała wzrok w ziemię pod swoimi stopami. Ojciec mierzył mnie wrogim spojrzeniem.

– Pani Gałązka? – zapytałam.

Córki otoczyły matkę niczym żywa tarcza. Po raz kolejny uderzyła mnie nieestosowność ich ubioru. Jedna miała na sobie sztywną garsonkę, inna szorty i podkoszulek, a jeszcze kolejna, najstarsza, strój nadający się raczej do spacerów po lesie. To właśnie ta kobieta, na oko czterdziestoletnia, wysunęła się do przodu, tupnęła stopą obutą w nowiutki traper na grubej podeszwie i powiedziała jadowitym tonem:

– Nie wiem, co pani tu w ogóle robi. To prywatna ceremonia. Nikt pani nie zapraszał.

Uniosłam brwi wysoko. Nie wiedziałam, jak zareagować. Aż mi zabrakło języka w gębie. Nikt nigdy nie miał mi za złe, że przychodziłam na cmentarz. Wszyscy wręcz się z tego cieszyli, bo nie musieli płacić za mój udział. Był gratis do pochówku. A ludzie lubili gratisy i promocje.

Nie znałam tej kobiety. Szczerze mówiąc, nie znałam nikogo z rodzeństwa Ludomiły. Wszyscy wyprowadzili się z Bielin, zanim się tu przeniiosłam. Nigdy nie przychodzili do mnie po porady. Być może nie wierzyli w moce szeptuch albo zwyczajnie nie mieli takich potrzeb.

Każdy inaczej przechodził żałobę. Nie uraziła mnie ich jawna wrogość. Dopiero od niedawna chodziłam na ceremonie. Być może jeszcze o tym nie słyszeli.

– Nie robię tego w złej wierze – powiedziałam łagodnym tonem.

– To ja poprosiłem Babę Jagę o to, by nam dzisiaj towarzyszyła – wtrącił Mszczuj. – Obrządek zabezpieczenia miejsca pochówku to element ceremonii.

– Niby od kiedy?! – prychnęła kobieta.

– Odkąd ja tu jestem kapłanem i tak postanowiłem – odparł zadziwiająco stanowczo.

Rzuciłam mu ukradkowe spojrzenie. Takiego go jeszcze nie znałam.

– My za to nie zapłacimy.

– Nie chcę państwa pieniędzy – zaprotestowałam. – Robię to dla zmarłej. Ostatnia posługa na drodze do jej wieczności.

– Jej już nie ma, a my nie życzymy sobie pani obecności – upierała się starsza siostra Ludomiły.

– Nie rozumiem. Przecież skoro to państwa nic nie kosztuje... – zaczęłam.

– Proszę odejść – przerwała mi. Wszyscy wbili we mnie wrogie spojrzenia. – Nie chcemy, żeby pani wrzucała śmieci do jej grobu. Poza tym słyszeliśmy plotki o pani. Udaje pani wzór moralności, a zawraca głowę dwóm mężczyznom naraz. Jakie dary mógłby ofiarować ktoś taki jak pani?

Dla podkreślenia swoich słów splunęła na ziemię. Było to bardzo nieestosowne, biorąc pod uwagę, że znajdowaliśmy się na cmentarzu. Mszczuj o mało nie zatchnął się na śmierć ze wzburzenia.

– Ale... – Z wrażenia nie wiedziałam, co mam powiedzieć.

Szczerze mówiąc, nie spodziewałam się, że nasza rozmowa zejdzie na takie tory. Poza tym co ma piernik do wiatraka? Moje życie prywatne przecież nie miało związku z pracą.

A w każdym razie nie powinno mieć.

– W takim razie ja też odejdę i nie skończę ceremonii pogrzebowych! Będą musieli państwo znaleźć innego kapłana, by dokończył pochówek – odparł z godnością Mszczuj i z trzaskiem zamknął modlitewnik, który przynosił ze sobą tylko dla lepszego efektu, jako że i tak znał na pamięć wszystkie modlitwy.

Rzuciłam mu zaskoczone spojrzenie. Obrządek i powinność wobec naszej społeczności były dla niego zawsze na pierwszym miejscu. Nie spodziewałam się, że uniesie się honorem i przedłoży mnie ponad pracę. Barnim stał cicho, trzymając przed sobą łopatę jako ewentualną broń. Nie wiedział, co się dzieje, więc na wszelki wypadek postanowił się nie wtrącać. Poza tym chyba zaniepokoiło go, że rodzina zmarłej ma nad nami zdecydowaną przewagę liczebną.

– Proszę bardzo! – odparł pięćdziesięciolatek. – Niech pan sobie idzie!

– Mściwój! – syknęła z naganą matka Ludomiły i wreszcie na nas spojrzała. – Babo Jago, dziękuję ci za chęci, ale nie skorzystamy z twoich ziół. Ludzia wyraźnie sobie tego nie życzyła. Zostawiła nam list, w którym napisała jasne instrukcje, co ma się z nią stać po śmierci.

– Pokazaliście go policji? – zapytałam.

Jej mina wystarczyła mi za odpowiedź.

– Ludomiła sprawiała wam kłopoty za życia. Chcecie, żeby po śmierci również dołożyła wam trosk? – zapytałam.

Staruszka znowu uciekła spojrzeniem.

– Spełnię jej prośbę – wymamrotała. – Odejdź, szepetucho.

– To jest bawienie się w gusła – oświadczyłam i wskazałam na grób z dwiema urnami. – Takie rzeczy nigdy nie kończą się dobrze.

O tym akurat wiedziałam z własnego doświadczenia, ale przecież nie będę im opowiadać teraz głodnych kawałków nad otwartym grobem.

– Uszanuj moją prośbę i odejdź – powtórzyła.

Opuściłam ramiona. Nie miałam przecież wyboru. Nie rzucę się całym ciałem na grób, bo w końcu wezwą policję. To, co robili, to głupota. Mieli jednak prawo do popełnienia tego błędu. Poza tym miałam już plan. Postanowiłam przyjść po zmroku na cmentarz i odpowiednio zabezpieczyć grób. Trudno, najwyżej się nie wyśpię. Może poproszę Barnima, to pomoże mi rozkopać ziemię.

Podniosłam torbę i odwróciłam się do Mszczuja.

– Dokończ ceremonię – powiedziałam głucho.

– Ale...

– Spokojnie.

Odchodząc, zerknęłam jeszcze przez ramię na rodzeństwo Ludomiły. Wbijali we mnie nienawistne spojrzenia. Coraz mniej z tego wszystkiego rozumiałam. Wyglądało na to, że wszyscy od początku mnie okłamywali, a ja dałam się nabrać jak dziecko na żawą gadkę starej matki, rzekomo zmęczonej poczynaniami latorośli.

Oni wszyscy mieli jakiś plan, a Ludomiła była tylko pionkiem w ich grze.

\*

Mszczuj i Barnim przyjechali do mojej chaty po ceremonii. Obaj mieli, nomen omen, grobowe miny. Poczekali, aż wyjdzie ode mnie pacjentka, i wpakowali mi się do chaty. Grabarz był tu po raz pierwszy. Rozglądał się z ciekawością po kątach i starał się niczego nie dotknąć, jako że był uwalany gliniastą ziemią.

Wskazałam im krzesła i postawiłam na stole trzy kubki oraz dzbanek z ziołami na uspokojenie, bo chyba wszystkim nam było to teraz potrzebne.

– I co teraz? – zapytał Mszczuj, ponieważ nikt inny nie kwapił się do powiedzenia choćby słowa.

– Myślę, że mamy problem – mruknęłam.

– Co oni próbują zrobić? – rzucił zagubiony w tym wszystkim Barnim.

Zdjął z głowy kapelusz. Czarne włosy zaczesał na kark i związał w ścisły węzeł, ale pojedyncze kosmyki uwolniły się z upięcia i sterczały mu teraz na czubku głowy. Mimo że byliśmy w podobnym wieku, to wyglądał bardzo młodo i zdecydowanie niewinniej.

– Odprawiają jakieś gusła – powiedziałam. – Nie wiem dokładnie jakie, bo nie znam tego konkretnego rytuału.

Barnim patrzył na mnie z coraz większym podziwem.

– Wiem, że za życia Ludomiła chciała odnaleźć źródło Mokosz. To na pewno ma jakiś związek – dokończyłam.

– Źródło Mokosz? – zdziwił się Mszczuj. – A co to takiego?

Ulżyło mi, że on też tego nie wiedział. Czyli jednak nie byłam aż taka tępą.

– Źródło bóstwa, to jego cecha, siła napędowa. Jeśli się ją pozna i dowie, jak okiełznać, to uzyska się władzę nad bogiem. No ja nie wiem, czego was uczą w tej szkole dla kapłanów. Jak możesz nie znać podstaw? – prychnęłam z pogardą.

Oczy grabarza robiły się coraz większe.

– Chyba muszę zmienić ścieżkę zawodową – sapnęła i upił ziółek. – To wszystko przestaje mi się podobać. Czuwanie przy trupach, wbijanie im gwoździ w czaszki pod włosami tak, żeby rodzina nie widziała, sprawdzanie, czy groby aby nie rozkopane. A teraz jeszcze jakieś dziwne pochówki i przerażające rodziny. Nie pisałem się na to.

– Wbijasz zmarłym żelazne gwoździe w czaszki? – zainteresowałam się.

Był to jeden z elementów pochówku wampirycznego. Też to czasem stosowałam. Jak wieść gminna nosła, jeśli ktoś miałby przemienić się w demona i powstać z grobu, to po takim zabiegu dostałby olbrzymiej, niekończącej się migreny, która uniemożliwiłaby mu atakowanie ludzi. Widać, że mentor Barnima porządnie przygotował go do pracy.

– Tak, jeśli rodzina decyduje się na pochówek ciała, a nie na jego palenie. Tylko trzeba być ostrożnym, żeby się nie wydało. Należy to zrobić za uchem, pod włosami – wyjaśnił. – Inaczej rodzina przy okazaniu zwłok może narobić chryi. Nie wiem, czy to coś daje. Dostałem taką instrukcję, kiedy zacząłem pracę, i tak robię. Ostrożności w tym fachu nigdy za wiele.

Tu się z nim zgadzałam.

– Muszę w nocy, zanim księżyc wzejdzie wysoko, wrócić na cmentarz i wrzucić kilka rzeczy do grobu – oświadczyłam i spojrzałam na nich znacząco.

– Pójdę z tobą – powiedział Barnim.

– Ja też – zaferował się Mszczuj.

Nie zamierzałam się kłócić. Lepsze trzy pary oczu do obserwowania cmentarza niż jedna. Strasznie mi się to wszystko nie podobało, więc nie obrażę się za wsparcie. Kiedy ja będę zajęta, oni będą mnie pilnować.

– Spotkamy się pod bramą cmentarną o dwudziestej drugiej – ustaliłam, a oni kiwnęli potakująco głowami.

– Myślisz, że to wystarczy? – zapytał kapłan.

– Szczerze? – upewniłam się.

– Szczerze – potwierdził.

– Wątpię. Tu jest za dużo znaków zapytania. To by było zbyt proste, gdyby wystarczyło wrzucić do grobu kilo ziaren maku. Ludomiła coś knuła. Teraz okazuje się, że chyba cała jej rodzina jest w to zamieszana.

Barnim skrzyżował ręce na piersi.

– Okej, załóżmy, że uda jej się zdobyć to źródło Mokosz czy co to tam jest. I co wtedy będzie? – zapytał.

– Tak do końca to nie wiem – przyznałam. – Chyba będzie mogła jej rozkazywać.

– Ale Ludomiła nie żyje. To jak jej będzie rozkazywać?

– Myślę, że jej śmierć mogła być elementem tego rytuału – wyjaśniłam. – Z jakiegoś powodu serce nie mogło być spalone.

Chociaż jak dla mnie, biorąc pod uwagę jej zainteresowania, to prędzej tyłka powinna nie palić, tylko wepchnąć go do urny. Powstrzymałam się jednak przed powiedzeniem tego głośno. Zmarli słyszą, gdy się ich obgaduje, a potem potrafią się za to zemścić. To dlatego nie należy o nich źle mówić.

– Czyli wstanie z martwych jako demon? – upewnił się.

– Jest to bardzo prawdopodobne – potwierdziłam.

– A wstanie tak od razu?

– Podejrzewam, że nie stanie się to pierwszej nocy po pogrzebie, więc na wszelki wypadek chodźmy tam dzisiaj, zanim księżyc będzie wysoko na niebie. Wiecie, żeby zdążyć. Wolałabym jej nie spotkać.

– A którym demonem będzie?

Rozłożyłam ręce. Nie miałam zielonego pojęcia. Gdy ktoś zmarł śmiercią tragiczną lub był za życia wyjątkowo podłą osobą, to bogowie czasem dla własnego kaprysu przemieniali taką osobę w demona. Istniały pewne zależności. Panny przed ślubem często przeistaczane były w rusałki, panny w dniu ślubu w wiły, a mężatki w południce. Jednak zdarzały się wyjątki od tych reguł. Wszystko zależało od kaprysu naszych bóstw i dokładnych okoliczności lub miejsca śmierci. Poza tym, nie oszukujemy się, bogowie mieli wyjątkowo pokręcone poczucie humoru.

– To inaczej: po co jej władza nad Mokosz? – drażył dalej Barnim. Chyba postanowił to rozpracować.

– Nie wiem – przyznałam. – To bogini życia i płodności, a także miłości. Wydaje się, że Ludomiła nie miała problemu z zainteresowaniem u płci przeciwnej. Przychodziła do mnie jednak stale po miłosne specyfiki. Coś nam musi cały czas umykać.

Popatrzyliśmy na siebie zmartwieni. Żadne z nas nie miało pomysłu.

– To co? Widzimy się na cmentarzu? – rzuciłam.





Przyszłam pierwsza na miejsce naszego spotkania. Żelazna brama cmentarza zamknięta była na solidną kłódkę, do której klucze mieli Mszczuj i Barnim. To znaczy: zwykle była zamknięta. Dzisiaj jednak leżała na ziemi, równiutko przecięta obcęgami do cięcia metalu.

– Kurna – zakląłam.

Poczułam wściekłość. Spóźniliśmy się, mimo że księżyc wcale nie zdążył wspiąć się jeszcze wysoko. Najwyraźniej członkowie rodziny Ludomiły postanowili być jeszcze bardziej zapobiegawczy. Albo podejrzewali, że coś knuliśmy, skoro tak łatwo odpuściłam kłótnię podczas pochówku.

Zdmuchnęłam płomień lampy i postawiłam ją na ziemi, żeby mieć wolne ręce. Mocniej zacisnęłam palce na nożu. Nie czekałam na mężczyzn. Uchyliłam bramę i po cichu wślizgnęłam się na teren cmentarza. Musiałam spróbować przerwać to, co teraz ktoś tam wyrabiał. Oczywiście o ile w ogóle nie było już za późno.

Pochyliłam się i przystając przy każdym odgałęzieniu od głównej cmentarnej alejki, ruszyłam powoli w stronę grobu Ludomiły. Ledwo widziałam w ciemnościach. Księżyc raz po raz skrywał się za szarymi chmurami. Część drogi musiałam pokonać na ślepo, kilka razy zbczyłam ze ścieżki i nadepnęłam niechcący na kurhan. Raz nawet wpadłam na jeden kolanem. Najbliższe obchody jesiennych Dziadów będą „interesujące”.

W końcu dotarłam do miejsca pochówku Ludomiły. Nikogo tam nie spotkałam, a co gorsza, zastałam rozkopany grób. Urna z prochami była na swoim miejscu, ale urny z sercem niestety nie znalazłam.

Miałam bardzo złe przeczucia. Nigdy nie przyznałabym się głośno, ale zachowanie Ludomiły, jej zimne wyrachowanie i nakierowanie na cel trochę mnie przerażały. Bałam się, jak to wszystko może się skończyć.

Opadłam na ziemię obok wykopu. Chciałam poszukać śladów stóp, ale w tych ciemnościach niczego nie było widać. Wyrzebałam zapalniczkę z torby przewieszanej przez ramię. W jej wątlym świetle próbowałam znaleźć interesujące odciski. Niestety ziemia w Bielinach jest w większości twarda, gliniasta, a także pełna kamieni. Gdy panuje susza, sztuką jest wykopanie w niej dołu. A od dawna nie padało.

– Jago.

Nie podskoczyłam ze strachu, bo chwilę przed tym, zanim się odezwał, poczułam zapach żywicznego dymu i kadzidła. Odetchnęłam i uspokoiłam serce. Nie odzywał się od kilku dni. Nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo uzależniłam się od jego zainteresowania. Wiedziałam, że to wyjątkowo niezdrowa relacja, ale nie zamierzałam się tym przejmować. Nikogo przecież tym nie krzywdziłam.

– Swarozycu – przywitałam go. Uniosłam zapalniczkę, by wydobyć jego twarz z mroku. Tym razem nie udawał człowieka latarni, więc musiałam sobie pomóc. – Masz dla mnie jakieś odpowiedzi?

– Znalazłaś bagno? – odbił pytanie.

– Szukałam i nie znalazłam.

– Jedna wyprawa to trochę mało.

Rzuciłam mu wściekle spojrzenie. Klęczał obok mnie, ale ponieważ w ludzkiej postaci był potężnym mężczyzną, to musiałam zdrzeć głowę. Górną połowę ciała miał nagą, co było poniżej pasa, nie wiem, bo tonął w dymie.

– A ty szukałeś odpowiedzi? – zapytałam.

– Tak, i znalazłem.

– Powiedz mi, proszę, jak duże mamy kłopoty: ja i mieszkańcy Bielin.

Zdziwił się.

– Prosisz mnie? To niepodobne do ciebie.

– Uznaj to za chwilową utratę zmysłów – burknęłam niezadowolona. – To wszystko zaczyna mnie denerwować i chyba... odrobinę przerastać. Nie wiem, czego się spodziewać. Nikt nie udziela mi jasnych odpowiedzi. Nawet ty kłamałeś, kiedy pytałam cię, czym jest źródło Mokosz.

– Nie kłamałem – powiedział. – Nie znałem wcześniej tego określenia. My tego tak nie nazywamy.

– A jak to nazywacie?

– Imieniem.

– Nie rozumiem.

– Każde z nas ma swoje prawdziwe imię. Ludzie ich nie znają. Imię boga, odpowiednio wykorzystane, może dać ludziom władzę, której my nie zamierzamy im dawać. Nie wiem, jak ta ludzka kobieta mogła poznać imię Mokosz. Bogini musiała jej powiedzieć. Nie ma innej możliwości. To nie jest coś, co można zgadnąć.

Błądziłam spojrzeniem po jego twarzy. Och, wiele bym dała, żeby poznać jego imię. Przyjemnie byłoby mieć nad nim władzę.

– Nie zgadniesz – zapewnił mnie, bez trudu domyślając się, o czym myślę.

– Rumpelstiltskin? – zażartowałam, wykorzystując motyw ze starej niemieckiej baśni, chociaż wątpiłam, że bracia Grimm mieli kiedykolwiek okazję spotkać Swarozycza. Nie ten krąg wierzeń.

Uniósł jedną brew w wyrazie zdziwienia.

– Nieważne – mruknęłam.

– Nie zgadniesz – zapewnił mnie jeszcze raz.

– Uważaj, bo się jeszcze zavezme – zagroziłam, ale on w odpowiedzi tylko się uśmiechnął. Westchnęłam ciężko, wracając myślami do Ludomiły. – Dużo informacji przekazałeś mi za darmo – zauważyłam.

– Być może i ja straciłem na chwilę zmysły – zadrwił. – Nie łudź się jednak, że unikniesz zapłaty. Przyjdę po nią niebawem.

I po tych słowach zniknął. Tym razem nie dlatego, że chciał być taki tajemniczy. Do ucieczki zmobilizowało go dwóch mężczyzn, którzy szybkim krokiem zbliżali się do mnie ścieżką. Każdy z nich trzymał w dłoni zapaloną lampę. Nie musiałam im niczego tłumaczyć. Gdy podeszli bliżej, zobaczyli, że siedziałam przy rozkopanym grobie. Kiedy dotarło do mnie ich światło, zgasiłam zapalniczkę.

Barnim, nie owijając w bawełnę, zapytał:

– Widziałaś kogoś?

– Nie. Kiedy przyszłam, było już po wszystkim.

Grabarz postawił lampę przy wykopie i zanurkował do środka. Patrzyliśmy na niego w milczeniu.

– Ciężko stwierdzić, ale na moje oko to grób rozkopano z zewnątrz – ocenił i podniósł kawał ziemi. – Wygląda jak od łopaty. Sama od środka raczej tylko wypchnęłaby ziemię. Wydaje mi się, że ktoś jej pomógł. Poza tym gdyby zamieniła się w demona, to zostałyaby chociaż pusta urna...

Nie przeszkadzaliśmy mu z Mszczujem. Dobrze sobie radził jako cmentarny detektyw. Poza tym żadne z nas nie miało ochoty grzebać w ziemi, a jemu to chyba w ogóle nie przeszkadzało.

– Obstawiam, że miał w tym udział ten uroczy braciszek – powiedziałam.

– Siostra pewnie pomagała – dodał Barnim i wygrzebał się z dołka.

Mszczuj westchnął ciężko i usiadł obok mnie na trawie.

– Nie można mieć spokoju – skwitował niezbyt odkrywczo.

Mnie tam nawet odpowiadało, że coś się dzieje. Irytowałam się tylko dlatego, że wciąż nie znałam motywów Ludomiły. A to sprawiało, że najzwyczajniej w świecie się bałam. Nie lubiłam nie wiedzieć, co się dzieje, bo wtedy nie mogłam się odpowiednio przygotować do ewentualnej walki.

– Mnie zastanawia, dlaczego ma takie poparcie swojej rodziny – powiedziałam. – Wygląda na to, że otwarcie jej pomagają. A przecież niby jej nie lubili. Kłamstwo goni kłamstwo.

Nagle to do mnie dotarło. Wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsca. Wyjaśnienie było bardzo proste, kiedy pojęłam to, co było największą nieprawdą.

Najważniejszym kłamstwem, którym mnie poczęstowano na samym początku, a co wprowadziło mnie w błąd, było to, że Ludomiła rzekomo nie dokładała się do rodzinnego budżetu. Jedna z sióstr miała na sobie buty trekkingowe. Czyżby były to te, które Boguś podarował Ludomile? Oczywiście nie mogłam być tego pewna. To mogły być jakieś inne buty. Policja na pewno nie uwzględniłaby tego jako dowodu w sprawie. Był to jednak dość podejrzany zbieg okoliczności.

A jej rodzinny dom? Jak na zaściankową małą wiochę, jaką były Bieliny, w środku wyglądał nadzwyczaj bogato. Z zewnątrz tego nie było widać. Ściany były krzywe, dach stary, a obejście wołało o pomstę do nieba, jasno wskazując na to, że właściciele emeryci nie mieli już siły, żeby sadzić kwiatki i ścinać trawnik.

Jasne, Ludomiła miała liczne rodzeństwo, pewnie pomagali rodzicom. Z tego jednak, co wiedziałam, to wyprowadzili się dawno temu i wcale nie byli bogaci. Tak mi przecież powiedziała jej matka. To oczywiście także mogło być kłamstwo. Wszystko, co usłyszałam, już dawno powinienam była dzielić co najmniej przez dwa.

– Ona ich utrzymywała – stwierdziłam.

– Co? – zdziwił się kapłan. – A ona nie była bezrobotna?

– Wykorzystywała mężczyzn, by wyciągać od nich pieniądze. Co niby potem z nimi robiła? Mieszkała wciąż z rodzicami, nie wydawała chyba dużo, a na pewno się z tym nie afszowała. Gdzie się podziały te pieniądze? Myślę, że wspomagała w ten sposób wszystkich członków swojej rodziny.

Barnim pokiwał głową.

– Tylko że teraz nie żyje – zauważył. – Kurek został zakrecony. A mimo to jej rodzina wcale jakoś nie rozpaczała. No, chyba że tak świetnie udają, że jej nie lubili.

– Myślę, że długo nie będzie martwa. Być może nawet już ożyła. To i czemu mieliby za nią płakać?

– Niezła teoria spiskowa – zaśmiał się grabarz pod nosem. – W śmierć Kennedy’ego też nie wierzysz?

Puściłam jego słowa mimo uszu. Wiem, że to tylko hipoteza, ale była na tyle szalona, że wbrew pozorom mogła okazać się prawdą.

– Biedna Mokosz – zmartwił się Mszczuj.

Zerknęliśmy na niego z Barnimem.

– No co? Jest w niebezpieczeństwie i pewnie nawet o tym nie wie – odparł. – Szkoda, że nie możemy jej ostrzec.

Pokiwałam głową i uśmiechnęłam się szeroko. Z tej radości złapałam go za rękę i lekko ścisnęłam.

– Masz rację, Mszczuju! – pochwaliłam go. – Naprawdę masz rację! Trzeba porozmawiać z Mocosz! Że też nie wpadłam na to wcześniej! Jednak te najprostsze rozwiązania to zawsze jakoś człowiekowi przychodzą do głowy na samym końcu.

Mężczyźni lekko się zmieszali.

– A niby jak to zamierzasz zrobić? – zapytał kapłan.

– Poproszę Swaróżyca o pomoc – odpowiedziałam beztrząsco.

Podejrzewam, że uznali mnie za wariatkę, ale nie zamierzałam im nic więcej tłumaczyć. Zostawiłam ich samych i wybiegłam z cmentarza.



Był środek nocy, a ja biegłam przez pola jak szalona. Nie wiem, po co się spieszyłam, ale nie mogłam się zatrzymać. Gnały mnie emocje i pomysł Mszczuja, który w swojej prostocie wydawał mi się nieskończenie genialny. Płułam sobie w brodę, że sama wcześniej na to nie wpadłam. Oddychałam ciężko. Zapocone włosy, które wysunęły mi się z koka, przykleiły się do czoła. Z każdym kolejnym krokiem czułam się lżejsza.

Brakowało mi tego, bogowie, jak mi tego brakowało. Szaleństwo wybijało rytm w moich żyłach. Serce wyskakiwało z piersi. Wreszcie coś się działo! Wreszcie miałam okazję zapolować i nakierować na coś pożytecznego rozsadzającą mnie złość na Ludomiłę.

Zdyszana w końcu dotarłam do jeziora. Ledwie widziałam w ciemnościach. Zresztą znaczną część drogi przebiegłam niemalże na ślepo, cudem tylko nie wpadając w jakiś polny dołek i nie nadziewając się na nóż, który wciąż ścisnęłam w rękę.

– Swaróżyccu! – zawołałam.

Nie czekałam długo. Nad jezioro nadpłynął szary dym, udając mgłę rozproszoną tuż nad powierzchnią wody. Już i tak przygaszone światło księżycy zniknęło zupełnie.

– Tak, Jago? – zapytał, wychodząc spośród drzew.

Zobaczyłam go tylko dlatego, że jako bóg wydzielał własne światło, za co odpowiadał podskórny ogień.

– Muszę porozmawiać z Mokosz – oświadczyłam, przechodząc od razu do rzeczy. – Możesz ją tu przywołać?

Zbiłam go z tropu tym pomysłem. Podeszedł do mnie na odległość wyciągniętej ręki. Zadarłam głowę, bo tylko tak mogłam patrzeć mu prosto w oczy.

– Nie – odpowiedział po chwili namysłu.

– Nie? Dlaczego nie? Chcę z nią porozmawiać. Przecież skoro zdradziła swoje imię Ludomile, to znaczy, że jest w samym sercu tej intrygi.

– Bogowie nie rozmawiają ze śmiertelnikami. Nie przychodzą jak psy, kiedy się ich woła.

– Ty przyszedłeś – powiedziałam, zanim zdążyłam ugryźć się w język.

Mimo ciemności okrywającej nasze ciała i tak zobaczyłam, że jego policzki pociemniały. A nawet gdybym tego nie zauważyła, to błyszczące oczy, w których zapłonął ogień przypominający ten z palnika acetylenowego, wystarczająco udowodniłyby mi, że się wściekl.

– Lubisz testować granice mojej cierpliwości – wycedził.

– To cię chyba we mnie ujęło, czyż nie? – odpowiedziałam pozornie beztroskim tonem, by zamaskować własną głupotę.

Błękit pociemniał i zmienił się w fiolet, a następnie w żółć. Ja jednak nie pozwoliłam sobie na westchnienie ulgi. Miałam wrażenie, że przeniesliśmy się w jakieś miejsce poza czasem, gdzie nie ma lasu ani nieba. Ucichły nawet dźwięki strumienia i szum wiatru między liśćmi. Wydawało się, że poza nim i poza mną nic innego nie istnieje.

– Rozwiązałaś zagadkę. Wiesz, że to Mokosz zabiła śmiertelniczkę – powiedział. – Po co dalej drążysz ten temat i wystawiasz się na niebezpieczeństwo? Skup się lepiej na poszukiwaniu wejścia do Wyraju. Tak jak ci kazałem.

Jego ostatnie słowa mi nie umknęły.

– Jestem zła na Ludomiłę – odparłam zgodnie z prawdą. – Wystrychnęła mnie na dudka.

– I?

– Jak ty byś się czuł na moim miejscu? Co byś zrobił, gdyby ktoś cię wykorzystał?

– Spaliłbym go.

Takiej odpowiedzi się spodziewałam.

– Ja jej palić nie będę. – Skrzywiłam się z niesmakiem.

– Kołek w serce też nie załatwi sprawy.

– Kołek! – prychnęłam z politowaniem. – Nie tak się zabija demony. Kto jak kto, ale ty akurat powinienesz to wiedzieć.

– Ja tworzę potwory, a nie je zabijam.

– Milutko z twojej strony – skwitowałam. – Ludomiła może być niebezpieczna. Nie wiadomo, co zrobi z Mokosz. To może wpłynąć na nas wszystkich.

Swarożyc się zamyślił. Na jego ustach zagościł delikatny uśmiech.

– Tak, to może być ciekawe – przyznał.

– Wręcz przeciwnie.

– Droga Jago, jestem żywołem, cieszy mnie chaos.

– Chcesz, żeby świat zniknął?

– Nie zniknie. – Rzucił mi pełne politowania spojrzenie. – Żaden człowiek tego nie dokona.

– A człowiek sterujący bogiem? Mokosz ma władzę nad życiem. Wyobraź sobie skalę zniszczeń.

– Nadal uważam, że byłoby ciekawie. Masz jednak rację, zniszczenie świata mogłoby być niefortunne.

Przewróciłam oczami. „Niefortunne” to mało powiedziane.

– Proszę, pomóż mi skontaktować się z Mokosz. Chcę z nią porozmawiać.

– Bogowie nie rozmawiają ze śmiertelnikami. Ja jestem wyjątkiem. Inni nie zwracają sobie wami głowy. Jesteście tylko pyłem tego świata. Gliną, która została uformowana na nasze podobieństwo.

– Mimo to chciałabym spróbować z nią porozmawiać. Przynajmniej ostrzec ją przed Ludomiłą.

– Jeżeli powierzyła jej swoje imię, to raczej wie, że wpadła w ludzkie sidła.

Dyskusja ze Swarożycem robiła się powoli bezcelowa. Bez trudu zbijał wszystkie moje argumenty. Widać było, że sprawia mu to przyjemność.

– Proszę – powtórzyłam.

– Nie wiem, czy będzie chciała z tobą rozmawiać.

– Zapytać nie zaszkodzi – męczyłam go dalej.

– Hm.

Wbił we mnie spojrzenie tak intensywne, że aż zrobiło mi się głupio. Miałam wrażenie, że jego ognisty wzrok usiłuje wywiercić mi w głowie dziurę.

– Co?! – wykrzyknęłam, bo w końcu nie wytrzymałam. – Czemu tak na mnie patrzysz?!

– Nie rozumiem cię – odparł.

Żebym to ja sama siebie rozumiała. Znacznie ułatwiłoby mi to życie, ale przecież nie można mieć wszystkiego.

– Nie wymagam tego od ciebie – prychnęłam.

– To ciekawe.

Zaczęłam się zastanawiać, czy przed tym, zanim go wywołałam, nie siedział w swoim boskim domu i nie popijał miodu. Był dzisiaj jeszcze bardziej zagadkowy niż zwykle.

– Jago, ludzie mnie nie obchodzą – powiedział. – Jesteście dla mnie niczym.

– Aha...

– Nawet moje służki ognia – dodał. – Lubię was i wasze uwielbienie, ale nie oszukujmy się, jesteście tylko ludźmi. Bogowie nie ronią łez, gdy ludzie giną.

– Aha...

Nie wiem, do czego zmierzał, ale przestawało mi się to podobać.

– A jednak ty mnie interesujesz. Mimo że proroctwo nie dotyczy cię bezpośrednio – mówił w tej chwili już bardziej do siebie niż do mnie.

– Proroctwo? Od tego paskudnego obrazu, którego nie pozwoliłeś mi wywalić na śmietnik? Czy chodzi o bycie wybranym czy tam wybraną i spacerowanie po Wyraju?

– To bardzo ciekawe. Jago, ty mnie naprawdę obchodzisz – zignorował moje pytania. – To wielce niepokojące.

– Z tym ostatnim to się akurat zgadzam – burknęłam.

– Muszę to przemyśleć.

– Z pewnością – przyznałam skwapliwie, bo już naprawdę nie miałam zielonego pojęcia, co mu odpowiadać. Jedyne, czego byłam pewna, to to, że wskazane byłoby ulotnienie się stąd i przerwanie tego oświeconego monologu.

– Naprawdę cię lubię, Jago.

– Ja ciebie chyba też.

Zaśmiał się.

– Widzę, że cię zaniepokoiłem.

– Nie, nie, wszystko jest świetnie – zapewniłam go nieszczerze.

– Spokojnie, szeptucho. To, że cię lubię, może ci tylko pomóc.

Nic nie opowiedziałam, ale chyba musiałam bezwiednie zrobić pełną powątpiewania minę, bo dodał:

– Udowodnij ci.

Jak już bóg chce mi coś udowadniać, to chyba jasno znaczy, że posunęliśmy się odrobinę za daleko w tej wzajemnej fascynacji.

– Aby wezwać do siebie Mokosz, musisz oddać się miłości i wypowiedzieć pewne słowa. Może przyjdzie, może nie – poinformował mnie. – Nikt tak naprawdę nie potrafi zrozumieć, o czym ona myśli i czym się kieruje. Nawet inni bogowie. Ona jest... inna niż my. To dlatego jestem skłonny uwierzyć, że powierzyła śmiertelnicze swoje imię.

– Czyli muszę uprawiać seks i przy okazji inkantować jakiś wierszyk? – upewniłam się.

– Coś w tym stylu.

Nawet mnie to nie dziwiło. Jakkolwiek by na to patrzeć, głównie miłość cielesna znajdowała się w kręgu zainteresowań Mokosz. Miało to ręce i nogi.

– To co mam mówić?

Pochylił się i wyszeptał mi odpowiednie słowa do ucha. Na szczęście nie było to skomplikowane. Nie powinienam niczego przekreślić.

– Jeżeli umrzesz, raczej nie będę za tobą płakał, ale na pewno zepsuje mi to humor – powiedział, kiedy już się ode mnie odsunął.

– Spokojnie, nie zamierzam w najbliższym czasie umierać.

Zaczęłam się gorączkowo zastanawiać, jak wezwać Mokosz. Z pewnością potrzebny mi był do tego mężczyzna. Wychodziło na to, że musiałam kogoś wciągnąć w swój plan. Skrzywiłam się. Mszczuj może i by na to poszedł, ale jakoś nie miałam ochoty bawić się z nim w przyzywanie bogini miłości.

Mógłby to źle zrozumieć.

Bratomił także by to opacznie pojął. Westchnęłam w duchu. I niby nasze czasy są takie wzywolone! Myślałby kto.

– Teraz pora na moją zapłatę – powiedział Swarozyc.

Zrobiło mi się zimno mimo gorąca, które od niego nieustannie buchało.

– To znaczy?

– Pomogłem ci. Moja pomoc nie jest za darmo. Przecież o tym wiesz.

– Wiem, ale myślałam, że skoro mnie tak lubisz, to dostanę coś w promocji – odburknęłam. – Tak zagajales, jaka to niby jestem wyjątkowa.

Nie odpowiedział.

– To jaka jest ta cena? – zapytałam.

– Pozwolisz mi na kolejny znak na swoim ciele.

Ponownie się wkurzyłam.

– Hej! O tym nie było mowy!

– Nigdy nie zapytałaś o rodzaj zapłaty za moją pomoc.

Drań miał rację.

– Trochę wysoka ta cena. – Jeszcze miałam nadzieję na jakieś negocjacje.

– Nie. Jest idealna.

– Ale...

– Kolejny znak sprawi, że w lesie będziesz bezpieczniejsza. Gdy będziesz szukać dla mnie bagien.

– A Mokosz też to wyczuje?

– Tak. Powinnaś być przy niej bezpieczna.

Nie zabrzmiało to pocieszająco. Poczułam, że robi mi się słabo. To niesprawiedliwe. Myślałam, że po prostu mi powie, o co chodzi. Przecież już miałam dwa znaki. Nie chciałam kolejnego.

– Nadal uważam, że to wysoka cena – zaprotestowałam.

– Nie.

Wziął mnie za lewą rękę i uniósł do swoich ust. Chciał złożyć znak na nadgarstku.

– Nie. – Pociągnęłam za dłoń i go powstrzymałam. – Nie tu, gdzie widać.

– Dobrze.

Zatonęłam w jego spojrzeniu. Nie odrywając ode mnie wzroku, sięgnął do mojej bluzki. Poczułam jego szorstkie palce na biodrach. Uniósł materiał, a następnie opadł na kolana. Miałam teraz jego głowę na wysokości swoich piersi. Położyłam nieśmiało dłoń na jego gorących ramionach. Skóra boga parzyła.

Cała ta chwila była irracjonalna. Wątpiłam, że przed kimkolwiek wcześniej Swarożyc padł na kolana. Oczywiście nie oddawał mi w tej chwili czci ani nic podobnego. Dziwnie jednak się czułam, górując nad nim.

A może się myliłam? Może on dobrze wiedział, co robi?

Jeszcze bardziej odsunął materiał. Poczułam jego dłoń na staniku. Niby był przedwiecznym bogiem, chodzącym anachronizmem we współczesnym świecie, ale zgrabnie poradził sobie z zapięciem, które przerosło kiedyś Mszczuja.

Poczułam jego oddech na skórze pod lewą piersią, tuż obok bijącego w szalonym rytmie serca. Zakreśliło mi się w głowie. Ciekawe, czy to można było już uznać za wystarczający akt, by inkantacja wzywająca Mokosz zadziałała. Swarożyc chyba jednak by się nie ucieszył, gdybym teraz ją zawołała.

Ciepły pocałunek na skórze pod piersią zamienił się w pieczenie, a następnie palenie żywym ogniem. Skrzywiłam się, ale nie odskoczyłam. I tak bym zresztą nie mogła. Objął moje plecy, przez co nie zdołałabym się wyrwać.

Pożar na skórze zamienił się w delikatne pulsowanie. Wypuściłam powietrze, a bóg wstał. Uśmiechał się.

– Tak naprawdę to jesteś sadystą, prawda? – prychnęłam, obciągając bluzkę. Stanik zostawiłam rozpiętą, żeby nie drażnił oparzenia.

– Władam ogniem – odparł zagadkowo. – Znajdź wejście do Wyraju.



Jego sylwetka roziała się na wietrze, który pojawił się znikąd. Zamrugałam, a gdy otworzyłam ponownie oczy, odkryłam, że jestem w swojej chacie.

Trzeba mu zaliczyć na plus, że przynajmniej zawsze odprowadza mnie do domu. Mimo to czułam się oszukana i niecznie wykorzystana.



Nie zdążyłam porządnie zmrużyć oka tej nocy. Po powrocie gorączkowo się zastanawiałam, kogo poproszę o pomoc w przywołaniu bogini miłości. Szczerze mówiąc, nie miałam ochoty nikogo w to wciągać. Każdy z moich wyborów miałby później zbyt wiele konsekwencji.

Drugą rzeczą, która nie pozwoliła mi zasnąć, były obowiązki. Oczywiście zapomniałam, że poza zabawą w paranormalnego detektywa mam także pracę. Dzisiaj kolejny z wieczorów panieńskich, które organizowałam. Na szczęście panna młoda była postępowa. Zwykle tego nie pochwalałam, ale dzisiaj cieszyło mnie, że nie będziemy się bawić w tradycyjną noc panien z kąpielami nago w jeziorze, tańcami w świetle księżycy i miłosnymi inkantacjami. Nawet nie było pełni księżycy.

Czekała mnie zwykła bibka, na którą musiałam tylko przynieść kosmetyki, alkohol i przypilnować, żeby rozochoczone panny nie zrobiły sobie krzywdy.

Nie zmieniało to jednak faktu, że nad ranem jak szalona zaplatałam wianki, które uczestniczki miały nosić na głowach. Siedziałam więc przed chatą, układając obok siebie bodaj szesnasty wianek. Na szczęście przygotowałam wcześniej trochę zaszuszonych kwiatów i ziół. Nauczona doświadczeniem nie korzystałam wyłącznie ze świeżych roślin, ponieważ szybko więdły i traciły fason na długo przed tym, nim nadszedł wieczór. Nie wyglądały potem dobrze na pamiątkowych zdjęciach.

Zanim zobaczyłam, kogo niesie, najpierw usłyszałam tętent końskich kopyt i skrzypienie starego wozu. Zaciekawiona wbiłam spojrzenie w tuman kurzu, który unosił się nad drogą.

Rozpędzona furmanka wtoczyła się na drogę prowadzącą do mojej chaty. Pokryte pianą boki konia unosiły się z wysiłkiem, gdy biedny wałach biegł co sił z szaleństwem w oczach w stronę mojego domu. Na koźle nie siedziała, lecz unosiła się raczej w przykucu Bogusia z Nowej Słupi. Jej natapirowane włosy trzęsły się na każdej nierówności drogi, ale nie traciły fasonu sztywnego hełmu. Na twarzy kobiety malowała się wściekłość.

Mój puls przyspieszył. Wyglądała, jakby chciała mnie zamordować. Najwyraźniej dotarła już do niej wieść o mojej swaćbie i tym, że biorę ją tego samego dnia co ona. A może nawet wiedziała już, że przywłaszczylam sobie miejsce ceremonii i weseliska.

Szybko oszacowałam swoje szanse, określając je raczej na niewielkie przy wcieleniu furii, jaką była obecnie ta kobieta. Zanim zatrzymała się przy moim domu, tchórzliwie zdążyłam wskoczyć do chaty, zamknąć drzwi, a następnie stanąć przy otwartym oknie. Byłam gotowa w każdej chwili zatrzaskać jej okiennicę przed nosem. Mogłam siedzieć w środku do wieczora, aż przyjdą po mnie kobiety na wieczór panieński. Wtedy one będą musiały stawić czoło ogarniętej szaleństwem Bogusi.

Tchórzliwe rozwiązanie, ale z całą pewnością bezpieczne.

Bogusia zatrzymała wóz przy mojej bramie. Biedne zwierzę zaryło kopytami w ziemi. Ziało ciężko i ruszało wściekle łbem. Kobieta zeskokczyła z wozu i szarpnęła za furtkę. Nie miała w dłoniach żadnej broni. Najwyraźniej zamierzała zamordować mnie gołymi rękami.

– Jago! Jago!!! – wrzasnęła.

Uniosłam brwi. Mieszkańcy okolicznych chałup musieli to usłyszeć. Może przyjdą mi na pomoc.

– Dzień dobry, Bogusiu – przywitałam ją uprzejmie przez okno.

Na parapecie obok miałam już przygotowany słoik z solą, którą mogłam ją w razie potrzeby osłepić, i nóż. Jednak miałam nadzieję, że z tego ostatniego nie będę musiała korzystać.

Zaskoczona zatrzymała się w połowie drogi do drzwi. Wbiła we mnie nic nierozumiejącej spojrzeń. Makijaż spłynął jej z oczu czarnymi smugami. Jedynie włosy z dużą ilością lakieru wciąż zachowały kształt.

– Jago? – zapytała.

Postanowiłam nie bawić się w zachowywanie pozorów.

– Wyglądasz i zachowujesz się tak, jakbyś chciała mnie zabić – wyjaśniłam. – Z tego powodu, wybacz, porozmawiam z tobą przez okno.

Zdziwiła się.

– Ja... ja...

Następnie usiadła na ziemi, tam gdzie stała, i zaniosła się głośnym szlochem. A ja oczywiście poczułam się jak ostatnia szuja. Zerknęłam nerwowo na boki, czy nigdzie nie widać żadnego z sąsiadów. Czego jak czego, ale plotki, że źle traktują klientów, raczej nie potrzebowałam.

– Bogusiu, wszystko dobrze? – zapytałam.

– Nie! – wykrzyknęła, a następnie zawyla jak ranne zwierzę.

Jej własny koń zarżał niespokojnie, kiedy to usłyszał. Szkoda, że nie przywiązała go do sztachety płotu, bo mimo zmęczenia gotów jeszcze uciec.

Zakłęłam pod nosem. Naprawdę nie miałam ochoty do niej podchodzić, bo z natury nie ufam nikomu, ale jak tak dalej pójdzie, to pół Bielin się tu zleci w poszukiwaniu sensacji.

Wysłałam z chaty i położyłam dłonie na jej drżących ramionach. Spodziewałam się, że zatopi mi w brzuchu swój pilnik do paznokci, ale ona tylko złapała mnie za spódnicę i zaniosła się jeszcze głośniejszym płaczem.

– Mój Boguś! Mój biedny Boguś! – zakała.

– Chodź do środka, nie będziemy rozmawiać na dworze – powiedziałam stanowczym tonem i lekko szarpnęłam ją za ramiona.

Kobieta usłuchała i podniosła się na miękkich nogach. Pozwoliła mi poprowadzić się do środka. Cała jej furia gdzieś zniknęła. Pozostała jedynie dojmująca rozpacz.

Posadziłam ją na krześle i szybko podeszłam do kuchni. Postawiłam czajnik na ogniu i zakręciłam się przy kredensie w poszukiwaniu ziół kojących nerwy. Z całą pewnością przyda jej się teraz taki napar.

– Mojego kochanego aresztowali – powiedziała i smarknęła donośnie w chusteczkę.

– Co takiego?

Dłoń mi zadrżała i zasuszone liście matecznika rozsypały się po podłodze, kiedy upuściłam papierowy woreczek z suszem. Bogusia otarła oczy i zerwała się, żeby pomóc mi zamieść podłogę.

– Dam radę! – Próbowałam ją powstrzymać, ale wyrwała mi małą szcztokę.

– Przecież to z mojej winy. – Pociągnęła nosem. – Pomogę. Co to właściwie jest?

– Melisa. Serce posila, smutek oddala i rozwesela – mruknęłam.

– Aha, to chyba mi się przyda...

– Bogusiu, usiądź przy stole, odetchnijże no kilka razy i opowiedz mi, co się stało – rozkazałam. – Bo ja nic nie rozumiem.

Pokiwała głową i posłusznie spełniła polecenie. Ja w tym czasie zalałam zioła i postawiłam przed nią kubek. Po chwili namysłu podeszłam jeszcze do kredensu i nalałam jej kieliszek nalewki uspokajającej. Ona też była z melisy.

– Policja przyszła z samego rana. Weszli do domu z nakazem. Wszystko nam przeszukali. Potem kazali zawieźć się do sklepu i tam też wszystko... no... przeszukali.

Bogusia przetarła twarz lnianą chusteczką. Część rozplyniętego tuszu do rzęs zabarwiła materiał, ale większość została na jej twarzy, znacząc ją pionowymi liniami.

– Och... – To była jedyna reakcja, na jaką obecnie było mnie stać.

Przyznaję, czułam się odrobinę winna. To ja opowiedziałam o nich policji. Tyle że wcześniej ostrzegłam ich, że tak zrobię.

– A potem aresztowali Bogusia – dodała grobowym głosem.

– Och...

Tego już nie pojmowałam. Przecież powinni mieć jakieś dowody, coś powinno wskazywać na jego winę. Chyba że aresztowali go tylko do momentu złożenia przez niego wyjaśnień, bo chcieli go w ten sposób przestraszyć i zmiękczyć.

– Znaleźli u nas rzeczy należące do tej kobiety – powiedziała Bogusia.

– Och...

– Tak. Podobno Boguś był z nią widziany w dniu, w którym umarła. Ktoś „życzliwy” im o tym doniósł.

Tą rewelacją ogromnie mnie zaskoczyła. Nic takiego przecież nam nie powiedział. Twierdził, że to był jednorazowy wyskok. A tu proszę, miał jednak coś więcej na sumieniu. Oczywiście rozumiałam, dlaczego nie chciał się przyznać Bogusi. Kobieta była porywczą, poza tym wyraźnie było widać, że on żałuje tej znajomości. Dla niej zaryzykował całą swoją przyszłość i chyba po fakcie szybko zrozumiał, że ta krótka przyjemność nie była w ogóle tego warta.

Ciekawe, po co widzieli się w dniu śmierci Ludomiły. Skrzywiłam się. Jeżeli policja go zatrzymała, to nie będę mogła z nim porozmawiać. Szkoda, że nie wyznał mi prawdy, kiedy miał okazję.

– I co teraz? – zapytałam.

– Nie wiem. Jest zatrzymany. Nie wiadomo na jak długo. Policjanci nie chcieli mi niczego powiedzieć.

– Jeżeli nie mają przeciwko niemu żadnych dowodów, to w końcu będą musieli go wypuścić – powiedziałam, bo tak mi się wydawało.

– Ale ja nie wiem, co ze swačbą! – Znowu zaczęła płakać. – Taki wstyd.

– Musisz się zastanowić, co do niego czujesz...

– Ja wiem, co czuję. Wiem, co on czuje. To był tylko jego błąd. Każdy może je popełnić. Ale, Jago, co ludzie powiedzą? Przecież już plotkują, że policja go wyprowadziła! Zaraz dowiedzą się dlaczego i jego zdrada stanie się publiczna. Będą się ze mnie śmiać.

Rzeczywiście, było takie niebezpieczeństwo, i to spore. Nic tak ludzi nie cieszy jak cudze nieszczęście.

– Tego nie możesz wiedzieć – próbowałam ją nieszczerze pocieszyć.

– Wiem – odparła z mocą. – Nasza swačba nie może się odbyć. To za krótki okres od tej... od tej afery. Plotki będą nadal żywe. Musimy ją przesunąć. Może za rok? Rok chyba wystarczy, żeby ludzie zapomnieli albo zajęli się innym skandalem.

Kobieta wyprostowała się i jednym haustem wypić nalewkę. Żal i smutek wreszcie zaczęły ją opuszczać. Miała plan i zamierzała się go trzymać.

– Ja zajmę się teraz sklepem. On oczyści swoje imię. Ceremonię przesuniemy. Bliscy zrozumieją, przyjaciele też. Inni niech się zaduszą plotkami!

– Bardzo dobre postanowienie – pochwaliłam.

– A do ciebie, Jago, przyszedł zapytać, czy coś może wiesz o tej kobiecie.

Twardy wzrok Bogusi skupił się na mnie.

– Wiem, że twój narzeczony nie miał związku z jej śmiercią – powiedziałam. – Nie wiem, w jakim celu widział się z nią tamtego dnia, ale to nie on ją zabił.

Mięśnie na twarzy Bogusi odrobinę się rozluźniły.

– Jesteś pewna? Nie poślubię mordercy?

– Nie, nie poślubisz mordercy. Dał się wykorzystać Ludomile. Tyle i aż tyle. A ty nie masz pomysłu, dlaczego się z nią widział? – zapytałam.

– Policji zeznał, że chciał odzyskać pieniądze i powiedzieć jej, co o niej myśli. Co oczywiście rzuciło na niego podejrzenie, że w afekcie mógł coś zrobić – odpowiedziała gorzko.

– Nie zrobił – zapewniłam ją. – Jestem pewna.

– A możesz o tym powiedzieć policji?

Zamysliłam się.

– Nie mogę – odpowiedziałam. – W śmierć Ludomiły były zamieszane siły, w które policja nie wierzy, bo nie znajdzie dowodów. Nie musisz się jednak martwić o Bogusia. Przeciwno niemu dowodów też nie znajdują. Będą musieli go wypuścić.

Pokiwała głową. Jej spojrzenie się rozjaśniło.

– Co myślisz o swańbie? – chciała jeszcze wiedzieć.

– Nie wydaje mi się, że jestem osobą, która powinna ci w tym doradzać – zauważyłam, chociaż bardzo korciło mnie, by wykorzystać okazję.

Cała ta sytuacja była irracjonalna. Naprawdę nie wierzyłam w szczęśliwe zbiegi okoliczności. Chociaż dla kogo szczęśliwe, dla tego szczęśliwe. Bogowie zdecydowanie musieli w tym wszystkim maczać swoje palce.

– Wiem, że też bierzesz swańbę – wypaliła Bogusia.

– Dlatego myślałam, że jedziesz mnie zabić – mruknęłam.

– Co? Zabić? – zdziwiła się szczerze. – Niby czemu? Dlatego że zamierzałaś wziąć swańbę tego samego dnia co ja? Tak, słyszałam o tym, nie musisz robić takiej przestraszonej miny. Przecież i tak nie podebrałabyś mi gości. Już dawno miałam zamkniętą listę i wszyscy potwierdzili swoją obecność.

– Aha, to nie wiedziałam.

– Szeptucho, nie jestem przecież jakąś szaloną furiatką! – zachnęła się. – Ale mam do ciebie interes. I przyznaję, po części przyjechałam tu w tej sprawie.

Uśmiechnęłam się pod nosem.

– A ten rozdzierający płacz? – zapytałam.

– Płacz był szczery, choć odrobinę przesadzony. Chciałam wziąć cię na litość, żebyś odkupiła ode mnie jedzenie, kwiaty i miejsce na wesele. Bo słyszałam, że dopiero się z tutejszym kapłanem organizujecie.

– Widzę, że dobrze się przygotowałaś do tej rozmowy.

– Jestem przygotowana na każdą ewentualność – odparła chłodno.

– To czemu nie kontynuujesz przedstawienia?

Wzruszyła ramionami.

– A nie przejrziałabyś mnie?

– Może tak, może nie.

– To co? Masz już zorganizowane miejsce? Popytałam i wiem, że bierzesz swańbę na ostatnią chwilę.

Rzuciła znaczące spojrzenie na mój brzuch, czym szczerze mnie rozbawiła.

– Nie jestem brzemienna – powiedziałam.

– Jasne, jasne – odparła. – To co? Bierzesz? Nie ukrywam, że zależy mi na zaoszczędzeniu pieniędzy. Szef firmy cateringowej powiedział, że moja zaliczka przepadnie, jak przelóżę termin. Bardziej opłaca mi się przekazać komuś termin wesela.

Pomyślałam o Mszczeniu i o naszej ceremonii. Ciekawe, czy kapłan ucieszy się z takiego rozwoju sytuacji, czy wręcz przeciwnie. Zaczekałam. Okazja jedna na milion.

Tylko jeżeli teraz się zgodzę, to sprawa będzie już w zasadzie przesądzona. Nie dam rady się wykręcić.

– Jago? – ponagliła mnie.

– Biorę – powiedziałam, nie wierząc do końca w to, co właśnie się stało.



Wieczór paniński mijał mi spokojnie. Okrojona wersja rytuałów odbywała się w stodole przyszłej panny młodej. Kobiety zajmowały się głównie pićm i plotkowaniem na temat pana młodego. W zasadzie z tradycyjnych obrządków zachowane zostało tylko rozplecenie warkocza panny.

Było mi z tego powodu trochę przykro, jednak to, jak spędzi ten wieczór panna młoda, było wyłącznie jej decyzją. Miałam tylko nadzieję, że nie wszyscy odwrócą się od dawnych zwyczajów, bo inaczej stracę pracę.

W końcu doszłam do wniosku, że chyba nie jestem już dłużej potrzebna. Zwłaszcza że matka panny młodej co jakiś czas zaglądała do stodoły, żeby sprawdzić, czy czegoś nam nie potrzeba. Nie musiałam nikogo odprowadzać do domu, ponieważ uczestniczki obrzędów zamierzały spać na sianie. Usprawiedliwiłam się sama przed sobą, pożegnałam i wyszłam w noc. Na szczęście nikt mnie nie zatrzymał.

Od porannej rozmowy z Bogusią nie widziałam się z Mszczujem, więc nie miałam kiedy przekazać mu rewelacji o terminie naszej swaźby. Mieszkał niedaleko miejsca, w którym odbywał się wieczór paniński. Chyba tylko dlatego zdecydowałam się do niego pójść mimo mętlika w głowie, który ciągle miałam.

Był w swojej chacie, bo z otworu w suficie wydostawała się wątła smuźka dymu. Za oknami widać było tylko mdły poblask paleniska. Być może już spał. Mimo to postanowiłam do niego zajrzeć.

Nie chciałam być dzisiaj sama. Obserwowanie wesołej przyszłej panny młodej trochę dało mi w kość. Ona sama podjęła decyzję o swaźbie. Wiedziałam, że przemawia przeze mnie rozgorczyenie spotęgowane przez wypity alkohol podczas toastów na cześć panny. Jednak chciałam to jeszcze raz przegadać z Mszczujem. Łudziłam się, że może jednak był jeszcze sposób, żeby to wszystko odkręcić. A jeśli nie, to że może uda nam się coś uzgodnić na temat naszego przyszłego życia w udawanym związku małżeńskim.

Szłam powoli główną bieleńską szosą. Bieliny zdawały się wymarłe. Większość chat miała wygaszone światła. Ich mieszkańcy od dawna smacznie spali. Nawet wiejskie burki nie miały sił, żeby mnie obszczekiwać. Było chyba dobrze po północy, więc w sumie mnie to nie dziwiło. Ludzie na wsi wcześniej kładli się spać i równie wcześniej wstawali.

Nieco chwiejnym krokiem zbliżałam się powoli w stronę skrzyżowania. By dotrzeć do mojej chałupy, musiałam skręcić w prawo, w stronę czerniącego się w oddali lasu, i przejść jeszcze około trzech kilometrów. Idealny spacer na to, żeby alkohol wywietrzał mi z głowy. Na lewo miałam natomiast chatę Mszczuja.

W oddali widziałam tylko jakiegoś mężczyznę na koniu. Jechał w moją stronę, pochylając się sennie na grzbiecie równie zmęczonego wierzchowca. Być może wracał z wieczoru kawalerskiego. Odbywał się on w stodole pana młodego z drugiej strony wsi, więc to by się zgadzało.

Mszczuj, sądząc po dymie z chaty, także już wrócił. Pasowało to do niego. Kapłan miał zwykle problemy z dobrą zabawą, a raczej z pozbyciem się kija od szcztotki, który według mnie nazbyt często miał w tyłku.

Nie zapukałam do jego chaty i to był mój błąd. Otworzyłam drzwi, a razem ze mną do środka wpadło światło lampy, którą przyświecałam sobie po drodze.

Na leżącym pod ścianą sienniku zobaczyłam jakiś wielki kształt, który siedział okrakiem na spoczywającym na plecach mężczyźnie. Jego ręka zwieszała się bezwładnie z pośłania. Chyba był nieprzytomny. Serce od razu zaczęło mi żywiej bić. Na wszystkich bogów!

Potwór! Demon! Zaraz go zabije!

Nie pomyślałam o tym, co robię. Rzuciłam lampę i zaczęłam gorączkowo grzebać w płóciennej torbie, którą miałam przerzuconą przez pierś. Niestety nie namacałam noża. Wielki kształt uniósł się do góry i odwrócił powoli w moją stronę. Przez głębokie cienie i wężnie obecny w chacie dym nie byłam pewna, z jakim potworem mam do czynienia.

W jednej chwili wytrzęźwiałam. Wrzasnęłam ile sił w płucach i rzuciłam się na niego, machając jak szalona rękami. Nie miałam broni, ale to nie było ważne.

Musiałam ocalić Mszczuja! Mojego Mszczuja!

Wskoczyłam na plecy demonowi i zarzuciłam mu ręce pod ramiona, zakładając coś na kształt nelsona, chwytu zapaśniczego, o którym kiedyś opowiadał mi Bratomił. Mój były narzeczony pasjonował się walkami zapaśniczymi i często sam brał w nich udział. Wreszcie przydało mi się to wszystko, co teoretycznie puszczałam mimo uszu.

Niespodziewanie potwór wstał. Objął mnie nogami w pasie, żeby nie upaść, i pisnęłam, kiedy poleciliśmy na bok. Demon zawył dziko i zaczął machać rękami, próbując mnie dosięgnąć. Nic nie widziałam, bo na twarzy miałam jego parszywe, śmierdzące kudły. Też wrzeszczałam i coraz mocniej wczepiałam się w jego plecy niczym kleszcz. Umrę, umrę tu jak nic.

– Jaga? – Poprzez nasze krzyki przebił się zdziwiony i lekko nieobecny głos Mszczuja. Chyba odzyskiwał przytomność. Na wszystkich bogów, żeby tylko starczyło mu sił na ucieczkę. Ja postaram się powstrzymać bestię, jak długo zdołam. – Jaga, co się...

Potwór doskoczył do ściany chaty. Wrzasnął niskim głosem i walnął w nią z całych sił plecami, nieomal mnie zgniatając. Poczulałam mocny ból w okolicy żeber. Zamroczyło mnie na chwilę, kiedy przydzwoniłam głową. Mimo to nie puściłam tego cholerstwa. Wczepiałam się w niego jeszcze mocniej.

– Uciekaj! – ryknęłam, ignorując ból w klatce piersiowej. – Uciekaj, Mszczuju! Ratuj się! Ja to zatrzymam!

Potwór odsunął się od ściany, a następnie ponownie o nią uderzył. Tym razem byłam już na to przygotowana, ale i tak zabolalo jak cholera. Czulałam, że słabnę.

– Jago?!

Mszczuj usiadł na sienniku i wbił w nas przestraszone spojrzenie.

– Ale co tu się dzieje? Zaraz. Gdzie ja jestem? – Wydawał się całkowicie zagubiony. – O nie! Pamiętam!

Potwór sięgnął do mnie łapą. Chciał mnie złapać za głowę. Zawył dziko, kiedy zatopiłam zęby w jego przedramieniu. Oderwał się od ściany i zaczął wściekle kręcić się dookoła własnej osi.

– Co tu się dzieje?! – odezwał się nowy, lekko bełkotliwy głos mężczyzny, który stanął w drzwiach chaty.

Demon zatrzymał się i zachwiał lekko. Tak, tak! Zaraz obalę tę bestię. Wrzasnęłam, mocniej zacisnęłam nogi w pasie potwora i szarpnęłam całym swoim ciałem do tyłu. Nie przewidziałam tylko, że wtedy, a i owszem, przewróci się, ale prosto na mnie.

O cholera jasna. Potężne cielsko zważyło się na mnie, gdy runęliśmy na klepisko. Chyba popękały mi wszystkie kości.

– Hola! Baby! Odsunąć się od siebie!



Pijany mężczyzna, mocno pachnący koniem, zaczął się z nami szarpać. Zaraz, czy on powiedział: „baby”? Tak mnie tym zaskoczył, że zwolniłam chwyt. Demon wyszarpnął się w jednej chwili, odwrócił do mnie, wbijając mi łokieć w żołądek, i plasnął mnie z całej siły dłonią w twarz.

– Hola!

Silne ręce mężczyzny odciągnęły potwora ode mnie, ale w ostatnim momencie dałam radę jeszcze kopnąć go w piszczel. Mszczuj tymczasem wrzucił gałęzie do paleniska, by ogień zapłonął silniejszym światłem.

Czułam, jak policzek i łuk brwiowy powoli mi puchną. Zamknęłam oko, na które i tak już prawie nie widziałam. Pijany mężczyzna odciągnął ode mnie potwora, a Mszczuj ukucnął obok.

– Jaga, na miłość wszystkich bogów! – wysapał.

Wpatrzyłam się zdumiona w Ściborę, która siedziała wściekła na klepisku obok wciąż lekko chwiejącego się na nogach Bratomila.

– Kochani, ja tu wracam z kawalerskiego – oświadczył ten. – Ty, Mszczuju, zapomniales wódki od pana młodego. Pożyczyłem konia i pomyślałem, że ci przywiozę, to się jeszcze napijemy strzemiennego, zanim wrócę na kwaterę. A tu jakaś bijatyka! Myślę sobie, pomogę chłopu w potrzebie. A tu dwie baby się leją. – Na sam koniec zarechotał, naprawdę setnie ubawiony całą tą sytuacją.

– Ja natomiast wracam z panińskiego – powiedziałam po tym, jak sprawdziłam językiem, czy aby żaden ząb mi się nie rusza. – Zobaczyłam światło u Mszczuja, to pomyślałam, że zajrzę i powiem o nowinach. – Spojrzałam na kapłana, który zerknął skruszony na Ściborę.

– Wróciłem wcześniej z kawalerskiego, bo się odrobinę strulem.

Bratomil poklepał się po kolanach. Tak bardzo rozsadała go radość.

– Struł się, jasne. Nasz kapłan schlał się aż miło! Dopilnowałem, żeby przez całą wieczór za kołnierz nie wylewał – oświadczył zadowolony z siebie.

Spiorunowałam go wzrokiem aktualnie jedyne działającego oka. Oczywiście, że spił Mszczuja. Na pewno przyniosło mu to nie lada satysfakcję. Dobrze znałam mocną głowę Bratomila i jego drobne złośliwości. Ciekawe, jak bardzo kapłan wygłupił się przed mieszkańcami Bielin.

– Co tu się w zasadzie wydarzyło? – zapytał mój były narzeczony. – Czemu się naparzałyście?

– Weszłam, było ciemno. Ktoś siedział na Mszczuju... Myślałam, że to jakiś demon – burknęłam.

Kapłan oblał się pąsem. Zauważyłam, że miał rozchełstaną koszulę i rozpięte spodnie. Na ziemi obok jego siennika leżały damskie majtki.

– Ja, ja tak do końca nie pamiętam. Wróciłem, byłem pijany. I jakoś tak... to się rozmywa. Nie jestem pewien, jak było...

– Zaprosiłeś mnie do siebie, Mszczuju – przerwała mu słodkim głosem Ścibora. – Zapukałeś do moich drzwi i poprosiłeś o rozmowę. Zgodziłam się. Tu przyznaję, że to ja zaproponowałam, żebyśmy przeszli do twojej chaty. Nie chciałam, żeby rodzice nas podsłuchiwali.

Dobrze wiedziałam, że byłaby skłonna do kłamstwa. Celowe uwiedzenie kapłana z całą pewnością byłoby w jej stylu. Mogłaby wtedy grać jego uczuciami i przymusić go do swacy. Kto wie, może nawet chciała złapać go na dziecko.

Jednak nie mogłam złościć się tylko na nią. Po pierwsze dlatego, że Mszczuj po pijaku robił głupie rzeczy i rzeczywiście mógł dojść do wniosku, że taka rozmowa to dobry pomysł. A po drugie, sama także nie miałam zbyt czystego sumienia. Niby nie byliśmy razem, ale noc ze Swarozycem ciągle drażniła moje i tak dość mało wykształcone sumienie.

– Nie sprawialiście wrażenia zajętych rozmową – prychnęłam, żeby wyjść na urażoną narzeczoną.

– Rozmawialiśmy sobie z Mszczujem spokojnie. Doszliśmy wspólnie do wniosku, że było nam ze sobą bardzo dobrze i jego przyjazd do Bielin był błędem – kontynuowała Ścibora.

– Co? – wycodziłam.

– Nie pamiętam – pisał Mszczuj.

– Zacząłeś mnie całować i obiecywać wieczną miłość. Powiedziałeś, że zrywasz zaręczyny z tą czarownicą.

Kapłan pobladł gwałtownie i otworzył usta. Rzucił mi zdziwione spojrzenie.

– Niczego takiego nie pamiętam – powiedział szybko.

– A potem ta wariatka mnie napadła! – kontynuowała Ścibora. – Ugryzła mnie! To jakaś furiatka! Całe szczęście, że nie zrobiła mi krzywdy.

Ona miała wręcz przeciwnie. Już nie licząc nawet twarzy, miałam niemiłe wrażenie, że pękło mi któreś z żeber.

– Myślałam, że to jakiś demon siedzi na Mszczuju i wysysa z niego krew – burknęłam.

– Szurnięta baba – skwitowała Ścibora.

– Chciałaś mnie obronić przed demonem? – W spojrzeniu kapłana dostrzegłam wzruszenie.

Ależ miałam ochotę dać mu po pysku. No ledwie się powstrzymałam.

– Ten błąd więcej się nie powtórzy – wycodziłam.

– Jago, to nie tak, jak myślisz – rzucił błagalnie.

Zerknęłam na Ściborę, która nie potrafiła powstrzymać mściwego uśmiešku satysfakcji. Postanowiłam zetrzeć go z jej twarzy.

– Przyszłam powiedzieć ci, że ustaliłam już miejsce na wesele, zorganizowałam catering i całą oprawę naszej ceremonii – powiedziałam do Mszczuja, ale patrzyłam cały czas w oczy rywalki. – Możemy zacząć oficjalnie wręczać zaproszenia we wsi.

Uśmiech na twarzy Ścibory powoli zamienił się w grymas wściekłości.

– Tak? Ojej! – zdziwił się kapłan. – A...

– Nieważne. Opowiem ci o tym później. Żle się czuję – oświadczyłam, bo nie chciałam go teraz słuchać.

– Nadal chcesz go poślubić? – zapytała Ścibora, zatrzymując mnie tym pytaniem w połowie ruchu.

– Nie, ale zrobię to chociażby po to, żebyś ty nie mogła – wycodziłam.

Mszczuj pobladł i zacisnął wargi. Wiedziałałam, że moje słowa były okrutne. Wiedziałałam, że on tak samo jak ja wplątał się w to jak głupi. Ale też wiedziałałam, że miałam już dość dbania o jego uczucia. A na pewno miałam dość w tej chwili.

Kiwnęłam na Bratomiła i podałam mu rękę, żeby pomógł mi wstać. Skrzywiłam się, kiedy żebra zabolaly. Ledwo zdołałam się powstrzymać przed jękiem.

– Mówiłeś, że masz konia. Zawieziesz mnie do domu? – rzuciłam.

– Oczywiście – zgodził się.

Ostatni raz zerknęłam na Mszczuja.

– Przyjdź do mnie jutro przed wieczorem – powiedziałam. – Musimy porozmawiać.

Bratomił poprowadził mnie do spokojnej klaczy, która cierpliwie czekała obok chaty, mimo że jej nie uwiązał. Miała mądre, zaspane spojrzenie. Poklepałam ją po szyi.

– Rozumiem cię, siostró, też chcę być już w domu – mruknęłam.

Poczękałam, aż Bratomił zrobi z dłoni łódeczkę, oparłam jedną rękę na jego ramieniu, a drugą na siodle. Spróbowałam się podciągnąć, ale tylko zobaczyłam przed oczami gwiazdy. Cofnęłam się i delikatnie pomacałam klatkę piersiową. Każdy ruch ramionami powodował nowe eksplozje bólu. Być może były tylko obite, ale nie wyglądało to dobrze. Noc będzie ciężka.

– Nie dam rady wsiąść – oświadczyłam, zniechęcona widmem spaceru.

– Mogę cię podnieść. Poczekaj. Gdzie cię nie boli?

Ukucnął, złapał mnie mocno za biodra i szybko uniósł do góry niemalże bez wysiłku. Bolało jak cholera, ale zdołałam złapać siodło, grzywę i co popadnie, a następnie zawisnąć na brzuchu w siodle. Po policzkach ciekły mi łzy bólu. Chyba jednak żebra nie były połamane, bo inaczej najprawdopodobniej bym zemdląła. Mężczyzna przerzucił jedną z moich nóg przez grzbiet, a następnie zgrabnie zajął miejsce za mną. Powoli wyprostowałam się i oparłam plecami o jego klatkę piersiową.

– Żyjesz? – zapytał w moje włosy.

Sięgnął rękami po moich bokach i złapał cugle.

Przypomniałam sobie inne czasy, kiedy często tak jeździliśmy. Spokojny stęp przez łąki w poszukiwaniu ustronnego miejsca na odpoczynek. Mimo bólu uśmiechnęłam się do tego wspomnienia. To były dobre czasy i dobre wspomnienia.

– Żyję – odpowiedziałam, a on cmoknął na klaczkę, która posłusznie ruszyła we właściwym kierunku.

Zaczął gwizdać pod nosem jakąś smętną melodyjkę. Czułam od niego zapach bimbrowy i kielbasek z ogniska. Ramiona Bratomila promieniowały ciepłem niczym ciało Swarozycy. Nawet ból w klatce piersiowej zaczął stopniowo słabnąć. Rozluźniłam się i poddałam chwili.

Otulała nas ciemność. Daleko na polu zobaczyłam watahę dzików. Za lochą tuptało małe stadko jej potomstwa. Znowu zaczęłam rozmyślać o bogini życia Mokosz. Co się stanie, jeśli ktoś nią zawładnie? Jak to się przełoży na cały ekosystem?

– Nasłanie Ścibory na Mszczuja to dość tania zagrywka – powiedziałam, kiedy byliśmy mniej więcej w połowie drogi do mojego domu.

Przestał gwizdać i zaśmiał się cicho.

– A byłaby skuteczna? – zapytał.

– Nie. Znam Mszczuja. Wiedziałabym, że został w to wmanewrowany, nawet gdybym go nie nakryła ani nie usłyszała tego, co usłyszałam.

Westchnął, udając urazę.

– Taka intryga – mruknął.

Mogłam tylko przewrócić oczami. Bratomil był ostatnią osobą, która bawiłaby się w takie gierki. Byłam przekonana, że to nie on wymyślił ten podstęp. Ścibora znalazła sobie idealnego współnika, ale to nadal ona była mózgiem całej operacji. Chociaż może ją przeceniałam. Istniała przecież szansa, że mózgiem byli rodzice Mszczuja.

– Nie wstyd ci? – zapytałam.

– Ani trochę. Ja naprawdę nie rozumiem, Jago. On do ciebie nie pasuje – oświadczył. – Jesteście jak woda i ogień.

– I może o to chodzi.

Prychnął pod nosem.

– Tania gadka o przeciwieństwach – skwitował. – To nigdy nie działa. Trzeba być do siebie podobnym, żeby się dogadywać.

Nie chciałam wdawać się z nim w dyskusję. Zwłaszcza że sama nie wiedziałam, co o tym myśleć. Jako że tak naprawdę nigdy nie rozważałam małżeństwa, to i nie zastanawiałam się, jaki powinien być mój ewentualny wybranek.

– W taki sposób mnie nie odzyskasz – poinformowałam go.

– A jest jakiś sposób, który by zadziałał?

– Nie ma – odparłam twardo. – I możemy przestać o tym rozmawiać.

– Ty zaczęłaś – burknął obrażony.

Zagotowałam się, bo miał rację. Postanowiłam jednak tym razem być mądrzejsza i wściekałam się w ciszy. Długo jednak nie wytrzymałam.

– Proszę, wyjeżdż z Bielin – powtórzyłam, kiedy w końcu dotarliśmy pod moją chatę, a on pomógł mi zejść na ziemię.

– Pewnie tak zrobię, ale znasz mnie, Jago. Ja się łatwo nie poddam. Poczekam do tej waszej swačby. Kto wie, co jeszcze szykuje dla nas los.

Cudownie wręcz.

– Nic nie szykuje – rzuciłam.

– Tego nie wiesz.

– W takim razie, skoro nie zamierzasz stąd wyjeżdżać, to chociaż trzymaj się z daleka od Ścibory. Wiem, że to ona wciągnęła cię w tę dzisiejszą aferę.

– Och, nie mam najmniejszego zamiaru jej unikać. Jej... gabaryty są odrobinę niepokojące, ale przyświeca nam ten sam cel. Kto wie, jak to się skończy? Scenariusz napisze życie.

Zawsze tak filozofował po alkoholu.

– Wpuścisz mnie do siebie? – Błysnął uśmiechem, który mnie kiedyś rozbijał.

Odwrociłam się na pięcie i kuśtykając, pomaszerowałam sztywno do chaty. A następnie z satysfakcją ztrasnęłam drzwiami.

– To chociaż może ci się przyśnię! – dobiegło mnie jego rozbawione wołanie. – Bo ty mi na pewno! Może tak jak wtedy, na sianie, w stodole Bolesława! Pamiętasz?!

W jakimś obejściu rozszczękał się wybudzony ze snu pies. Najwyraźniej jemu także śniło się coś przyjemnego. Wściekle ujadanie przestraszyło klaczkę, więc Bratomił wskoczył na jej grzbiet i gwizdząc wesoło, odjechał w mrok.



Chyba weszło mi już w zwyczaj przesiadywanie nocami nad jeziorem obok starej myśliwskiej chaty. Czułam się tutaj jak u siebie. Nawet przygasiłam odrobinę światło lampy, by nie kradło prawiecznego uroku temu miejscu. Znałam każde drzewo i krzew czy krzywy kamień na brzegu. Pamiętałam chłód wody i jej smak. Dotyk promieni Chors i muśnięcie oddechu Strzyboga. Czułam moc ziemi, na której stałam bosymi stopami. Wszystko to łączyło się w magię, która panowała na polanie. To było miejsce mocy, Swarożyc mnie nie okłamał. Wibracje magii czy jakichś innych potężnych sił, które miały we władaniu to miejsce, delikatnie drażniły moją skórę.

Byłam przekonana, że odczuwałam to wszystko tak wyraźnie dzięki znakom boga ognia. Zawsze słyszałam i widziałam więcej. Odziedziczyłam tę zdolność po moich przodkiniach. Teraz jednak przez piętna Swarożycyca to, co normalnie skrywa się pod powierzchnią rzeczywistości, stało się znacznie łatwiejsze do odczytania. Przynajmniej tyle dobrego z obcowania ze swarnym bogiem.

Odetchnęłam głęboko. Powietrze zmieniło swój smak z nadejściem sierpnia. Już nie było parno ani słodko. Powoli zapachy wyostrzały się, a Dadźbóg coraz wcześniej zapędzał słońce za horyzont.

Minął prawie tydzień od mojej bójki ze Ściborą, zanim poczułam się na tyle dobrze, że dłuższy spacer zaczął jawić się w mojej głowie jako dobry pomysł. Ludomiła na szczęście nie doprowadziła w tym czasie do żadnej ekologicznej katastrofy. Nikomu też nie zaczęły się rodzić świnię o dwóch głowach. Wyglądało na to, że Mokosz jeszcze jakoś się trzyma.

Zajmowałam się przez ten tydzień wszystkim, tylko nie rozmową z Mszczujem. Kiedy następnego dnia po bójce przyszedł sprawdzić, jak się czuję, tylko machnęłam ręką na jego przeprosiny i powiedziałam, że nie mam siły rozmawiać. Co prawda obiecałam mu, że odwidzę go ponownie, gdy tylko poczuję się lepiej, ale obietnicy oczywiście nie dotrzymałam.

Jego rodzice wyjechali, by wrócić w dniu naszej swačby. Dość marna pociecha, ponieważ Ścibora nie ruszyła się z miejsca. Bronka donosiła mi codziennie jedzenie i plotki ze wsi. Podobno moja rywalka dużo czasu spędzała z Mszczujem i próbowała dalej go urabiać. Mnie to jednak nie interesowało. Skupiłam się przez ten tydzień tylko na sobie i na tym, czego ja chcę.

A teraz wreszcie poczułam, że jestem gotowa na rozmowę z boginią życia.

Kilka razy zgięłam i wyprostowałam palce stóp, zagarniając pomiędzy nie ziemię. Nie mogłam mieć butów, jeśli chciałam nawiązać kontakt z Mokosz. Łatwo było ją obrazić, z wiarą w matkę nas wszystkich wiązało się bardzo dużo zabobonów i rytuałów. Przede wszystkim nie wolno było wiosną orać ziemi i wbijać w nią kijków lub sztachet. W ten sposób można było niechcący zranić boginię. Były też dni w roku, gdy należało nawet stopy stawiać delikatnie.

Oczywiście wszystkie te zwyczaje z czasem zanikały. Wiedziałam, że niebawem nikt oprócz szeptuch nie będzie o nich pamiętać. Staną się elementem folkloru, by później znaleźć sobie miejsce jedynie na kartach jakiegoś podręcznika do etnografii. Czy dla samej

bogini naprawdę to wszystko miało znaczenie, tego nie wiedziałam. Jednak nie wydawało mi się, żeby miała czas i ochotę, by karać każdego, kto na nią napluł.

– Mokosz matko nasza, do ciebie przychodzimy, do ciebie wracamy. Dla ciebie chleb i miód w ofierze składamy – wymamrotałam pod nosem zwyczajową modlitwę do bogini życia i płodności.

Pamiętałam, co wyszeptał mi Swarozyc, ale najpierw chciałam spróbować sama ją przywołać.

– Nie mam dla ciebie ofiary, ale mam swoje ciało – powiedziałam.

Wiatr nie zmienił swojego natężenia, na wodzie nie pojawiło się więcej zmarszczek, trawa nawet się nie poruszyła. Spróbowałam jeszcze kilkakrotnie, jednak ciągle nie doczekałam się odpowiedzi.

– Bogini, nazywam się Jaga. Jestem szeptuchą. Naprawdę muszę z tobą porozmawiać. Jest ktoś, kto ma wobec ciebie bardzo złe zamiary. Chcę cię ostrzec przed kobietą, która mnie oszukała, przed Ludomiłą. Wydaje mi się, że chce cię skrzywdzić. Proszę, ukaż mi się i porozmawiaj ze mną. Doradź mi, co mam zrobić. Powiedz, jak mogę ci pomóc.

Czekałam. Wiatr delikatnie pieścił mnie po nagich ramionach. Sukienka na ramiączkach nie dawała zbyt wiele ciepła w chłodną noc.

– Mokosz... – westchnęłam.

Nie pozostawiała mi chyba wyboru. Zupełnie nie miałam ochoty, ale nie pozostawało mi nic innego.

Uklęłam na ziemi, podwijając sięgającą do połowy łydki sukienkę, żeby kolana także dotykały ziemi. Położyłam dłonie na trawie i rozczapierzyłam palce, by pomiędzy nie wsunęły się pojedyncze źdźbła trawy.

– Mokosz płodna, Mokosz łagodna. Mokosz twarda, Mokosz harda – recytowałam. – Mokosz dająca, Mokosz biorąca. Mokosz łaskawa, Mokosz krwawa. Tobie zawierzam los swój i ciało moje.

Swarozyc twierdził, że największy rytualny dar, który można było jej dać, to miłość na gołej ziemi. Umówmy się jednak, że tymczasowo nie miałam ochoty z nikim celebrować tej chwili.

Położyłam się na trawie na plecach i zapatrzyłam na sierp księżycy. Byłam tylko ja. Ugięłam nogi w kolanach i podwinęłam sukienkę do pasa. Zaczęłam jeszcze raz powtarzać jak mantrę rytualną modlitwę.

– Mokosz płodna, Mokosz łagodna. Mokosz twarda, Mokosz harda. Mokosz dająca, Mokosz biorąca. Mokosz łaskawa, Mokosz krwawa. Tobie zawierzam los swój i ciało moje.

Przymknęłam oczy i już nie widziałam księżycy. W mojej głowie wirowała postać Swarozycy, Mszczuja i Bratomiła. Straciłam poczucie czasu.

Nagle zauważyłam, że coś się zmieniło. Dobiegł mnie delikatny dźwięk dzwonek, gdy kwiaty zaczęły kiwać główkami. Plusk strumyka zaczął wyznaczać rytm. Wiatr pomiędzy gałęziami począł wygwidzywać melodię.

Otworzyłam oczy i zabrałam rękę. Położyłam ją na ziemi i wbiłam palce w miękką glebę. Poczulałam pod plecami, jak podłoże delikatnie zadrzało.

– Odważne posunięcie, szeptucho. – Kobięcy głos dobiegał zewsząd i znikąd jednocześnie. Być może rozlegał się tylko w mojej głowie.

Zerwałam się na równe nogi i obróciłam dookoła własnej osi, ale nikogo ani niczego nie dostrzegłam.

– Bogini? – zapytałam.

– Wiedz, śmiertelniczko, że pojawiaam się zwykle tylko wtedy, gdy rytuał przeprowadzają dwie osoby. Jesteś chyba pierwszą, która odważyła się wezwać mnie samodzielnie.

– Dziękuję, że przysłaś.

Spuściłam głowę, pochyliłam pokornie plecy i wbiłam spojrzenie w ziemię. Wiedziałam już, na ile mogę sobie pozwolić w rozmowie ze Swaróżycem. Teraz, gdy Mokosz się odezwała, poczułam się bardzo onieśmielona. Musiałam jej pokazać, że jestem skromną wyznawczynią.

Zaśmiała się, a mnie ogarnęło szczęście. Trawa zaszumiała, wszędzie zaczęły pojawiać się nowe liście i pąki żółtych kwiatów dmuchawca. Jak zaczarowana patrzyłam, gdy w przyspieszonym tempie otwierały się żółtymi kwiatostanami. Miałam wrażenie, że płatki emitują słaby blask. Nagle na polanie zrobiło się bardzo jasno.

– Szeptucho, wzywanie mnie w pojedynkę to dla mnie obraza. – Wbrew słowom głos wydawał się rozbawiony. – Marnujesz rozkosz, którą mogłabyś komuś podarować.

Wiedziałam, że od mojej odpowiedzi dużo zależy. Mogłam albo ją zainteresować, albo sprawić, że nigdy więcej nie zaszczyci mnie nawet spojrzeniem.

– Wielka bogini życia, nasza matko – zaczęłam. – Ty radzisz sobie ze wszystkim sama, sama jesteś sobie panią. Podążam za twoimi naukami. Chcę być taka jak ty. Czemu mam dzielić się czymś, co mogę zatrzymać i złożyć tobie w ofierze?

Odpowiedziała mi cisza. Kark i pochylone plecy już mi ścierpły, ale bałam się wyprostować, żeby nie odebrała tego jako afrontu.

– Kłamstwo, kłamstwo – skwitowała. – Bawisz mnie i dlatego postanowiłam cię wysłuchać. Dawno nie spotkałam kobiety, która nosi w sobie tyle energii.

Nic nie widziałam poza trawą, w którą wbijałam spojrzenie. Ledwo mogłam się powstrzymać przed zerknięciem w bok. Strasznie byłam ciekawa, jak może wyglądać. Wyobrażałam sobie ją jako przepiękną wysoką kobietę o bujnych kształtach, z głową ozdobioną kwietnym wiankiem.

– Nawet ja nie radzę sobie sama – dodała.

Żółte kwiaty dmuchawca zdrzżały, a ja usłyszałam dźwięk przypominający cichutki świergot. Rośliny śpiewały na jej cześć.

– Nie wierzę w to, matko – zaprotestowałam.

Oczywiście wiedziałam, o czym mówiła. Uznałam jednak, że znacznie lepiej udawać idiotkę.

Mokosz, bogini życia, pojawiła się na świecie, gdy Białobóg i Czarnobóg postawili już łądy na bezkresnym morzu, które otaczało pień osi świata, drzewa życia, albo jak ktoś woli, axis mundi. Podzielili się władzą i zaczęli tworzyć sobie podobnych, by pomogli im władać światem. Tak powstał na przykład Swaróg, boski kowal.

Życie jednak, ku konsternacji innych bogów, samo pojawiło się na świecie. Bez niczyjej pomocy. Religia nie tłumaczyła tego jednoznacznie. Mokosz równie dobrze mogła te cztery miliardy i sześćset milionów lat temu wygrzebać się z prazupy oceanu niczym Wenus z morskiej fali. Nie negocjowałam żadnej hipotezy, uważałam wręcz, że każda z nich musi mieć w sobie jakieś ziarno prawdy. Bogowie bez problemu zmieniali swój wygląd. Równie dobrze pierwsza wersja Mokosz mogła przypominać przerośniętą amebę, która oprócz nibynózek wyewoluowała sobie boskie moce. Jej sprawa, nie wnikałam.

– Cóрко, kłamstwami mnie nie udobruchasz – odpowiedziała. – Dobrze wiesz, jak powstał chociażby ludzie.

W jej głosie ciężko doszukać się było jakichś emocji, ale wydawało mi się, że wyczuwam tam nutkę goryczy.

– Wiem... – wyszeptalam.

Dobrze znałam mit o powstaniu ludzi. Znało go każde dziecko. Perun gromowładny, w części regionów utożsamiany ze Świętowitem, upatrzył sobie Mokosz i postanowił ją pojąć. Bogini rodziła mu kolejne boskie dzieci i wszystko pięknie się kręciło. Aż do momentu, gdy Perun był tak zajęty pracą, że bogini życia zaczęła się nudzić.

Dość klasyczna historia, jeśli mam być szczerą.

Weles wypełził z podziemi, gdzie siedział na tronie u bram zaświatów, i postanowił do niej zagadać. Według mitu udał, że w ogóle nie widzi Mokosz. Usiadł nad brzegiem jeziora i zaczął lepić z gliny oraz słomy figurkę mężczyzny. Bogini życia, jak przystało na babę, na którą ktoś interesujący ostentacyjnie nie zwraca uwagi, od razu dosiadła się obok i także zaczęła lepić. Stworzyła figurkę kobiety.

Łatwo się domyślić, do czego następnie doszło nad brzegiem jeziora, a czego owocem był później bóg Rod. Welesowi chyba zrobiło się głupio, bo jak już było po wszystkim, a ubrania z powrotem mieli na sobie, to spróbował tchnąć życie w figurki. Niestety nie udało mu się to, czym nie zaskarbił sobie szacunku kochanki.

Zawstydzony Weles uciekł. Mokosz na wszelki wypadek też zwinęła manatki, żeby zejść na jakiś czas z oczu Perunowi. Tak się akurat złożyło, iż władca gromów zawitał nad to jeziorko i znalazł tam martwe figurki. Zrządzeniem losu albo dowcipem Doli wpadł na ten sam pomysł co bóg podziemi i także spróbował je ożywić.

Tym razem się udało. Każdy człowiek ma dwoistą naturę. Do naszego powstania potrzebne były siły oddechu dwóch bogów.

A jak zakończyła się historia zdrady? Tak jak zwykle się kończą. Perun się obraził i drogi władcy gromowładnego i bogini życia się rozeszły. Jednak wcale nie byłam pewna, czy źle się stało. Razem przecież i tak nie byli szczęśliwi.

– Czego ode mnie chcesz, szeptucho? – zapytała. – Jakiej łaski pożąda twoje ciało?

– Moje żadnej – odparłam szybko. – Chciałam cię tylko ostrzec, matko.

– Mnie?

– Jest, a raczej była taka kobieta z moich okolic. Nazywała się Ludomiła. Lubowała się w kuszeniu mężczyzn. Nie wiem, jaki miała cel, ale chyba się zabiła. Wydaje mi się, że może chce zrobić ci krzywdę.

Odpowiedziała mi cisza.

– Matko? – zapytałam.

Nadal nic. Plecy i kark coraz bardziej paliły mnie ogniem. Nie zapowiadało się na to, żebym długo wytrzymała w tej pozycji.

– Matko, boję się, że ona zrobi ci krzywdę.

– Nieprawda – odezwała się w końcu.

Ziemia delikatnie zadrzała. Kwiaty przestały wyśpiewywać hymn na jej cześć.

– Jesteś zła, bo zostałam wykiwana. Szukasz zemsty – oświadczyła.

– Nie zaprzeczam – odpowiedziałam. – Tak, jestem wściekła. Zostałam wystrychnięta na dudka.

– Zemsta nie jest dla nikogo dobra. Spala.

– Czasem trzeba spalić pole, żeby ożywić ziemię.

Zaśmiała się. Kwiaty znowu zaczęły cicho szeptać.

– Widzę, że Swarozyc ma na ciebie duży wpływ. Niedobrze. Kobieta nie powinna słuchać mężczyzny.

– A boga?

– Boga tym bardziej, bo on nie będzie cię szczerze kochał. Pamiętaj o tym. Jesteś dla niego tylko pyłem, gliną. Nikim równym – powtórzyła tę samą śpiewkę, którą wciąż częstował mnie swarny bóg.

Postanowiłam przekierować rozmowę we właściwą stronę, bo zapowiadało się na to, że do niczego ciekawego niestety nie dojdziemy.

– A co z Ludomiłą? – zapytałam. – Co się z nią stało? Czy zagraża ci w jakiś sposób? Czy mogę ci jakoś pomóc?

– Nie wiem, dlaczego uważasz, że mogłaby mi zagrażać. Dałam jej to, czego ode mnie chciała. Nic więcej, ale też nic mniej. Znała cenę. Złożyła mi wiele ofiar, dokładnie tyle, ile trzeba było, i wyprosiła łaskę.



Zapomniałam o bólu pleców. Mokosz można było przyzwać lub udobruchać szczera miłością. Oczywiście tą cielesną. Czyli Ludomiła nie była puszczalska. Nie była też po prostu miła dla ludzi, co sugerowało jej imię. Każdy akt seksualny był daniną dla bogini życia. Zadrżałam. Czego Ludomiła pragnęła tak bardzo, że zdecydowała się płacić swoim ciałem?

– Czego chciała od ciebie w zamian? Proszę, powiedz mi.

Bogini zaśmiała się.

– Nie zdradzę ci tego. To rzecz pomiędzy mną a nią. Tak samo jak ja nie pytam, co dostałaś od Swarozycy w zamian za jego znaki.

– Czy ja mogę poprosić o to samo, czego pragnęła Ludomiła? – spróbowałam z drugiej strony.

– Nie chcesz tego – oznajmiła.

– A może chcę?

– Nie, ty kochasz życie. Nie chcesz go co prawda nikomu dać i ja to widzę, a także potępiam. Kochasz jednak brać z niego garściami. Nie oddasz go, by dostać ode mnie dar.

– Nie wiem, jaki to dar.

– I ja ci tego nie powiem.

– Czy Ludomiła zna twoje prawdziwe imię?

Kwiaty zamilkły w jednej chwili. Cisza na polanie wydawała się tak gęsta, że można by kroić ją siekierą. Odważyłam się w końcu unieść głowę. Co ma być, to będzie. Już i tak chyba wystarczająco wkurzyłam boginię.

Rozejrzałam się dookoła, ale nigdzie jej nie dostrzegłam. Na szczęście nie dostrzegłam także żadnego niebezpieczeństwa, które mogłaby na mnie zesłać. Raz kozie śmierć. Bogowie nie byli przyzwyczajeni do tego, że człowiek unosi w ich towarzystwie głowę i ma czelność się odzywać. Swarozycowi się to podobało. Miejmy nadzieję, że Mokosz też doceni moją odwagę, zamiast zarzucić mi głupotę.

– Boję się, że Ludomiła będzie chciała od ciebie coraz więcej i więcej – powiedziałam. – Ludzie nie znają umiaru, matko. Zawsze chcą więcej. Wiem, bo ja też taka jestem.

– Zna me imię. Nie wiem, kto jej powiedział, jak brzmi – przyznała niechętnie.

Była stara jak ta ziemia, na której stałam. Mogłam się założyć, że umiała kłamać jak nikt inny na świecie. Jednak teraz byłam przekonana, że mówiła prawdę. Swarozyc przypuszczał, że sama przekazała imię śmiertelnicze.

Jednak jeżeli nie ona, to najwyraźniej zrobił to ktoś, kto chciał jej zaszkodzić. Gorączkowo zaczęłam się zastanawiać nad Welesową księgą. Czy tam był jakiś rytuał albo przepis, który pozwalał poznać imiona bogów?

Nie, na pewno nie. To zbyt potężna broń. Który z bogów tak bardzo chciał jej zaszkodzić?

– Czy ona może stanowić zagrożenie? – spytałam.

– Dla kogo?

– Dla ludzi.

– Tak – odparła bez zawahania.

– A dla ciebie?

– Może. O ile odważy się użyć mego imienia. Jednak niebezpieczeństwo nie będzie wynikało z jej formy.

– Czy zamieniłaś ją w demonicę?

– Obudziła się jako... upir – przyznała.

Zdawkowe odpowiedzi bogini coraz bardziej mnie irytowały. Gdyby była człowiekiem i stała obok mnie, to chybabym ją złapała za ramiona i nią potrząsnęła.

– Jaki upir? Strzyga?

– Nie strzyga.

– To kto?! – wykrzyknęłam.

– Nie tym tonem, ludzka kobieto – ostrzegła mnie. – Nie jestem Swarożycem, z którym możesz sobie swawolić.

– Wybacz, matko – zmiłygowałam się natychmiast.

– Ludomiła chciała władać naturą i życiem... – wyjaśniła zagadkowo.

– Chciała być tobą?

– Nie, nie chciała być życiem.

Nic z tego nie rozumiałam. Przelatywałam w głowie przez charakterystyki wszystkich znanych mi demonów. Żaden nie pasował do tego opisu. Rusałki, południce, wiły, zmyry, nocnice, cmentarne i wodne baby, dziwożony, jędze, kanie, strzygi i wiele, wiele innych kobiecych bądź chociaż odrobinę przypominających kobiety demonów. Jednak żadna upiorzycza nie władała naturą ani życiem. One w większości życie umiały tylko odbierać.

– Ludomiła pragnęła zająć miejsce Dziewanny – wydusiła z siebie w końcu Mokosz.

Zaraz, że co? Dziewanna przecież nie jest demonem. To półboginka, czasem nawet nazywana boginką. Symbolizuje życie i odradzanie się natury po mrozach. Jej siostra, Marzanna, odpowiada z kolei za zimową stagnację i umieranie.

– I zajęła? Przecież Dziewanna to boginka!

Mokosz się zaśmiała, jakbym opowiedziała wyjątkowo dobry żart.

– Nie, to zawsze była ludzka kobieta. Raz na jakiś czas je wymieniałam, kiedy już mi się opatrzyły.

Zmroziło mnie to. Mówiła o tym zupełnie bez emocji.

– Poza tym ile można znosić to narzekanie: ja nie chcę co roku umierać, i to dwa razy! – zakpiła modulowanym głosem.

– Sł... słucham?

– Dziewanna i Marzanna to jedność, moja córko. Aby istnieć, musi zmieniać formę. Aby zmienić formę, musi zginąć.

– I tak dwa razy w roku umiera?

– Tak, zabijam ją osobiście.

– Ludomiła wiedziała o tym, gdy poprosiła cię o moce Dziewanny?

– Nie.

– A powiedziałaś jej o tym?

– Dopiero gdy stała się boginką.

– To okrutne – wymknęło mi się.

Żółte kwiaty dmuchawca zwiędły, a następnie wszystkie zaczęły zamykać się jak miniaturowe parasolki. Ponownie otworzyły się, przeistaczając się w białe kulki nasionek. Poczulałam się nieswojo. Nad jeziorem nagle zrobiło się dziwnie złowieszczo i przerażająco.

– Życie jest okrutne, szeptucho – podsumowała. – A ja jestem życiem.

– Ale...

– Nie wzywaj mnie więcej.

Dmuchawce w jednej chwili wybuchły, jakby ktoś w nie gwałtownie dmuchnął. Zasłoniłam dłońmi oczy. Kiedy je otworzyłam, byłam sama. Nie wyczuwałam obecności bogini ani atmosfery niezadowolenia i grozy, które jeszcze chwilę temu opanowały to miejsce.

Chyba mogłam powiedzieć, że miałam szczęście.

Nie to co Ludomiła, która od teraz dwa razy w roku będzie zabijana...



– Myślisz, że zamieniła się w boginkę, bo rodzina jej kazała? – Barnim podrapał się po głowie.

Siedząca obok niego Mirka wpatrywała się w chłopaka maślanym wzrokiem. Mogłam się założyć, że nie słyszała ani jednego mojego słowa. Zaprosiłam ich do siebie, żeby przekazać to, czego się dowiedziałam, i wspólnie ustalić dalszy plan działania. Przesunęłam stolik w stronę ławy pod oknem. Grabarz i szeptucha usiedli tam obok siebie. Ja i Mszczuj zajęliśmy miejsca naprzeciwko nich na moich jedynych krzesłach.

Postarałam się, oczywiście niechęcący, odsunąć od kapłana najdalej, jak tylko można było. Co oczywiście nie uszło jego uwadze.

– Z tego, co pamiętam, to jej matka opowiadała, że reszta rodziny ma swoje biznesy. Jakiś sad i chyba fermę kur. Moce Dziewanny zdecydowanie mogłyby wspomóc produkcję, a potem sprzedaż – odparłam. – A raczej rozwój jabłek i jajek.

– Nie sądzisz, Jagusiu, że to naciągane? – zapytał Mszczuj. – Poświęciłiby najmłodszą córkę i siostrę, żeby tylko interes się kręcił?

– A mało to dziwnych rzeczy widziałeś? – burknęłam.

– Nie byłiby aż tak pozbawieni serca.

– A według mnie owszem – szłam dalej w zaparte.

– W sumie na tym pogrzebie zachowywali się dość dziwnie – dodał Barnim. – Ja tam się zgadzam z Jagą. Z nimi zdecydowanie było coś nie tak. A naprawdę napatrzyłem się już na sporo dziwactw na pogrzebach.

Mirka zaczęła nawijać sobie jeden z jego loków na palec. Poczułam, że tracę cierpliwość. W żadnym razie nie z zazdrości. Nie chciałam czuć ani zachowywać się tak jak ona. Aż ogarniał mnie mdłości na samą myśl o tym, że miałabym kiedyś tak patrzeć na Mszczuja. Ohyda!

– Mirko, czy ty mogłabyś się skupić? Wezwałam cię na tę naradę wojenną nie bez powodu – zwróciłam jej uwagę, bo coraz bardziej irytowała mnie swoim rozmarzeniem.

Przyjaciółka przewróciła oczami i wdzięcznie wydeła usta. Barnim w końcu zaszczyił ją spojrzeniem, które momentalnie zsunęło się w jej głęboki dekolt. Uśmiechnął się pod nosem. Siebie warci, jak bogów kocham.

– Przecież cały czas słucham – odpowiedziała. – Jestem wdzięczna, że mnie ostrzegłaś. Po prostu nie wiem, co miałabym ci poradzić. Dopóki ta Ludomiła nie zacznie wchodzić w szkodę, to ja bym dała sobie spokój z polowaniem. Założmy, że nawet zdołasz ją spotkać. No i co zrobisz? Zawołasz: „Hej, dziolcha, czas umierać?”. Przecież to nie ma sensu. Jak Ludomiła nie będzie Dziewanną i Marzanną, to Mokosz będzie musiała kogoś innego namaścić na to stanowisko. A ona przynajmniej przyjęła posadę z własnej woli.

– Czyli proponujesz nic nie robić? – Nie mogłam w to uwierzyć.

– Dokładnie tak.

– Mirka ma trochę racji – wtrącił Mszczuj i uśmiechnął się do mnie przeproszająco. – Wydaje mi się, że Mokosz będzie trzymać ją w ryzach. A nawet jeśli Ludomiła, używając swoich mocy, pomoże rodzinie, no to co? Też tragedia nikomu się nie stanie.

– Ale... ale... ale to niesprawiedliwe! – wykrzyknęłam.

– Co jest niesprawiedliwe? – zapytała Mirka. – To, że będą mieli ładne jabłka w sadzie, bo mają chody u boginki, czy to, że zostałaś zrobiona w konia przez klientkę?

Zaperzyłam się, bo oczywiście dobrze podsumowała. Wściekłam się jeszcze bardziej, tylko tym razem na siebie, a nie na nią. Co ja poradzę, że aż tak się irytuję? To silniejsze ode mnie.

– Zgadzam się z Mirką – powiedział Barnim. – Ludomiła zagrała z boginią w niebezpieczną grę. Nie wygrała, ale też nie przegrała. Z tego, co mówisz, wynika, że nie znała konsekwencji zamiany w Dziewannę. Smutne, ale co zrobić. Sama sobie winna. Mocosz też mogła zachować się inaczej, ale to bogini. Ona może wszystko. Jej zachowanie jest dla ludzi niepojęte, bo i jak miałoby być inaczej? Ludomiła teraz będzie musiała po prostu robić to, co jej każą bogowie. Nam zostaje tylko obserwowanie tego, co się będzie działo tu, na naszym poletku. Trzeba do tego podejść spokojnie.

– Może nic złego się nie stanie? Czemu by miało się stać? – podchwycił Mszczuj. – Bogowie przecież wiedzą, co robią.

Och, co do tego miałam duże wątpliwości!

– Ale ona zna źródło, zna imię Mocosz. Może mieć nad nią władzę! – zaznaczyłam. – Naprawdę myślicie, że tego nie wykorzysta, kiedy Mocosz będzie chciała ją zabić, by odrodziła się jako Marzanna?

Mirka wzruszyła ramionami i rozłożyła ręce.

– Kochana, ale czy tak się stanie, przekonamy się dopiero pod koniec jesieni. Na razie nic nie możemy z tym zrobić. Zrozum to wreszcie.

Zgrzytnęłam zębami z bezsilności. Miała rację. Przecież nie wiemy, gdzie jest Dziewanna. O ile miejsca przebywania demonów, w zależności od ich rodzaju i gatunku, bywają mniej więcej do przewidzenia, o tyle bogowie i niższe boginki mogą być wszędzie albo nigdzie. To było coś, czego nie potrafiłam pojąć. No bo jak można istnieć, jednocześnie nie istniejąc? Paradoks.

Zresztą nie miałam pojęcia, gdzie szukać kogoś, kto nie chce być znaleziony.

– Zobaczymy, co się stanie w momencie przejścia Dziewanny w stan spoczynku. – Mszczuj poklepał mnie uspokajająco po dłoni. W tym celu musiał się mocno wychylić, tak daleko się od niego odsunęłam. – Wtedy będziemy czujni. Na razie nic złego nie powinno się wydarzyć. Mamy co najmniej kilka miesięcy na przemyślenie dalszych kroków.

Pokiwałam smętnie głową. Co miałam innego zrobić? Przegadali mnie. Wychodziło na to, że jeszcze tylko policja będzie interesować się losem Ludomiły. Biedny Boguś, miałam nadzieję, że jakoś się z tego wykręci.

– Nieźle się porobiło. Jeszcze demony, to tak, ale bogowie? – skwitował Barnim. – Powiem wam, że czegoś takiego to się nie spodziewałem.

– Ja to się nie spodziewałam czyjejś swačby. Za ile? Przypomnijcie mi... Za dwa tygodnie? – zauważyła z przekąsem Mirka.

Przewróciłam oczami.

– Jak rozumiem, to ja ci organizuję wieczór paniński? – zapytała.

– Nie chcę żadnego wieczoru panińskiego – odparłam stanowczym tonem.

– Nie ma mowy. Musisz go mieć.

– Nie chcę.

– To tradycja! – upierała się.

– Mogę się z tobą upić, ale dzierlatek z naszych wsi sobie nie życzę... – Pokręciłam głową zrezygnowana. Naprawdę nie chciałam z nikim świętować porzucenia paniństwa. Jak dla mnie to tu nie było niczego do świętowania.

– Może być – zgodziła się skwapliwie.

Na jej twarzy zagościł szeroki uśmiech. Na pewno coś knuła. Miałam tylko nadzieję, że naprawdę powstrzyma się przed zaproszeniem gości.

– Pełnia za kilka dni. Szykuj się!

– Nie mogę się doczekać...

Barnim skinął na Mszczuja.

– A jakiś kawalerski? – zapytał.

– Ja to chyba tak jak Jaga... chętnie się napiję, ale bez jakiegogoś większego wydarzenia – powiedział kapłan.

– To mamy plan.

Grabarz poklepał Mirkę po kolanie. Spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

– To już my coś wymyślimy ciekawego – powiedział mężczyzna.

– W takim razie idziemy – zakomenderowała Mirka. – Dużo pracy przed nami.

Zerwali się ze swoich miejsc.

– Mszczuju, a ty nie idziesz? – zapytała nowohucka szeptucha, mając chyba nadzieję, że kapłan podrzuci ich swoim autem choćby do Bielin.

– Chciałem jeszcze porozmawiać z Jagą – odpowiedział.

Mirka westchnęła, ale przyjęła to ze spokojem. Złapała Barnima za rękę i uciekli, szepcząc coś między sobą o jakiejś stodole, która była po drodze.

Wstałam, by zaparzyć nam herbaty albo ziółek. Coś na uspokojenie zdecydowanie by mi się przydało. Śmiechy szeptuchy i grabarza na szczęście dość szybko ucichły, gdy w podskokach uciekli.

– Chciałem cię jeszcze raz przeprosić za to, co się stało wtedy w mojej chacie – powiedział do moich pleców, kiedy stałam przy kuchni. – Jakoś tak nie było wcześniej okazji, żeby porozmawiać...

Nic więcej nie dodał, ale dobrze wiedziałam, że jest zirytowany tym, że ostatnio jawnie go unikałam. Na jego miejscu pewnie też bym się wkurzyła.

– Mszczuju, przecież my tę swacbę to tak trochę z rozsądku bierzemy – odparłam, nie patrząc mu w oczy. – Ziółek ci zaparzyć?

– Tak, tak...

Nie byłam pewna, czy się ze mną zgodził, czy tylko zapragnął naparu.

– Ścibora nadal w Bielinach? – rzuciłam przez ramię.

– Yhy... zamierza tu zostać do zaślubin. Cały czas nie wierzy, że się odbęda.

– Patrz no, jakie to zapalczywe cholerstwo... – mruknęłam pod nosem. – Zawzięła się jak pluskwa na krew.

– Jago, możesz na mnie spojrzeć?

No mogłam, ale nie chciałam. Zalałam wodą dzbanuszek z mieszkanką ziół i postawiłam go razem z dwoma kubkami na stole. Usiadłam na krześle i wbiłam w Mszczuja wzrok, który sprawił, że odrobinę się skulił. Chciał, żebym popatrzyła? To popatrzę tak, że mu w pięty pójdzie.

– Wiem, że nie jest ci to wszystko na rękę, i naprawdę cię przepraszam, że cię w to wciągnąłem. Proponuję, żebyśmy zawarli umowę – powiedział.

– Umowę? – Uniosłam do góry jedną brew.

– Będziemy małżeństwem przez rok. Potem, jeśli będziemy chcieli, to weźmiemy rozwód – zaproponował. – Ale jeden rok ze względu na naszą społeczność wytrzymajmy, dobrze?

Rok to długo. Ale co mi zależało? Dobre wrażenie, które robimy przed mieszkańcami Bielin, także jest ważne.

– Nie musimy razem mieszkać – kontynuował. – Myślę, że społeczność to zrozumie. Przecież przede wszystkim musimy być dla nich dostępni. I... i... ja... ja...

– No?

– Nie musimy ze sobą sypiać – dokończył na wdechu.

Nie mogłam powstrzymać chichotu, co speszyło go jeszcze bardziej.

– Rozumiem, ale gdyby się nam jednak zachciało, to możemy? – Wzięłam go pod włos.

– Ja... ja... ja... – znowu zaczął się jękać.

Czas przerwać tę mękę.

– Umowa stoi – oświadczyłam i wyciągnęłam w jego stronę dłoń.



– Pół Bielin chciało tu dzisiaj przyjść. Dobrze wiedzieli, kiedy będzie pełnia najbliższa daty twojej swańcy. Doceni, że ich przegoniłam – powiedziała jak zwykle roześmiana Mirka.

– Doceniam.

Siedziałyśmy nago na szczycie Łysej Góry, w miejscu, w którym w każde większe święto spotykają się na wspólnej biesiadzie przy ognisku wszystkie okoliczne szeptuchy i kapłani. Jak Mirka to zrobiła, że nie było tu nikogo, naprawdę nie wiedziałam. Miałam jednak świadomość, że w każdej chwili zza jakiegoś krzaka może wyskoczyć turysta, który wybrał się na pieszą wycieczkę na szczyt.

Poprawiłam koc, który rozłożyłyśmy na jednym z pniaków, i posadziłam na nim goły tyłek. Mirka, umorusana popiołem na kolanach, golotka jak ją bogowie stworzyli, kończyła rozniecać ogień.

– W koszu za tobą mam trochę jedzenia i picia – powiedziała.

– A nie wzięłaś składników i rekwizytów do obrządku? – zdziwiłam się, grzebiąc w jego zawartości.

Mirka odrobinę minęła się z prawdą. Przygotowała nam po dwie kanapki z jajkiem, a oprócz tego wzięła chyba z osiem butelek nalewek własnej produkcji. O ile nie zamierzałyśmy się kąpać w alkoholu, to nie wiem, co chciała z tym zrobić.

Na samym dnie kosza znalazłam jeszcze kilka papierowych toreb pełnych sproszkowanych ziół. Otworzyłam jedną z nich i ostrożnie powąchałam zawartość. Wydawało mi się, że wyczuwam delikatny miodowy zapach żółtych kwiatów dziewanny. Ta nazwa będzie mnie chyba prześladować. Zmęłam torebkę w dłoniach, zniesmaczona.

– Co to? – zapytałam i uniosłam ją do góry.

– Zaraz spalimy te zioła w ogniu. Mam zapas na calutką noc. Zobaczysz, będzie świetna zabawa!

– To ja może już zjem kanapkę – burknęłam, dobrze znając efekty ziół palonych w rytualnych ogniskach.

– Dla twojej wiedzy, wrzucam tu między innymi sproszkowaną dziewannę zbieraną przeze mnie w Noc Kupały – poinformowała, wyrwijając mi zmiętą torebkę.

Uniosłam brwi w grymasie zdziwienia, ale nie skomentowałam tego głośno. Czyli dobrze rozpoznałam zapach. Ziele dziewanny miało silną moc odpędzania czarów i obrony przed magicznymi stworzeniami. A taka zbierana w Noc Kupały, najkrótszą noc w roku, kiedy zło szuka schronienia przed dobrem, była wręcz naładowana obronną energią do granic możliwości.

Mirka usiadła na pniaku obok mnie. Jej ciało było gorące od płomieni, przy których wcześniej się krzątała. Poklepała się po bardzo kobiecym, odrobinę wystającym brzuszku.

– Ja tam za kanapkę podziękuję – powiedziała. – Muszę się chyba za siebie zabrać, bo coraz ciężiej mi się wepchnąć w nowe dzwony.

– No, jak kupiłaś je o rozmiar za małe...

– W przeciwieństwie do ciebie ja nie lubię cały czas nosić na dupie gumowych legginsów, tylko coś, co sprawia, że mój tyłek trzyma fason. – Popatrzyła mi głęboko w oczy

i zacmokała. – No, powiem ci, że dawno cię takiej wkurzonej nie widziałam – oznajmiła.

– Też mi odkrycie...

– Po co bierzesz tę swačbę?

– Mówiłam ci przecież.

– To oszustwo. Oszukujecie wszystkich. Naprawdę tego chcesz?

– Nie, ale już obiecałam. – Wzruszyłam ramionami.

– Lubisz komplikować sobie życie, oj lubisz – skwitowała.

Podawała mi butelkę z malinówką. Bardzo dobrze znałam tę nalewkę. Mirka dodawała do niej odrobinę cytryny, przez co alkohol był kwaśnawy. Za to rozgrzewał niesamowicie.

– Aż tak zimno w nocy chyba nie będzie, żebyśmy musiały to pić – zauważyłam.

– Musimy rozniecić w sobie trochę ognia. Zaprosiłam gości – oświadczyła.

– Mirko! Przecież ci powiedziałam, że nie mam ochoty świętować z mieszkańcami.

Puściła do mnie oko i zaśmiała się perliście. Patrzyłam, jak podchodzi do wysokiego na metr ognia, unosi do góry rękę z kolejną z papierowych torebek i wrzuca jej zawartość w płomień. Języki ognia zatańczyły radośnie i rozbłysły mocniej, jakby i im było mało magii tej nocy.

– A kto powiedział, że zaprosiłam mieszkańców Bielin? – zapytała, rzucając mi przez ramię tajemnicze spojrzenie.

– To kogo w takim razie? Okoliczne szeptuchy? Naprawdę chcemy je widzieć nago? Większość jest po siedemdziesiątce.

– Nie szeptuchy – odpowiedziała.

– To kogo? – dopytywałam. – Powiedz!

– Trochę dalszych i bliższych znajomych... – mruknęła wymijająco. – Ale wydaje mi się, że pojawią się dopiero, gdy przeprowadzimy kilka zwyczajowych rytuałów. Myślę, że będziesz się dobrze bawić, Jago. Obie wiemy, że lubisz zaszaleć.

Ciężko było nie zgodzić się z tym stwierdzeniem.

– Naprawdę nie musimy się modlić do Chors i Mokosz – burknęłam. – Przecież jak sama słusznie zauważyłaś, to małżeństwo to fikcja.

– Oj, nie bądź taką sztywniarną! Wzięłam kamiennego fallusa do zabawy – zakpiła.

– Tu nie ma jeziora. Poza tym nie zamierzam bawić się kamiennym penisem. No bez przesady, co ja, prawdziwego w życiu nie widziałam?

– Przecież nie musimy być takie dokładne. Tańczenie na golasa przy ognisku zupełnie nam wystarczy. Fallusa wzięłam na wszelki wypadek, jakby cię ochota naszła. Naprawdę polecam. Z bardzo dobrze wygładzonego, wypolerowanego wapienia.

– Po moim trupie – sarknęłam.

Pociągnęłam łyk malinówki. Mirka w tym czasie dosypała do ognia kolejnych ziół. Powoli ogarniały mnie złe przecucia. Moja przyjaciółka miewała czasem dziwne pomysły. W swoim zamięłowaniu do szaleństwa zdecydowanie mnie przewyższała.

– Kogo konkretnie zaprosiłaś? – zapytałam ponownie.

– Och, kilka osób...

– Znam je?

– Ze dwie... osoby... znasz chyba... osobiście – zbyła mnie.

Teraz już wiedziałam, że zrobiła coś głupiego. Pasowało to do niej idealnie. Do mnie też oczywiście, ale tylko czasem. Dzisiaj na przykład nie miałam ochoty na żadne wariactwa większe od picia nago w jednej z najbardziej obleganych w okolicy atrakcji turystycznych.

– Tańcz, a nie narzekasz! – Złapała mnie za rękę i zmusiła, żebym zaczęła razem z nią plesać dookoła ogniska.

W moje nozdrza uderzył pachnący ziołami dym. Zapach był odurzający. Ciepłe płomień łaskotały nagą skórę. Nawet nie czułam ukłuć żwiru ani połamanych resztek gałązek, po



których biegałyśmy. Zupełnie jakby moje ciało mogło odczuwać wyłącznie przyjemność. Domyślałam się, że to zasługa Mirki.

W głowie zaczęło mi się kręcić. Poczułam, jak serce wygrywa szybszy takt. Krew pulsowała w moich nogach, dłoniach, głowie. Żar oblał policzki. Przyjaciółka zaczęła przeskakiwać z nogi na nogę w rytm mojego pulsu.

– Co to za zioła?! – krzyknęłam. – Co tam wrzuciłaś oprócz dziewanny?

Nagle trzask pękających gałęzi i huk płomieni stały się niemalże ogłuszające. Miałam wrażenie, że przestaję słyszeć.

– Mój sekret.

– Mirka!

– Liście cisu, byś utraciła na chwilę zmysły. Macierzanka, by czyjeś czary się ciebie nie trzymały. Specjalnie sprowadziłam też sproszkowane ziele żagwinu zwyczajnego.

– Kotczego pazura? – zdziwiłam się, dość mgliście przypominając sobie działanie byliny, która u nas występowała głównie w kwietnikach. – A po co? Przecież on chroni przed czarami miłości.

– Ale tej nierządnej. – Wzruszyła ramionami. – Mamy dzisiaj dobrze się bawić, Jago, i robić tylko to, na co mamy ochotę. A nie to, na co ma ochotę ktoś inny.

– Na bogów, kogo ty tu zaprosiłaś? – wydusiłam, ledwie nadążając za nią w szalonym tańcu.

– Być może nawet samych bogów? O ile przyjmą zaproszenie!

Płomienie na chwilę zmieniły barwę na fioletową, a następnie wróciły do żółci i oranżu.

– Widziałaś? – wydusiłam.

– Chors, Mokosz, boginki! Składamy wam w ofierze tę noc i nas. Niech ujrzy nas świat, niech stanie słońce, niech zamilknie las – zawołała śpiewnie Mirka.

Wepchnęła mi do ręki butelkę z malinówką. Tym razem pociągnęłam mały łyk. Byłam przekonana, że nie powinnam tracić resztek czujności.

– Ta oto panna porzuci wianek, przybądźcie do nas na świętowanie!

Złapałam ją za rękę i zatrzymałam szarpnięciem w miejscu.

– Czyś ty zdurniała?! – syknęłam.

– Co? Nie chcesz pogadać z Dziewanną? – Zamrugła rzęsami niczym niewiniątko.

– Zwariowałaś?

Przeraziłam się nie na żarty. Jesteśmy obie na szczycie góry, najbliższa pomoc jest oczywiście u podnóża. Nie wiem jak Mirka, ale ja nie zabrałam ze sobą broni. Bo i czemu bym miała przychodzić na przyjacielską popijawę z nożem.

Bogowie mi świadkami, że chyba muszę sobie znowu kupić pistolet i już zawsze go nosić w torebce.

– Nic nam nie będzie! – Niefrasobliwie machnęła ręką. – Tej nocy nie stanie nam się żadna krzywda.

– A następnej?

– Za dużo myślisz. Daj się porwać.

Patrzyłam skonfundowana, jak wrzuca do ogniska kolejne torebki z ziołami. Teraz już nie miałam wątpliwości, że płomienie zmieniają kolory.

Poczułam, że jeżą mi się włoski na karku. Ziemia delikatnie drgnęła pod moimi stopami, zupełnie jakby ona także odetchnęła ziołowym aromatem. Malutkie kamyczki i gałązki uniosły się delikatnie i zawisły w powietrzu na kilka centymetrów nad ziemią.

Coś się zbliżało.

– Ja piernicze, ja piernicze! – pisałam i wskoczyłam czym prędzej na pień przykryty kocem w kratę.

W dupie mam tańce z kamiennym fallusem! Nie dam się zabić jakiemuś wkurzonemu bogu czy bogini.

Mirka tymczasem zdawała się nie zauważać zmian otoczenia. Ognisko dawało zdecydowanie więcej światła, niż powinno. Słup jasności unosił się wysoko ponad drzewa. Mogłam się założyć, że jutro we wszystkich okolicznych wsiach będą rozprawiać o tajemniczym zjawisku na szczycie Łysej Góry. Plotki o czarach rozejdą się w kilka minut.

Chociaż mnie to raczej nie zaszkodzi. Dobrze, gdy pacjenci mają trochę respektu i jednak odrobinę boją się szeptuchy.

Z ziemi dookoła ogniska zaczęły powoli wyłaniać się rośliny, zupełnie jakby ziarenka, ukryte tam nie wiadomo kiedy, właśnie podjęły decyzję o wykiełkowaniu. W przyspieszonym tempie rozkwitały kępami kwiaty. Rozpoznałam różową drobną macierzankę, białą i wesołą stokrotkę, niepozorną babkę lancetowatą, przepięknie wybarwione kwiaty chabra bławatka. Mało z pniaka nie spadłam, kiedy obok mnie gwałtownie wystrzelił różowy kłok polny.

Mirka tymczasem dalej nic sobie z tego nie robiła. Płąsała wesoło dookoła ogniska i śpiewała. Teraz jednak już nie wywoływała boginek, skupiła się na sprośnych piosenkach, w których demonice i rzeczony boginki grały istotne role.

Zauważyłam niepokojący wzór. Kwiaty pojawiały się kępkami, dość równomiernie. Zupełnie jakby rozkwitały w miejscach, gdzie stanęły czyjeś stopy.

Nad lasem i naszą polaną poniósł się dźwięk dzwonek, a może raczej to był czyjś śmiech.

Jednak pożałowałam, że nie napiłam się więcej. Przydałoby mi się trochę procentów, żeby to wszystko jakoś objąć rozumem.

– Nie bój się – usłyszałam za sobą szept.

Oczywiście upadłam na twarz prosto w kępę białej gipsówki. Przeturlałam się szybko na plecy, żeby nie wypinać gołego tyłka prosto na Swarozycza.

– Jago, Jago, nie podejrzewałam, że jesteś taka strachliwa – zacmokał z przyganą.

Ledwo było go widać. Jego ciało utkane z szarego dymu niknęło w ciemnościach. Jedyne jarzące się na złoto oczy dobrze odznaczały się na tle ciemności. Podniosłam się, uniosłam dumnie brodę i podparłam się pod boki. Szczyt wojowniczości, kiedy jest się na golasa i dopiero co zaświeciło się komuś pośladkami prosto w twarz.

– Nie boję się! – prychnęłam. – Po prostu zaskoczyła mnie niefrasobliwość przyjaciółki.

– A co w tym niefrasobliwego? – zdziwił się uprzejmie. – Słodka Mirka zwykle świętuje z rusałkami i wilami. Kobiety jej rodzaju często się w nie przeobrażały, jeśli nie zostawały szeptuchami.

– Co? – Wybałuszylam na niego oczy.

– Nie wiedziałas?

Zmarszczyłam brwi. Mirka nigdy słowem się o tym nie zająknęła. Zaczynałam rozumieć, dlaczego nie paliło jej się do zamążpójścia i dzieci. Jeśli w grę wchodziła jakaś rodzina kłątwa, to nie chciała jej przenieść dalej. One niestety lubiły przechodzić w genach, tak jak skłonność do wysokiego cholesterolu czy haczykowate nosy.

Zawsze powtarzałam, że dziedziczymy to, co najgorsze.

– Nie wiedziałam – burknęłam.

– A takie dobre koleżanki – dogryzł mi.

– Nie musimy mówić sobie wszystkiego, żeby się wspierać. Każdy ma prawo do tajemnic – odparłam z godnością.

Udawałam, że jest mi wszystko jedno, ale faktycznie byłam trochę urażona. Chociaż może niepotrzebnie? W końcu nikt nie rozpowiada z przyjemnością o kłátwach nałożonych na swoją rodzinę. To trochę tak, jakby mówić o chorobach.

I to o tych wstydliwych chorobach.

– Tak, każdy ma prawo do swoich tajemnic – zgodził się skwapliwie.

– A ty co w ogóle robisz na wieczorze panińskim?! – ofuknęłam go. – Tu mogą się bawić same kobiety... i istoty podobne do kobiet – dokończyłam kulawo.

Zaśmiał się. Jego niski głos otulił mnie, jakby bóg ognia otoczył mnie swoimi ciepłymi ramionami.

– Mirka zaprosiła wszystkich chętnych. Jeśli będziesz chciała mnie dzisiaj zawołać... – rzekł. – Wiedz, że przybędę.

I oczywiście zniknął, nie dając mi czasu na żadną zgryźliwą odpowiedź. Prychnęłam pod nosem kilka przekleństw. Chyba śnił, jeśli myślał, że go będę wolać. W mój wieczór paniński! Niedoczekanie!

Musiałam jednak przyznać, że jego pojawienie się odrobinę poprawiło mi humor. Skoro twierdził, że nie mam co się bać i w razie czego się pojawi, to chyba mogłam dołączyć do zabawy. Żadna wiła nie zatańcuje mnie na śmierć, a rusałka nie zagilgocze. Chociaż to gilgotanie rusałek to oczywiście taki uroczy eufemizm, kiedy opowiada się o nich dzieciom.

Dobrze wiedziałam, że mój opór do tańców maleje wprost proporcjonalnie do ilości spalonych przez Mirkę ziół. Niemniej jednak miło było mieć zapewnienie, że w razie czego ktoś mnie uratuje, gdyby na przykład taka Ludomiła postanowiła pojawić się tu dzisiaj.

Doskoczyłam do ogniska i złapałam roześmianą Mirkę za rękę.

– Hej, naprawdę zaprosiłaś tu boginki? – szepnęłam.

Zatrzymała się w pół kroku. Na jej okrągłej buzi malowały się rumieńce. Z grubego warkocza wysunęło się kilka pasemek. Wszystko to sprawiło, iż wyglądała na znacznie młodszą niż w rzeczywistości. Jej rozszerzone źrenice wyraźnie mi powiedziały, że już trochę za dużo się nawydychała i zdecydowanie za dużo wypiła.

– Tak. Znam je bardzo dobrze. Zabawa będzie przednia. Zapewniam cię!

– A nie mogłaś mnie wcześniej ostrzec?

– Przecież wtedy byś tu przyszła – zauważyła całkiem trzeźwo, biorąc pod uwagę jej stan.

– Swaróżyc powiedział mi o twojej kłątwie.

Wyraz jej twarzy w ogóle się nie zmienił. Zupełnie zignorowała moje słowa.

– Och, jest tutaj? – Uśmiechnęła się szeroko i wyprostowała, wypinając pokaźnych rozmiarów biust do przodu. – Jego też zaprosiłam.

– Do Barnima się tak powdzięcz – mruknęłam.

– Z Barnimem jesteśmy w otwartym związku. Nie chcemy, by ograniczały nas kajdany konwenansów! – oświadczyła natchnionym tonem.

– Mogłaś mi powiedzieć o kłątwie.

Jej spojrzenie złagodniało.

– A po co? Mnie kłątwa ominęła – odparła. – Żadna z moich bliskich żyjących krewnych nie jest nią dotknięta. Zawarliśmy pakt, że nie przekazemy jej dalej. Nie masz mnie co wolać. Ja nie cierpię dzieci. Mnie to nawet na rękę, że mam wygodną wymówkę.

– To mogłaś mi powiedzieć, że masz wtyki w nadprzyrodzonym świecie.

– Znam kilka rusałek i wił – sprostowała. – Dziewanny, czy też Mokosz, nigdy nie poznałam. Za wysokie progi. Chociaż dzisiaj... dzisiaj może przyjdą. Czujesz?

Wiedziałam, o co jej chodziło.

– Tak, coś wisi w powietrzu – zgodziłam się.

– I ziemia drży.

Nagle dookoła nas zaczęły pojawiać się kobiece sylwetki.



Po chwili już nie tylko my tańczyliśmy dookoła ogniska, ale także kilkanaście rusalek, wił i południc. Kilku demonic nie byłam w stanie w ogóle rozpoznać, a raczej przypasować do konkretnego gatunku. Wyglądały bardzo zagadkowo. Nie zdobyłam się jednak na to, żeby do nich zagadać i zapytać, kim są. Nie chciałam popełnić gafy, która mogłaby mnie kosztować na przykład głowę.

Ich nagie ciała dość znacznie różniły się od naszych. Nie mogłam oderwać od nich spojrzenia. Rusalki były oczywiście obłudnie piękne. Większość z nich miała na skórze różnokolorowe tatuaże przedstawiające motywy roślinne. Włosy boginek były przeważnie zielone. Wiły przypominały normalne kobiety, ale zamiast stóp miały małe kopytka. Tańczyły tak szybko i szaleńczo, że nie sposób było to zauważyć. Zdradzały je tylko odciski w ziemi dookoła ogniska. Z kolei południce wyglądały tak, jakby zbyt długo opalały się przez co najmniej kilka lat. Brązowe jak skwarki, z licznymi zmarszczkami na całym ciele, równie dobrze mogły mieć lat dwadzieścia jak i sześćdziesiąt. Chociaż dość jędrne biusty raczej sugerowały młodszy wiek, w którym zmarły i przemieniły się w demonice.

Śmiały się wesoło i dokazywały razem z nami. Przygotowany przez Mirkę alkohol szybko zaczął znikać.

W końcu, zmęczona szalonym tańcem, opadłam na pniak z kocem. Patrzyłam zafascynowana na ich gibkie ciała prężące się dookoła ogniska. Cały czas kręciło mi się w głowie. Staralam się nie zamykać oczu, bo wtedy zawroty jeszcze bardziej się nasilały.

Mirka dość szybko zauważyła, że zniknęłam. Rozbujanym krokiem opuściła kółeczko i usiadła obok mnie.

– To co? Kanapeczka z jajkiem? – zapytała.

– A powiem ci, że nie odmówię.

– I jak ci się podoba twój wieczór panieński?

– Całkiem, całkiem – odpowiedziałam niewyraźnie, z buzią pełną jedzenia.

Oczywiście od razu się usmarowałam. Mirka nie pożałowała majonezu. Ona nic nie jadła. Prawie nie było widać tęczywek w jej oczach, tak mocno rozszerzyły jej się źrenice. Poważnie się zastanawiałam, która z nas powinna teraz pilnować tej drugiej.

– Zauważ, że nie przygotowałam smarowideł – powiedziała niespodziewanie.

Miała na myśli tradycyjne kremy, które wytwarzały szeptuchy na Noc Kupały. Przed tańcami przy ogniu należało wysmarować nimi całe ciało, skupiając się szczególnie na okolicy biustu i łona.

– Ano, faktycznie. A czemu? – zapytałam.

– Bo te zioła i smarowidła to byłoby za dużo.

Pomyślałam o moim wyciągu z nasięźrzału. To dopiero miało moc. Sprawdziłoby się teraz idealnie.

– Spróbuj za rok narwać nasięźrzału w Noc Kupały – doradziłam. – Dodany do smarowideł da niesamowite efekty.

Pokiwała głową.

– Babcia mi o tym opowiadała. Wspominała też, że jest to bardzo silne i boga by skusiło. Nie wiem, czy odważyłabym się dodać go do mazidła dla panien. Próbowalaś tego na sobie?

– Tak, próbowałam.

– I co?

– Swarożyc nie narzekał... – Puściłam do niej oko.

W odpowiedzi tylko głośno się zaśmiała.

– Oj, Jago, Jago. W takim razie dzisiejszy gość honorowy chyba ci się spodoba.

– To jeszcze ktoś przyjdzie?

– Chyba nawet już jedzie, tak mi się zdaje. Czuję, że coś wisi w powietrzu. Ale wiesz, ty nic nie musisz. On tu przyszedł zabawić wszystkie panny. Zwłaszcza te niedoszące mężatki, które są bardzo spragnione męskiego towarzystwa. Jak widzisz, ma ich sporo do wyboru.

Zerknęłam na demonice, które zgodnie z podaniami były tak złaknione chłopa, że z chuci potrafiły zabić nieszczęśnika, który im się napatoczy, zanim tak naprawdę zdążyły się z nim pobawić. Oby ten gość honorowy był odporny na ich moce, bo inaczej długo tu nie zabawi.

W jednej chwili istoty przestały tańczyć. Muzyka, która rozlegała się znikąd, zamarła. Na twarzach boginek pojawiła się ekscytacja. Zaczęły coś szeptać między sobą. Ja nie czułam, że coś wisi w powietrzu, ale one najwyraźniej razem z Mirką miały szósty zmysł.

Nagle jedna z nich zaczęła śpiewać, po chwili kolejne dołączyły do niej zgranym chórkciem:

*Włóczył się Jaryło  
Po całym świecie  
Rodził żyto w polu  
Płodził ludziom dzieci  
A gdzież on nogą  
Tam żyto kopą  
A gdzież on na ziarnie  
Tam kłós zakwitnie\**

Śpiew demonic potoczył się po polance. Ich głosy były czyste i delikatne. Całkiem zwodnicze, ponieważ było w nich coś słodkiego, hipnotyzującego. Zanim się spostrzegłam, moja stopa sama zaczęła majtać się do rytmu ich pieśni. Nie dziwiło mnie zupełnie to, że durne chłopy dawały się zwieść takim śpiewom na manowce.

W końcu i ja coś usłyszałam. Zmarszczyłam brwi. Tętent końskich kopyt? Bogowie, miałam tylko nadzieję, że to nie jakiś zabłąkany turysta albo, co gorsza, Mszczuj. Już miał swoją przygodę z rusalkami. Nie wiem, czy pozbierałby się po kolejnej.

Spomiędzy drzew otaczających ścieżkę wiodącą na szczyt Łysej Góry wyłonił się biały rumak. Jego sierść była tak czysta, że zdawała się świecić w chłodnym blasku księżycy. Na jego grzbiecie, na oklep, siedział wielce przystojny mężczyzna.

Miał długie, falujące blond włosy. Pukle, niesfornie skręcające się na końcach, opadały mu aż do pasa. Zeskoczył z grzbacka z konia i podparł się pod boki. Potoczył spojrzeniem zielonych jak soczysta trawa oczu po polanie. Boginki rzuciły się z piskiem w jego stronę. Koń przezornie usunął im się z drogi, pomaszerosował do najbliższej kępki kwiatów i zaczął je zjadać.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. Miał szczupłą, ale przyjemną dla oka twarz. Było w niej coś chłopięcego mimo licznych kurzych łapek, które znaczyły kąciki jego oczu. Nos i policzki zdobiło kilka piegów powstałych od słońca. Błada skóra wydawała się delikatnie świecić.

Jedna z rusalek podała mu przepiękny kwietny wianek. Nie mam zielonego pojęcia, kiedy go zaplotły, ale jak widać, były przygotowane na jego przyjsście.

Jaryło skłonił przed boginką głowę. Ta z chichotem założyła mu wianek i wbiła w niego cięły wzrok. On jednak więcej nie zwracał na nią uwagi.

– Witam, drogie panie! Widzę, że zabawa się rozkręca! A gdzie jest przyszła panna młoda? – zapytał.

Mirka posłała mi sójkę między zebra.

– Tu siedzi! – zawołała zamiast mnie.

Bóg wiosny i płodności, Jaryło, podszedł do nas rozkołysanym krokiem. Wręcz promieniowała z niego pewność siebie i samouwielbienie. Mirka pisnęła z zachwytu. Ja w ogóle nie zareagowałam, bo nie wiedziałam, jak powinnam się zachować. Jary bóg był bowiem golutki i nic sobie z tego nie robił. Mirka zerwała się na równe nogi i serdecznie go wyściskała.

A chciałabym zauważyć, że także była goła.

Plus, co również należy zaznaczyć, Jaryło, jak przystało na dość jurnego boga, który co wiosnę zapładnia ziemię za pomocą deszczu, nie do końca znajdował się w spoczynku. A dokładniej jedna część jego ciała, podejrzenie długa, wydawała się już całkiem gotowa do swawoli.

Mirka odsunęła się. Jej błoga mina niczym nie różniła się od wyrazu uwielbienia na twarzach boginek. Chyba wszystkie traktowały go jak jakąś gwiazdę rocka. Bóg wiosny rozłożył ramiona i posłał w moją stronę szeroki uśmiech.

– Panna młoda! – wykrzyknął wesoło.

– No hej... – powiedziałam, ani myśląc o odklejeniu swojego tyłka z pniaka.

– Witaj!

Jego uśmiech w ogóle się nie zmniejszył. Nie opuścił też ramion. Czekał. Mirka za jego plecami zaczęła robić do mnie dziwne miny i na migi pokazywać, żebym wstała.

Wiem, że nie należy obrażać bogów. Zwłaszcza takich, których dopiero co się poznało. Niemniej jednak naprawdę nie miałam ochoty dać się obłapiać. Niechętnie wstałam i wyciągnęłam w jego stronę dłoń do spokojnego uścisku. Takiego pozbawionego wszelkich podtekstów i przede wszystkim gwarantującego nienaruszalność mojej strefy komfortu. A w tej chwili ta strefa miała zdecydowanie minimalny promień... hm... jakichś trzydziestu centymetrów? To jest w ogóle fizycznie możliwe?

Jak on jechał na tym koniu?! Nie bolało go?!

Mirka tanecznym krokiem podeszła do mnie, położyła dłoń pomiędzy moimi łopatkami i popchnęła mnie zdecydowanym ruchem. Wpadłam w ramiona boga. On był oczywiście wysoki, ja jestem kurduplem, więc pewna część jego ciała znalazła się na wysokości moich piersi. Pożałowałam, że jednak nie bawimy się przy brzegu jeziora, bo przynajmniej mogłabym się iść optukać.

No przepaszam bardzo, ale widzimy się po raz pierwszy. To jednak jest trochę obrzydliwe.

– Miło cię poznać, Jago! – powiedział. – Wiele o tobie słyszałem.

– A ja o tobie jakby mniej – sapnęłam z nosem wepchniętym w jego podejrzenie ciepłą klatkę piersiową.

To, że Swarożyc był gorący, jakby wiecznie miał stan podgorączkowy, wiązałam zawsze z tym, że jest patronem ognia. Być może była to jednak cecha charakterystyczna wszystkich bogów. Jakaś szybsza przemiana materii na przykład.

Na szczęście dość szybko mnie puścił. Boginki tylko na to czekały. Uczepiły się jego ramion i zaciągnęły go do ognia. Tajemnicza muzyka znowu rozbrzmiała i rozochocone towarzystwo zaczęło tańczyć.

Odetchnęłam z ulgą. Nie miałam ochoty na żadne swawole z Jaryłą. Nie był w moim typie. Usiadłam z powrotem na pniaku i patrzyłam, jak reszta hasa dookoła ognia. Mirka zaczęła do mnie machać, ale na migi wyjaśniłam jej, że chciałam posiedzieć i się napić. Na potwierdzenie wzięłam jedną z butelek nalewki malinowej i udałam, że pociągam z niej łyk.

Rozglądałam się niecierpliwie. No i gdzie ta Dziewanna się podziwała? W sumie to po wdychaniu ziół i picu alkoholu byłam teraz w tak wojowniczym nastroju, że chętnie ucięłabym sobie z nią pogawędkę. Poza tym nie zrobiłaby mi przecież krzywdy, kiedy Jaryło jest w pobliżu. Swarożyc pewnie też nas podglądał.

Czas mijał, towarzystwo było coraz bardziej rozochoczone, a boginki wciąż nie było. Nawet nie wiem, kiedy wypilałam sporą część nalewki. Alkohol buzował w moich żyłach, co popchnęło mnie do wzięcia spraw w swoje ręce.

Przeszłam się dookoła ogniska i nazrywałam kwiatów dziewanny, dziurawca, bylicy, róży, a do tego dołożyłam kilka listków lubczyku. Przecisnęłam się pomiędzy rusalkami i wrzuciłam rośliny w płomienie. Nie wiem, czy w jakikolwiek sposób mogło to pomóc, ale teoretycznie były to zioła, którym między innymi patronowała boginka Dziewanna.

– No? Ludomiło? Słyszysz mnie? – mruknęłam pod nosem. – Bogini Dziewanno? Przyjdź na mój wieczór panieński. Przyjdź tu, cholero parszywa. Mamy do pogadania.

Poczułam czyjeś ręce na biodrach. Odruchowo odwróciłam się i wbiłam napastnikowi pięść w żołądek.

Bóg Jaryło zgiął się wpół. Jego twarz znalazła się w wyniku tego na wysokości mojej. Zetknęliśmy się nosami. Sapnął zaskoczony.

Muzyka się urwała. Wszystkie demonice oraz Mirka zamarły przerażone w połowie tanecznego kroku. Przyznaję, także trzęsłam się ze strachu. Zareagowałam odruchowo. No co ja poradzę.

– Nie pozwoliłam się dotykać – powiedziałam, siląc się na spokój. – To było nieuprzejme.

O dziwo, mój głos nie drżał, więc nie zdradzał tego, jak bardzo się przestraszyłam możliwych konsekwencji. Jaryło mógł mnie przecież w każdej chwili zamienić w, powiedzmy, drzewo. Zgodnie z legendami bogowie często zamieniali opierające się im kobiety w rośliny.

– Przepraszam – wydusił. – Myślałem, że przyszłaś potańczyć.

– Ja też przepraszam. Wszystko w porządku?

Wyprostował się. Boginki westchnęły chóralnie.

– Nie możesz mi zrobić krzywdy, ludzka kobieto – oświadczył pewnym tonem.

– Zdaję sobie z tego sprawę. – Pokłoniłam lekko głowę. – Wybacz, że też dotknęłam cię bez pozwolenia.

– Och, możesz mnie dotykać, gdzie tylko chcesz – oświadczył łaskawie i wrócił do tańca.

Czym prędzej się ulotniłam. Niestety Mirka pobiegła za mną.

– Czyś ty zdurniała? – syknęła.

– A skąd miałam wiedzieć, że to on mnie łapie?! – odparłam równie oburzona.

– No a kto by cię miał łapać?

– A ja wiem?!

– Niemożliwa jesteś. Całe szczęście, że on ma poczucie humoru.

Zerknęłam ponad jej ramieniem na jarego boga, któremu już chyba znudziły się tańce, bo zaczął rozkręcać małą orgietkę. Bleh.

– Mirko, bardzo ci dziękuję za niezapomniany wieczór panieński, ale to chyba nie do końca są moje klimaty.

Westchnęła ciężko.

– Możesz zawołać Swarożycza. Pewnie przyjdzie – doradziła.

– Dziękuję, ale nie.

Na skraju lasu zobaczyłam kobiecą sylwetkę, która patrzyła na nas niepewnym wzrokiem. No nareszcie!

– Bardzo ci dziękuję, Mirko, ale będę już uciekać – powiedziałam.

– Już? – zmartwiła się.

– Już, a ty idź i dobrze się baw.

Obie odwróciłyśmy się w stronę ogniska, gdzie Jaryło wesoło swawolił. Nie wiem, jak zamierzał w pojedynkę zadowolić wszystkie chętne boginki. Mirka cmoknęła mnie w policzek i poszła w ich stronę. Ja tymczasem złapałam w biegu swoją sukienkę i ruszyłam w kierunku Ludomiły.

– Wszystkiego najlepszego – powiedziała, kiedy znalazłam się tuż przy niej.

– Słucham? – zdziwiłam się, w pierwszej chwili nie rozumiejąc, o czym do mnie mówi.

– Gratulacje z okazji zbliżającego się małżeństwa – dodała.

– Och, to.

Wciągnęłam przez głowę sukienkę, bo głupio mi było stać na golasa przy ubranej Ludomile. Wyglądała inaczej niż wtedy, kiedy widziałyśmy się ostatnio u mnie w chacie. Ba, wyglądała nawet inaczej od swoich własnych zwłok, które widziałam w zakładzie pogrzebowym.

Podjeżdżanie wysmukłała i jakby urosła. Poza tym było w niej bardzo dużo pewności siebie, której wcześniej nie widziałam.

– Masz mi coś do powiedzenia? – zaatakowałam.

– Nie.

– Okłamałaś mnie! – Prawie się zatchnęłam ze złości.

– Wszyscy kłamią. Wątpię, czy większość twoich pacjentów mówi ci prawdę. – Wzruszyła ramionami.

– Może i tak. Jednak intryga, by stać się boginką? – prychnęłam. – Nie żal ci twojej poprzedniczki, która musiała ustąpić ci miejsca?

– W ogóle – odparła Ludomiła i posłała mi słodki uśmiech.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że też kiedyś zostaniesz zastąpiona?

– Na pewno po czasie dłuższym niż ludzkie życie. Szeptucho, nie przekonasz mnie, że to zły interes. Teraz jestem prawdziwą boginią. Mogę wszystko.

W środku gotowałam się ze złości. Nie tylko na jej impertyncję, ale na podstawowe braki w wiedzy. Nie była przecież boginią, tylko co najwyżej boginką. Nie mogła także wszystkiego.

– Wyjaśnij mi, po co to zrobiłaś – powiedziałam, siłąc się na spokój.

– Nie mam obowiązku ci się tłumaczyć.

– Rodzina cię do tego zmusiła? – zaatakowałam. – Chcą, żebyś swoimi mocami wspomagała ich biznesy?

Kącik jej ust delikatnie drgnął, ale nie odpowiedziała.

– Pozwoliłaś się zabić dla ich zysku? – Nie mogłam w to uwierzyć. – Ludomiło, oni cię wykorzystują. Ograbili cię z twojego życia, z twojej przyszłości.

– Bzdura, szeptucho – odparła.

Pokręciłam głową. Nie wierzyłam jej. Chociaż kto wie? Już się okazało, że umiała mnie wystrychnąć na dudka. Może rzeczywiście sama pragnęła boskich mocy i to wszystko to był jej pomysł, a nie członków tej dziwacznej rodziny.

– Będziesz cierpieć – powiedziałam smutno.

– Grozisz mi? – zdenerwowała się.

– Ja? W żadnym razie – zaprzeczyłam. – Wydaje mi się jednak, że nie do końca zdajesz sobie sprawę z tego, na czym polega bycie dwoistą boginką.

– Dwoistą? – zapytała, zanim zdążyła ugryźć się w język.



– Jesteś nie tylko Dziewanną, ale też Marą, Marzanną. Mokosz jeszcze ci o tym nie powiedziała?

Starałam się nie mówić jadowitym tonem, ale to po prostu aż samo się prosiło o komentarz. Jej mina jasno wyrażała kompletny brak zrozumienia.

– Marzanna to zima – powiedziała. – To siostra Dziewanny.

– Tak uczymy w szkołach, zgadza się. Jest jednak też druga wersja. Ona mówi o tym, że Dziewanna ginie, przemieniając się w Marzannę, a potem zima umiera, by przeistoczyć się w wiosnę.

– Bzdura.

– Tak samo jest z Jaryłą. – Wskazałam go palcem.

Zerknęła na ognisko, gdzie bóg wiosny leżał w kłębowisku ciał. Ciężko było się połapać, która noga do kogo należała. Nawet ja przez chwilę zapomniałam, o czym miałam mówić, tak mnie ten niecodzienny widok zafascynował.

A więc tak on to robi i po to potrzebuje takiego długiego...

– Nie wiem, o co ci chodzi, szeptucho. – Głos Dziewanny przywołał mnie do porządku. – Przestań mnie wzywać. Jestem szczęśliwa. Nie psuj mi tego.

Szybko wróciłam do niej spojrzeniem, dziękując w duchu za mrok, w którym stałyśmy, bo nie widziała moich rumieńców.

– Zobaczymy w Jare Gody – odparłam.

– Kłamiesz, bo mi zazdrościsz – wycedziła.

– Nie zazdroszczę ci, bo kocham moje życie. Naprawdę mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa, Ludomiło, i że nie zrobisz niczego głupiego.

Nic mi już nie odpowiedziała. Rozpłynęła się w powietrzu z wściekłą miną. Uśmiechnęłam się do siebie. Wiem, że to było wyjątkowo płytkie z mojej strony, ale popsucie jej humoru sprawiło mi olbrzymią satysfakcję.

Po raz ostatni spojrzałam na kłębowisko ciał. No niesamowite. Następnie, zanim coś głupiego przysłoby mi do głowy, wróciłam szybko do domu. Nie chciałam brać w tym udziału, tak samo jak nie miałam zamiaru wołać do siebie Swarożyca.

---

\* Aleksander Gieysztor, *Mitologia Słowian*, s. 135, Warszawa, Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, 2006.



Patrzyłam na wystrojonego Mszczuja. Stał naprzeciwko mnie, stremowany do granic możliwości. Jego policzki przybrały tę samą barwę co miedziane loki i podkreślony wąs. Skuliłam się lekko pod jego pełnym wzruszenia spojrzeniem. Wydawało mi się ono nie na miejscu. Przecież to wszystko tylko układ, fortel, podstęp. To jest na niby.

Mszczuj jednak wydawał się szczerze wzruszony. Przeżywał ceremonię tak mocno, że aż drżał mu głos, gdy musiał wypowiedzieć swoje kwestie.

W ogóle nie słuchałam kapłana Bolesława, który udzielał nam swačby. Wszystko robiłam mechanicznie. Powtarzałam za nim odpowiednie słowa i wykonywałam potrzebne gesty, jakby ktoś przejął moje ciało i mówił, co mam robić.

Na szczęście moja swacha, czyli Mirka, czuwała, żebym nie popełniła jakiejś gafy. Barnim jako swat pilnował roztrzęsionego Mszczuja.

Sam Bolesław natomiast wydawał się szczerze zaskoczony całą swačbą. Gdy kilka dni temu, oczywiście na ostatnią chwilę, bo zupełnie o tym zapomnieliśmy, pojechaliśmy go zapytać, czy poprowadzi ceremonię, bardzo długo nie mógł wyjść ze zdziwienia. Uważał, że go nabieramy. Podejrzewam, że był jeszcze w stanie uwierzyć, że Mszczuj się z kimś żeni. W końcu Mszczuj to taki rodzaj rodzinnego faceta, któremu, przyznajmy to szczerze, przydałby się ktoś, by pilnował, żeby nie robił głupstw i jadł regularnie pożywne posiłki. Bolesławowi wydała się raczej podejrzana moja chęć na małżeństwo. Sądzę, że to przez babcię Radomiłę, z którą niegdyś chyba dość mocno się pożarli. Miało to obecnie duży wpływ na jego postrzeganie kobiet z naszego rodu.

Zerknęłam na otaczającą nas nieliczną rodzinę oraz gości z Bielin i okolic. Miałam wrażenie, że przyszli wszyscy. Nawet ci z moich pacjentów, którzy rzekomo byli od miesiący przykuci do łózek i normalnie musiałam tarabanić się do nich na wizyty domowe. Zgromadzili się dookoła świętego dębu i wbijali w nas uradowane spojrzenia. Czulałam się jak jeleń, który właśnie patrzy w łufę strzelby myśliwego.

Czemu tak się cieszyli? Co jest w tym radosnego? Bronka nawet uroniła łzę. W ogóle tego nie rozumiałam. Mszczuj mocniej ścisnął moją rękę. Dłonie mieliśmy przewiązane chustą na znak naszego duchowego połączenia. Wróciłam spojrzeniem do jego oczu. Już nie był wzruszony, tylko raczej zmartwiony. Zauważył, że się denerwuję, i kiwnął mi uspokajająco głową.

Poczułam za plecami ruch. Mirka nachyliła się dyskretnie w moją stronę, rzekomo pod pretekstem poprawienia mi wianka, i syknęła:

– Przestań dyszeć, bo zemdlejesz!

Odetchnęłam głęboko, nakazując sobie spokój. Mieli rację. Oboje mieli rację. To tylko fortel, gra, wybieg. Nic poważnego. Za rok wszystko wróci do normy, nie mam po co panikować.

Poza wszystkimi mieszkańcami Bielin wśród gości byli oczywiście rodzice Mszczuja, Ścibora i Bratomił. Nie zabrakło także mojej mamy i taty. Bracia ze swoimi rodzinami gdzieś mi mignęli w tłumie, ale teraz nie mogłam ich dostrzec. Nie lubili takich

ceremoniałów. Podejrzywałam, że zgarnęli żony oraz dziatwę i udali się już w stronę miejsca, gdzie miało się odbyć wesele.

Moja jeszcze chudsza niż ostatnio matka stała z przekrzywioną na bok głową, przez co przypominała strapionego bociana. Postanowiłam, że zrobię jej potem jakąś mieszankę na wzmacnienie. Naprawdę wyglądała okropnie. Chyba zdecydowała na starość zasuszyć się z ciągłych zmartwień i zamienić w patyczek. Ręce założyła na piersi i wpatrywała się we mnie ze zdziwieniem. Ojciec stał ze zmarszczonymi brwiami i co jakiś czas sapał. Raz po raz zerkał na Bratomila, potem na Mszczuja. Nawet nie musiał nic mówić. Bez trudu potrafiłam wyobrazić sobie, o czym myśli.

Trochę ich zaskoczyłam zaproszeniem na ślub. Na tydzień przed uroczystością wysłałam im wiadomość telegramem, więc nie wiem, jak zareagowali. Po cichu liczyłam na to, że jednak nie przyjadą, zaskoczeni i zbulwersowani zaproszeniem przekazanym na ostatnią chwilę. Przemawiało za tym zwłaszcza to, że przecież z tatą oficjalnie ciągle byłam skłócona. Oni jednak mnie zaskoczyli. Nawet nie wydawali się teraz wrody, co najwyżej szczerze oniemiaли.

Znowu zaczęłam się denerwować. Nie powinnam była patrzeć na moich rodziców. W ogóle mi to nie pomogło. Moje ręce zaczęły drżeć. Poczułam, że Mszczuj mocniej chwycił moje palce, ale na nic się to nie zdało. Zwróciłam twarz w stronę kapłana Bolesława i wsłuchałam się w jego słowa. Ceremonia dłużyła się niemiłosiernie, wszystkie rytuały i teksty wydawały mi się zupełnie nieznanne. W głowie miałam tylko pustkę oraz oczywiście strach. Mało wcześniej ze skóry nie wyskoczyłam, gdy Mirka sięgnęła do mojej głowy i zdjęła wianek, kiedy wymieniliśmy się nimi z Mszczujem. W pierwszej chwili myślałam, że ktoś mnie atakuje.

Nawet nie wiedziałam, że mogę być tak rozemocjonowana. Przecież to było do mnie zupełnie niepodobne.

Kiedy tylko Bolesław oświadczył, że jesteśmy żoną i mężem, a Mszczuj delikatnie pocałował mnie w usta, poczułam, jakbym właśnie ocknęła się ze snu, jak jakaś stereotypowa, nie do końca ogarnięta życiowo księżniczka z bajek. W ogóle nie mogłam sobie przypomnieć, co się przed chwilą stało.

Goście rzucili się z gratulacjami. Przywołałam na twarz uprzejmy uśmiech i dziękowałam im bezwiednie, puszczając mimo uszu życzenia pomyślności. Mszczuj wciąż trzymał mnie za rękę. Jego dłoń była mokra. Chociaż może to mnie pociły się dłonie. Nie wiem.

Kolejka chętnych stawała się coraz krótsza. Jeszcze tylko chwila tej mordęgi.

W końcu przed nami stanęła Ścibora. Na jej twarzy malowała się wściekłość. To mnie otrzeźwiło. Rozejrzałam się dookoła. Część gości po życzeniach już ruszyła w drogę, by szybko dotrzeć do stodoły, gdzie organizowaliśmy biesiadę. Nawet Bolesław już się ulotnił. Zostali tylko nasi najbliżsi.

Spojrzałam na moją dłoń otoczoną palcami Mszczuja, a następnie na jego twarz. Uśmiechnął się do mnie. Już w ogóle nie był zdenerwowany.

– Dziękujemy, Ściboro, że chciałaś z nami przeżyć ten szczęśliwy dzień – powiedział do swojej byłej narzeczonej.

– Nie pojmuję, jak mogłeś zrobić mi takie świństwo – wycedziła. – Gorzko tego pożałujesz. I ty też!

– O tym, że bierzemy swańbę, wiedziałaś już od dawna. Nie wiem, co cię dzisiaj tak wytrąciło z równowagi – stwierdziłam, w ogóle nie reagując na zaczepkę.

Mirka otoczyła Ściborę ramieniem, a raczej spróbowała to zrobić, lekkoatletyczka była od niej bowiem wyższa o jakieś półtorej głowy.

– Zapraszam na weselicho – zagruchała do niej szeptucha. – Pokażę drogę, nie tak trudno trafić. Będzie świetna zabawa. Będzie można napić się czegoś na poprawienie

nastroju. Poza tym z pustym żołądkiem to zawsze jakoś tak smutno...

Na szczęście była narzeczona pozwoliła się popchnąć w stronę ścieżki. Zamrugalam. Zaraz, jakie wesołicho? Z jakiej racji ona się w ogóle wybierała na przyjęcie? Spojrzałam na Mszczuja.

– Rodzice kazali mi ją zaprosić – odpowiedział, doskonale rozumiejąc niezadane pytanie.

Zanim rzuciłam jakąś kąśliwą uwagę, podszedł do nas Bratomił. Zamknął mnie w niedźwiedzim uścisku.

– Czekam na wasz rozwód – wyszeptał mi we włosy.

Kapłan... mój mąż spiorunował go wzrokiem, ale tamten zaśmiał się tylko i ruszył śladem Ścibory.

– On też idzie na wesele? – zapytał Mszczuj.

– Jeśli nawet, to go nie zapraszałam. Nie jestem tobą – odburknęłam.

Przyszła kolej na jego rodziców. Rzucili mi niechętne spojrzenie. Ojciec Mszczuja westchnął ciężko.

– Bądźcie zdrowi – powiedział zrezygnowany.

– Niestety mamy niedługo pociąg do Gdańska – powiedziała jego matka. Ani myślała składać nam życzenia. – Musimy was już opuścić.

Kamień spadł mi z serca. Ulga na mojej twarzy musiała chyba być zbyt dobrze widoczna, bo teściowa syknęła:

– Nie przyjeżdżajcie do nas na Szczodre Gody.

Takie kontakty z teściami lubię. Z bogami!

Zerknęliśmy na siebie z Mszczujem. Chyba oboje ucieszyliśmy się z takiego rozwoju sytuacji.

Moi rodzice na szczęście nie mieli nam do powiedzenia żadnych niemiłych rzeczy. Tata wydawał się zafrapowany, a mama ciągle była zdziwiona do granic możliwości.

– Ja cię pamiętam – powiedziała na wstępie do Mszczuja.

– Ja panią także! Była pani u nas z okazji Dziadów kilka lat temu. – Skłonił jej głowę.

– Wydałeś mi się wtedy bardzo... sympatyczny – powiedziała z rezerwą. – No, ale doprawdy, nie spodziewałam się, że ktokolwiek zaciągnie Jagę przed oblicze kapłana. To zaskakujący... wyczyn.

– To miłość – odparł.

– Tak... najwyraźniej.

Wbiła we mnie przenikliwe spojrzenie. Szybko oceniła także szerokość mojej talii. Nie dopatrzyła się tam niczego, więc powtórzyła tylko:

– Tak...

Oczywiście nie byłaby sobą, gdyby czegoś nie skrytykowała.

– Tę sukienkę z drugiej ręki kupiłaś? – zapytała.

Pochyliła się i złapała w dwa palce materiał na wysokości moich kolan. Zmarszczyła nos, przyglądając się tkaninie.

– Nie, jest nowa – odparłam.

– Niezbyt strojna – skwitowała.

– Mnie się podoba.

– Na co dzień mogłabyś w niej chodzić – wybrzydzała dalej.

– I właśnie dlatego ją kupiłam. Nie będzie na jedno wyjście. Możesz już dać spokój, mamo?

– Mnie się Jagusia bardzo w niej podoba. – Mszczuj postanowił przybyć mi na ratunek.

– Wygląda w niej tak delikatnie.

– Zupełnie jak nie ona – mruknęła moja matka, a ja w duchu się z nią zgodziłam.

W końcu co jak co, ale do eterycznej damy wyjątkowo mi daleko. – A te włosy?

– A te włosy to nieudany eksperyment. Spokojnie, mamo, niedługo odrosną.

– No widzę, że nieudany – westchnęła i w końcu uśmiechnęła się do mnie lekko. – Gratulacje, córeczko.

– A Bratomił? – wypalił niespodziewanie mój ojciec, rozkładając ręce. Chyba już nie mógł wytrzymać tych pogaduszek o kiecie i trwałej ondulacji.

– Bratomił ma się świetnie – odpowiedziałam.

Tata spojrział na Mszczuja, potem na mnie, potem znowu na Mszczuja.

– A Bratomił? – powtórzył zdruzgotany.

Mama na szczęście postanowiła interweniować. Złapała go pod ramię i popchnęła w stronę ścieżki.

– Chodź, napijesz się wódki. Od razu lepiej ci się zrobi – powiedziała do niego.

Barnim uściskał nas jako ostatni i pognął w podskokach za gośćmi, żeby dotrzeć jak najszybciej na wesele. Nam się z Mszczujem nie spieszyło, bo i tak zgodnie z tradycją musieliśmy dotrzeć tam jako ostatni.

– Czy to się wydarzyło naprawdę? – zapytałam.

– Na to wygląda, moja żono – powiedział.

Kamień w moim żołądku zrobił się jeszcze cięższy. Nie miałam ochoty iść na biesiadę. Chciałam już wrócić do domu, do mojego kota.

– Wszystko będzie dobrze. Pamiętaj, to tylko rok. – Mocniej ścisnął moje palce. – Dziękuję ci za to, Jago. To olbrzymie poświadczenie z twojej strony.

– Ano... – mruknęłam.

– Jesteś bardzo dobrą przyjaciółką.

– Już mnie tak nie bierz pod włos – mruknęłam.

Zaśmiał się.

– No! Wracasz do formy! – oznajmił.

Rzuciłam mu zdziwione spojrzenie.

– Przez całą ceremonię milczałaś i wyglądałaś tak, jakbyś nie do końca wiedziała, gdzie jesteś. Teraz znowu stałaś się zgryźliwa. Moja Jaga wróciła.

– A daj ty mi spokój. Jedźmy już lepiej, bo na nas czekają. Nie możemy wypaść z roli.



Wódka lała się strumieniami. Zaproszeni kapłani i szeptuchy nie żalowali ziół wrzucanych do ogniska płonącego przed stodołą. Obawiałam się, że następnego dnia cała wieś będzie miała kaca.

Obowiązkowe zabawy weselne, którym byłam przeciwna, ale Mirka się uparła, żeby tradycji stało się zadość, na szczęście dobiegły końca i można było oddać się zwykłemu pijaństwu i obzarstwu. To znaczy: inni się oddawali. Ja jakoś miałam problem z przelknięciem czegokolwiek z naszego wspólnego małżeńskiego talerza.

Wszyscy cały czas cieszyli się z naszego szczęścia. Wciąż było to dla mnie w jakiś sposób niewyobrażalne. Dyskutowałam w duchu sama ze sobą na ten temat. Doszłam nawet do wniosku, że może faktycznie coś mi umyka. Może to małżeństwo to dar od bogów? Los zapisany przez Dolę? Obietnica mojego wiecznego szczęścia?

Miałam coraz większy mętlik w głowie, a popijany na niemalże pustym żołądek, o ile nie liczyć weselnego bigosu, alkohol zdecydowanie nie pomagał mi dojść do żadnych logicznych wniosków. Siedziałam sztywno za stołem obok równie nieruchomego Mszczuja. Chyba bał się mnie zostawić chociaż na chwilę, więc razem podziwialiśmy bawiących się. Dobrze, że weselisko było w otwartej stodole z bufetem, bo zaproszonych i przygodnych gości było tylu, że nie dla wszystkich starczyło miejsca. Część siedziała na belach siana na dworze i słuchała przygrywającej tam kapeli.

Mirka i Barnim wychodzili ze skóry, żeby zadbać o wszystkich. Uwijali się jak pszczołki.

– Jago? Dobrze się czujesz? – zapytał Mszczuj.

– Tak, tak, cały czas jestem trochę oszołomiona.

– Właśnie widzę, że jakaś nieswoja jesteś. Będzie dobrze. Przecież tak naprawdę nic się nie zmienia. Spokojnie, Jago.

Spojrzałam na obrączkę lśniąca na moim palcu. Mszczuj pojechał do jubilera i zamówił je na dzisiaj. Ja oczywiście w ogóle o nich nie myślałam. Trochę dziwnie i niewygodnie było czuć ją cały czas na palcu. Miałam wrażenie, że będzie mi przeszkadzać. Zwłaszcza że przez pół dnia grzebię w ziemi w ogródku. Oby tylko Mszczuj się nie złościł, że częściej będę ją nosić na łańcuszku na szyi niż na palcu serdecznym.

– Przecież my nawet nie będziemy razem mieszkać – mówił dalej.

– Będą gadać we wsi.

– Oni zawsze będą gadać o wszystkim. Co innego mają w końcu robić na tych swoich ławeczkach czy spotkaniach kółka gospodyń wiejskich? Poza tym wszyscy wiedzą, że kupiłaś działkę. Powiemy, że tam się będziemy budować i kiedyś zamieszkamy razem, a na razie każde zostanie u siebie, żeby nie zakłócić swojej pracy i posługi – stwierdził. – Przecież mieszkańcy Bielin są dla nas najważniejsi.

– Wygląda na to, że wszystko przemyślałeś.

– Oczywiście, że tak. Będzie dobrze. Pogadają kumy, a potem znajdą sobie inny temat. Najważniejsze, że my już możemy odetchnąć. Udało się. Moi rodzice wyjechali.

– A za rok powiedzą, że się rozeszliśmy, bo nigdy razem nie zamieszkaliśmy – martwiłam się dalej.

– No i widzisz! Gotowa przyczyna rozpadu związku. Wszystko mamy zaplanowane. Nic nikogo nie zdziwi.

Poczułam się trochę lepiej. Mszczuj miał rację. Nie ma się czym przejmować. Ta swańba nie jest końcem świata.

– Nie poznają cię, Mszczuju. Jesteś taki... pewny siebie.

– Ty, nawet mówiąc komplement, musisz człowiekowi dogryźć? – zapytał, ale w jego oczach zobaczyłam rozbawienie.

– Jakoś tak samo mi wychodzi – bąknęłam.

– Zatańczymy? – zapytał, zmieniając temat.

– Tak.

Pociągnął mnie na dwór. Goście byli tam bardzo rozbawieni. Podziwiałam firmę cateringową za ilość alkoholu, który przygotowali. Jakimś cudem wciąż się nie kończył. Nawet nie chciałam myśleć o tym, ile wyniesie nas rachunek za to wszystko. Na razie zdeponowaliśmy tylko zaliczkę.

Kapela grała skoczny kawałek o symetryczno-lirycznej miłości. Nic nie rozumiałam poza tym, żeby puścić wodze fantazji. Przyznaję bez bicia, że w tym momencie ten tekst bardzo do mnie przemówił.

Mszczuj nie był mistrzem tańca. Jego długie ręce i nogi zdawały się poruszać w jakimś dziwnym rytmie, w ogóle nieskoordynowanym z muzyką, ale był przy tym taki entuzjastyczny, że ze śmiechem do niego dołączyłam.

Poczułam wreszcie, że chyba będzie dobrze. Im dłużej moje stopy uderzały o ziemię, a spódnica unosiła się przy szalonych obrotach, tym bardziej czułam rozpierającą mnie radość. Kiedy zatrzymaliśmy się na chwilę z Mszczujem, by zaczerpnąć oddech, zauważyłam Mirkę, która stała przy ognisku rozpalonym pośrodku placu. Szeptucha rozejrzała się ukradkiem, a następnie wyspała do ognia zawartość papierowej torebki. Na jej twarzy pojawił się przekorny uśmieszek.

Parsknęłam śmiechem. Cała Mirka. Pewnie po naszym weselichu wszyscy będą we wsi plotkować, że czary jakieś się działy, bo dostaną omamów od tych szeptuchowych mieszanek. Miałam tylko nadzieję, że Jaryło nie pofatyguje się do nas w gości na małą orgietkę.

– Co się stało? – zapytał Mszczuj.

– A nic. Dobrze się bawię. Wreszcie.

Nie mogłam jednak tego samego powiedzieć o wszystkich gościach. Przez całe przyjęcie towarzyszyło mi wrogie spojrzenie Ścibory. Czaiła się gdzieś po kątach niczym złośliwy demon i gapiała złowieszczo. Na szczęście poprzestała tylko na tym. Bratomił w ogóle mi gdzieś zniknął z radaru. Być może wcale nie przyszedł. Nie powiem, ulżyło mi. Naprawdę chciałam raz na zawsze zamknąć ten rozdział.

– Przyniesiesz coś do picia? – poprosiłam Mszczuja po kolejnym tańcu. – Ledwo tchu mogę złapać. Ja się tymczasem przejdę i popatrzę, co robią nasi goście.

Kiedy zniknął, ruszyłam na obchód. W końcu trzeba było zacząć robić to, co powinnam jako panna młoda. Inaczej będą gadać, że przez całe przyjęcie siedziałam naburmuszona i że to zła wróżba. Przyjmowałam z uśmiechem gratulacje i płynęłam powoli od jednego gościa do drugiego. Pokiwałam łaskawie głową, kiedy kilka znanych mi staruszek wieszczyło, że zaraz zostanę matką. Och, niedoczekanie. Nawet się nie skrzywiłam, kiedy jedna z nich zasugerowała, że już mi coś podejrzenie brzuch wystaje.

Bo nie, nie wystaje. To tylko myślenie życzeniowe kółka gospodyń wiejskich. I wzdęcie. Kto to słyszał, żeby podawać bigos na weselu! Na dodatek taki smaczny, że się nie powstrzymałam i zjadłam całą miseczkę.

Obeszłam dookoła ognisko, ale Mirka już gdzieś pognęła. Odetchnęłam powietrzem pachnącym aromatyczną mieszanką ziół. Trochę poprawiały nastrój, ale chyba nie były

przesadnie halucynogenne. Całe szczęście. Inaczej jutro byłoby ciężko w pracy. Korciło mnie, żeby nie przyjmować pacjentów w dzień po własnej swaźbie, ale mogłam się założyć, że pod moimi drzwiami ustawi się kolejka po kropelki na żołądek i mieszanekę na ból głowy. Jednak siła przyzwyczajenia do tradycyjnych metod leczniczych była na wsi większa niż wygoda i możliwość kupienia tabletki w krzyżkiem w aptece kilka wiosek dalej.

Przeszłam na koniec podwórza i oparłam się o drewniane ogrodzenie, żeby w spokoju popatrzeć na bawiące się w najlepsze towarzystwo. Uśmiechnęłam się. To nie był zły dzień, to nie będzie też zły rok. Najwyższy czas zmienić nastawienie. Coraz mocniej się w tym utwierdzałam.

W oddali zobaczyłam Mszczuja, który lawirował między tańczącymi gośćmi, dzierżąc w dłoniach dwa kubki miodu pitnego. Co chwilę ktoś go zaczepiał i zagadywał, co tłumaczyło, czemu tak długo nie przychodził.

Nie widział mnie, więc zakasałam białą prostą sukienkę, która tak nie spodobała się mojej mamie, i wdrapałam się na drewniane ogrodzenie. Usiadłam na szczycie poziomej belki i zaczęłam do niego machać. Dostrzegł mnie w końcu i z uśmiechem ulgi ruszył w moją stronę.

Prychnęłam pod nosem. Cenił mnie tak nisko, że spodziewał się, iż ucieknę.

W sumie mogłam. Nawet trochę mnie korciło...

Czekając na Mszczuja, wygładziłam materiał sukienki na udach. Miała prosty krój, lekko rozszerzała się w talii, by opasć delikatnym trapezem do kostek. W dekolcie w serek nie było żadnych aplikacji ani koronek. Ramion nie miała zakrytych, trzymała się na cieniutkich ramiączkach. Jedyłą jej ozdobą była złota nitka przepleciona przez ramiączka. Faktycznie nie wyglądała na suknię ślubną, ale dzięki temu mogłam ją później wykorzystać.

Nagle poczułam, że ktoś łapie mnie w pasie i ciągnie gwałtownie do tyłu. Nie zdążyłam nawet pisnąć, kiedy leciałam na plecy. Odruchowo zamknęłam oczy, gotując się na upadek. Ten jednak nie nastąpił. Oprawca trzymał mnie mocno w pasie jedną ręką. Drugą zasłonił mi usta i zaczął ciągnąć w ciemność. Stodoła, w której odbywało się nasze wesele, znajdowała się na skraju pola pełnego wysokiego żyta. Szybko otoczyło nas żółte zboże. Majtałam nogami jak szalona, ale na nic się to nie zdawało. Wbiłam paznokcie w krępujące mnie, bez wątpienia męskie, ramię. Także bez efektu.

W końcu otworzyłam szerzej usta i ugryzłam z całej siły dłoń, która zasłaniała mi usta. Poczulałam metaliczny smak krwi, od którego zrobiło mi się niedobrze. Mężczyzna zaklął z bólu i stanął. Usiłował wyrwać rękę spomiędzy moich zębów, ale trzymałam mocno niczym wiejski burek. Postanowiłam, że odgryzę mu to cholerne łapsko, jak będzie trzeba!

– Uspokój się, do cholery! – syknął znajomy głos.

Zaskoczona zwiotczałam, co wykorzystał, wyrrywając mi rękę spomiędzy zębów. Złapał mnie w pól, zarzucił sobie na ramię i czym prędzej pobiegł przed siebie poprzez zboże.

– Bratomił?! Co ty, do cholery, robisz?! – krzyknęłam i zaczęłam tłuc pięściami w jego plecy. – Natychmiast mnie puść! Postaw mnie!

Nie raczył odpowiedzieć. Przyspieszył tylko kroku, a panująca ciemność zdawała się nas polykać. Spanikowana wrzasnęłam, ile miałam sił w płucach:

– Ratunku!!!

– Nikt cię nie usłyszy – odezwał się w końcu. – Muzyka jest za głośna.

Nie zważając na jego słowa, dalej się darłam, aż wreszcie nie mogłam wydusić słowa z zachrypniętego gardła. Bratomił tymczasem niósł mnie w pośpiechu przez kolejne pola. Starannie unikał przy tym ludzkich chat, więc moje próby szukania pomocy spełzły na niczym.

Stodoła, w której odbywało się przyjęcie, stała na skraju Bielin i Czaplowa. Wydawało mi się, że mijamy już tę drugą wieś. Nie było tu żadnych ciemnych borów.



Usłyszałam szmer wody. Musieliśmy znajdować się w pobliżu Bieliniarki, rzeki, która ciągnęła się przez okoliczne wioski. Początek miała w Łysogórach, a ściekała do Czarnej Nidy. Była noc, środek sierpnia. Raczej nic złego nie powinno z niej wyleźć, niemniej jednak poczułam się nieswojo, że wędrujemy tuż obok.

Całkiem opadłam z sił. Nie mogłam już krzyczeć. Miałam też dość bicia go pięściami i kopania. Bratomił miał siłę konia pociągowego. Póki sam by mnie nie puścił, nie zdołałabym się uwolnić.

W końcu dotarliśmy do celu. Okazała się nim stara drewniana ambona, która wznosiła się ponad okolicznymi polami. Jednak Bratomił nie zamierzał wnosić mnie po chybottliwej i niewątpliwie spróchniałej drabinie. Rzucił mną jak workiem ziemniaków u podnóża budowli.

W ciemnościach ledwie widziałam. Mężczyzna szybko zapalił lampę, którą musiał mieć tu wcześniej przygotowaną. Gdy zapłonęła nafta, zauważyłam, że obok mnie, na starym, drapiącym kocu, leży jego spakowany plecak. Najwyraźniej zamierzał tej nocy opuścić Bieliny raz na zawsze.

– O co ci chodzi? – wychrypiałam.

Nie odpowiedział od razu. Szum zboża był zagłuszany przez chłopot wody. Spojrzałam na moją suknię ślubną. Na brzuchu miałam rozmazaną krew z jego przegryzionej dłoni. Pewnie twarz także miałam brudną. No i tyle z późniejszego wykorzystania sukienki. Krew się nigdy dobrze nie spiera z białego materiału. Całe szczęście, że sukienka była tania.

– Dam ci szczęście – powiedział w końcu mężczyzna.

– Że co proszę?

– Ta swańba to był błąd. Ja wiem, każdy popełnia błędy. Ty też. Pomogę ci.

– Że co? – Nie mogłam uwierzyć w to, co słyszę.

Zanim się spostrzegłam, klęknął przy mnie i szybko skrępował mi ręce na brzuchu jutowym sznurkiem.

– Hola! – Szarpnęłam się, ale tylko mocniej zacisnął więzy.

– Cicho, cicho. Pomogę ci.

– Co ty bredzisz?

– Wcale go nie kochasz. Ścibora mi powiedziała, że to wszystko to fortel, żeby kapłan nie musiał wracać do Trójmiasta. Zawsze miałaś dobre serce, Jago. Nie odmówiłabyś nikomu pomocy. Ja to rozumiem.

Jego ciepły, natchniony głos sprawiał, że czułam ciarki. Nie wiedziałam, co się dzieje. Bratomił nigdy tak się nie zachowywał. To prosty facet. Nie był zwolennikiem teorii spiskowych.

– Pomogę ci uciec.

– Ja nigdzie nie chcę uciekać.

– Masz za dobre serce – upierał się.

Poprzez szum roślin dotarł do nas nowy dźwięk, który nijak nie pasował do spokojnej nocy. Brzmiał, jakby kwiczała gdzieś zarzynana świnia. Odwróciłam się w tamtą stronę pewna, iż wyskoczy na nas zaraz jakieś ranne zwierzę albo – co gorsza – nocny demon.

Chociaż potwory raczej umiały się skradać.

– No, jestem! – oświadczyła Ścibora, wchodząc w krąg światła.

Zarzynana świnia okazała się skrępowanym i zakneblowanym Mszczujem, którego miała przerzuconego przez ramię. Niosła go bez trudu. Nie wyglądała też na zmęczoną walką. Nie zdziwiło mnie to. Dobrze wiedziałam, że Mszczuj nie umie się bić.

Olbrzymka położyła go delikatnie na ziemi obok mnie. Zrobiła to nieomal z czułością.

– Ktoś cię widział? – zapytał Bratomił.

– Nie! – zachnęła się. – Wzięłam go na stronę i wyszłam.

Spojrzałam na Mszczuja, który miał wepchniętą do buzi apaszkę. Zdążył się już nieźle obślinić. Kapłan wzruszył ramionami i coś wybelkotał przez pełne usta.

– W takim razie tu się pożegnamy.

– Dobrze. Masz wszystko?

– Tak, a ty?

– Mnie tylko on jest potrzebny do szczęścia.

Razem z Mszczujem spojrzeliśmy na naszych porywaczy, którzy zajęci byli spokojną rozmową.

Mszczuj zajączał przez knebel, czym zwrócił na siebie ich uwagę.

– Zaraz, Mszczujku! Rozmawiam! – ofuknęła go Ścibora.

– Wiecie, że za porwanie idzie się do więzienia? – W takim razie ja zapytałam. – Na to jest paragraf, pewnie nawet niejeden.

– My tylko robimy to, co trzeba – powiedział Bratomił.

– Ale ja nie chcę nigdzie wyjeżdżać – zaprotestowałam.

– Nie wiesz, co robisz.

– Jestem dorosła. Wiem, co robię – warknęłam.

Ścibora zbliżyła się do mnie i ukucnęła naprzeciwko, żeby nasze oczy znalazły się na tej samej wysokości.

– Otumaniłaś mojego Mszczuja czarami – wycedziła. – Dlatego cię poślubił. Ja złamię ten czar. Póki wasz związek nie został skonsumowany, może zostać anulowany przez jeden kapłański podpis. A ja nawet znam kapłana, który chętnie to zrobi.

– Nie odważysz się! – wycedziłam.

– Już się odważyłam.

– Gorzko tego pożałujesz!

– Wątpię. Zresztą ty wcale nie chciałaś brać tej swačby. Zrobiłaś to na złość mnie i rodzicom Mszczuja! Wyświadczam ci przysługę.

– Nie, to chyba nie tak – wtrącił Bratomił. – Mszczuj ją o to poprosił, bo nie chciał opuszczać Bielin.

– Poprosił ją tylko dlatego, że rzuciła na niego urok – szła dalej w zaparte Ścibora.

Gdybym nie miała skrępowanych rąk, to naprawdę chybaby mi opadły. Nie pojmowałam jej zaślepienia.

– Biedna jesteś – powiedziałam. – Naprawdę biedna. Na nikogo nie rzuciłam żadnego czaru. Po co miałabym to robić?

Zanim się zorientowałam, machnęła swoim wielkim łapskiem i mnie spoliczkowała. Zobaczyłam gwiazdy, a następnie opadłam na wznak na kocyk i trawę. Zamrugalam, wpatrując się w znajdującą się nade mną ambonę. Ciemne deski skrzypnęły i na ziemię poleciało kilka drobinek piasku, ale chyba nikt poza mną nie zwrócił na to uwagi. Chociaż może to był trzask gwiazd, które wirowały dookoła mojej głowy, a piasek sobie wymyśliłam?

Mszczuj zajączał znowu przez knebel. Ścibora w końcu się nad nim zlitowała i wyszarpnęła mu apaszkę z ust.

– Ściboro! Chyba zwariowałaś! – powiedział stanowczo. – Nigdzie się z tobą nie wybieram, nie zamierzam także anulować mojej swačby. Może i faktycznie moje uczucia do Jagi nie są najczystsze, ale wystarczające. Natomiast do ciebie nie czuję obecnie niczego oprócz pogardy.

Na koniec splunął.

Uniosłam się z powrotem do pozycji siedzącej i spojrzałam na niego zdumiona. No, brawo. Szkoda tylko, że takiej pięknej przemowy nie strzelił dawno temu. Wtedy do niczego złego by nie doszło.

Obmacalam językiem zęby. Na szczęście żaden trzonowiec się nie ruszał. Prawy policzek piekł mnie okrutnie.

– Zaczarowany. Mówiłam! – skwitowała Ścibora.

– To chyba mamy przesrane – wtrąciłam. – Ale powiedzcie mi, robaczki, jak wy sobie to wyobrażacie? Porywacie nas i wywozicie. Dobrze, to jeszcze jakoś pojmuję. Potem Ścibora unieważnia nam małżeństwo. To też się da zrobić. A potem co? Padamy sobie wszyscy w ramiona i żyjemy długo i szczęśliwie? – Nie mogłam pozbyć się kpiącego tonu.

– Tak – odparła Ścibora. – Potem ja znajdę jakąś szeptuchę, która zdejmie z Mszczuja twój urok.

Kapłan posmutniał, zdając sobie sprawę z kłamstwa, w jakim żyła jego dawna narzeczona.

– Motylku, to tak nie zadziała, bo nie ma żadnego uroku. Nie możesz więzić mnie do końca życia – powiedział.

– Ja z tobą, Bratomile, także nie zamierzam żyć – dorzuciłam. – Przy pierwszej lepszej okazji dam nogę i zgłoszę na policję porwanie. Ty się lepiej módl do bogów, żeby mieszkańcy Bielin z widłami do ciebie nie przyszli za porwanie ich szeptuchy.

– Ona jest kłopotliwa – oznajmiła Ścibora, wskazując na mnie palcem. – Jak zamierzasz ją poskromić?

– Jakoś dam radę – odparł raczej dość niepewnym tonem Bratomił.

Wydawał się skołowany. Sapnęłam z irytacją. Fanatyzm Ścibory jeszcze byłam jakoś w stanie zrozumieć, bo od samego początku naszej znajomości sprawiała wrażenie osoby niestabilnej emocjonalnie. Jednak to, że przekonała do wszystkiego spokojnego i prostolinijnego Bratomiła, w ogóle nie mieściło mi się w głowie.

– Bratomile, no naprawdę... – skwitowałam z naganą.

– Ja... – zaczął, ale przerwała mu Ścibora.

– Ja wiem, jak to rozwiązać – oznajmiła. – Należy pozbyć się problemu. Widzę, że ta paskudna wiedźma rzuciła urok na wszystkich mężczyzn w swoim otoczeniu. Nie wiem, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam. Przecież to zupełnie oczywiste.

– Jaki urok, tępa babo?! – nie powstrzymałam się przed komentarzem.

Oczywiście nie opłaciło mi się pyskować. Podeszła do mnie szybko i ponownie zadała mi cios z liścia. Szczerze mówiąc, zabolalo tak, jakby mi ktoś przywalił pięścią. Znowu zobaczyłam przed oczami gwiazdy i poleciałam na plecy.

– Jaga!!! – zawołali w tym samym momencie mężczyźni.

Tym razem piekł mnie lewy policzek. Cóż. Przynajmniej będzie symetrycznie.

– Głupie chłopy. Opętała was! – ryknęła Ścibora. – Ryba psuje się od głowy. Należy ją usunąć i wszystkie nasze problemy będą rozwiązane.

– To powiedzenie chyba dotyczy czegoś innego – wtrąciłam, ale ponieważ wyglądała tak, jakby znowu miała się na mnie zamachnąć, postanowiłam już więcej nie komentować.

– Zaraz, zaraz, zaraz! – zaprotestował nagle Bratomił. – O czym ty mówisz?

– O tym, że nie zaznasz spokoju, póki ona żyje. Spokojnie. Ja rozwiążę ten problem. Mam w sobie tyle sił i wiary.

Za przeproszeniem, że co, proszę?

Nikt nie zdążył zaoponować, nie mówiąc o zapytaniu, czy przypadkiem na główkę jej nie upuścili, gdy była niemowlakiem. Skoczyła na mnie niczym jakaś cholerna nordycka walkiria. Siłą popchnęła mnie na ziemię, rozsiała się na mojej klatce piersiowej i zacisnęła łapska na, bądź co bądź, chudziutkiej szyjce.

– Swaróycu – jęknęłam.



– Halo, halo!!! – rozległo się wołanie. – Dobry wieczór państwu!

Zrobiło mi się ciemno przed oczami, więc nie byłam pewna, czy to zwidy mojego pozbawionego tlenu mózgu, czy faktycznie ktoś nas zauważył.

Uścisk dłoni zelżał odrobinę, a mnie wrócił wzrok. Najwyraźniej to jednak nie były przedśmiertne majaki. Zobaczyłam, że Ścibora nadal na mnie siedzi okrakiem. Na jej plecach, zakładając nelsona na szyję porywaczki, wisiał Bratomił. Mszczuj, jako że miał raczej dość niewielkie pole manewru przez skrzepowane kończyny, zacisnął z całej siły zęby na grubym przedramieniu Ścibory.

Jednak to nie oni tymczasowo przerwali moją kaźń. Zrobiła to jakaś kobieta. Po polu poniósł się jej perlisty śmiech.

– A co państwo tu najlepszego wyprawiają? – rozległ się jej pelen rozbawienia głos. – Widzę więzy, trochę krwi, podduszanie, gryzienie. Jakaś mała orgia? Widzę, że państwo tak na ostro lubią! Ja też!

Ścibora była tak zbита z tropu, że puściła moją szyję i odwróciła się zamasyżuje do obcej, która akurat weszła w płamę światła z naszej lampy. Zaskoczony ruchem Bratomił spadł z niej, gdy strząsnęła go niefrasobliwie ramieniem. Mszczuj nadal wisiał jak pies na jej przedramieniu. Być może dostał szczękościsku.

Obca stanowiła widok dość nietypowy, choć pasujący idealnie do jej chęci dołączenia do naszej rzekomej orgii. Była bowiem golusienka.

Zły znak, jeśli ktoś chciałby poznać moje zdanie. Niemniej jednak nikt mnie o nic nie zapytał, więc nie zamierzałam wychodzić przed szereg. Niech Motylek zajmie się tajemniczym gościem.

– Wynocha! – ryknęła do niej Ścibora.

Złapała Mszczuja za nos, przez co biedakowi zabrakło powietrza, więc rozwarł jednak szczęki i puścił jej przedramię. Odepchnęła go od siebie i wstała, nic sobie nie robiąc z krwi, która ściekała jej z ranek po zębach kapłana. Mszczuj wyglądał dość przerażająco. Całą brodę i usta miał umorusane na czerwono. Poza tym wydawało się, że zaraz od tego...

Tak.

Zwymiotował.

Prosto na swoją ślubną koszulę. Odsunęłam się od niego, bo śmierdział niemożliwie. Nie potrzebowałam też żadnych kolejnych plam na swojej sukience.

Załośne. Przecież ja także najadłam się krwi, gryząc Bratomiła, a jakoś zdołałam się powstrzymać przed zwróceniem zawartości żołądka. Z tego Mszczuja to jednak straszny delikates.

Tymczasem bladolica obca złożyła usta w ciup i zacmokała zniesmaczona zachowaniem Ścibory. Oparła dłonie na biodrach i wypięła naprawdę potężny biust w naszą stronę.

– Bardzo niemiłe zachowanie – skwitowała.

– Co pani tu robi? – zapytał Bratomił. – Przepraszam, ale jest już bardzo późno i to nie jest zbyt bezpieczne miejsce.

Mówiąc to, zerkał znacząco na Ściborę. Chyba chciał ostrzec kobietę. Mszczuj najwyraźniej, tak jak ja, rozumiał już, co się dzieje, bo zaczął się do mnie przysuwać. Gdyby nie bolące gardło, tobym go za to zganiła. Jeszcze chwila i ubrudzi mnie swoimi wymiocinami.

– Och, robię właśnie pranie w rzece – odparła niefrasobliwie obca. – Razem z koleżankami. To taka nasza tradycja. Zawsze robimy to o północy, jak pogoda ładna.

Zacząłem gryźć sznurek, którym Bratomił skrępował mi nadgarstki. Najwyższa pora, żeby zbierać dupę w troki, że tak powiem. Mszczuj wziął ze mnie przykład. Jego na szczęście Ścibora związała znacznie delikatniej, bo powoli udawało mu się poluzować więzy.

– Proszę pani, bardzo panią prosimy, żeby pani odeszła. Mamy tutaj swoje sprawy. Obiecujemy, że niedługo opuścimy pani... pole – kontynuował Bratomił.

– To nie moje pole. Ja, a raczej my, tu tylko spacerujemy i czekamy.

Z ciemności za jej plecami wyłoniło się jeszcze kilka kobiet. Wszystkie były nagie, tak jak ona. I tak samo blade. Ich pełne piersi i krągłe biodra wydawały się lśnić w księżycowym blasku. Włosy kobiet wisiały w strąkach dookoła ich dość ładnych twarzy. W każdym razie po ciemku na takie wyglądały.

– Co to jest? Rusałka jaka? – zapytał szeptem Mszczuj.

– Obstawiałabym brzeginę albo północnicę. Prędzej to drugie, bo jakaś podejrzenie blada, a nie lekko rozmięknęta – odpowiedziałam.

– Północnice? – Kapłana ogarnęła trwoga.

– To takie dalekie krewne południc – wyjaśniłam. – Stają się nimi po śmierci kobiety, które za życia były bardzo wrednymi babsztyłami. Powiem ci, że na moje oko to Ścibora też ma na to szansę, jak już kopnie w kalendarz. Wyjątkowo pasowałaby jej taka ścieżka kariery.

– Odejdźcie! – rozkazała im tonem nieznoszącym sprzeciwu Motylek.

Jak można się domyślać, one nie zamierzały się zastosować.

– Mszczuju, musimy uciekać. One nie zostawiają nikogo żywego – powiedziałam.

– Dziewczynki, ktoś tu był dla mnie bardzo niemiły – powiedziała ta pierwsza upirzyca.

– Nauczmy ją dobrych manier. A potem zajmijmy się tymi kawalerami. Dawno chyba nie spotkali godnych siebie towarzyszek. Tamtą małą kobietkę zostawimy sobie na deser.

Mszczuj pobladł i ze zdwojoną siłą zaczął się szarpać z więzami. Chyba odżyły w jego pamięci wspomnienia związane z naszym polowaniem na rusałki przed laty. Nie nacierpiał się wtedy za wiele, ale najadł się dużo wstydu. Tutaj niestety mogło być odwrotnie.

Ścibora nie zamierzała dać się zastraszyć. Rzuciła się na pierwszą z brzegu demonicę i złapała ją za nagie ramiona. Ta otworzyła nienaturalnie szeroko usta i wyszczerzyła na nią ostro zakończone zęby, przez co upodobniła się do przerośniętej piranii. Nawet jeśli ktoś początkowo miał wątpliwości, czy była człowiekiem, teraz musiał zdać sobie sprawę, że nim nie jest.

O dziwo, nie zrobiło to bardzo dużego wrażenia na byłej narzeczonej Mszczuja. Być może drgnęła jej co najwyżej powieka, ale nie byłam nawet i tego stuprocentowo pewna. Coraz bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że Motylek nie była normalna.

– Co to ma być?! – ryknęła Ścibora i zaserwowała babie prawy sierpowy.

Demonicę odrzuciło do tyłu na kilka metrów i co ważniejsze – już nie wstała. Spojrzałam z lekkim podziwem na Motylka. No proszę, jaka z niej wojowniczką. Aż poczułam ból w gardle. Duszenie duszeniem, ale przecież mogła mi skrócić kark, jak zacisnęła z całej siły paluchy.

Pozostałe potwory rzuciły się na nią. Przewaga liczebna zdecydowanie działała na ich korzyść. Bratomił początkowo brzydził się uderzyć kobietę, ale kiedy przeciwniczki zaczęły

robić się coraz brzydsze, coraz bardziej krwiożercze i zębate, to przyłączył się do bitki.

Mszczuj uwolnił ręce i zaczął szarpać się z moimi więzami. Tymczasem szala zwycięstwa w walce, o ile ta wcześniej sprawiała wrażenie całkiem wyrównanej, teraz wyraźnie przechylała się na stronę naszych porywaczy.

Przez ogólne zamieszanie i przerażające wycie północnic nikt poza mną nie usłyszał skrzypnięcia drewna w ambonie. Kapłan właśnie uwolnił moje ręce i zabrał się do rozsypywania więzów na własnych stopach. Był tym całkowicie pochłonięty.

– Jaga! Jaga, pospiesz się! – ponaglił mnie, widząc, że zamiast próbować się uwolnić, wpatruję się w drewniany sufit nad naszymi głowami.

– Mszczuju... – wyszeptalam.

Nie wydawało mi się. Naprawdę ktoś lub coś tam było. Podłoga ambony skrzypnęła po raz kolejny, a ze szczelin pomiędzy krzywymi deskami posypał się pył. Jakoś nie wydawało mi się, że zaczął się tam miłośnik nocnych polowań.

Hm. A może niestety wręcz przeciwnie.

– Jaga! Szybko! – znowu mnie popędził.

Uporał się ze swoimi więzami i szarpał teraz za moje. Lada chwila i ja miałam być wolna. Ścibora i Bratomił przeganiali właśnie ostatnie dwie północnice. Zaskoczone demony nie spodziewały się chyba takiej waleczności po ludziach. Ich oburzone okrzyki świadczyły o tym, że jeszcze nie spotkała ich taka zniewaga podczas nocnego polowania.

– Ktoś jest w ambonie – powiedziałam do Mszczuja.

– Co? – Spojrzał do góry. – Jesteś pewna?

– Ktoś albo coś tam jest. Chyba nie tylko północnice wyszły na żer.

– Musimy ich ostrzec. – Wskazała głową na walczących.

– Żartujesz? – syknęłam. – Bierzemy nogi za pas! Oni niech sami sobie radzą, jak tacy mądrzy.

– Jago! – W jego głosie usłyszałam naganę.

Nic mnie to nie obchodziło. Nie mieliśmy broni, byliśmy w środku szczerego pola, z dala od cywilizacji. Co prawda nie było dzisiaj pełni, ale księżyc wciąż był duży. W takiej scenarii demony uwielbiały wychodzić w poszukiwaniu ofiar.

Tajemniczy osobnik w ambonie nie zamierzał chyba dłużej kryć się ze swoją obecnością. Tym razem jego kroki było słychać bardzo wyraźnie. Skierował się w stronę drabinki, która opadała na ziemię tuż obok nas. Nie widzieliśmy pierwszych stopni, ale dotarło do nas skrzypnięcie, kiedy zaczął po nich schodzić.

– Cholera jasna... – jęknęłam.

Na szczęście w tej chwili puściły moje więzy. Zamachałam stopami i czym prędzej zrzuciłam z nich sandałki na koturnach, które w żadnym razie nie nadawały się do ucieczki. Biała sukienka zresztą też nie. W otaczających nas ciemnościach będzie mnie widać aż za dobrze. Złapałam za jeden but, zamierzając go wykorzystać jako potencjalną broń, a drugi wręczyłam Mszczujowi.

– Spieprzamy! – rozkazałam.

– A oni? Nie możemy ich zostawić.

– Zwariowałeś?! Przestań być taki dobry! Nie wyjdzie ci to na zdrowie!

Ścibora i Bratomił pozbyli się północnic i ruszyli powoli w naszą stronę. Zauważyłam, że na polu pojawiła się nagle znikąd mlecznoszara mgła. Opadała pomiędzy kłosami jęczmienia. Nasi porywacze wyglądali tak, jakby od pasa w dół brodzili w rzece dymu.

Wstaliśmy z Mszczujem. Twarz Ścibory wykrzywiła się w grymasie wściekłości, gdy zrozumiała, że zdołaliśmy się uwolnić.

– Ani kroku! – wrzasnęła.

Bratomił wyglądał na odrobinę zmarnowanego. Pół twarzy miał zapuchnięte, a z rozciągniętego łuku brwiowego spływała mu dość obficie krew. Po Ściborze w ogóle nie było

widać, że brała udział w bitce. Nawet kiecka jej się nie pogniotła.

Tak, coraz bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że coś jest z nią nie tak.

– Mszczuju, biegnijmy – powiedziałam.

– Ostrzeżmy ich.

– Zaraz i nas spotka coś złego.

– Ale, Jago, ja mimo wszystko nie chcę, żeby coś im się stało. Tak nie można.

Tak to jest niestety, gdy wchodzi się w dyskusje z kapłanem.

Jakiś szary kształt skorzystał z okazji i zeskoczył z drabiny prosto w równie szarą mgłę pomiędzy nami a porywaczami. Ktoś wrzasnął. Chyba ja, ale pewna nie jestem, to mógł być też Mszczuj. Ja się nie przyznaję.

Kształt podniósł się powoli, żebyśmy wszyscy mogli przyjrzeć się potwornościom jego umiędnionego ciała. Był przeraźliwie blady, miejscami prawie przezroczysty. Doskonale było widać siatkę żył na jego rękach i udach. Nie miał na sobie ubrania.

To chyba jakaś cecha szczególna nocnych demonów. Dwa gatunki z rzędu, które latają na golasa, to nie może być przypadek. Muszę to dopisać do bestiariusza. Oczywiście o ile przeżyjemy.

Uniósł łysą głowę i wrzasnął. Stał tyłem do mnie i do Mszczuja, ale kiedy odchylił głowę, zdołałam dostrzec lekko wydłużoną brodę, zdecydowanie zbyt ostre zęby i język, którym spokojnie mógł się oblizać po zrośniętych brwiach, gdyby miał taką potrzebę. Przewaga kłów nad trzonowcami sugerowała, iż rozrywa swoje ofiary podczas jedzenia.

Także zdolność do oblizania czola była w jego przypadku chyba nawet całkiem istotna.

– A to co? – zapytał cichutko Mszczuj.

– Jakbym miała obstawiać, to chyba strzygoń. Pewna nie jestem, bo one raczej bytują na Śląsku. Trochę daleko się zapędził od domu – mruknęłam.

– Strzygoń?! Bogowie! On jest jak strzyga!

– Tak, nawet jest gorszy. Strzygi żerują na ofierze przez pewien czas. Strzygonie zabijają je od razu, żeby zacząć od wyzarcia wnętrzości – wyjaśniłam. – Tak jak północnie strzygoń był kiedyś człowiekiem. Często przykładowym mężem i ojcem.

– Och, to może da się z nim porozmawiać. – Mszczuj dostrzegł promyk nadziei.

– Nie. Strzygoń urodził się z dwiema duszami. Ta dobra już odeszła na Welesowe Pola. Została tylko ta zła.

Potworowi chyba nie spodobała się nasza akademicka dyskusja, bo odwrócił się do nas. Następnie dał kilka kroków w naszą stronę. Od przodu był jeszcze bardziej przerażający niż od tyłu. Jego oczy błyszczały jak ślepie kota, kiedy wpatruje się nocą w światło.

Wiedziałam, że trzeba było uciekać, póki był na to czas. Teraz nie mieliśmy już żadnych szans.

Mszczuj złapał mnie za rękę.

– Przepraszam – powiedział.

– Nie ma sprawy – odparłam.

Niespodziewanie mgła się zakotłowała i uniosła pomiędzy nami. Uformowała się na kształt człowieka.

Z płonąca broda.

Stojącego we władczej pozycji.

Nago. Bo najwyraźniej: dlaczego by nie.

– Tam masz swoje ofiary – powiedział władczym tonem do strzygonia i wskazał im ręką na Ściborę i Bratomila.

Następnie odwrócił się w naszą stronę. Jego oczy płonęły na pomarańczowo. Nie sposób było się nie domyślić, kim jest. Mszczuj na pewno nie miał z tym problemów, bo rzucił się na ziemię w pokłonie i pociągnął mnie za sobą, jako że cały czas trzymaliśmy się za ręce. Wyswobodziłam dłoń i wstałam. Kapłan rzucił mi spłoszone spojrzenie.

– Witaj, Jago – powitał mnie bóg ognia.

Za jego plecami rozległ się przeraźliwy wrzask Ścibory i ryk strzygonia. Chyba wreszcie spotkała na swojej drodze przeciwnika, który wzbudził jej strach.

– Nie zabijaj ich, Swarożycu – poprosiłam.

– Dlaczego? Ona chciała zabić ciebie.

Odgłosy szamotaniny i krzyki stawały się coraz głośniejsze. Mogłam zerknąć na tamtą scenę pod ramieniem ognistego boga, ale nie miałam tyle odwagi.

– Mszczujowi na niej zależy – powiedziałam.

Bóg skierował swoje ogniste spojrzenie na kapłana. Ten niemal zzieleniał, kiedy ich wzrok się spotkał. Natychmiast uderzył czołem o ziemię i zaczął mamrotać pod nosem słowa modlitwy dziękczynnej do niego.

– Chyba już za późno – powiedział Swarożyc, nawet się nie odwracając.

Uniósł do góry dłonie. Nie powiedział nawet słowa, a strzygoń w jednej chwili znalazł się u jego boku. Gdy bóg opuścił rękę, potwór odbiegł od nas i zniknął we mgle.

– Lubię strzygi i strzygonie. Są bardzo posłuszne – poinformował nas bóg ognia.

– Dziękuję za pomoc – wydukałam, bo chyba tego spodziewał się po mnie Swarożyc.

– Wszystko dla mojej służki – odparł z nieszczerym uśmiechem. – Poprosiłaś o pomoc, a ja przybyłem. Mówiłem ci, że tak będzie.

Nie zdążyłam już nic powiedzieć, bo rozplynął się w powietrzu. Zniknęła też w jednej chwili mgła, która wisiała nad całym polem.

Mszczuj uniósł powoli głowę i rozejrzał się z przestrachem.

– Czy on...? – urwał.

– Tak, już odszedł. Potwór też – odpowiedziałam. – Jesteśmy bezpieczni.

– To był Swarożyc! – Mszczuj podniósł się na drżących nogach. – Bóg nam się objawił!

– Dla mnie to nie jest jakaś nowość – skwitowałam.

– Rozmawiasz ze Swarożycem?!

– Jest opiekunem szeptuch – zbyłam go. – Czasem odpowiada na nasze modlitwy. Już ci chyba o tym mówiłam, przestań histeryzować.

Wzięliśmy lampę i powoli ruszyliśmy na pole, w miejsce, gdzie rozegrała się przed chwilą walka. Nie powiem, odetchnęłam z ulgą, gdy pomiędzy kłosami jęczmienia pokazała się nagle głowa Bratomiła. Wstał na drżących nogach. Był cały pokryty krwią. Rozszerzone ze strachu oczy wyrażały szaleństwo. Ledwo trzymał się w pionie, tak był poturbowany. Kilka otwartych ran zadanych mu pazurami strzygonia obficie krwawiło. Powinny natychmiast zostać opatrzone, żeby się nie wykrawił.

Ścibora nie miała tyle szczęścia. Leżała na ziemi, na plecach, z szeroko rozłożonymi rękami i nogami. Brzuch miała rozplątany od mostka do spojenia łonowego. Część wnętrzości walała się w zbożu nieopodal. Najwyraźniej najpierw rzucił się na nią, a Bratomiła tylko od siebie odpychał.

Na twarzy Motylka nie było jednak strachu, jedynie wściekłość.

Mszczuj odszedł od nas i ponownie zymiotował. Ja także poczułam mdłości. Postanowiłam zająć się czymś, by odciągnąć wzrok i myśli od Ścibory. Posadziłam Bratomiła z powrotem na ziemi, uklękłam obok i zaczęłam rwać moją suknię na pasy materiału. Szybko bandażowałam byle jak jego obrażenia. Teraz chciałam tylko powstrzymać krwawienie. Na życie i dezynfekcję przyjdzie czas później.

– Motylek, Motylek! – Mszczuj całkiem się rozkleił.

Kłęczał nieopodal i szlochał. No, przyznaję, mnie też było trochę przykro. Nie żebym chciała jej wygranej, bo pewnie wówczas by mnie uduśliła. Niemniej jednak nawet największemu wrogowi nie życzyłam rozszarpania przez żadnego krwi demona.

– Co teraz? – zapytał mój mąż.

Spojrzałam na niego. Nie byłam pewna.



– Musimy ją pochować i odpowiednio zabezpieczyć grób, żeby sama nie wstała za jakiś czas w poszukiwaniu zemsty na nas – odpowiedziałam.

– Trzeba wezwać policję! – zaprotestował kapłan.

– I co im powiesz? Że zaatakował ją demon? Przecież będą myśleli, że to nasza sprawa. Zwłaszcza biorąc pod uwagę tajemniczą śmierć Ludomiły – argumentowałam. – Dodatkowo ty jesteś cały usmarowany jej krwią i ją pogryzłeś. Z boku to będzie wyglądało bardzo podejrzanie.

– Ale...

– Tu nie ma żadnego „ale” – ucięłam stanowczo. – A ty nam w tym pomożesz. To wszystko jest częściowo twoja wina – rzuciłam w stronę Bratomiła.

Ten skinął głową. Wydawało mi się, że nie będę mieć z nim już więcej problemów. Chyba minęła mu chęć do żeniaczki ze mną.

– Wrócimy teraz do Bielin po łopaty, jakąś taczkę i pochowamy ją w bezpiecznym miejscu – dodałam.

– A jej rodzina? Przecież będą jej szukać – powiedział Mszczuj.

– To już nie nasza sprawa, Mszczuju. Miała problemy psychiczne. Myślę, że oni dobrze sobie z tego zdawali sprawę.

– Jak my mogliśmy to zrobić! – Znowu zaczął popłakiwać.

– My nic nie zrobiliśmy – zaprotestowałam. – I nie wolno ci tak myśleć.

Odetchnęłam głęboko, mając dość tej koszmarnej nocy. Zdecydowanie dziwna noc poślubna. Nikomu takiej nie życzę.

## CZĘŚĆ 2

29.



Siedem miesięcy później

Spojrzałam na Mszczuja, który dokazywał na podłodze chaty razem z moim kotem Felusiem. Obaj czekali na obiad, który właśnie przygotowywałam na kuchni. Patrząc na zachowanie kapłana, który gadając do zwierzaka jak do rocznego dziecka, rozplýwał się prawie z zachwytu, nie mogłam powstrzymać rozbawienia. Niesamowicie ujmował mnie swoim zachowaniem.

Nie do końca rozumiałam relację, która nas łączyła, ale naprawdę ją doceniałam. Dużo mi dała. Początek naszego małżeństwa zdecydowanie nie był tradycyjny. Poza tym nie oszukujmy się – chyba mało kto zaczyna nową drogę życia od zakopywania zwłok w lesie.

Mszczuj dość długo nie mógł się po tym pozbić. Za dużo pił, ale z każdym dniem powoli wracał do siebie. Mnie osobiście aż tak całe to zamieszanie nie ubodło moralnie. W końcu, po pierwsze – bądźmy szczerzy – nie lubiłam francy. Po drugie, ona pierwsza chciała mnie zabić, więc jesteśmy kwita. A po trzecie, to ja przecież nic jej nie zrobiłam. To wszystko wina Swarożycy. Ja tylko zacierałam ślady, żeby policja się do nas nie przyczepiła.

Przynajmniej o tyle dobrze, że Bratomił, po tym jak nam pomógł, zniknął na zawsze z mojego życia. A w każdym razie tak mi powiedział. Nie miałam jednak żadnych przesłanek, żeby mu nie wierzyć. Stwierdził dość dobitnie, że nie zamierza mieć więcej nic wspólnego z taką czarownicą jak ja, że go przerażam i mam więcej nie szukać z nim kontaktu.

Tak jakbym to ja go wcześniej szukała.

– Pomagasz robić Marzannę? – zapytał niespodziewanie Mszczuj.

Tym razem skierował pełne uczucia spojrzenie na mnie.

– Ja? – zdziwiłam się. – Nie, nie mam takiego zamiaru. Co roku zajmuje się tym przecież kółko gospodyń wiejskich. Nie będę im zabierała frajdy. Niech zrobią coś pożytecznego, zamiast cały czas obgadywać innych.

– A nie powinniśmy umieścić w kukle jakichś talizmanów? Specjalnych ziół? – zasugerował, całkiem mądrze jak na siebie.

– Myślisz, że coś się stanie? – Machnęłam lekceważąco chochlą. – Zimą, kiedy musiały się przeistoczyć z Dziewanny w Marzannę, przecież nic się nie wydarzyło.

– A jeśli Mokosz ją wtedy zaskoczyła? Teraz może być już gotowa. Obawiam się, że knuje coś złego.

– Może masz rację? Pewnie powinniśmy się przygotować – zgodziłam się skwapliwie. – Udam się po obiedzie do siedziby kółka i zapytam, czy mogę wspomóc pracę nad kukłą. Może zaniósę paniom ciasto, żeby je bardziej do siebie przekonać?

– Zawiozę cię, Jagusiu. Powinnaś przecież się oszczędzać! – zaprotestował. – Już niewiele czasu zostało.

Wstał z ziemi, zostawiając kociaka bawiącego się kawałkiem włóczki. Podszedł do mnie i otoczył mnie swoimi ciepłymi ramionami. Oparł brodę na czubku mojej głowy, a dłonie splótł na pękatym, prawie siedmiomiesięcznym brzuchu. Jakby w odpowiedzi na jego dotyk maleństwo kopnęło żwawo, także domagając się uwagi.

Oboje zaśmialiśmy się wesoło. Nie mogłam się już doczekać, kiedy w mojej chacie oprócz naszych rozmów będzie słyhać tupot dziecięcych nóżek. Na samą myśl o tym robiło mi się ciepło na sercu.

– A może będziemy mieć trójkę? – zapytał Mszczuj i pocałował mnie we włosy.

– Mnie się piątka marzyła – wyznałam.

– Piątka brzmi jeszcze lepiej, kochanie! – ucieszył się. – Mam nadzieję, że będą zadziorne jak ty!

– Och, ja bym chyba wołała, żeby były spokojne jak ty, misiu!

W tej chwili rozległ się głośny huk, po którym gwałtownie zadławił się silnik samochodowy. Podskoczyłam przestraszona, a kot z głośnym miauknięciem rzucił się do ucieczki, drapiąc pazurami po drewnianej podłodze.

Zamrugłam gwałtownie. W chacie panowały ciemności, a ja leżałam w łóżku. Skopana pościel najwyraźniej spadła na podłogę razem z uciekającym kotem. Zaczęłam w panice macać się po brzuchu, ale na szczęście był płaski jak zwykle. Żadnego ciężowego wybrzuszenia. Uczucie ciepła na sercu było w rzeczywistości zgagą po wypiciu nowej nalewki, którą dzisiaj testowałam. Mszczuja także nie było obok, bo przecież nie mieszkaliśmy razem i w zasadzie, nie licząc tematów służbowych, prawie ze sobą nie rozmawialiśmy przez ostatnie pół roku.

Odetchnęłam z ulgą. To był tylko sen. Całe to słodzenie, całuski, misiaczki były w istocie strasznym omamem. Uff!

Krzyszczący się silnik zamilkł. Usłyszałam szybkie kroki co najmniej dwóch osób biegnących zwirową ścieżką w stronę moich drzwi.

Zerwałam się na równe nogi i szybko zapaliłam świeczkę. Nie czekając, aż goście zapukają, otworzyłam drzwi i poświeciłam im po twarzach. Zobaczyłam zaaferowanego Mszczuja i lekko roztrzęsionego Barnima.

– Nie śpisz? – zdziwił się kapłan, zamierając z ręką uniesioną do góry, jakby nadal chciał zastukać w drzwi, które właśnie przed nim otworzyłam.

– Miałam koszmar. – Wzdrygnęłam się.

Piątka dzieci. Uch!

– Co się stało? – zapytałam.

– Godzinę temu wezwano mnie do umierającego – odparł Mszczuj. – A on był jak wyspany! Jago, jak wyspany!

Nadal chyba byłam zamroczona tym horrorem, który mi się przyśnił, bo nie rozumiałam nic z tego, co on do mnie mówił.

– Co? Zaraz. Hm, może wejdźcie – zaproponowałam. – Bo tak głupio przez próg. I wyjaśnijcie mi spokojnie.

– Jago, mamy bardzo poważny problem – kontynuował zaaferowany Mszczuj.

– Tak, tak, zaraz mi opowiecie. Tylko wstawię wodę na herbatę, bo mnie jeszcze trzęsie – mruknęłam. – Pilne to bardzo czy zdążymy się napić?

Spojrzeli po sobie.

– No, chyba zdążymy – powiedział Barnim i wzruszył ramionami. – Trup i prawie trup nigdzie przecież nie pójdą.

Rzuciłam mu zdziwione spojrzenie, ale nic więcej nie dodał.

– No i dobrze – skwitowałam, kierując się do kuchni.

– A co ci się śniło? – zapytał uprzejmie Mszczuj.

– Zapal no lampę – zbyłam go.

Mężczyźni usiedli przy stole. Feluś od razu wpakował się kapłanowi na kolana i zaczął mruzczyć jak silnik popsutego auta. Mszczuj coś do niego szeptał, a ja się wzdrzygnęłam. Sen nie chciał zniknąć w odmętach pamięci. Wyrył mi się pod czaszką jak... przestroga? Wizja niepokojąco przesłodzonej przyszłości?

Milczeliśmy, dopóki woda się nie zagotowała. Zalałam nam ziółek na uspokojenie i postawiłam dzbanek oraz trzy szklanki w metalowych koszyczkach na blacie.

Nie czekając, aż się dobrze zaparzą, nalałam sobie trochę i parząc gardło, pociągnęłam nieduży łyk. Potrzebowałam uspokojenia aż za bardzo.

– To po kolei. Co to za nowa tragedia? – zapytałam, kiedy byłam już na to gotowa.

– Wieczorem wezwano mnie do umierającego, żebym się z nim pomodlił, dodał mu otuchy. Wiesz, to, co zawsze się robi w ostatnim momencie. – Mszczuj przestał głaskać kotka i też sobie nalał ziółek. – Pierwszą rzeczą, która mi się wydawała podejrzana, było to, że wezwano mnie do gospodarstwa Gałązków. Mieszkają przecież w Bielinach. Nic nie słyszałem, żeby ktoś tam chorował. Takie wieści zwykle bardzo szybko się rozchodzą.

Od razu otrzeźwiałam, słysząc nazwisko Ludomiły. Barnim pokiwał głową na znak, że też go to wystraszyło.

– Wchodzę do domu, a tam cała rodzina. Wiesz, ta, która była wtedy na pogrzebie – kontynuował kapłan. – Wszyscy w żalobie, chociaż niby jeszcze nikt nie umarł. Jacys tacy bladzi, chudzi, podejrzani. Wyglądają, jakby i ich toczyła jakaś choroba.

– Ostatnio, jak ich widzieliśmy na obchodach Szczodrych Godów, to nie wyglądali chyba źle? – rzuciłam. – Co prawda byli w kurtkach i płaszczach, ale jakoś nie rzucili mi się w oczy.

– Przyznam szczerze, że nie zwróciłem uwagi – pokajał się Mszczuj. – To były nasze pierwsze wspólne zimowe święta, wszyscy na nas patrzyli i jakoś tak...

– No, ja na nich patrzyłam, ale też nie jakoś specjalnie wnikliwie – powiedziałam. – Mów dalej, pojechałeś tam, wszyscy wyglądają źle, no i? Co dalej?

Mszczuj odchrząknął i zawiesił wzrok gdzieś w przestrzeni, wyobrażając sobie tamtą scenę.

– Okazało się, że umiera nestor rodu. Leżał na łóżku, przykryty kołdrą. Powiem ci, Jago, że jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem. On był jakby wyssany. Nie potrafię tego inaczej nazwać.

– Chyba zмумifikowany będzie lepszym określeniem – podpowiedział Barnim.

– Dobrze, to zмумifikowany – zgodził się. – Podchodzę do łóżka. A tam leży on. Ma zamknięte oczy, woskową cerę, skóra wręcz oblepia kości. Przysięgnąłem, że nie oddychał. Pochyliłam się, a on nagle otwiera oczy i prosi mnie o pomoc.

Spróbowałam sobie wyobrazić tę scenę. Mszczuj musiał się nieźle wystraszyć.

– A może miał nowotwór? – zasugerowałam. – Choruj, którzy są mocno wyniszczeni, bardzo chudną. Wtedy faktycznie wydaje się, że na koniec są bardzo chudzi.

– Zapytałem! – odparł. – Zapytałem, na co choruje. Odpowiedzieli, że nic mu nie było jeszcze niecały tydzień temu.

Zmarszczyłam brwi. To już brzmiało nieprawdopodobnie. Rak aż tak szybko nie wyniszcza. Poczułam się nieswojo. W takim wypadku nie było innej możliwości. Musiał zaatakować go jakiś demon. I chyba pozostałych członków rodziny też, skoro również wyglądali na chorych.

– To nie koniec – dodał Mszczuj. – Już miałem wychodzić po modlitwie, kiedy najstarsza córka, pamiętasz ją? To ta opryskliwa. No to najstarsza córka zaczyna płakać i mówi, że brat umarł nagle kilka dni temu, że nie zdążyli już po mnie posłać, ale czy odprawię

po grzeb w rodzinnym grobie. Jako że miałem złe przeczucia, to zapytałem, czy leży u naszego grabarza.

Wskazał głową na Barnima, a ten przejął opowieść.

– Ano leżał u mnie – powiedział. – Mszczuj przyjechał, razem żeśmy zeszli do piwnicy. Przyznaję, że nie miałem na to ochoty. Od początku mi się ten nieboszczyk nie podobał, więc wysypałem więcej soli wszędzie i starałem się nie schodzić do piwnicy po zmroku, dopóki będzie u mnie leżał. Ale Mszczuj się uparł, że musi go zobaczyć. Wieczorem, już prawie w nocy, chciałem tylko wyraźnie zaznaczyć. – Mówiąc to, patrzył na Mszczuja takim wzrokiem, jakby chciał go ukrocić o głowę.

– I dobrze zrobiłem! – wtrącił z emfazą kapłan. – Jago! On wyglądał identycznie jak nestor rodu Gałązków! Coś ich obu wyssało. Wąpierz jakiś albo inne cholerstwo. Nie wiem, nie znam się. To ty, Jago, masz doświadczenie.

– Wąpierz czasem atakują całe rodziny – przyznałam powoli. – Tylko że zwykle na ofiary wybierają kobiety, oczywiście jeśli mają taką możliwość. Jako że z natury są słabsze, to trudniej jest im się bronić.

– Tutaj zaczął od mężczyzn – zafrapował się Mszczuj. – Ale może to też był jego cel, może chciał pozbyć się najgroźniejszych członków rodziny?

– Też muszę jechać zobaczyć, jak wygląda ciało – powiedziałam.

– Tego się obawiałem – westchnął Barnim. – No, ale chyba nie dzisiaj? Jest środek nocy. ŚRODEK NOCY!

Razem z Mszczujem spiorunowaliśmy go wzrokiem. Wzruszył ramionami.

– Co ja poradzę? Nielicho mnie te zwłoki przestraszyły. Jeszcze rodzina chce mieć pożegnanie z otwartą trumną. Nie wiem, jak ja mam do tego przygotować ciało. Liczę, że się opamiętają i jednak zmienią zdanie. To co, myślicie, że mamy w okolicy nowego demona?

Przypomniałam sobie północnice i strzygonia. Od czasu naszej weselnej nocy żaden nowy demon nie pojawił się w okolicy. Być może i tamte przybyły wyłącznie dlatego, że Swarozyc im kazał.

– Ja się raczej martwię, że to ma związek z Ludomiłą. To podejrzane, że akurat z rodziną Gałązków zaczęło się coś dziać. – Westchnęłam. – Dobra, nie ma co tracić czasu. Jedziemy do twojego zakładu.

– Musimy teraz? – zapytał jeszcze Barnim.

Nie odpowiedzieliśmy. Po prostu wstaliśmy i ruszyliśmy w stronę drzwi.



W zakładzie Barnima nic się nie zmieniło, odkąd byliśmy tam ponad pół roku temu. Chociaż może zainstalował kolejne świetlówki, zupełnie jakby mocniejsze światło dawało mu więcej pociechy. Nadal nie dorobił się lodówek, więc ciało brata Ludomiły leżało na metalowym stole, przykryte prześcieradłem.

Było podejrzenie... płaskie.

Gumowe klapki Barnima skrzypiały na płytkach. My z Mszczujem weszliśmy do środka w butach. Czujnie obserwowaliśmy podłogę, ale wyglądała na czystą. Grabarz przezornie zatrzymał się przy tablicy z rozwieszonymi narzędziami. Kiedy zerknęliśmy na niego, tylko wzruszył ramionami.

– Wiele widziałem, ale to przyprawia mnie o ciarki – wyjaśnił. – Postoję tutaj na wszelki wypadek. Jakbyście czegoś potrzebowali, to was usłyszę i ewentualnie wspomogę siekierą.

Mszczuj też miał nietęgą minę, ale dzielnie ruszył razem ze mną i pomógł mi odsłonić prześcieradło. W końcu już raz tutaj dzisiaj był. Wiedział, co znajdziemy pod materiałem, więc nie spodziewałam się, że zacznie nagle gwałtownie wymiotować. Kiedy uniosłam tkaninę, wpatrzył się w brata Ludomiły z kamienną twarzą. Nawet mu powieka nie drgnęła.

W związku z tym ja także skupiłam się na zwłokach i starałam się ukryć emocje, jakie we mnie wzbudziły. A wzbudziły ich całkiem sporo. Powiedzieć, że wyglądały dziwnie, to bardzo duże niedopowiedzenie.

Pamiętałam tego mężczyznę. To on był właścicielem sadów. Podejrzewam, że mógł być największym beneficjentem przychylności Dziewanny i jej mocy do rodzenia płodów ziemi. A raczej mógłby być, gdyby dożył wiosny i lata.

Wyglądał nietypowo. Nie widziałam w swoim życiu wielu zwłok, nawet biorąc pod uwagę te, które pokazywali mi na studiach medycznych w Warszawie. Wiedziałam jednak, że mogą różnie wyglądać w zależności od przyczyny śmierci. Czasem nawet zmieniały kolor, jak choćby po zatruciu metalami ciężkimi czy tlenkiem węgla.

Ten zmarły był podejrzenie sztywny, sinożółty i w zasadzie wyglądał jak szkielec obleczony gumową skórą, co upodabniało go do rekwizytu filmowego. Tkanka była tak naciągnięta, że siłą otworzyła mu usta jak do krzyku. Trochę przypominał przez to ofiarę poparzenia, której mięśnie po kontakcie z gorącym kurczą się gwałtownie, wyginając ciało w niefizjologicznych kierunkach. On jednak nie był poparzony.

– Nie jestem oczywiście jakąś ekspertką – zawiesiłam głos, uważnie oglądając szyję denata – ale mnie to nie wygląda na wąpierz lub bezkosta. Nie widzę śladu nawet po jednym ukąszeniu. No, chyba że skóra tak się zmieniła i skurczyła, że nic nie widać.

– Bezkosta? – podchwycił zaintrygowany Barnim.

– To taka zaawansowana forma wąpierza. One z wiekiem, można powiedzieć, się przeistaczają. Im dłużej ży... istnieją, tym bardziej się zmieniają. Wąpierz mają zamiast kości chrząstki. Przez to są bardzo giętkie, to im ułatwia polowanie, przeciskanie się przez wąskie szczeliny czy uchylone okna. Bezkost jest formą krwiopijcy, której chrząstki są już

maksymalnie miękkie lub w ogóle zanikają. To taki jakby worek z zębami. Nigdy go nie widziałam, znam tę charakterystykę tylko z bestiariuszy.

– A jak się porusza, skoro nie ma szkieletu? – zapytał Mszczuj.

– Nie mam pojęcia – przyznałam. – Też mnie to ciekawi. Mam nadzieję, że będę mogła kiedyś zobaczyć to z bezpiecznej odległości.

– Dziwnie to brzmi. To on musi chyba pełzać. A jak pełza, to jest powolny, więc nikogo by nie zagryzł. Poza tym jak nie ma kości, to jak rusza zuchwą? – zastanawiał się głośno kapłan.

– Może ma kłujkę jak komar? – zasugerował Barnim.

– O, to by w sumie miało sens. Nadal jednak nie tłumaczy, jak podkładałby się do ofiar jako worek krwi.

Puściłam ich gdybanie mimo uszu, bo nie znałam odpowiedzi na te pytania. Dokładnie obejrzałam nagie ciało denata. W niczym mi to jednak nie pomogło. Z jednej strony miałam ochotę go dotknąć, ale z drugiej – strasznie się brzydziłam. Barnim musiał zobaczyć moje rozterki, bo złapał parę wielorazowych gumowych rękawic i ściskając w drugiej dłoni siekiere, zbliżył się do nas.

– Wybaczcie, że pytam. Może sceneria nie nastraja do takich rozmów... – zawiesił głos. – Ale jak tam wasze małżeństwo? Czy wy przypadkiem nie mieszkanie osobno?

– Bardzo dobrze. Cudownie – odparliśmy z Mszczujem w tym samym momencie.

Spojrzałam Mszczujowi prosto w oczy. Prawie niedostrzegalnie mrugnął.

Włożyłam gumowe rękawice i głośno nimi strzeliłam. Były trochę wilgotne w środku, ale nie zamierzałam narzekać. Lepsze to niż dotykać zwłok gołą ręką.

– Mieszkamy osobno, bo tak nam na razie łatwiej – powtórzyłam kłamstwo, które wypowiedziałam już tyle razy, że powoli sama zaczynałam w nie wierzyć. – Będziemy się budować po drugiej stronie drogi od mojej chaty. Oczywiście jak już uzbieramy na to pieniądze. A na razie nie mamy warunków, żeby się wprowadzić albo do mnie, albo do Mszczuja. Za mały metraż, za dużo pracy. I ja, i Mszczuj mamy często gości w potrzebie o różnych dziwnych porach. Moja babcia Radomiła mieszkała w tej chacie z rodziną. Nie miało to dobrego wpływu na ich relacje. Nie powtórzymy jej błędu.

– Aha, rozumiem. – Pokiwał głową Barnim. Złapał oburącz siekiere, gotowy w każdej chwili jej użyć, gdy ja delikatnie maciałam zwłoki. – A jakieś dzieci chcecie mieć? Nie żebym powtarzał plotki, ale wszyscy was uważnie obserwują. Co jakiś czas dochodzą mnie słuchy, że już podobno w ciąży jesteście.

Parsknęłam śmiechem. Mało przy tym nie oplułam denata.

– Skoro nie mamy domu, to i dzieci na razie mieć nie będziemy – odparłam.

Mszczuj rzucił mi spojrzenie z ukosa, kiedy nieopatrznie użyłam zwrotu „na razie”.

– A jak z tobą i Mirką? – zapytałam, żeby zmienić temat.

Rozbawiona mina Barnima stężała. Wzruszył ramionami.

– A nic ciekawego – burknął.

– Mirka jest lekkoduchem – powiedziałam.

– Wiem.

– Na pewno cię ostrzegała przed swoim charakterem, zanim zaczęliście się spotykać – zauważyłam.

– Tak. – Coraz bardziej się irytował.

– A ty nie uwierzyłeś, że nie szuka męża?

– Ano nie...

– A ty szukasz żony?

– Teraz już nie – warknął.

Przyznaję, to bardzo niskie z mojej strony, ale sprawiło mi radość, że popsułam mu humor. Mógł nie pytać o moje pożycie małżeńskie.

Dotykanie zwłok nie powiedziało mi niczego poza tym, że były sztywne i twarde.

– W ogóle nie śmierdzi – zauważyłam i przykryłam ciało prześcieradłem.

Nie było sensu więcej na nie patrzeć. Nie współczułam bratu Ludomiły. Jeżeli jego śmierć faktycznie była jakoś spowodowana przez Dziewannę, a obecnie Marzannę, to miał to, na co zasłużył.

– Tak, też zauważyłem – powiedział Barnim. – Nawet nie muszę go jakoś wyjątkowo zabezpieczać przed pożegnaniem z otwartą trumną. Chociaż nie wiem, czy rodzina jednak się na to zdecyduje. Muszę jeszcze raz ich o to zapytać.

Gdy wchodziliśmy po schodach, pomna naszej rozmowy, dotknęłam swojego brzucha. O nie, nie! Na razie zdecydowanie żadnych lokatorów. Mszczuj zauważył ruch mojej dłoni i szybko uciekł spojrzaniem.

– Zastanowię się, co mogło spowodować takie obrażenia – powiedziałam do grabarza, kiedy żegnaliśmy się na jego podwórku. – Gdy tylko wpadnę na jakiś pomysł, to dam ci znać. Muszę przejrzeć bestiariusze i zapiski babci.

– A poproszę, miło by było wiedzieć, kto zamienia tych ludzi w egipskie mumie.

Chwilę później jechaliśmy już z Mszczujem do Bielin. Ziewnęłam. Oczy same mi się zamykały ze zmęczenia. Kapłan zerkał na mnie co jakiś czas. Bardzo ostrożnie, ponieważ skupiał się na drodze. Chyba bał się, że w każdej chwili jakiś potwór może nam wyskoczyć przed maskę.

W końcu stanął pod moją chatą. Sięgnęłam już do drzwi, kiedy zatrzymało mnie jego pytanie.

– Jago? Dobrze się czujesz?

Odwrociłam się do niego. Ledwo go widziałam w mdłym świetle we wnętrzu auta. Wydawał się szczerze zatroskany.

– Jestem zmęczona. Ostatnio mam dużo koszmarów – wyznałam.

– Ja też. Często śni mi się Ścibora.

– To nie była twoja wina.

– Wiem. Wiem też, że nie była to twoja wina.

– Wiem – odparłam krótko.

– Mimo wszystko nie mogę pozbyć się wrażenia, że popełniłem za dużo błędów. Że do tego doprowadziłem – wyszeptał cicho.

Nie zamierzałam się kłócić, bo częściowo miał rację. Tylko że nie mogłam przecież niczego nie powiedzieć. Nie jemu.

– Przede wszystkim doprowadziła do tego Ścibora. My oczywiście mieliśmy swój udział w zakończeniu, jednak żadne z nas nie pociągnęło za spust – upierałam się. – Wezwałam na pomoc Swarozycza, ale nie wiedziałam, że zareaguje. Skąd miałam wiedzieć, co on zrobi?

– Straszne to.

– Ano.

– Wiesz... przestali jej szukać.

Rzuciłam mu zaskoczone spojrzenie.

– Nadal widnieje w rejestrach jako osoba zaginiona, ale jej rodzice wyprawili pogrzeb z pustą urną. Mają jeszcze dwie córki. Podobno pogodzili się z tym, że trzecią stracili.

– A co na to twoi rodzice?

– Nadal uważają, że to w jakiś sposób twoja wina.

– Jak im to na zdrowie wyjdzie, to niech dalej tak uważają.

Sięgnął w moją stronę i wziął mnie za rękę. Miał chłodne palce.

– Przepraszam – wyszeptał.

– Mszczuju, nie musisz mnie ciągle przeproszać – zaprotestowałam.

– Przeze mnie i ty musisz dźwigać to brzmie.



Na końcu języka miałam, żeby dał sobie spokój, bo snu z powiek bynajmniej mi śmierć Ścibory nie spędzała. Tylko że właściwie, jakimś sposobem, trochę spędzała. Ja też nie mogłam o tym zapomnieć. Zastanawiałam się, czy mogłam powiedzieć coś inaczej, zrobić coś innego. Mam przecież roztaczać nad ludźmi opiekę. Co prawda nie jestem terapeutką, ale sprawy ducha także powinnam umieć ogarniać. A tu spotkała mnie klęska. Nie zdołałam przemówić Ściborze do rozumu i w efekcie nie żyła.

– Zostaniesz u mnie na noc? – zapytałam niespodziewanie. – Nie chcę być sama.

Był nie mniej ode mnie zdziwiony tą propozycją. Przystał jednak na nią ochotczo. Gdy usiedliśmy przy stole, wyciągnęłam wszystkie dostępne pozycje o demonach i potworach, które posiadałam. Postanowiłam zagonić go do pracy. Musieliśmy się dowiedzieć, jaki demon został nasłany na rodzinę Gałązków.

– A mogę jeszcze cię o coś zapytać? – zagaił w którymś momencie.

– Oczywiście – odparłam nieuważnie, zaczytana we fragmencie o Marzannie, czarnej bogini.

– Nurtuje mnie to od dawna. Wezwałaś Swarozycza, a on przybył ci na ratunek. Co więcej, ukazał nam się w pełnej krasie.

– Aha? No i? Ty przecież modlił się do Welesa.

– Ale on nie odpowiada.

– To trochę przykre – zgodziłam się.

Nagle zrobiło mi się niewygodnie na krześle. Zaczynałam się domyślać, w którą stronę zmierza ta rozmowa, i bardzo mi się to nie podobało.

– Tobie zawsze odpowiada? – zapytał.

– Nie zawsze.

– Ale często?

– Ano często – burknęłam. – O co ci chodzi, Mszczuju?

Teraz on zaczął się kręcić na krześle.

– A, bo widzisz, Jago, ja od tamtej nocy nie mogę zapomnieć jednego szczegółu...

– Jakiego niby?

– Nie pokłoniłaś mu się.

Jak przez mgłę przypomniałam sobie wydarzenia naszej nocy poślubnej. Chyba rzeczywiście się nie pokłoniłam. Głównie dlatego, że nigdy tego nie robiłam.

– Nie pamiętam – odparłam. – Być może się nie pokłoniłam. Wiesz, Mszczuju, dużo rzeczy się wtedy działo w jednym momencie. Byliśmy w śmiertelnym niebezpieczeństwie, ja byłam podduszana przez Ściborę, która usiłowała mnie zamordować. Nie wymagaj ode mnie logiki w takiej chwili.

Stropił się. Moje wytłumaczenie wydało mu się prawdopodobne.

– Ale nie ukazał ci się pierwszy raz? – zapytał cicho. – Powiedział też, że jesteś jego służką...

Wyprostowałam się. Postanowiłam połknąć tę żabę, bo miałam już dość tych niedomówień.

– Tak. Jestem jego służką – przyznałam się. – Noszę na ciele jego znaki.

Otworzył szeroko oczy, kiedy odsłoniłam nadgarstek i pokazałam bliznę po oparzeniu na dowód, że nie zmyślałam.

– To... sama nie wiem, co to jest dokładnie. To taki rodzaj umowy. A w każdym razie tak mi to przedstawił, gdy zaproponował, bym strzegła jego ognia.

– Strzegła ognia?

Mszczuj wydawał się coraz bardziej oszołomiony. Weles, pan śmierci i podziemia, najwyraźniej nie nawiedzał kapłanów z propozycjami matrymonialnymi ani nie rozdawał całusów.

– Ano... modliła się do niego żarliwie na przykład – zaczęłam wymieniać. – Pilnowała, żeby nie zaniknęły zwyczaje związane z oddawaniem mu czci. Wyświadczała drobne przysługi. Na razie średnio mi idzie spełnianie tych warunków, ale swojej części umowy, jak widać, dotrzymuje i ruszył mi na pomoc, gdy poprosiłam.

– A to jest... normalne? – zapytał Mszczuj.

– Chyba tak. Z tego, co wiem, miał podobny układ z moją babcią, obecnie zaś ma z Mirką. Podobno otacza opieką większość szeptuch.

Zafrapował się teraz.

– To intrygujące. Nie wiedziałem, że coś takiego ma miejsce. W szkole nam o tym nie mówili. Owszem, wspominali, że można wejść w bliską relację z bogiem, ale raczej na poziomie duchowym. Oni się przecież nikomu nie ukazują. Nikt nie wie, jak wyglądają bogowie.

– Hm, to popatrz. Teraz już wiesz, jak wygląda Swarożyc.

– A Mokosz? Widziałaś ją, kiedy poszłaś z nią rozmawiać?

– Nie. Nie pokazała mi swojej twarzy. Poza tym widziałam Jaryłę.

– Co takiego??? – O mało z krzesła nie spadł.

– Mirka zaprosiła go na mój wieczór paniński – wyjaśniłam, ponieważś wyrzucając sobie, że może nie powinnam była o tym mówić.

– I co on robił na tym wieczorze panińskim? – Mszczuj po tych rewelacjach ledwo mógł się pozbierać.

– Głównie tańczył – odparłam.

Postanowiłam zachować dla siebie informację o jego propozycji seksu z przyszłą panną młodą. O tym, że zapomniałam się ze Swarożycem, chyba też nie powinnam wspominać. To już całkiem sprofanowałyby uczucia religijne Mszczuja. Czego osobiście nie rozumiałam. To chyba miło mieć świadomość, że bogowie są tacy jak my i rządzą nimi te same... cóż... żądze.

Niby byliśmy z Mszczujem białym małżeństwem, ale jakoś głupio mi było opowiadać o innych mężczyznach. Nawet jeśli byli bogami.

– Mnie żaden bóg nigdy się nie ukazał, a modłę się do nich codziennie, w wielkiej wierze – jęknął zawiedziony.

– Ja się nie modłę żarliwie. Może dlatego mają wewnętrzny przymus, żeby mnie do tego zachęcać – spróbowałam zażartować, ale wcale go nie rozbawiłam.

– Zaskoczyłaś mnie tymi wszystkimi informacjami – powiedział i spojrzął na mnie jakoś dziwnie. – Jesteś niesamowitą kobietą, Jago, skoro nawet bogowie zabiegają o twoją uwagę.

– Nie potwierdzam, nie zaprzeczam. A teraz dość tych pogaduszek. Szukaj lepiej demona, który pozbawił życia Gałązków – nakazałam. – Inaczej możemy mieć kłopoty. Nie wiadomo, czy nie zaczną atakować innych, gdy już mu się skończy członkowie tamtej rodziny.

Pokiwał głową i ponownie sięgnął po książkę.

– A co z Marzanną? – zapytał jeszcze.

– Ech, chyba pójdę robić kukłę z babami z kółka gospodyń wiejskich. – Westchnęłam. – Może wepchnę do środka kilka ziół. Sama nie wiem.



– Dzień dobry paniom. Jak samopoczucie? – zapytałam, otwierając zamasyżycie drzwi do siedziby kółka gospodyń wiejskich.

Zgromadzone przy okrągłym stole staruszki drgnęły, a potem spiorunowały mnie wzrokiem. Przed nimi na blacie leżało mnóstwo siana, krepiny, kolorowych bibulek, koralików i patyczków. Zauważyłam, że w kącie pomieszczenia stał już „manekin”. Powiązane ze sobą sznurkiem gałęzie i wąskie deseczki tworzyły ciało Marzanny, niemalże ludzkich rozmiarów i bardzo schematyczne.

Niby tylko kilka gałęzi, które przecież nawet nie miały jeszcze twarzy namalowanej na płótnie, a mimo to poczułam się z jakiegoś powodu nieswojo. Zupełnie jakby boginka nas obserwowała poprzez prowizoryczny fantom.

– A dobry, dobry – odezwała się najmłodsza z gospodyń i wstała ze swojego miejsca. – A czego szeptucha tutaj szuka?

Zauważyłam, że kobiety intensywnie wpatrują się w torbę, którą ściscałam. Miałam tam trochę ziół, czerwoną wstążkę oraz solidną gałąź ułamaną z mojej jabłonki i niedużo z krzaku głogu.

Najstarsza gospodyni łypnęła na mnie jednym okiem, bo drugie mrużyła, usiłując nawlec nitkę na igłę. Dobrze ją kojarzyłam. Była jedną z moich częstych klientek. Ale nie pojawiła się u mnie od ponad pół roku.

– Dzień dobry – odpowiedziałam. – Pomyślałam, że może w tym roku pomogę z kukłą Marzanny.

– W zesłym ani wcześniej nie pomagała. Cemu teraz? – zapytała ta najstarsza.

Miała na włosach trwałą ondulację, otaczającą jej głowę sztywnym kokonem ufarbowanym na platynowy blond. Chyba już się przygotowywała do wesółych obchodów Jarych Godów. W sumie nic dziwnego. Święto za dwa dni.

– Chcę pomóc – odparłam zdawkowo. – A jak tam dolegliwości? Gorczyca i pieprz pomogły?

O dziwo, uśmiechnęła się.

– Tak. Pomogły. Już mi lżej na dusy. Zapisujeta się do nas?

Aż mną wstrząsnęło na myśl, że co tydzień miałabym tu przychodzić na ploteczki przy herbatce i zajmować się robieniem na drutach szalików, czapek czy pakowaniem paczek na święta dla co uboższych rodzin z okolicy. Niedoczekanie.

– Obawiam się, że nie mam obecnie takiej możliwości. Chciałabym jednak od czasu do czasu pomagać przy pracy. Dzisiaj na przykład wzięłam kilka ziół, które wplecione w naszą Marę, na pewno zwiększą szanse na wspnianą wiosnę i obfite plony.

– To bardzo miło ze strony szeptuchy. Zdążyła pani idealnie – zagruchała najmłodsza. – Zbudowałyśmy już szkielet.

Następnie wskazała mi kolejne leciwe mieszkancki naszej wsi i tłumaczyła, która za co odpowiada. Z tego, co zdołałam się zorientować, pracy było o wiele za mało jak na takie liczne grono i większość staruszek przyszła tu wyłącznie towarzysko.

– A w czym ja mogę pomóc? – zapytałam.

– Główeckę trza zrobić pikną – powiedziała najstarsza z cwany błyskiem w oku. – Ja zaplotę warkocyka z zółtej włócki, ale głowę napchać siankiem trza i wymalować lico.

– Doskonały pomysł! Wybornie! Idealne zadanie jak na pierwszy raz! Niech się sprawi nasza szeptucha. Zobaczysz, jaka to ciężka praca – rozległy się zewsząd głosy aprobaty.

– A ja w międzyczasie herbatkę zrobię szanownej pani szeptusze – zaferowała się najmłodsza z gospodyń.

Zrozumiałam, że została mi przydzielona najgorsza i najbardziej zmusna praca. Ciało Marzanny to nie był problem. Owijało się słomą drewniany szkielet i zawiązywało jutowym sznurkiem. Potem trzeba ją było ubrać w kolorową sukienkę, którą jak widziałam, miały już przygotowaną. Do tego założyć na słomianą szyję korale z jarzębiny zerwanej jeszcze jesienią i gotowe.

Głowa zajmowała najwięcej czasu. Też nie jakoś specjalnie dużo, ale nie była najprostszą. A na pewno nie będzie taka dla mnie, jako że nie mam zdolności plastycznych.

– Dobrze. Bardzo się cieszę – odpowiedziałam nieszczerze. – To zanim zabiorę się do pracy, tylko dodam do szkieletu kilka gałązek od siebie.

W skupieniu przyglądały się, jak doczepiam do tułowia solidną gałąź z jabłoni. Mniejszych gałązki głogu wetknęłam w koło, dookoła którego naciągniemy płócienną głowę wypełnioną sianem. Poczułam mściwą satysfakcję, układając kolczaste gałązki krzewu.

Kolców głogu można było używać zamiennie z żelaznymi gwoździami przy unieszkodliwianiu wąpierz.

Kto wie? Może Marzannę też będzie bolał łeb, jak upchnę jej tam gałązki? Nie powinna się obrazić, przecież była oficjalną patronką głogu.

– A co to takiego? I po co? – zapytała jedna z gospodyń.

Miała miłe rumiane oblicze, a na karku niewielki koczek z siwiuteńkich włosów. Przypominała typową babcie z bajek, która od razu wzbudza zaufanie przez unoszący się dookoła niej zapach ciasteczek maślanych oraz kulek naftalinowych na mole.

– Ta duża to gałąź jabłoni – zaczęłam wyjaśnienie, ale przerwała mi w pół słowa:

– Szeptucha okaleczyła jabłoń przed Jarymi Godami?! – Pobladła, złapała się przy tym za serce i wyglądała, jakby miała zaraz znaleźć się po drugiej stronie Welesowej bramy.

– Spokojnie, nic jej nie będzie. Zabezpieczyłam kikut – dodałam szybko.

Staruszka spojrzała na swoje towarzyszki i ze zgrozą pomieszaną z pogardą powiedziała do nich:

– Przecie każdy wie, że na jabłoń świętą nie można podnieść ręki przed Jarymi! O bogowie, co to nas czeka za wiosna. Czarna bogini się obrazi!

– Zaraz, zaraz, zaraz! – Uniosłam do góry ręce. – To nie tak!

Odwróciły się w moją stronę. Wszystkie. W tej samej chwili. Każda miała to samo spojrzenie.

No, nie powiem. Poczułam się odrobinę nieswojo. Domyślałam się także, że nie miałam już co liczyć na herbatkę.

– Zgadza się, jabłoń jest świętym drzewem symbolizującym boginkę Marzannę – potwierdziłam. – Z tego właśnie powodu, dla jej czci i powiązania ją z naszą kukłą, dodałam do szkieletu gałąź jabłoni.

– To się nie godzi – zaparła się babcia z bajek, której ciasteczkowa dobroduszość całkiem uleciała. Został tylko duszący zapaszek naftaliny.

Dobrze znałam zabobony związane z tym drzewem. Ba! Jako szeptucha przecież sama je pielęgnowałam i wypominałam. Niektóre z nich były zupełnie pozbawione sensu. Jak to, że miesiączkujące kobiety nie powinny zrywać jabłek, bo mogą zanieczyścić ziemię i owoce. We współczesnym świecie, kiedy już nie trzeba wsadzać między nogi ściereczek, które lubiły wypadać i przeciekać, tylko istnieją specjalne środki higieniczne, przesąd ten odrobinę tracił myśkłą. Innym ciekawym zabobonem było to, że jabłoni nie wolno wycinać,

chyba że drzewo jest bardzo chore lub samo obumarło. W innym wypadku taka niefrasobliwość mogła spowodować śmierć całego pokolenia danego śmiałka, ewentualnie w lepszej wersji tylko „mordercy” świętego drzewa.

Kult jabłoni mocno związany był z mitem drzewa kosmicznego, na którym opierają się zaświaty. Podobnie przypomina ono właśnie jabłoni.

– Jak szanowne panie widzą, ręka od ścięcia gałęzi mi nie uszła. – Na dowód odsunęłam rękawy koszuli i zademonstrowałam dwie zdrowe, choć drobinę za chude kończyny. – Marzanna nie ma do mnie żadnych pretensji. Wszystko odbyło się z zachowaniem kultury i czci świętego drzewa.

Spojrzałam na babcię, która na mnie naskoczyła.

– Ja naprawdę wiem, co robię – dodałam.

Ani myślała spokojnieć pod wzrokiem takiej siksy jak ja. Nadal rzucała mi wyzwanie, wysuwając podbródek do przodu.

– A reszta gałęzisk to co to niby jest? – zaatakowała.

– To gałązki głogu.

– Złamanie gałęzi głogu przynosi pecha – skwitowała.

– Tylko temu, kto to zrobił – odbiłam oskarżenie. – Głóg jest świętym krzewem szeptuch i widzących kobiet. Daje nam siły i mądrość. Zapewniam, że podzielił się ze mną swymi dobrami z własnej woli.

Kilka starszerek westchnęło z zaskoczenia. Chyba uwierzyły, że umiem rozmawiać z krzaczorami.

Pomyślałam, że jak już zbuduję sobie dom po drugiej stronie drogi, to chyba zasadzę głogi wzdłuż całego ogrodzenia. To nie był głupi pomysł. Po pierwsze, potrafiły się rozrosnąć do siedmiu metrów, więc skutecznie broniłyby mnie przed ciekawskimi spojrzeniami, po drugie, potrafiły oddzielić to, co martwe, od tego, co żywe. Mówiąc wprost – szpaler głogów nie przepuściłby żadnego demona powstałego ze zmarłego człowieka, o ile sama bym go nie zaprosiła. A po trzecie, głóg rośnie gęsto i ma kolce. Żywego złodzieja także całkiem skutecznie by powstrzymał albo chociaż spowolnił.

Uśmiechnęłam się pod nosem, co moje słuchaczki odczytały chyba jako znak pomieszania zmysłów.

– A zioła jakie chce w naszą Śmierciuchę wsadzić? – wycodziła babcia z koszarów. Z miłej babuleńki czerwonego kapturka zdecydowanie zamieniła się w wilka przebranego w ubrania staruszki.

Uśmiechnęłam się na bardzo stare określenie Marzanny. Myślę, że nie lubiła, kiedy nazywano ją Śmierciuchą. Mnie w każdym razie dość jednoznacznie kojarzyło się ze „śmierdziuchą”.

Z mojej torby wystawał wrotycz. Myślę, że go poznały. Miałam jednak dość tych tłumaczeń. Na bogów! Byłam ich szeptuchą, a nie aplikantką do ich świętego zgromadzenia, którą można pomiatać.

– Wrotycz oraz kilka innych. Moja rzecz, moja szeptuchowa pomoc. Jeśli paniom się to nie podoba, nie ma problemu. Mogę nie pomagać. Zobaczymy, jakie będą plony na wiosnę.

Kilka kobiet nabrało głęboko powietrza. Najmłodsza zaczęła wachlować się chusteczką, jakby zrobiło jej się duszno. Najstarsza pokiwała do mnie głową i uśmiechnęła się ciepło. Chyba bardzo bawił ją ten konflikt. Z kolei moja rumiana przeciwniczka ani myślała tracić rezon.

– Jak już przyszła, to niech pomoże – skwitowała. – A jakie będą plony, to zobaczymy.

Odetchnęłam z ulgą, bo wcale nie miałam ochoty ani tak naprawdę nie powinnam teraz się wycofywać.

– A na koniec z tych plonów rozliczymy – dodała babuleńka, przez co oblał mnie zimny pot.

Cóż. W najgorszym razie wywożę mnie na taczkach.

Co było w sumie całkiem prawdopodobne. Jak na razie wszystko wskazywało na to, że Marzanna nie miała ochoty przeistaczać się poprzez własną śmierć w Dziewannę. Do równonocy wiosennej zostały dwa dni. Często już w połowie marca przyroda sama się budziła do życia, nie czekając wcale na pierwszy deszcz po Jarym Świącie, który zsyłał bóg Jaryło, by zapłodnić ziemię. Proces budzenia się natury zwykle był długi i rozkładał się w czasie.

Teraz jednak wciąż panowała mroźna zima. Na polach nadal leżał śnieg. A do Jarego zostały tylko dwa dni. Nie wyglądało to dobrze.

– Dobrze, możecie mnie rozliczać – odparłam butnie. – Nie zapomnijcie tylko wyjrzeć przed Jarymi Godami za okno. Jak na razie Marzanna nigdzie się nie wybiera. A ja zamierzam pomóc jej zrobić miejsce dla Dziewanny.

Uznałam dyskusję za zakończoną. Usiadłam na wolnym miejscu przy stole, sięgnęłam po płótno i nożyczki. Wycięłam z niego kwadrat, który wypchany słomą powinien mieć wielkość przeciętnej ludzkiej głowy. Pracowicie upychałam słomę i wtykałam w nią przygotowane wcześniej zioła.

Dobiegły mnie szepty od strony stołu, przy którego brzegu siedziała demoniczna babcia:

– W Świątomarzy nie dają takich rzeczy do kukły. A tam to przecie znają się najlepiej!

– Racja. Przecie to ich praca, pozbyć się Mary.

Przewróciłam oczami. Świątomarza to malutka wioska między Starachowicami a Bodzentynem, w której mieszka może ze dwieście osób. To okoliczny ośrodek kultu boginki Marzanny. W całym Królestwie było ich sporo. Jakoś tak przyjęło się w dawnych czasach, że poszczególne rejony kraju wybierały, że jakiegoś boga lub boginkę będą czcili ze szczególnym uwielbieniem. Nie było to nic specjalnego. Już w starożytnym Egipcie miasta czciły konkretnego boga jako głównego opiekuna.

W Świątomarży wybijał z ziemi jeden z dopływów rzeczki Sieradowianki. Co roku mieszkańcy wsi zapychali nurt dziesiątkami kukieł Marzanny, które potem spływały z oporami do rzeki Świśliny. Nieraz komuś pola zalało, bo słomiane Marzanny postanowiły zaprzestać wędrowki i stworzyć mało naturalną tamę.

– Nie psejmujta się – szepnęła najstarsza babina, przy której przyszło mi siedzieć. – One takie zawse. Każdą młódkę chcom psegonić.

– Całkiem w tym skuteczne – wycedziłam.

Pokiwała głową.

– Ano – zgodziła się.

Z jej pomocą szybko skończyłam głowę. Zamocowałyśmy na niej perukę z żółtej włóczki. Przyszyłam ją w kilku miejscach jutowym sznurkiem i dratwą, żeby nie odpadła za szybko. Na koniec przyozdobiłam warkocz czerwoną wstążką.

– Łocy nie te – powiedziała starsuszka, gdy zaproponowałam, by to ona narysowała szczegóły twarzy Marzanny.

Westchnęłam i zabrałam się do malowania węgielkiem. Nie wyglądało to pięknie, ale może ujdzie. Poza tym niechący wyszedł mi jakiś taki kpiący uśmieszek. Pasował jak ulał do Ludomiły. Rumieńce z soku z buraka też wyszły mi krzywo.

Kiedy zamontowałam głowę nad ciałem, wypchany i ubrany w kieckę, zafrapowane gospodynie stanęły za mną. Usłyszałam kilka westchnień i cmoknięć.

– Jak na pierwszy raz... – mruknęła któraś.

– Za rok lepsa wyjdzie. Wprawa we wsystkim potsebna – powiedziała seniorka obok mnie.

Niedoczekanie. Moja noga więcej nie postanie w tym gnieździe zmij. Nawet nie dostałam tej obiecanej herbaty.

– Dobrze, to ja dziękuję za współpracę. Do zobaczenia na obchodach Jarych Godów – pożegnałam się grzecznie, zabrałam torbę i wreszcie je zostawiłam, żeby mogły mnie w spokoju obgadać.

A na pewno to robiły, bo uszy swędziały mnie jeszcze przez kilka godzin.



Nestorka rodu Gałązków nie dożyła tegorocznych Jarych Godów. Zmarła z tych samych nieznanych przyczyn co jej mąż i syn. Pożegnała się z życiem na dzień przed świętami, a dokładnie dobę po swoim małżonku. Rodzina postanowiła pochować wszystkich za jednym zamachem. Podobno wysepili od Barnima w związku z tym zniżkę za pochówek. Mszczuj brał z zasady co łaska, więc żadnych pieniędzy oczywiście za fatygę nie zobaczył. Ja natomiast byłam obecna na pogrzebie tylko w ramach uprzejmości.

I złośliwości. Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie popatrzeć na ich miny.

Odbiło mi się to zresztą bardzo szybko czkawką, bo pozostali przy życiu członkowie rodziny, którzy jak jeden mąż wyglądali na tak samo chorych i wyniszczonych, od razu mnie obskoczyli, prosząc o rady i pomoc.

W końcu nie wytrzymałam nerwowo:

– Proszę państwa. Sami jesteście sobie winni! – wykrzyknęłam, korzystając z okazji, że poza rodziną Gałązków, Mszczujem, Barnimem i mną nikogo innego nie było na cmentarzu.

Cała wieś obawiała się tych nagłych, bardzo podejrzanych i mocno śmierdzących nadnaturalnymi sprawkami śmierci. Poza tym mieszkańcy Bielin i okolic doskonale wiedzieli, w jakim stanie byli członkowie rodziny. Wszyscy bali się, że jeśli nie jest to działanie demoniczne, to na pewno mamy do czynienia z jakąś śmiertelną chorobą, którą z pewnością można łatwo się zarazić.

– Trzeba było mieszać się w boskie sprawy?! – kontynuowałam niezrażona ich przestraszonymi minami. – Może teraz powiecie, co się stało z waszą drogą siostrą Ludomiłą? Co? Teraz już będziecie skłonni wyznać prawdę? Bo ja się jej domyślałam! Tak samo jak domyślałam się, czemu po kolei padacie jak muchy! Hipokryci z was! Tyle wam powiem! Najpierw sami zabawiacie się mocami, których nie rozumiecie, a teraz prosicie o pomoc!

Gdyby nie to, że byli zażółceni od choroby, to pewnie by pobladli. Mszczuj przerwał w pół słowa swoją tradycyjną mowę pogrzebową i wpatrywał się we mnie lekko wytrzeszczonymi oczami. Barnim chichotał po cichu, oparty o łopatę.

Usłyszałam, że kapłan nabiera głęboko powietrza.

– *Weslesie, przewodniku. Ty, który prowadzisz dusze umarłych do swego tajemnego królestwa. Weslesie, prastary boże, opiekuj się duszami przodków naszych. Opiekuj się naszymi duszami, gdy przyjdzie na to czas\** – zakończył na jednym tchu kapłan, bojąc się, że klótnia nie pozwoli mu dokończyć ceremonii.

Barnim chyba także nie zamierzał mieszać się w ten konflikt, bo ochoczo złapał za łopatę i zaczął zasypywać zmrożoną ziemią dołek, w którym leżały trzy urny z prochami. Zdołał przekonać rodzinę, żeby darowali sobie pożegnanie z otwartymi trumnami i po prostu skremowali ciała. Nie przestał się obawiać, że zmarli wstaną któreś nocy i go zaatakują. Przez ostatnie dni nawet nocował na wszelki wypadek u Mszczuja.



Kapłan zatrzasnął księgę z modlitwami, którą posiłkował się przy ważnych uroczystościach, kiedy chciał wyglądać poważnie. Tak naprawdę znał wszystkie teksty na pamięć, ale uważał, że z grubą księgą wygląda dostojniej.

Myłne wrazenie. Kiedy miał na sobie zacerowany kozuszek i wełnianą czapkę z pomponem, tak jak dzisiaj, nic nie było mu w stanie pomóc wyglądać lepiej.

Opatuliłam się szczelniej płaszczem. Na nogach miałam modne w Bielinach gumofilce, które wzułam na wełniane skarpety. Czułam, jak po kolei zamarzają mi palce u stóp. Marzanna miała używanie.

– Musisz nam pomóc.

Przed szereg wysunęła się najstarsza siostra Ludomiły. Twarz tak jej wychudła, że lekko zwisły nos zaczął przypominać haczyk jak u czarownicy z bajek.

– Ja nic nie muszę. Jedyne mogę.

– Jesteś szeptuchą! – oburzyła się.

– No i? Czy moim obowiązkiem jest myśleć za innych ludzi? Skoro wiedzieliście lepiej i chcieliście bawić się w jakieś podejrzone rytuały, to czemu ja mam teraz ten syf oganiać? Poza tym w ogóle nie myśleliście wtedy o innych. Marzanna się na was mści. A jak wy się jej, za przeproszeniem, skończycie, bo już wszystkich was zabije, to zabierze się za innych. Naraziliście na niebezpieczeństwo wszystkich.

Kobieta pokiwała głową.

– Wiem. Byliśmy głupi. Ale nie chcemy umierać. Zrozumieliśmy, na czym polegał nasz błąd. Chcemy go naprawić i się ratować. Prosimy cię o pomoc. Nie musisz jej nam udzielić, ale bardzo cię o nią prosimy.

Poczułam, jak opuszcza mnie napięcie. Żar gniewu gdzieś wygasł. Trochę niepotrzebnie się na nich wyzłościwałam. Już wystarczająco cierpieli przez swoją głupotę. Nie musiałam mieć tej satysfakcji. Nawet trochę nie wypadało.

– Musicie opowiedzieć mi, jak to się wszystko zaczęło – powiedziałam.

– Przepraszam! – Mszczuj przedarł się przez rozdzielającą nas zaspę śnieżną. – Tu jest trochę zimno, a państwo wyglądają na chorych. Może przejdźmy do mojej chaty i tam porozmawiamy, dobrze?

Wszyscy zgodzili się ochoczo i czym prędzej ruszyli w stronę wyjścia. Zasapany Barnim nadal szarpał się z kawałami twardej gliniastej gleby. Machnął ręką i wysapał:

– Idźcie, idźcie. Dokończę sam. Wrócę potem do siebie, jakbyście mnie jeszcze do czegoś potrzebowali.

Chata Mszczuja była maleńka. Kiedy wszyscy się w niej stłoczyliśmy, nawet mimo otworu w dachu, przez który uciekał dym z paleniska, natychmiast zrobiło się duszno i nieprzyjemnie. W powietrzu unosił się zapach śmierci.

Nie wiem, skąd to odczucie. Śmierć nie ma przecież zapachu. A raczej nie ma jej ciała, póki nie opuści go życie. A mimo to rodzina Gałązków zdawała się dziwnie pachnieć. Trochę słodko, jakby mdląco. Bardzo nieprzyjemnie i podejrzanie. Jakby... gnili.

Wycofałam się w stronę Mszczuja i płomieni, które rozniecił w palenisku. W przeciwieństwie do nas goście nie rozebrali się z kapot i czapek. Chyba cały czas było im zimno.

– To od początku – zaproponowałam. – Skąd pomyśł, by Ludomiła stała się Dziewanną?

Najstarsza siostra postanowiła chyba wziąć na siebie cały ciężar odpowiedzi. Dała krok do przodu i zaczęła opowieść szorstkim i niepozabawionym złośliwości głosem.

– Ludzia była zawsze trzpiotką. Nie chciała się wkręcić w żaden rodzinny biznes. My darmożjada, który nie ganił się do roboty i twierdził, że nic nie potrafi, też nie chcieliśmy przygarnąć. Została więc z matulą i tatkiem w Bielinach. Pozakładaliśmy rodzinę, dźwigaliśmy brzemię gospodarki, którą dawno temu przekazał nam tatko. Ona wiecznie balowała, uważała się za królową życia. Nawet nie dokładała się rodzicom do domowych

wydatków. Nie sprzątała, nie gotowała. Wiecznie bujała w obłokach i tylko co chwilę zakochiwała się w nowych mężczyznach.

Pokiwałam głową. Obraz jak na razie był spójny chociażby z tym, co przekazała mi Bronka ze sklepu.

– Spotykała się głównie z żonatymi mężczyznami. Podejrzewam, że dlatego, że tak naprawdę wcale sama nie szukała męża. Chciała się tylko zabawić. A naszej biednej matuli wmawiała, że szuka miłości. Kłamczucha parsz... – Kobietę złapał tak gwałtowny atak kaszlu, że aż zgięła się wpół. Ktoś z rodziny stęknął, jakby zakłuło go w bok, kto inny zaczął masować się po skroniach.

Czekaliśmy cierpliwie, aż się wykaszle. To interesujące, że nawet zgodne z prawdą inwektywy pod adresem ich siostry powodowały zaostrzenie stanu rodziny.

– Jednym z jej kochanków, kilka lat temu, naprawdę już dawno temu, był naukowiec. A w każdym razie tak go opisywała matuli. Jakiś uczonek, który studiował i jeździł po całym kraju. Chyba był jakimś profesorem, bo i tak go nazywała. Poznała go przypadkiem, kiedy poszła do biblioteki w Kielcach.

Chyba było widać na mojej twarzy zaskoczenie, ponieważ od razu pospieszyła z wyjaśnieniem:

– Nie wiem, co robiła w bibliotece. Chyba szukała sponsora dla swoich drogich zachcianek, na które nie dostawała pieniędzy od rodziców. Okręciła sobie wokół palca tego profesora, który był chyba w wieku naszego tatka. A on opowiadał jej bajki o bogach, o których szukał informacji. Dużo mówił jej o matce Mokosz. Zdradził jej, że jeśli sięgnie się do boskiego źródła, to można prosić boga, o co się chce. Powiedział jej, jak dostać się do tego źródła.

– A ten uczonek, jak on się nazywał? – zapytałam.

Poczułam nadzieję. Może wiedział, jak nam pomóc, i znał sposób, by obłąkawić Marzannę. Albo potrafił przywrócić do jej funkcji poprzednią śmiertelniczkę, a Ludzię wysłać do Nawii, żeby już nie broiła.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Nie chciała nam tego zdradzić. O ile ktoś nam nie doniósł plotek, to nie mówiła, jak nazywali się jej kolejni kochankowie. Trzeba jej przyznać, że umiała być dyskretna.

– Szkoda. I co dalej? To ona wpadła na pomysł, żeby skorzystać z wiedzy tego profesora?

– Nie – przyznała kwaśno kobieta. – To był pomysł naszego brata. Jego sad z roku na rok wydawał gorsze owoce. Co chwilę przyplątywała się jakaś choroba albo robactwo. Namówił Ludzię, żeby dopytała profesora, jak podporządkować sobie Mokosz. On wyjaśnił jej, że ze źródła będzie mogła skorzystać tylko raz, a przynajmniej tak Ludzia zrozumiwała. Podobno bogowie zabijają ludzi za czelność korzystania ze źródła. Więc nawet jeśli poprosilibyśmy o łaski, to byłoby to jednorazowe życzenie, a Ludzia zapłaciłaby za to życiem.

Przyznaję, że miało to ręce i nogi. Po co bogowie mieliby się zamieniać w dziny, które spełniają życzenia, kiedy tylko wypowie się ich prawdziwe imię? Skoro nic nie stało na przeszkodzie, by zabili takiego śmiałka, to jasne, że tak robili. Ba, sama bym się w ten sposób pewnie pozbyła problemu.

– Wymyśliliśmy wtedy, że Ludzia mogłaby poprosić Mokosz o to, by sama stała się boginką – kontynuowała kobieta. – Najlepiej jakąś boginką powiązaną z wiosną, naturą. Wtedy sami moglibyśmy kontrolować to, co chcemy, a Ludzia nie straciłaby życia. A co więcej, stałaby się nieśmiertelna. To przecież dobra nagroda za pomoc rodzinie.

– Najwyraźniej Ludomiła ma obecnie odmienne zdanie – zauważyłam.

– Bezczelna gównia... – Kolejny atak kaszlu złapał ją i resztę członków rodziny.

Spojrzeliliśmy na siebie z Mszczujem. Kapłan pochylił się do mnie i szepnął mi do ucha:

– Ona nas chyba podsłuchuje.

Przewróciłam oczami na tę oczywistość. No jasne, że Marzanna nas podsłuchiwała. Mogłam się założyć, że nie odstępowała swoich bliskich nawet na krok. Razem z Mszczujem przejrzelśmy wszystkie moje bestiariusze. Do poszukiwań demonicznej aktywności zagoniłam także Mirkę i kilka innych znajomych szeptuch. Nie istniał demon, który w taki sposób doprowadzałby do śmierci ludzi.

Tak więc, o ile nie był to jakiś zupełnie nowy potwór, bo w końcu nikt nigdy nie powiedział, że nie mogą powstawać nowe gatunki, to mieliśmy do czynienia z klątwą.

Nie podobało mi się to określenie. Owszem, można było skierować na kogoś zły los i odwrócić jego dolę. Sama znalazłam na to nawet sporo sposobów. Oczywiście większość nie działała, raczej funkcjonowała jedynie jako placebo i straszak. Ciągłe zbierałam się, by jedną z nich przetestować na rodzinie czterech braci, którzy byli kłopotliwi dla mieszkańców Bielin. Czekałam wciąż na dobrą okazję.

Jednak świadomość, że istnieją prawdziwe klątwy, takie, które naprawdę działają i wykorzystując złe moce, powoli zabijają, była odrobinę przerażająca. Tutaj z całą pewnością mieliśmy przed oczami efekt takiego uroku.

Dziewanna dawała życie i sprawiała, że to życie kwitło swoją pełnią. Marzanna odwrotnie – potrafiła przynieść śmierć i chorobę. Jak widać, umiała także skutecznie wysysać życie.

– Nasza siostra zgodziła się na to. Usiłowaliśmy dowiedzieć się więcej o źródle. Wiem, że mimo zgody szukała sposobu, by nie stać się boginką – powiedziała schrypniętym głosem najstarsza siostra. – Nie rozumiem czemu. Gdybym ja nie miała męża i trójki dzieci, to nawet bym się nie zastanawiała. Chciałabym być pożyteczna dla mojej rodziny. W końcu dwa lata temu namówiliśmy ją, by wypowiedziała właściwe słowa i porozmawiała z matką Mokosz.

– Aż dwa lata temu? – zdziwiłam się. – I dopiero zeszłego lata przeistoczyła się w Dziewannę?

– Tak. Mokosz przybyła na wezwanie. Zgodziła się spełnić jej prośbę, ale zażądała za nią ceny. O tym nie wiedzieliśmy. Ludzia musiała oddawać jej cześć swoim ciałem. Określoną liczbę razy. Dużą liczbę. – Skrzywiła się. Nierząd siostry, choć na ich prośbę i po ich namowach, chyba bardzo ją mierzył. – Szło jej to bardzo powoli. Wcześniej łajdaczyła się na lewo i prawo, ale jak miało to przynieść nam korzyści, to nagle zaczęła mieć wątpliwości.

Byłam zniesmaczona. Powinno jej być głupio i powinna mieć wyrzuty sumienia, a nie brzydzić się siostrą.

Przypomniałam sobie opowieść Bogusia o tym, jak to Ludzia wypytywała go o źródło, które wszyscy mylnie wzięliśmy za jakieś fizyczne miejsce. Najwyraźniej spłacanie ceny Mokosz wcale jej się nie podobało. Być może chciała się uwolnić od umowy, którą zawarła z boginią.

– W końcu zapłaciła całą cenę – powiedziała kobieta. – Mokosz ukazała jej się we śnie i powiedziała, jak będzie wyglądał proces przemiany. Poinstruowała ją nawet, jak musi zostać pochowana.

Wygłądało na to, że wiedziałam już wszystko. A nawet więcej, niż chciałam wiedzieć. Czułam wstręt do rodziny Ludomiły i głęboko współczułam dziewczynie posiadania takich krewnych. Ona oczywiście także nie była kryształowa. Jednak jej zachowanie nie powinno pociągnąć za sobą aż takich konsekwencji.

– Pomożesz nam czy nie? – zapytała napastliwym tonem jej siostra.

Wypuściłam powietrze powoli przez nos, nakazując sobie spokój. Mszczuj wziął mnie za rękę. Chyba chciał mnie powstrzymać przed wybuchem. Mogłam się założyć, że tak samo jak ja był oburzony całą tą sytuacją. Pewnie wstrząsnęło nim to bardziej niż mną. Był... no cóż, delikatniejszy ode mnie.

– Spróbuję przebłagać Ludomiłę, która obecnie jest Marzanną. Ale nic nie mogę wam obiecać – zastrzegłam.

Kobieta zezłościła się. Nie przekleła jednak na głos. Po prostu odwróciła się i wyszła. Reszta rodziny podążyła za nią potulnie niczym gęsi za pastuszką.

Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, Mszczuj puścił moją rękę i zajął się przygotowaniem wody na herbatę.

– To się porobiło. Masz już jakiś pomysł, Jago? – zapytał.

– Jak na razie nie bardzo. Zobaczmy, co przyniosą jutro obchody Jarych Godów.

---

\* Fragment współczesnej modlitwy *Do Welesa* autorstwa Rafała Merskiego, za: Rafał Merski *Modlitwy słowiańskie*, s. 106, Wrocław, Wydawnictwo Wątrza, 2016.



Pogoda była zimowa. Jak w lutym, a nie pod koniec marca. Śnieg leżał na polanie, na której od lat tradycyjnie odbywał się wiosenny festyn. Wszyscy uczestnicy okutani byli w kożuchy i płaszcze. Kapela coś tam próbowała grać, ale wyglądało na to, że pieką ich z mrozu czubki palców, przez co często nie trafiali w odpowiednie dźwięki. Nie miało to i tak większego znaczenia, ponieważ nikt nie próbował tańczyć na prowizorycznym parkiecie z rozłożonych na ziemi desek. Wielka kolejka stała natomiast przy stoisku z grzany miodem i winem. Sama też miałam ochotę zaraz udać się w tamtą stronę.

Ja także miałam swój kramik. Nasunęłam mocniej na czoło grubą czapkę i poprawiłam jajka leżące przede mną w wiklinowych koszykach. Ozdabiałam je przez ostatnie dni jak szalona. Zawsze dobrze się sprzedawały jako pomyślna wróżba i miły podarek dla rodziny, do której szło się na świąteczny obiad czy jutrzejsze śniadanie.

Poza tym upiekłam kilka małych kołaczy wzbogaconych moją sekretną ziołową mieszanką. Sprzedawałam także ozdobne wiechy. Żeby je zrobić, specjalnie poprzedniego dnia zerwałam się przed świtem i ruszyłam do puszczy. Chciałam zdążyć przed innymi mieszkańcami Bielin i zebrać najpiękniejsze wierzbowe i leszczynowe witki pokryte pąkami bazi. Niestety zima mocno trzymała las w swoim chłodnym uścisku i bazy były malutkie. Zdarzały się lata, że wierzbowe witki przypominały gałęzie oblepione przez szare polne myszki, a teraz mało co sterczało z pąków. Żeby wiechy nie wyglądały lyso, przyozdobiłam je zasuszonymi pękami wrotyczu i obwiązałam kolorowymi wstążkami. Na zółciutki kwiaty forsycji także niestety nie było co liczyć przy tych mrozach.

Jare Gody to bardzo miłe święto. Chyba nawet moje ulubione. Głównie dlatego, że stanowi naturalną granicę pomiędzy zimą a wiosną i począwszy od pierwszego dnia obchodów, zwykle robi się coraz cieplej. Oczywiście pomijając dni chłodnych ogrodników, kiedy przymrozki lubią jeszcze o sobie przypomnieć. Dzisiaj noc zrównywała się z dniem, by od kolejnych dni skracać się aż do Kupalnocki, momentu, gdy stanie się najkrótsza. Kochałam słońce i jego promienie na mojej skórze. Uwielbiałam chodzić na bosaka po trawie. A takich przyjemności człowiek niestety zimą nie uświadczy. Z tego powodu każde Jare Gody napępniały mnie radością.

– Po ile kraszanki? – zapytał mnie jakiś jegomość tak okutany szalikiem na twarzy, że widać mu było tylko oczy.

– Po piętnaście za sztukę – odpowiedziałam.

– Aż po piętnaście? – obruszył się.

– Jajka zdobione przez szeptuchę, nad którymi szeptucha się modliła do bogów o płodność i plony, muszą swoje kosztować – odparłam hardo. – Poza tym są wyjątkowej urody, nie sądzi pan?

Zaperzył się, ale kupił trzy sztuki. Byłam dumna z pisanek. Najpierw farbowałam je w różnych barwnikach, a potem cieniutkim nożykiem wydrapywałam wzorki. Tak zawsze ozdabiano jajka w moim rodzinnym domu. Zamierzałam podtrzymywać tę tradycję, póki sił i wzroku mi starczy.

– Witaj, Jagusiu! – Mszczuj był w wyśmienitym humorze.

– A, dzień dobry. – Posłałam mu rozbawiony uśmiech, kiedy zobaczyłam, co ścisła w dłoniach.

– Poczęstujesz się grzany winem? – zaproponował i podał mi kubek.

– Nie odmówię ci, mężu – odparłam, zanim ugryzłam się w język.

Jego oczy lekko się rozszerzyły, ale nie skomentował moich słów. Ja za to przeklełam się w myślach i szybko przełknęłam łyk wina, boleśnie parząc sobie przełyk. Ani razu, odkąd wzięliśmy swacbę, nie nazwałam go głośno moim mężem. Zdarzało mi się zrobić to w myślach, z czystej ciekawości. Nie wiem, co teraz mi strzeliło do głowy, że użyłam tego zwrotu. Zwłaszcza w momencie, gdy on stał obok. Z zimna już mi chyba mózg zamarzał.

– Zaraz zaczyna się ceremonia? – zmieniłam temat.

– Tak, tak. Już ludzie od wójta ułożyli stos drewna, zaraz zacznę przemowę i oficjalne powitanie wiosny. Chłopcy z ochotniczej straży pożarnej też już przyjechali, mają pochodnie i zaraz pobiegną na wzgórze i skrzyżowania, żeby zapalić i tam rytualny ogień.

Westchnęłam w duchu, bo nie musiał mi tego tłumaczyć. Przecież to nie były moje pierwsze Jare Gody w Bielinach. Wiedziałam, jak przebiega tutaj cała ceremonia.

– Wzięłam lampion na żywy ogień. – Schyliłam się i spod lady prowizorycznego kramu wyciągnęłam zamkniętą w szklanym kloszu świeczkę. Klosz obleczony był sznurkiem, dzięki czemu łatwo było go nieść za długie uszy.

– O, ja zapomniałem – zmartwił się. – Żagiewko znowu mi zgaśnie, tak jak w zeszłym roku. Gdy będziemy wracać, to zajrzemy do mojej chaty i podpalimy palenisko od twojej świecy?

– Oczywiście. A potem... może potem przyjdiesz do mnie na obiad? Nagotowałam żurku na kielbasie. Mam oczywiście też faszerowane jajka.

– Faszerowane jajka! – Oczy mu zabłyśły.

Dobrze wiedziałam, co łasuch lubi, i dlatego to przygotowałam. Chciałam, żeby to Jare Święto różniło się od ostatnich Szczodrych Godów. Można powiedzieć, że nie byliśmy wtedy z Mszczujem w zbyt dobrych stosunkach. Śmierć Ścibory na długo położyła się cieniem na naszej przyjaźni. Kapłan nie mógł po tym dojść do siebie. Nie miał ochoty na wspólne świętowanie zimowego przesilenia, które jest przecież bardzo rodzinnym świętem. Usiłował wtedy naprawić stosunki z rodzicami.

Pojechał do nich w grudniu, ale nawet nie otworzyli mu drzwi. Nie chcieli z nim rozmawiać. To wszystko razem sprawiło, że odmówił odwiedzenia mnie w Szczodre i zamknął się w swojej chacie. Podejrzewam, że za dużo pił i usiłował za pomocą ziół dostrzec przyszłość w rytualnym ogniu. Czy udało mu się coś zobaczyć?

Chyba nie. A w każdym razie nie podzielił się tym ze mną.

Nie poznawałam w tej chwili samej siebie, ale naprawdę tęskniłam za Mszczujem, z którym mogłam o wszystkim pogadać. Nie wiem, czego teraz oczekiwałam. Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że byliśmy sobie poślubieni. Ale na pewno nie chciałam spędzać świąt samotnie, skoro mogłam to zrobić z kimś, kogo... no... lubię, tak jakby.

– Spróbuję w tym roku innych modlitw – oświadczył.

– Chcesz się narazić wójtowi? – zakpiłam.

– Wójt nawet nie zauważy.

– Kółko gospodyń wiejskich na pewno zwróci na to uwagę.

– Z nimi sobie poradzę. Uwielbiają mnie – odparł z przekonaniem.

– Noo... – wyraziłam powątpiewanie.

– Dłaczego niby miałyby mnie nie lubić?

– Bo masz żonę. Teraz już nie mogą cię swatać na coniedzielnych obiadkach. Sam przecież zauważyłeś, że przestały już tak często cię zapraszać.

Stropił się i podrapał po głowie zwieńczonej kasztanowymi lokami. Nie wiem, jakim cudem nie zamarzał bez czapki. To chyba ta bujna czupryna musiała go tak grzać.

- Może coś w tym jest – zgodził się zafrapowany.
- Spokojnie, możesz wpadać do mnie na obiady – zaproponowałam beztrzesko.
- Naprawdę...? – Miał podejrzliwy wyraz twarzy.
- W zamian możesz mi rąbać drwa na opał. Okrutnie tego nie lubię.

Zaśmiał się z widoczną ulgą. A ja znowu miałam ochotę ugryźć się w język. Co się ze mną działo? Co to za tydzień dobroci? Jeszcze chwila i mu oświadczę, że go lubię! Postanowiłam się ogarnąć. Samotność zdecydowanie za bardzo dała mi się we znaki i robiłam się nieostrożna.

– Piękne kraszanki – pochwalił. – Nawet nie wiedziałem, że można wybarwić je na tyle kolorów!

– Chcesz jakąś?

– A chętnie.

– To którą wybierasz?

– Niebieską. Wygląda trochę jak jajko szpaka, tylko oczywiście jest większe.

– Wybarwiłam ją w płatkach bławatka – wyjaśniłam.

– Dziękuję ci – powiedział, chowając jajko do kieszeni. Za nim ustawiła się już całkiem niezła kolejka po moje specjały. – Idę czynić powinność. Znajdę cię później na festynie.

Pożegnałam go zdawkowo i skupiłam się na sprzedaży. Chciałam pozbyć się wszystkiego jak najszybciej, żeby potem już nie pilnować stoiska. Na szczęście mieszkańcy i turyści, którzy przyjeżdżali do nas na festyn, już dobrze wiedzieli, że nie dla każdego starczy moich wyrobów, więc starali się przyjść wcześniej, jeszcze przed oficjalnymi obchodami.

Nie wiem kiedy, ale nagle zniknęły wszystkie moje wiechy i kołaczki. Jajek też zostało tylko kilka w koszyczku. Wszyscy uczestnicy obchodów skierowali się natomiast w stronę polany, na której miał zapłonąć rytualny żywy ogień.

Złapałam koszyk z ostatnimi kraszankami, żeby nikt ich nie ukradł, gdy mnie nie będzie. Lampionu na razie nie zabierałam. Zamierzałam podpalić świeczkę tuż przed powrotem do domu. Nasunęłam na zziębnięte dłonie rękawiczki i ruszyłam w tamtą stronę. Chciałam być w pobliżu niewielkiej sceny zbitej z krzywych desek, na której ustawił się Mszczuj.

– Stańcie w kole, zaraz złożymy żertwę – zapowiedział kapłan.

Znajdujący się obok niego wójt pokiwał głową i chuchnął w dłoń. Miał na sobie dwurzędowy garnitur, na który narzucił podszyty wiatrem płaszcz. Rozumiem, że chciał wyglądać elegancko, ale coś mi się widziało, że niedługo przybędzie do mnie po specyfiki na przeziębienie.

Jeden ze strażaków ukląkł przy palenisku i sprawnie rozпалиł ogień. Czekaliśmy w napięciu, aż języki zaczną pochłaniać podpałkę i przeskoczą na grube kawałki drewna.

– Ugośmy i powitajmy naszych przodków przybyłych z Nawii, ofiarowując im ogień dla ogrzania oraz strawę i napitek do pokrzepienia. Palmy ogień, by o nich pamiętać. Za zmarłych! – Mszczuj wypowiedział standardową formułę, od której zwykle zaczynał.

– Za zmarłych – powtórzyłam posłusznie, tak jak pozostali uczestnicy uroczystości.

Mszczuj miał przygotowaną całą torbę danin dla bogów, powiązanych czerwonymi kawałkami sznurka bądź wsadzonych w woreczki. Wyciągnął zwitek ziół i wrzucił do ognia. Płomienie chciwie pożarły żertwę.

– *Świętowie! Przybądź do nas. Niech wszyscy usłyszą twój grzot! Oto miód, który wspomóże naszą siłę i zapał bitewny.* – W ogniu wylądowało trochę miodu pitnego. – *Swarożycu, ojcze ognia! Przybądź do nas. Ogrzej nas swymi płomieniami!* – Teraz garść zboża. – *Welesie, Trzygłowie, który sprawujesz władzę nad Nawią. Pasterzu dusz. Przybądź do nas!* – W ogniu wylądowała zwierzęca kość. – *Mokosz, nasza matko! Dziękujemy ci za plony i dary, którymi nas obdarzasz! Przybądź do nas. Przebudź się!* – Mówiąc to, skropił ogień mlekiem.

Westchnęłam z nudów. I gdzie ta nowość, którą chciał wprowadzić? Jak na razie ta sama standardowa modlitwa, którą klepał co roku.

– A teraz zaprosmy Jaryłę – oświadczył. – *Włóczył się Jaryło po całym świecie. Rodził żyto w polu, dawał ludziom dzieci. A gdzież on nogą, tam żyto kopną. A gdzież on na ziarnie, tam kłos zakwitnie. Ja po polu chodziłem, rosę rosilem. Ja po miedzy chodziłem, żyto rodziłem. Ja po borze chodziłem, roje osadzałem. Ja do chat zaglądałem, pociech przysparzałem.*

Kapłan uśmiechnął się z zadowoleniem. Przewróciłam oczami. Jeden wierszyk, a dokładniej inwokacja do Jaryły, miał być tą innowacją? No nie postarał się. Chociaż może nie mógł bardziej zaszaleć, boby go tradycjonałiści na taczkach wywieźli.

Reszta obchodów wyglądała normalnie. Każdy skosztował kołacza upieczonego w ilościach hurtowych przez kółko gospodyń wiejskich. Teoretycznie to ja powinnam go piec, ale nie miałam tylu sił przerobowych, żeby upichcić kilkadziesiąt placków. To nie była skomplikowana robota, ale bardzo czasochłonna.

Miałam jednak smutne przeczucie, że kółko gospodyń wiejskich przestanie mi wyświadczać tę przysługę po tym, jak ostatnio im podpadłam.

Potem rozlano rozwodniony miód i wszyscy zaczęli podawać sobie kubki, z których każdy upijał łyk. Mało higieniczne. Alkohol zabijał część zarazków, niemniej jednak i tak po każdym Jarych Godach miałam kolejkę zakatarzonych pacjentów.

Mszczuj tymczasem skończył ceremonię. Niektórzy zaczęli podchodzić do ognia, by zapalić swoje świece. Spojrzałam do góry, na niebo zasnutę stalowoszarymi chmurami. Bóg wiosny, Jaryło, tradycyjnie po zakończeniu obchodów powinien zesłać deszcz, by zapłodnić za jego pomocą Mokosz. Niestety, wcale się na to nie zapowiadało. Co prawda chmury były ciemne, ale prędzej spadnie śnieg niż deszcz.

– Od lat nie było tak brzydko – usłyszałam narzekania jakiejś babuleńki.

– Coś jest nie tak z tą pogodą – zawtórował jej jakiś mężczyzna. – Moje zwierzęta są zaniepokojone. Krowy czują takie rzeczy. Bogowie chyba gniewają się na nas.

Poczekalam, aż Mszczuj zejdzie do mnie z platformy. Rozmowy przeniosły się bliżej kramów z ciepłym pićciem i jedzeniem.

– I jak było? – zapytał kapłan, stając obok mnie.

– Innowacyjnie – zakpiłam.

– Prawda? – ucieszył się, nie słysząc mojej ironii. – Cieszę się, że dodałem coś nowego. Coś od siebie. Mam wrażenie, że ludziom się spodobało.

Wzięłam go pod ramię i ruszyliśmy w stronę rzeczki Bielinianki, w której za chwilę miała wylądować kukła Marzanny. To, zaraz po wspólnej modlitwie do bogów, był drugi najważniejszy punkt oficjalnych obchodów. Po nim spora część osób zapewne opuści festyn i wróci do ciepłych domów. Nie wydawało mi się, żeby w tym roku potańcówka miała się udać.

Kółko gospodyń wiejskich stało z dumnymi minami obok wykonanej przez siebie kukły. Okutane w grube kapoty, drżały na wietrze niby stadko przestraszonych kur. Nie dołączyłam do nich. Zostałam przy Mszczuju.

Gdy wyglądało na to, że zgromadzili się wszyscy chętni na oglądanie topienia Marzanny, grupa śmiazków złapała kukłę i ruszyła z nią w stronę wody. Chórek dzieciaków, z wiankami uplecionymi ze sztucznych kwiatów, jako że prawdziwych jeszcze nie było, zaczął śpiewać nierówno:

– *Maro, Maro sroga pani, rządziłaś na świecie. Nowy wiatr już do nas wieje, wiosnę nam już niesie. Bywaj, Maro, sroga pani, do królestwa swego. My gaiczek już stroimy, znak życia nowego. Odejdź, martwe, odejdź, stare, my palimy ogień jare<sup>\*</sup>.*

Mężczyźni zamachnęli się i wrzucili kukłę w spokojne wody lodowatej Bielinianki. Rzeczka była tu dość wąska, rozszerzała się dopiero za kilkanaście metrów. Słomiana



Marzanna wylądowała jednak idealnie. Nic nie wskazywało na to, że miałyby zaplątać się w suche i martwe jeszcze przybrzeżne trawy.

Dzieci jak szalone zaczęły hałasować drewnianymi grzechotkami. Miało to przywołać burzę i zesłać nam płodne krople Jaryły.

Hałas niósł się po całej okolicy, a Marzanna, zamiast grzecznie popłynąć z prądem, tkwiła na powierzchni. Ani myślała ruszyć się w którymkolwiek kierunku. Część osób tego nie zauważyła, ponieważ akurat zerwał się okropny wichur, rzucając nam po twarzach śniegiem. Większość uczestników ceremonii odwróciła się więc więc czym prędzej od rzeki i ruszyła biegiem w stronę swoich ciepłych domów.

– Co, do cholery?! – syknęłam i podeszłam bliżej brzegu, ciągnąc za sobą Mszczuja.

Mężczyźni, którzy wrzucili kukłę, patrzyli na nią w zdziwieniu, tak samo jak dziecięcy chórek i kółko gospodyń wiejskich. Wszyscy zbliżyliśmy się i wbiliśmy natrętne spojrzenia w kukłę, która jak gdyby nigdy nic leżała sobie na powierzchni wody i uśmiechała się do nas szyderczo swoimi ustami, krzywo przeze mnie narysowanymi.

– Nie tonie – zauważył odkrywco jeden z mężczyzn.



\* Tekst piosenki *Maro, Maro*, wyk. Stworz, album *Zagony bogów*, 2015.



– Może pod spodem lód był? – dało się słyszeć z tłumu.

– Pani, gdzie lód? Żem nie widział – obruszył się mężczyzna odpowiedzialny za wodowanie kukły.

– Może za lekka? – zasugerował ktoś inny.

– Taka sama jak co roku! – obruszyła się tym razem jedna ze starszek.

Kobieciny miały na sobie tyle warstw ubrań, że nie byłam pewna, czy to ta babcia, której nie lubię z wzajemnością, czy może inna.

– Nie taka sama. Nasza szeptucha coś do niej dodała przecie.

Oho. To była ta pachnąca naftaliną staruszka. Zapachu oczywiście nie było czuć, usłyszałam jedynie jad w jej głosie. Niepowtarzalny.

– Dodatkowe gałęzie raczej nie sprawiły, że zwiększyła jej się tak gwałtownie wyporność – odrzyknęłam, żeby na pewno mnie usłyszała.

– I co teraz? – Jeden z mężczyzn spojrział w moją stronę.

– Ja to załatwię – powiedziałam.

– A może ja popchnę – zaferował i już zaczął się schylać w stronę Marzanny.

– Stop! – ryknęłam. – Nie wolno dotknąć kukły gołą ręką, kiedy już trafiła do wody. Bo ręka panu uschnie.

Posłusznie i bardzo szybko wycofał się w stronę reszty tłumu.

– Nie przesadzasz? – zapytał szeptem Mszczuj. – To tylko zabobony.

– Gdyby nie fakt, że prawdziwa Marzanna macza w tym palce, to też bym tak uważała. Teraz jednak myślę, że powinniśmy być ostrożniejsi. Kto wie, co jej chodzi po głowie. Może faktycznie chłopy by łapa uschła. Ja tego leczyć potem nie będę.

Przewidując kłopoty, tłum dookoła nas jeszcze bardziej się przprzedził. Dzieciący chórek został odciążony na bezpieczną odległość. Mnie było to na rękę. Wołałam nie mieć publiczności. Niestety kółko gospodyń wiejskich stało jak słupy soli. Wójt też, nie wiadomo skąd, się napatoczył.

– Wiedziałam, że trzeba było zrobić taką kukłę jak rok temu. Nasza Marzanna zawsze tonęła – odezwała się moja „ulubiona” gospodyni.

– Co się dzieje? – zapytał wójt. – Dotarły do mnie wieści, że jest jakiś problem.

– Nie ma żadnego problemu. Nasza Marzanna ma humory – odpowiedziałam.

Wręczyłam Mszczujowi koszyk z jajkami i podniosłam z ziemi ułamaną gałąź. Gołą ręką nie zamierzałam dotykać kukły, ale patykiem jak najbardziej mogłam cholerę dźgnąć. Może ta prawdziwa poczuje. Na wszelki wypadek zostawiłam też na dłoniach rękawiczki. Nie byłam co prawda stuprocentowo pewna, czy cienka cieleca skórka powstrzyma działanie klątwy i ręce mi nie uschną, ale na pewno lepsze to niż nic.

– Jeżeli zamierzają się państwo oddalić do ciepłych domów, to tylko chciałabym państwu przypomnieć kilka przesądów związanych z topieniem Marzanny – powiedziałam głośno. – Kiedy już się odwrócimy do niej plecami, to nie zerkamy przez ramię, bo zachorujemy w nadchodzącym roku. Proszę także patrzeć pod nogi. Ten, kto się potknie, umrze w nadchodzącym roku. Miłych Jarych Godów. Do widzenia.

Większość osób, łącznie z wójtem, odeszła pospiesznie. Wszyscy wpatrywali się uważnie pod nogi, zamiast zerkać na mnie. Na coś te zabobony jednak się przydawały.

Kółko gospodyń wiejskich zostało. Ani jedna się nie ruszyła, chociaż słyszałam, jak zaniepokojone córki czy synowe usiłowały przekonać nestorki rodu do powrotu z wnukami i prawnukami do domów.

Bezskutecznie oczywiście...

– Jago, ja nie wiem, czy to dobry pomysł. Przecież kiedyś zatonie. Wystarczy ją tu zostawić – zauważył, słusznie poniekąd, Mszczuj.

– Teraz to sprawa honoru – burknęłam.

Trzymając mocno kij w dłoni, zsunęłam się delikatnie w moich gumofilcach na płyciznę. Jedną nogę zostawiłam na brzegu, robiąc niemalże szpagat nad suchymi badyłami. Dno Bieliniarki było bardzo mułowate i śliskie. Od razu poczułam mocny chłód zaciskający palce na mojej stopie, która spadła po kostkę w wodę.

Wyciągnęłam rękę i spróbowałam dosięgnąć kukły czubkiem kija. Niestety mężczyźni rzucili ją daleko. Ledwo udało mi się musnąć patykiem fragment jej kolorowej sukienki. Oczywiście ani drgnęła. Nadal leżała płasko na falującej powierzchni, nic sobie nie robiąc z prądów.

– Jago, może daj mi rękę i ci pomogę.

Mszczuj odstawił koszyk na ziemię i zanim zdążyłam zaprotestować, mocno złapał mnie za wolną dłoń. Zaparł się obiema stopami o ziemię, dzięki czemu mogłam zsunąć drugą stopę do rzeczki. Niechcący zapadłam się głębiej. Woda sięgała mi już za połowę łydek, chociaż ledwo co do niej weszłam. Sapnęłam, kiedy paraliżujące zimno zaatakowało moje nogi. Na szczęście do brzegu gumiaków zostało jeszcze kilka centymetrów. O ile mnie fala nie podmyje, to powinnam wyjść nie tylko z twarzą z tej potyczki, ale też z suchymi nogami.

Niby taki płytki ciek, a jakoś podejrzenie głęboko przy samym brzegu.

Kiedy już miałam dosięgnąć Marzanny, ta odsunęła się ode mnie. Zamrugałam zaskoczona.

– O, płynie! – zawołała jedna z gospodyń wiejskich, potwierdzając moje przypuszczenie.

– O, już nie – dodała zgryźliwie druga.

Faktycznie. Kukła zatrzymała się jakieś piętnaście centymetrów dalej i znowu ani myślała drgnąć ani zatonać. Nie miałam już żadnych wątpliwości, że to Ludomiła robiła sobie ze mnie żarty. Poczułam wściekłość.

Ta kukła zatonie albo nie nazywam się Jarogniewa!!!

– Puść mnie, Mszczuju – rozkazałam, próbując oswobodzić palce.

– To zły pomysł. Woda jest lodowata. Będziesz chora, jak się zmoczysz.

– Puszczaj, mówię – wycedziłam, patrząc mu prosto w oczy.

Puścił w jednej chwili.

Ostrożnie dałam krok w stronę Marzanny, pilnując, by but nie poślizgnął się na dnie pełnym zgniłych po zimie roślin. Sapnęłam, kiedy woda wdarła mi się do butów.

– O bogowie, o cholera, jaka zimna – wyjąkałam, zanim zdążyłam się powstrzymać.

– Niech szeptucha wyjdzie, to głupota – powiedziała jedna z gospodyń. – Kapłan ma rację. Przeziębi się tylko.

Teraz im się, cholera, zebrało na wątpliwości.

Zrobiłam kolejny krok. Woda sięgała mi już za kolana. Dobrze wiedziałam, że Bieliniarka nie jest głęboka. Na samym środku nurtu mężczyźni sięga do połowy ud, więc mnie, przy moim lichym wzroście, pewnie do pępka. Mimo to czarny odmęt zdawał się bezdenny.

Kukła była już na wyciągnięcie mojego patyka, a nawet ręki. Dźgnęłam ją i spróbowałam wepchnąć pod wodę. Ze zdziwieniem napotkałam duży opór. Odrobinę się

zanurzyła, żeby zaraz znowu wyskoczyć jak korek od butelki. Zupełnie jakby miała gdzieś pod spódnicą ukryte baloniki z powietrzem.

Zerknęłam na kółko gospodyń wiejskich i odszukałam wzrokiem tę, która była mi najmniej przychylna. Szczerze mówiąc, to spodziewałam się po niej najgorszego. Również tego, że sabotowała topienie Marzanny, by udowodnić mi, że do niczego się nie nadaję.

Ona jednak miała taką samą zafrasowaną minę jak inne staruszki. Genialna aktorka? Czy może faktycznie nie miała z tym zjawiskiem nic wspólnego?

Poczułam lekkie mdłości. Być może to nie była żadna sztuczka i wcale sama się nie unosiła. Być może ktoś ją trzymał od spodu.

Cała moja pewność siebie w jednej chwili wyparowała. Zanurzyłam kij pod wodę, mocząc niestety przy tym rękę. Zamachałam nim pod powierzchnią, tu, gdzie akurat powinien znajdować się ktoś, kto by trzymał kukłę.

Na szczęście nie napotkałam żadnego oporu.

Odetchnęłam z ulgą i zrobiłam krok do przodu, chcąc mocniej dźgnąć Marzannę, gdy nagle poczułam czyjeś zimne ręce łapiące mnie pod kolanami. Szarpnęły mocno.

Pisnęłam i w jednej chwili znalazłam się cała pod powierzchnią. Czapka zsunęła mi się z głowy, a włosy przykleiły się do czoła. Zaczęłam wściekle machać kijem, rozchlapując wodę. Na szczęście dotyk zniknął tak szybko, jak się pojawił, więc zerwałam się na równe nogi i czym prędzej wynurzyłam.

Parskając, zaczerpnęłam głęboko lodowatego powietrza. Do moich uszu dobiegł pisk kobiet i krzyk Mszczyja. Już się oczywiście gramolił za mną do wody.

– Wyłaż natychmiast! – rozkazałam stanowczo. – Tylko się poślizgnęłam!

Miał już jedną nogę w wodzie, ale posłusznie ją wyjął.

– Niech wyjdzie!

– To głupota!

– Na suchoty zemrze!

Nie zwracałam uwagi na lamentujące gospodynie wiejskie. Odrzuciłam patyk i machając rękami, czym prędzej podeszłam do śmiejącej się ze mnie kukły. Za nic miałam już przesady i zabobony.

Złapałam ją przez rękawiczki za słomianą szyję i przydusiłam do wody. Stawiała opór, jakby ją coś od spodu odpychało. Zamachałam gumofilcem pod wodą, żeby przegnać utopca, wodnika czy inne cholerstwo, które Śmierciucha wezwała, bo znowu zaczynało mi się dobierać do nóg.

– Toń – wycedziłam przez zęby.

– Ani myślę. – W mojej głowie rozległ się szept.

Znałam ten głos. To Ludomiła. Czyli dobrze mi się wydawało, że robi mi na złość.

– Mało ci? Najpierw mnie oszukałaś, a teraz wstyd mi przynosisz? – warknęłam, szarpiąc się z Marzanną.

Nie wiem, jak moje wysiłki wyglądały z boku, ale czułam się tak, jakbym walczyła z prawdziwym, a nie słomianym przeciwnikiem. W którymś momencie dostałam nawet gałęziastą ręką prosto w twarz.

– Trzeba było nie dodawać głogu do kukły – skwitowała.

Poczułam mściwą satysfakcję.

– Przecież to twoja święta roślina, nie pasuje ci? – odszepnęłam.

– Wsadzenie jej w głowę było złośliwością.

– Już narobiłaś mi wstydu. Możemy uznać, że jesteśmy kwita, i pozwolisz zatonać kukłę?

– Mam jeden warunek.

– Jaki?

Przywalałam słomianej Marze pięścią prosto w twarz, ale ani drgnęła. Chyba jednak mogłam uznać, że moje ciosy nie robią na niej wrażenia.

– Nie pomożesz mojej rodzinie. Nie powiedzieli ci całej prawdy. Mam z nimi rachunki do wyrównania.

Nie miałam z tym zbyt wielkiego problemu, bo nie bardzo chciałam im pomagać.

– Nie... nie... nie zabijaj ich – poprosiłam jednak. – To nie jest dobry pomysł. Możesz im po prostu uprzykrzać życie, psuć plo-plo-plony.

– Chcę, by cierpieli.

– Już cierpią, a jak ich za-za-za-zabijesz, to skończy się twoja za-za-za-zabawa.

Coraz mocniej szczękałam zębami z zimna. Jeszcze chwila i faktycznie tak się wychłodzę, że dostanę zapalenia płuc.

– Hm – mruknęła. – Jakaś rację masz...

– Spo-spo-spotkaj się dzi-dzi-dzisiaj ze mną i z Msz-msz-mszczujem po zmroku przy je-jeziorku w le-le-lesie.

– Po co?

– Mu-mu-musimy po-po-po-porozmawiać.

Ręce zaczynały mi drętwieć. Już ledwo mówiłam. Czułam, że robię się spowolniała z zimna.

– Dobrze. Faktycznie ciężko cię teraz zrozumieć – przyznała. – Do zobaczenia, szeptucho.

W jednej chwili kukła odplynęła z prądem. Szczękając zębami i drżąc na całym ciele, ruszyłam w stronę brzegu, na którym wiwatowało kółko gospodyń wiejskich.

– Brawo! – zawołała jedna z nich. – To wyglądało jak prawdziwa walka.

Miałam tylko tyle sił, by im kiwnąć głową.

– Drogie panie, wygląda na to, że wiosna jednak będzie. Pozwólcie, że zabiorę żonę, by się ogrzała – powiedział kapłan.

Narzucił na mnie swój płaszcz, z głośnym stęknieniem złapał mnie na ręce i lekko się zataczając pod ciężarem moim i moich przesiąkniętych wodą ubrań, ruszył w stronę swojej chaty.

– Czy to było potrzebne? – zapytał.

– Tak – mruknęłam, bo tylko tyle potrafiłam w tej chwili wydusić spomiędzy sinych warg.



Zaczęłam odpływać z zimna. Jak przez mgłę pamiętałam, że dotoczyliśmy się w końcu pod jego chatę. Mszczuj zapakował mnie do swojego samochodu, a potem ruszył z kopyta do mojego domu.

Przebudziłam się, kiedy coś mnie oparzyło w usta. Było mi ciepło, przyjemnie i bezpiecznie. Nie miałam ochoty opuszczać krainy snów.

Uchyliłam powieki. Pół leżałam, pół siedziałam w moim łóżku, opatulona pierzyną po samą szyję. Tuż pod moim nosem znajdował się kubek z gorącą wodą, trzymany przez męską dłoń. Z tego, co zdążyłam zauważyć, oprócz majtek nie miałam na sobie żadnego ubrania. Przyjemnie grzało mnie za plecami i po bokach czyjeś również nagie ciało. Pod kuchnią kafłową mocno huczał ogień, nagrzewając całą izbę. Feluś leżał rozciągnięty na drewnianej podłodze w pobliżu pieca i jak przystało na kota, rozpuszczał się, tak mu było dobrze.

Zaczęłam macać rękami pod pierzyną. Po bokach miałam chude i owłosione męskie nogi. Za plecami goły, również owłosiony, tors.

– Mszczuju, mam nadzieję, że to ty – mruknęłam.

– A kogo innego się spodziewałaś? – obruszył się.

Wykręciłam głowę i spojrzałam na niego. W jego oczach widziałam rozbawienie, ale też nutkę niepewności. Chyba naprawdę podejrzewał, że mogłam spodziewać się kogoś innego w swoim łóżku.

– Czemu jesteście gołi? – zapytałam.

– Czytałem kiedyś w takim poradniku przetrwania, że jak ktoś się gwałtownie wychłodzi, to trzeba go rozebrać i najlepiej przytulić, także będąc rozebrany. Żeby szybciej przekazywać swoje ciepło. Poza tym oboje mamy bieliznę – zaprotestował.

– Ja nie mam stanika.

– Nie mam wytłumaczenia.

Zachichotałam.

– Dobrze się czujesz? – był zatroskany. – Byłaś trupio biała i traciłaś co chwilę przytomność. Już dość długo tu jesteście. Bałem się, czy nie trzeba zabrać cię do szpitala.

– Chyba za bardzo się wychłodziłam.

– Ta woda na pewno miała koło zera. Przy brzegu było nawet trochę lodu.

– Bez przesady, pewnie z osiem, może więcej.

– Tak czy siak, za mało na takie kąpiele. A teraz opowiedz mi, co się działo. Z boku wyglądało to dość przerażająco.

Wtuliłam się w jego przyjemnie ciepłe ciało. Głowę oparłam w zagłębieniu jego szyi. Objął mnie ramionami, pilnując, aby niechący nie dotknąć piersi, co oczywiście jeszcze bardziej mnie rozbawiło.

– Rozmawiałam z Ludomiłą.

– Ach tak?

– Tak, nie bredzę. Cholera trzymała kukłę i nie pozwalała jej pójść na dno. Robiła mi na złość, bo dodałam do niej gałęzi głogu.

– A czemu dodałaś do niej gałęzi głogu?

Poruszyłam się niespokojnie.

– Ano żeby zrobić jej na złość... – mruknęłam.

Teraz to on się zaśmiał. Popiłam łyk wody, która na szczęście już nie była taka gorąca. Czułam się okrutnie zmęczona. Zimna Bielinianka chyba wyssała ze mnie większość sił.

– Poprosiłam, żeby nie zabijała członków swojej rodziny.

– Och, a ona co powiedziała? – zapytał.

– Że wolałaby ich zabić.

– Hm... to chyba mamy problem – skwitował.

– Próbowałam ją przekonać, że bardziej satysfakcjonujące będzie regularne psucie im plonów niż szybka śmierć.

– To chyba też nie jest dobre rozwiązanie tego konfliktu – zauważył.

– Lepsze od natychmiastowej śmierci – zauważyłam.

– No nie wiem. A udało ci się ją przekonać do swojego pomysłu?

– Chyba nie do końca. Ciężko mi było rozmawiać. W tej rzece naprawdę było pioruńsko zimno. Umówiłam się z nią, że dzisiaj po zmroku spotkamy się przy jeziorku. Chcę z nią spokojnie porozmawiać.

– Po zmroku? – upewnił się.

– A co?

Usiadłam gwałtownie i wyjrzałam przez okno. Na szczęście było jeszcze jasno. Chyba że...

– Nie spałam chyba kilku dni? – wydusiłam z przestraczem.

– Nie, ledwie dwie godziny, ale do zmroku już niedługo. Poza tym nie wydaje mi się, że po takim wychłodzeniu powinnaś spacerować dzisiaj po zimnie.

– Nie mam wyboru! – zaprotestowałam. – Ona ciągle jest Marzanną.

– No i?

– Dzisiaj powinna przeistoczyć się w Dziewannę, a tego nie zrobiła. To dlatego jest tak zimno. Jaryło nie zesłał deszczu. Wszystko się miesza.

– Myślisz, że uda ci się ją przekonać do... własnej śmierci?

– My ją przekonamy – poprawiłam go. – Chciałabym też poprosić o pomoc Jaryłę.

– A w jaki sposób?

– Coś wymyślę. Zwabimy go tam.

– Ambitne plany, Jago.

Wypiłam pół kubka wody. Miłe ciepło rozgrzało mnie od środka. Poczulałam, że nabieram energii. Wychyliłam się i odstawiłam go na podłogę. Nabrałam sił. Byłam gotowa stanąć na nogi. Niespodziewanie zakręciło mi się w głowie.

– To była woda?

– Nie poczułaś? – zdziwił się. – Dodałem do niej spirytusu, żeby cię rozgrzał.

Och, to wiele tłumaczyło. Zaczęłam się wic pod pierzyną.

– Co robisz? – zdziwił się.

Wysunęłam rękę spod pościeli i rzuciłam na ziemię majtki. Następnie wykręciłam się do Mszczuja i usiadłam na nim okrakiem. Na policzkach kapłana pojawiły się głębokie rumieńce, a jego oczy niemalże rzucały iskry.

– Nie mieliśmy należytej nocy posłubnej – oświadczyłam, kładąc mu ręce na ramionach.

Przelknął głośno ślinę. Jego grdyka podskoczyła nerwowo.

– Chyba za dużo tego spirytusu dolałem – wydusił.

– Ja tam nie narzekam.

Pochyliłam się do niego i szepnęłam mu prosto do ucha:

– To teraz rozgrzej mnie od środka, mężu.

Nie musiałam dłużej go namawiać.



– Na pewno masz suchą kapotę? – zapytał.

– Już przestań być taką matką kwoką – zbesztalam go. – Wystarczająco suchą.

– Martwię się tylko.

– Wiem. – Posłałam mu ciepły uśmiech znad płomieni.

Siedzieliśmy przy ognisku, na polance koło jeziora. Na szczęście w chatce myśliwskiej było wystarczająco dużo suchego drewna, żebyśmy zdołali je rozpalić. Ludomiła się spóźniała. Zmrok już zapadł, puszcza pogrążyła się w grafitowych ciemnościach, a jej wciąż nie było. Zaczynałam się zastanawiać, czy aby mnie nie okłamała.

– Powinniśmy teraz kończyć wieczerzę, a potem wyjść na pole i zakopać resztki – zauważył kapłan, chuchając w złożone dłonie.

– Jeszcze zdążymy zakopać dary dla Mokosz na miedzy – zbyłam go.

– A może pójdę nazbierać brzozowych witek na jutro? – zaproponował.

Skarciłam go wzrokiem. Czy on naprawdę nie potrafił usiedzieć w miejscu nawet kilku minut?

– Będziesz się obijał w Śmigusa? – prychnęłam.

– Trzeba wypędzić zimowe choroby! – odparł.

– Wiesz, że to bujda?

– To tradycja. A tradycje trzeba pielęgnować – oświadczył z godnością.

– A pojutrze w Dyngusa zamierzasz się wykąpać?

Zerknął na lodowate jeziorko.

– Może z pełnej kąpeli zrezygnuję i tylko trochę się obmyję nad miednicą – powiedział.

Przewróciłam oczami, ale chyba nawet tego nie zauważył. Wstał, otrzepał pośladki z suchego igliwia i ruszył w stronę drzew.

– Idę po te brzozowe witki! – krzyknął przez ramię. – Dla ciebie też wezmę!

– Tylko nie oddalaj się za bardzo. Zawołam, jak się pojawi.

Na znak zgody uniósł rękę i ściskając małą lampę naftową, ruszył między drzewa. Nie wiem, gdzie on tu brzozy zamierza uswiadczyc. Najbliższe rosną koło drogi. Tyle lat tu mieszkam, a jeszcze nie nauczył się, co i gdzie znaleźć.

– Jago... – Niespodziewany szept mało nie przyprawił mnie o zawał.

Wbiłam spojrzenie w oślepiające płomienie. Pomiędzy złotymi i pomarańczowymi językami dostrzegałam białe oczy mieniące się delikatnie na niebiesko. Wyglądały jak dwie dysze od palników acetylenowych, wycelowane prosto we mnie.

– Co? – syknęłam. – Czekam na Marzannę. Idź stąd, bo mi ją przepłoszysz.

– Zawiodłaś mnie, Jago. Minęło tyle czasu, a ty wciąż nie ruszyłaś na poszukiwanie wejścia do Nawii.

Poczułam, że mimo ciepłych ubrań i gorąca promieniującego od płomieni ogarnia mnie chłód. W głosie boga nie było w ogóle słyhać sympatii. Ton był ostry i zirytowany. Poza tym Swarozyc miał rację. Zupełnie o tym zapomniałam, głównie dlatego, że nie miałam ochoty na te poszukiwania. Cały czas odkładałam je więc na później, które nigdy nie nadeszło.



– Miałam ostatnio dużo na głowie... – zaczęłam się tłumaczyć.

– Miałas pół roku. Czekałem. Jestem miłosiernym opiekunem, szeptucho. Po ataku na polu dałem ci czas na powrót do sił. Ty jednak wciąż nic nie robisz. Udajesz, że mojego polecenia nie było.

– To nie tak... Ja naprawdę myślałam o czymś innym. – Nawet w moich uszach brzmiało to zupełnie nieszczerze.

– Kłamiesz, Jago.

Odetchnęłam głęboko. Duszący zapach dymu robił się coraz intensywniejszy. Nie wiem, czy to moja wyobraźnia, czy może prawda, ale miałam wrażenie, że znaki ognia na moim ciele zaczynają delikatnie piec.

– Znajdę to wejście – zapewniłam go.

– Wiem, że to zrobisz. Mnie jednak zależy na czasie. Powinnaś była to zrobić dawno temu – beształ mnie dalej.

– Wiem. Przepraszam – powiedziałam, chociaż nie przeszło mi to łatwo przez gardło. Czulałam straszny wewnętrzny opór przed spełnianiem jego żądań.

– Moja cierpliwość się skończyła. Mam dość ignorowania mnie. Przypomnij sobie wszystko, co ci dałem. Przypomnij sobie, jak o ciebie dbałem.

– Ja...

– Masz znaleźć wejście. Inaczej twój ukochany świat spłonie – zagroził.

Poprzez ogień zobaczyłam Mszczuja, który wyszedł z lasu, trzymając kilka gałęzi. Jakimś cudem chyba udało mu się znaleźć brzozę. Istniała też możliwość, że po ciemku źle rozpoznał drzewo i zerwał coś innego. Chociaż brzozę o białej, łuszczącej się korze raczej trudno z czymś pomylić.

– Mój ukochany świat? – wydusiłam.

– Zacznę od twójego męża – wycedził mściwie Swarózyć.

Uzucie pieczenia znaków się nasiliło. Miałam wrażenie, że wypala je na mojej skórze od nowa. Zaszyczałam i skuliłam się w sobie.

– Jago, coś się dzieje? Źle się czujesz? – Mszczuj rzucił gałęzie na ziemię i uklęknął obok mnie.

– Nie, nic – zaprzeczyłam szybko.

– Pokaż – rozkazał.

Złapał mnie za rękę, którą przyciskałam do piersi. Siłą odgiął ją i obejrzał nadgarstek. Blizna po oparzeniu pocałunkiem Swarózyca była jaskrawoczerwona. Wyglądała, jakby miała zaraz zacząć krwawić.

– Co się stało? – zapytał.

– Ciągłe nie robiłam czegoś, co rozkazał mi Swarózyć.

Wyrwałam się z jego uścisku i znowu przytuliłam do siebie rękę. Na szczęście pieczenie powoli ustawało.

– Nie podobają mi się to – stwierdził.

Prychnęłam pod nosem. No jasne, ja niby uwielbiam, jak mi ktoś sprawia ból. Dobrze wiedziałam, że wpakowałam się w niezłe bagno. Uzależniłam się od boga ognia i teraz miał mnie w garści.

– Co kazał ci zrobić? – zapytał.

– Nie chcę o tym mówić.

– Jago, chcę ci pomóc.

– Nie chcę twojej pomocy – odparłam.

Na jego twarzy zobaczyłam ból. Oczywiście od razu poczułam się jak ostatnia szuja, która kopie szczeniaczka. Nie wiem, dlaczego ten mężczyzna powodował u mnie takie reakcje. Przecież nie litowałam się nad nikim, nawet nad sobą. Powinnam jeszcze jakoś to

dotatkowo skomentować, żeby raz na zawsze poszło mu w pięty i żeby wreszcie dał mi spokój.

Jednak tego nie zrobiłam.

– To sprawa pomiędzy mną a Swarożycem – powiedziałam już łagodniejszym tonem. – Muszę sama to rozwiązać. Mam wobec niego dług i muszę go spłacić.

– Ten dług powstał przez to, że nas wtedy uratował?

– Nie – zachnęłam się. – Uratował nas dlatego, że nie lubi tracić swoich inwestycji, zanim mu się zwróca.

– Nie podoba mi się to – powtórzył.

– Ano, ja też jakoś z radości nie skaczę – skomentowałam.

Usłyszeliśmy za sobą delikatne chrząknięcie. Czym prędzej zerwaliśmy się na równe nogi i odwróciliśmy do Ludomiły, która stała za nami. Jej blade ciało emanowało chłodnym blaskiem. Wydawała się znacznie wyższa i smuklejsza niż za życia. Sięgające niemalże pasa włosy mieniły się srebrem i błękitem. Rozciągnęła w uśmiechu poblądłe usta. Miała na sobie prostą białą sukienkę na cienkich ramiączkach. Bose stopy tonęły w śniegu. Były sine od chłodu, ale jej zdawało się to w ogóle nie przeszkadzać.

Mimo wszystko była niezwykle piękna. Surowa i przerażająca przez swój dość mało żywy wygląd, ale i tak piękna.

– Jestem – powiedziała.

Pochyliłmiś lekki głowy. Zналиśmy ją za życia, jednak była teraz boginką. Powinniśmy okazać jej chociaż szczątek szacunku.

Ze zdziwieniem odkryłam, że nie jestem już na nią zła. Ostatnie wydarzenia bardzo mnie wyczerpały. O ile jeszcze niecały rok temu brakowało mi przygód, o tyle teraz zdecydowanie miałam ich już dość i chciałam jak najszybciej wrócić do spokojnego życia, którego rytm wyznaczały zmieniające się pory roku i następujące po sobie święta.

To prawda, że trzeba uważać, czego sobie człowiek życzy, bo niechący może się spełnić.

Mszczuj wziął mnie za rękę.

– Dziękujemy, że przysłaś z nami porozmawiać – powiedziałam.

Marzanna wydawała się nieufna. Nie dziwiłam się jej. W końcu jeszcze kilka godzin temu usiłowałam ją podtopić w Bieliniance.

– Czemu jeszcze nie przestoczyłaś się w Dziewannę? – zapytał kapłan.

Obie na niego spojrzaliśmy. Pytanie należało raczej do tych retorycznych. Nie wiem, może chciał rozluźnić atmosferę, bo innego sensu nie widziałam.

– Bo nie spieszy mi się do umierania – odparła wyniośle.

– To co w takim razie zamierzasz, Ludomilo? – spytałam. – Chcesz trzymać świat w wiecznej zimie?

Odrobinę się zmieszała. Tak jak podejrzewałam, wcale nie miała planu. Po prostu broniła się jak mogła przed tym, czego bardzo się bała.

– A co z innymi bogami? Co na to Mokosz?

– Znam jej imię – odpowiedziała dumie. – Nie może mi zrobić krzywdy.

Przypomniałam sobie, że jej siostra mówiła, iż źródło można wykorzystać tylko raz. Ludomiła dobrze o tym wiedziała.

– Co się stało jesienią? – zapytałam cicho. – Jak zamieniłaś się z Marzanną w Dziewannę?

Wzdrygnęła się odruchowo i objęła długimi rękami swoje wychudzone ciało. Na jej twarzy zagościł ból.

– Mokosz wezwała mnie do siebie. Powiedziała, że już czas przemiany, że jako matka każe mi się przestoczyć. Nie wiedziałam, jak to zrobić. Ona zresztą chyba wcale tego ode mnie nie wymagała, bo szybko wzięła sprawy w swoje... ręce – wyznała gorzko.

– Tak? – ciągnęłam ją za język.

– Z ziemi wysunęły się korzenie. One... one rozerwały mnie na strzępy. Bardzo, bardzo powoli. Mokosz czekała, aż się wykrwawię, zanim to zakończyła. Nie chcę przeżywać tego jeszcze raz.

– Mokosz jest zła, bo poznałaś jej imię i wykorzystałaś przeciwko niej – powiedziałam. – Teraz długo będzie się mścić.

– Nie będzie – zaprotestowała. – Znowu użyłam jej imienia i zakazałam jej tego. W ogóle nie może teraz zrobić mi krzywdy.

Spojrzeliliśmy po sobie z Mszczujem. Czyli jednak mogła wykorzystać imię dwukrotnie? Nic już z tego nie rozumiałam. Mogłam się natomiast założyć, że teraz to dopiero bogini życia chodziła wściekła. A ostrzegałam ją. Nie słuchała. Ci bogowie to jednak przez swoją pychę kiedyś wszyscy marnie skończą. Niby starzy i doświadczeni, a tacy momentami głupi. Wstyd.

– A sama nie chcesz przemienić się w Dziewannę? Boginię wiosny? – zapytał kapłan.

– Nie zamierzam się zabijać – zaprotestowała.

– To co ze światem? – Rozłożyłam szeroko ramiona i wskazałam na otaczające nas resztki śniegu i lodu. – Rośliny, zwierzęta i ludzie nie mogą żyć w wiecznej zimie. Zginą.

Zywiłam nadzieję, że uda mi się przemówić jej do rozsądku. Naprawdę nie wiedziałam, jak z nią walczyć, i wcale nie miałam na to siły. Groźby nie spełniały swojej funkcji. Zresztą czym ja jej tak naprawdę mogłam zagrozić? Pozostawały mi tylko prośby.

– Wiem – przyznała. – Ale ja nie chcę umierać. To niesprawiedliwe, że dwa razy w roku muszę umrzeć.

– Tak, to nie jest sprawiedliwe – zgodziłam się. – Tak jednak wygląda życie, a raczej istnienie dwoistej bogini. Stałaś się nią na własną prośbę.

– Nie wiedziałam, jak to będzie wyglądać – zaprotestowała.

Westchnęłam, nakazując sobie spokój, bo oczywiście zaczęła mnie irytować tym swoim głupim uporem. To przecież nie jest moja wina, że nie doczytała.

– Poznałaś już boga Jaryłę? – spróbowałam z innej strony.

– Nie, widziałam go tylko z oddali. W świecie bogów jest dość... samotnie – dodała, ale nie rozwinęła myśli. Zaciekawilo mnie to, ale to nie był czas na wypytywanie jej.

– Jaryło jest bogiem wiosny i życia, przebudzenia. Każdej wiosny w swoje święto, w Jare Gody, rodzi się na nowo. Jako przystojny młodzieniec siedzący na oklep na białym rumaku przyjeżdża do starego zeszłorocznego Jaryły i go zabija. Obcina mu głowę. Potem zajmuje jego miejsce, starzeje się i rok później tego Jaryłę spotyka ten sam los co jego poprzednika. W ten sposób się odradza.

– Też mało przyjemne – burknęła.

Wzruszyłam ramionami.

– Jaryło nie protestuje. Spotkałam go. Jest bardzo zadowolony z życia bogiem.

– Ale cięcie mieczem to szybka śmierć – zauważyła. – Wielogodzinne rozrywanie przez korzenie nie jest szybką śmiercią.

Uśmiechnęłam się w duchu. Zaczynała połykać haczyk.

– Prawda – zgodziłam się. – Powiedziałaś mi, że jesienią Mokosz kazała ci się przeistoczyć. Może musisz sama znaleźć szybki i bezbolesny sposób na tę przemianę. Pomyśl, co mogłabyś robić jako Dziewanna. Nie chcesz przynieść razem z Jaryłą wiosny? Z nim nie byłabyś samotna. Wydaje mi się, że już najwyższy czas, żebyś go poznała.

Kusiłam, oj, kusiłam. Moją jedyną szansą było odwołanie się do samotności, która jak widać, jej doskwierała.

– A jak mam go niby poznać? – zapytała zainteresowana.

– Zawołajmy go. Może przyjdzie.



Wyśpiewałam inwokację do Jaryły, korzystając z melodii ukutej przez rusałki na moim wieczorze panieńskim. Zamknięte w niej dźwięki musiały mieć moc, skoro wtedy tak szybko się pojawił.

– *Włóczył się Jaryło po całym świecie. Rodził żyto w polu, dawał ludziom dzieci. A gdzież on nogą, tam żyto kopą. A gdzież on na ziarnie, tam kłos zakwitnie!* – zaśpiewałam.

Nic nie nastąpiło. Poczulałam się odrobinę nieswojo.

– Zaśpiewaj razem ze mną – poprosiłam Marzannę. – Tobie na pewno odpowie.

Pokiwała głową i podjęła pieśń. Nie wiem, ile razy powtórzyłyśmy tę zwrotkę. Głos boginki wznosił się i opadał w odpowiednich momentach. Sprawiał, że włoski na karku stawały mi dęba. W pieśni było coś hipnotyzującego.

– *Ja po polu chodziłem, rosę rosilem. Ja po miedzy chodziłem, żyto rodziłem. Ja po borze chodziłem, roje osadzałem. Ja do chat zaglądałem, pociech przysparzałem* – odpowiedział nam mocny męski głos.

Śpiew mężczyzny przybliżał się, tak jak tętent kopyt jego konia. Po chwili nieskazitelnie czyste białe rumak wkroczył na polankę. Zarżał donośnie i tupnął przednią nogą, jakby chciał nam pokazać, jaki jest piękny.

– Och – westchnął głośno Mszczuj.

Koń zarżał z aprobatą, najwyraźniej uznając, że to było o nim.

– Wzywano mnie? – Donośny i pełen energii głos zelektryzował powietrze.

Miałam wrażenie, że nagle zrobiło się znacznie cieplej i przede wszystkim weselej. Rzucił Jaryle ostre spojrzenie. Próbował na nas swoich sztuczek. Tak samo zachowywał się Swarozyc. Najwyraźniej bogowie nie mogli powstrzymać się przed odrobiną manipulacji.

Bóg odrzucił na plecy falujące blond włosy sięgające mu teraz trochę za łopatki, zeskoczył z konia i dumnym krokiem podszedł bliżej ognia. Wyglądał inaczej niż rok temu w sierpniu. Teraz miał gładziutką buzię niczym osiemnastolatek, któremu dobre geny poskąpiły trądziku młodzieńczego. Na licu ani jednej zmarszczki, a w oku łobuzerski błysk. Oczywiście tak jak wtedy przybył bez ubrania. Najwyraźniej nie miał problemów z nagością. Jego ciało było odrobinę bardziej zylaste i mniej rozbudowane mięśniowo niż latem.

Z rozbawieniem pomyślałam, że przez ten rok życia, kiedy starzeje się, by zostać zabitym przez nowe wcielenie, musi całkiem sporo ćwiczyć. Narcyz jeden.

W lewej dłoni trzymał zakrwawioną głowę swojego poprzednika. Była ścięta na wysokości grdyki. Już nie krwawiła, była blada. Szeroko otwarte usta i oczy nie wydawały się przerażone, lecz raczej znudzone i zrezygnowane.

Nieoczekiwanie dla wszystkich Marzanna zasłoniła oczy i wykrzyknęła:

– To potworne! Nie chcę na to patrzeć.

Jaryło unióśł brwi w wyrazie ogromnego zdziwienia.

Do Mszczuja chyba tymczasem wreszcie dotarło, co się właśnie wydarzyło, bo puścił moją rękę i padł plackiem na ziemię, przyjmując pozycję błagalno-czczącą. A w każdym

razie tak to chyba miało wyglądać w jego mniemaniu. Nie mógł się jednak powstrzymać i uniósł głowę, by dalej podziwiać boga.

– Panie wiosny, zawołaliśmy cię tutaj, by prosić cię o pomoc – odezwałam się.

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się szeroko.

– Pamiętam cię! – odparł. – Jak swaćba? Już po?

– Tak, dziękuję. Tutaj na ziemi oddaje ci cześć mój małżonek, kapłan Mszczuj. – Wskazałam na niego palcem.

– Synu, wstań. Nie jestem Świątowitem, żeby padać przede mną na twarz – odparł z humorem bóg.

Mszczuj zerknął na mnie, jakby szukając potwierdzenia słów Jaryły, a potem powoli się podniósł.

– Chcę powiedzieć, że to dla mnie olbrzymi zaszczyt... – zaczął, ale bóg mu przerwał:

– Tak, tak, tak, zawsze ta sama śpiewka. Też miło cię poznać. O co chodzi, szepcucho? Mam dzisiaj cały świat do doglądania. Dzisiaj moje święto.

Wolną rękę niby niechący oparł na biodrze i wypchnął je lekko do przodu. Doszłam do wniosku, że jary, czyli mówiąc krótko, jurny i pełen sił witalnych, bóg chyba cały czas ma swoje przyrodzenie w lekkim wzwodzie. Zdecydowanie lubił się nim chwalić. Trzeba oczywiście przyznać mu rację, że istotnie miał czym, ale naprawdę przesadzał.

– Marzanna nie przeistoczyła się w Dziewannę. Na pewno słyszałeś, że na tym stanowisku zmieniła się... boginka – powiedziałam szybko.

– Doszły mnie takie słuchy, aczkolwiek nie miałem chwili na bliższe poznanie – powiedział.

Krokiem drapieznika zbliżył się do skamieniałej Marzanny. Boginka wyglądała tak, jakby miała zaraz zwymiotować. Nie mogła oderwać wzroku od martwej głowy.

Jaryło zauważył, że spojrzenie Ludomiły bynajmniej nie kieruje się w stronę jego przyrodzenia, tylko trofeum.

– Przeszkadza ci ten widok? – zdziwił się.

– Tak – wydusiła.

– Przecież jesteś Marą, panią śmierci i ciemności.

– No... tak...

– Przyzwyczaisz się, ale skoro cię to niepokoi...

Głowa zniknęła. Dłoń boga nie była nawet zakrwawiona. Jaryło wpatrywał się w boginkę, przewiercał ją wzrokiem. Ta na szczęście odzyskała trochę werwy. Uniosła brodę i odwzajemniła spojrzenie.

– Powinnaś stać się dzisiaj Dziewanną i razem ze mną budzić świat – powiedział.

– Nie chcę.

– Nie chcesz?

– Nie chcę umierać, by zamienić się w Dziewannę.

Jaryło wyglądał tak, jakby nic z tego nie rozumiał. Odwrócił się do nas w poszukiwaniu pomocy.

– Mokosz potraktowała Dziewannę dość brutalnie jesienią i teraz nasza Marzanna wolałaby nie umierać w cierpieniach – wytłumaczyłam szybko.

Bóg wiosny znowu odwrócił się do Marzanny. Spiał lekko ramiona i wyprostował się. Coraz bardziej kojarzył mi się z drapieznikiem, który wykrył krew ofiary. Trochę mnie to zaniepokoiło. Mszczuj chyba także zauważył, że dzieje się coś złego.

– Jaga...? – wyszeptał.

– Może to nie był dobry pomysł? – mruknęłam.

– Czy on chce ją zabić?

– No właśnie mam takie podejrzenie. W sumie to by załatwiło problem na kolejne pół roku – odparłam półgębkiem.

– Co robimy? – spytał.

– Ja to bym sobie poszła, póki nie patrzą.

– To chyba nie jest dobre wyjście z sytuacji – zauważył.

– Dla kogo dobre, dla tego dobre – sarknęłam.

Naprawdę miałam już dość tych dramatów. Odetchnęłam głęboko.

– Jeśli tego pożałujemy, to oficjalnie będzie twoja wina – powiedziałam do Mszczuja.

Kapłan tylko wzruszył ramionami.

– Przepraszam bardzo! – wykrzyknęłam i szybko podeszłam do bóstw. – Mam prośbę, bardzo dużą prośbę. Wystuchacie mnie?

Jeszcze blejsza Marzanna, która wydawała się w ogóle nie oddychać, i lekko zarumieniony Jaryło spojrzeli na mnie odrobinę nieprzytomnie. Aż się potknęłam, kiedy do nich dotarłam. Coś tu było na rzeczy i chyba zaczynałam domyślać się co. A gdybym się nie domyśliła, to wystarczyło zerknąć na łóżwie Jaryły. Nic się chłopak nie krył z zamiarami.

– Chciałabym przypomnieć, iż mamy tu pewien impas. Niby zaczęła się wiosna, ale jakby nie do końca. Pory roku są stałe, nie należy się nimi bawić. Wszyscy rozumiemy wątpliwości Marzanny. Zaprosiłam cię tu, Jaryło, byś udowodnił jej, że przemiana wcale nie musi być bolesna, a może stać się rutyną jak... jak, powiedzmy, niemile badanie lekarskie, które trzeba odbębnić raz na pół roku.

– Pokażę Marzannie, że ból może wiązać się z przyjemnością.

– Pokaż – wydusiła boginka i wbiła w niego rozognione spojrzenie.

– A potem, gdy będziesz Dziewanną, panią życia, zapłodnimy świat – dodał z emfazą. – Nasze soki zwilżą matkę ziemię.

– Tak!!!

Ja piernicę. Oni tak na serio? Przyznaję, że poczułam mdłości.

– Wspaniaaaaaaaale – odparłam nieszczerze. – W takim razie my już pójdziemy. Do widzenia, miło było poznać. Ludomiło, bądź tak dobra i przestań mordować członków swojej rodziny. Pa, pa!

Na szczęście przestali zwracać na mnie uwagę, bo znowu wpatrywali się w siebie jak pomyłki. Czym prędzej pobiegłam do Mszczuja, złapałam lampę, a następnie kapłana, niemogącego oderwać oczu od bogów, którzy zaczęli się o siebie ocierać.

Tak, ocierać.

Szarpnęłam kapłana za rękę i pociągnęłam go w stronę ścieżki.

Nic tu po nas. Zwierzęcy ryk, który rozległ się chwilę później, i towarzyszący mu kobiecy jęk, który zdecydowanie nie wskazywał na to, że Marzannę coś boli, jeszcze bardziej mnie w tym utwierdziły.

\*

Następnego dnia, gdy tylko się obudziliśmy, okazało się, że w nocy nastąpiła odwilż. Temperatura gwałtownie podskoczyła, a rośliny obudziły się do życia. Z zaskoczeniem piliśmy rano herbatę na ławce pod moją chatą i wpatrywaliśmy się w jaskółki, które zawsze zwiastują wiosnę.

Na dachu sąsiedniego domu przysiadła para bocianów. Chyba szykowały się do zbudowania gniazda w pobliżu komina. Poprawiłam kocyk, którym nas przykryłam, i westchnęłam. Całkiem przyjemnie było spędzać poranki z Mszczujem. Dziwnie, ale w sumie miło.

A jeszcze milej, że to on zrobił herbatę i nakarmił kota, kiedy ja się jeszcze wylegiwałam. Chyba mogłabym się do tego przyzwycząić.

– Czy mnie się śniło, czy to, co się wydarzyło w nocy, to prawda? – zapytał Mszczuj.

– Tak, chyba wychodzi na to, że wyswataliśmy ze sobą bogów.

– No i chyba pomógł jej przemienić się w Dziewannę.

Przypomniałam sobie tamtą rozmowę i ponownie mną lekko wstrząsnęło. Naprawdę bardzo lubię seks i lubię czasem powiedzieć coś nieprzyzwoitego, ale ta ich rozmowa trochę była jednak niesmaczna. A na pewno z boku sprawiała takie wrażenie.

No cóż, co kto lubi.

– Zostaniesz ze mną przez te kilka dni świąt? – zapytałam, zmieniając temat.

Zdziwił się, ale uśmiechnął ciepło i odparł:

– Bardzo chętnie.

– Zgubiłeś te brzoszowe witki wczoraj, prawda?

– Tak, zostały tam. A przecież dzisiaj Śmigus. Powinniśmy się solidnie poobijać.

Przewróciłam oczami.

– Wolę Dyngusa i kąpiel – stwierdziłam.

– To dopiero jutro.

– Chodź. – Wstałam. – Przejedźmy się po wsi i zajrzyjmy do naszych owieczek. Potem chciałybym pójść na cmentarz do babci. Wieczorem możemy poszukać brzoszowych witek.

Tak też zrobiliśmy. Śmigus był bardzo przyjemnym dniem. Odświętnie ubrani przejechaliśmy przez całe Bieliny. Pukaliśmy do domów i składaliśmy życzenia mieszkańcom. Prawie wszędzie częstowano nas jedzeniem, aż ledwie mogliśmy się ruszyć. Część wałówki zabraliśmy do mnie, a część zanieśliśmy w darze na cmentarz, by dziady dawno zmarłych szeptuch i kapłanów także mogły się posilić. Pojechaliśmy nawet nad Bieliniankę zobaczyć, czy po słomianej Marzannie został jakiś ślad, ale rzeka była czysta. Kukła musiała popłynąć daleko przed siebie, zabierając ze sobą chłód.

Było już bardzo późno, zbliżała się północ, gdy dotarliśmy z powrotem do mojej chaty.

– Zapomnieliśmy o brzoszowych gałęziach – zauważyłam.

– Mogę iść do drogi narwać.

– A wiesz co? – Podrapałam się w zamyśleniu po brodzie. – Co ty na to, żeby przejść się nad jeziorko i zobaczyć, co tam zastaniemy?

– Myślisz, że to dobry pomysł? – Nie wydawał się przekonany.

– Oczywiście. Przecież przyszła wiosna. Jest jakieś dwadzieścia stopni, mimo że zmierzch zapadł kilka godzin temu. Myślę, że Dziewanna i Jaryło nadal są zajęci wyłącznie sobą.

Jeszcze przez chwilę musiałam go namawiać, ale w końcu zgodził się i poszliśmy w stronę jeziorka. Oprócz miejsca, w którym znajdowało się wygaszone ognisko, znaleźliśmy jeszcze kilka intrygujących zagłębień w ziemi. Tam, gdzie je zrobiono, rosły całe chmary przebiśniegów i pierwiosnków.

Nawet nie musieliśmy tego komentować. Chyba oboje z Mszczujem domyśliliśmy się, co się działo w tych miejscach. Nawet na jednym drzewie wyrosły krokusy.

– Mam nadzieję, że Ludomiła będzie szczęśliwa – powiedziałam.

Kapłan przerwał rozpalanie nowego ogniska i zerknął na mnie.

– Naprawdę? – zdziwił się.

– Już mi przeszła złość. Poza tym nie podoba mi się, gdy ktoś zaburza pogodę i pory roku. Już lepiej, żeby była szczęśliwa i żebyśmy mieli święty spokój.

– Też prawda.

Usiadł koło mnie na kocu. Zajęliśmy miejsce pomiędzy ogniem a jeziorem. Chwilę wcześniej zamoczyłam w wodzie ręce. Zawsze była chłodna, nawet w upalne lato, jak przystało na leśne źródółko. Teraz jednak wydawała się całkiem przyjemna.

– Myślisz, że już możemy celebrować Dyngusa? – zapytałam.

– Chcesz się kąpać? – Wzdrygnął się.

– Nie sama. – Puściłam do niego oko.

Zanim zdążył mi odpowiedzieć, zaczęłam zrzucać z siebie kolejne elementy garderoby i naga weszłam do wody. Zatrzymałam się w miejscu, w którym sięgała mi tuż za połowę ud.

– Jest zimna, ale bez przesady – powiedziałam do oniemiałego kapłana, który nie mógł oderwać ode mnie oczu. – Wchodzisz?

– Takiego zaproszenia raczej się nie odrzuca – odparł i niezdarnie, w pośpiechu zaczął zrzucać z siebie ubrania.

Ja tymczasem ukucnęłam i zanurzyłam się po szyję. To chyba była zasługa jakiejś wiosennej magii, bo woda naprawdę nie była zbyt lodowata, tylko przyjemnie chłodna. Mszczuj znalazł się obok mnie. Krzywił się boleśnie.

– Mogłaby być cieplejsza – skwitował. – Naprawdę nie jest ci zimno?

Zdziwiłam się.

– Nie, jest mi wręcz gorąco – zaprzeczyłam. – Czekaj, jak to wczoraj gadał Jaryło?

– O nie, chyba nie chcesz tak świntuszyć... – wydawał się zgorszony.

– Tylko troszeczkę. – Puściłam do niego oko. – To co, pozwolisz mi się rozgrzać? Mój mężu?

– Z wielką chęcią.

Przytuliliśmy się. Miał chłodną skórę. Chyba rzeczywiście było mu chłodno.

– Oj, Jago, nie masz gorączki? Wydajesz się rozpalona – zaniepokoił się.

– Cicho, nic mi nie jest.

Nakierowałam jego dłonie na moje pośladki, a sama zarzuciłam mu ręce na ramiona. Kątem oka dostrzegłam bliznę na nadgarstku. Ponownie była jaskrawoczerwona, mimo że rano wyglądała normalnie.

Zerknęłam na płomień ogniska za plecami Mszczuja. Na tle ognia zobaczyłam męską sylwetkę.

Znieruchomiałam. Swaróżyc wydawał się rozgniewany.

– Jaga? – Mszczuj się zaniepokoił i przestał gładzić mnie po plecach i pośladkach.

Sylwetka rozwiała się na delikatnym wiosennym wietrze.

– Nic, nic – odparłam szybko. – Nie przerywaj. Rozgrzej mnie, proszę.



## EPILOG



– I co? I już? – Gosława wydawała się rozczarowana.

– A ty co? Piętnaście lat masz, żeby się podniecać seksem w jeziorze? – skwitowała Baba Jaga i poprawiła kocyk na kolanach.

– Ale... ale co dalej?! Nie możesz urywać historii w takim momencie!

– Co dalej, co dalej – sarknęła starsuszka. – Potem się kochaliśmy, a ja byłam w takim dobrym nastroju, że zaproponowałam Mszczujowi, żeby pomieszkiwał u mnie w weekendy.

Gosia się zaśmiała. Twarda Jaga okazała się uczuciowa i delikatna. Chociaż nigdy by tego nie przyznała głośno, to szczerze kochała Mszczuja niemalże od początku ich znajomości. Nie był to pełen ognia wyrzut emocji, tylko raczej uczucie, które potrzebowało czasu, by w niej dojrzeć.

A może po prostu Jarogniewa musiała najpierw z kimś się zaprzyjaźnić, by móc go potem obdarzyć uczuciem.

– Pytam, co dalej ze Swaróżycem – sprecyzowała Gosia.

Baba Jaga westchnęła. Młoda szeptucha chciała nalać jej jeszcze kieliszek nalewki, ale starsuszka stanowczo pokręciła głową.

– Już dość. Opowieść była długa, nalewka mocna. A ja jeszcze muszę doczłapać do swojego łóżka – odparła. – A co ze Swaróżycem...? Można powiedzieć, że sprawy trochę się skomplikowały.

– To znaczy?

– Bardzo mu zależało, bym odnalazła wejście do Nawii. Groził, że skrzywdzi Mszczuja, więc nie miałam wyboru. Co kilka dni szłam do lasu.

– Powiedziałaś Mszczujowi?

– Po co? Przecież ten stary cap tylko by się martwił.

– Wtedy jeszcze nie cap – spróbowała zażartować Gosia, żeby trochę poprawić humor Jadze.

Stara szeptucha wydawała się wyczerpana tą opowieścią. Bardzo też posmutniała. Gosławie było teraz głupio, że namówiła ją na bolesne wspomnienia.

– Tak, wtedy całkiem jurny jeszcze był – zgodziła się.

– A jak Ludomiła? Były z nią jeszcze później kłopoty?

– A wiesz, że nie? Cała wiosna i lato były niebywałe. Nikt nie pamiętał takich temperatur i takich plonów. Dziewanna i Jaryło musieli być sobą bardzo zafascynowani i mocno skupili się na współpracy. – Jaga zarechotała pod nosem. – Ludomiła chyba tak dobrze się bawiła, że nawet zapomniała o uprzykrzaniu życia swojej rodzinie. To znaczy tej, która pozostała przy życiu.

– Myślisz, że nadal jest boginką?

– A kto to wie? Może Mokosz ją podmieniła w którymś momencie, a może nadal jest dwoistą boginką. Powiem ci szczerze, Gosiu, że nigdy więcej się tym nie interesowałam. Miałam za dużo innych spraw na głowie, by jeszcze stresować się życiem bogów. Ta przygoda naprawdę wiele mi dała. Zmieniła sporo w moim postrzeganiu świata, ludzi i bogów. Może nie wybrzmiało to w mojej opowieści, ale trochę wtedy dorosłam.

– To naprawdę wszystko z Marzanną? Myślałam, że będziecie musiały stoczyć jakąś epicką walkę na śmierć i życie.

Jarogniewa pokręciła głową z rozbawieniem.

– Epicka walka – prychnęła. – Telewizji za dużo oglądasz, moja droga. Zresztą już się szarpałam z kukłą w lodowatej wodzie. Wystarczyło mi aż nadto.

Gosia pokiwała głową. Miała jeszcze tyle pytań, ale bała się je zadać. Nie chciała zrobić przykrości swojej opiekunce. Baba Jaga zmierzyła ją ostrym spojrzeniem.

– No? Czego się czaisz? Co chcesz jeszcze wiedzieć?

– A co z Barnimem i Mirką? Znowu się zesзли? Czy Bratomił jeszcze się kiedyś do ciebie odezwał? Czy wtedy po nocy w jeziorze zaszłaś z Mszczujem w ciążę? Co było dalej?

– A poczytaj ty sobie lepiej jakieś plotkarskie serwisy w tym internecie, skoro tak lubisz sensacje – doradziła jej raczej mało życzliwym tonem.

Wstała ze stęknięciem. Gosia od razu rzuciła się z pomocą, ale oberwała tylko kocem w twarz.

– Masz, złóż i się do czegoś przydad – poleciła stara szeptucha. – Ja tymczasem pójde po kropelki na żołądek, bo po tej nalewce to mnie chyba zgaga będzie męczyć pół nocy. Słodkie to-to takie. Wiedziałam, że trzeba było pić tę z czarnego bzu. O! Albo jarzębinówkę.

– Nie mamy jarzębinówki.

– Ano nie mamy. Od lat jej nie robiłam, bo mi się po drzewach za owocami jarzębu nie chciało latać. A dobra jest, mówię ci.

– Za rok zrobimy – powiedziała Gosia i odłożyła koc na stary fotel. – Nazrywam owoców.

Jaga już miała wyjść z salonu, ale zatrzymała się jeszcze i wbiła w Gosię spojrzenie swoich bardzo uważnych i żywych oczu. Miała wiek wypisany na twarzy, ale oczy wciąż zachowały młodzieńczy blask.

– Ale jedną rzecz to ci mogę jeszcze powiedzieć – zagała.

– Tak? Jaką?!

– Zakopaliśmy Ściborę w lesie. Tam, gdzie nikt by jej nie znalazł. – Wzrok Jagi zamglił się, jakby przeniosła się wspomnieniami do tamtego miejsca. – Wielokrotnie później odwiedzałam tamten zagajnik. Przeraził mnie bałam się, że kobieta zamieni się w demona. Zabezpieczyłam miejsce pochówku na wszystkie znane mi sposoby, łącznie z corocznym usypywaniem kręgu z soli dookoła.

Gosia czekała w napięciu.

– I? – nie wytrzymała.

Wzrok Jagi nabrał ostrości. Na jej twarzy pojawił się niechętny grymas.

– Ano i pewnego razu, kiedy znowu tam poszłam... to znalazłam tylko dół w ziemi.

Gosłała aż sapnęła. Złapała się za serce.

– Nie! Naprawdę?

– Ano.

– I co było dalej?

– Dalej, dalej. Co ty sobie myślisz, że ja całą noc będę gardło strzępić? – zaczęła narzekać staruszka. – Idę po kropelki, bo już mnie piecze w żołądku. Kiedy indziej ci opowiem. Idź spać.

– Zaraz! Ale potem pozbyliście się jej definitywnie? – zapytała jeszcze Gosia, bo trochę ją zmroziła wizja wielkiej rozwścieczonej baby, która zamieniła się po śmierci w krwiozerczego demona.

Jaga odwróciła się przez ramię i uśmiechnęła złośliwie do podopiecznej.

– Może tak, a może nie. Lepiej po zmroku uważaj, dziecko. Różne strachy wtedy wychodzą.

# PODZIĘKOWANIA



Wszyscy, którzy mnie wspierali podczas pisania, dobrze wiedzą, że proces powstawania *Gniewy* był bardzo burzliwy. Zabrałam się za pisanie tej powieści w bardzo trudnym dla mnie momencie życiowym, kiedy doszczętnie posypało mi się zdrowie. Stresowałam się opóźnieniem w tworzeniu tekstu, rozczarowaniem Czytelników, że tak długo muszą czekać na przygody zgryźliwej Jagi, a okoliczności nie pozwalały pracować. Na szczęście, głównie dzięki mojemu wspaniałemu mężowi Jankowi, udało mi się zakończyć prace.

Janku, bardzo Ci dziękuję.

Podziękowania oczywiście należą się mojej mamie Barbarze, która jak zawsze jest pierwszą recenzentką, a jej wnikliwe oko wyłapuje wszystkie błędy i brakujące przecinki.

Z kolei mojej teściowej Renacie dziękuję za spacer po Świętokrzyskim Parku Narodowym, podczas którego znalazłyśmy duży tajemniczy krąg z soli usypany dookoła nadgryzionych przez ślimaki borowików. Do dzisiaj nie wiem, co mogło kryć się w środku. Moja wewnętrzna Gosława miała ochotę kopać, ale na szczęście głos rozsądku Jagi kazał mi odejść z tamtego miejsca.

Dziękuję mojej przyjaciółce, redaktorce i współpracownicy Agnieszce Trzeszkowskiej-Berezie za dobre słowo, mentoring i litry wypitej wspólnie kawy.

A na koniec dziękuję Wam, drodzy Czytelnicy, że jeszcze raz ruszyliście razem ze mną w podróż do Bielin.

Do usłyszenia!